

TRZY RESETY
Polska polityka
w zawieszeniu

FIASKO 500+
Nie chcemy mieć
więcej dzieci

RAPORT WOJTYŁY
Problem „Tygodnika”
i niepokoje biskupów

ANNA SENIUK
Powolutku,
mamy czas

WEŻ, WĄCHAJ!
Życie składa się
z zapachów

Kraków 24 maja 2020 nr 21 (3698)

cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

www.TygodnikPowszechny.pl

Po stronie ofiar

**MARTA TITANIEC WALCZY
Z PEDOFILIĄ W KOŚCIELE**

**DODATEK
SPECJALNY
WIELKIE PYTANIA
NA NOWO:
Pandemia**

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379.425



jp2online.pl

Jan Paweł II dostępny

FILMY | AUDYCJE | ZDJĘCIA | DOKUMENTY | PUBLIKACJE



Projekt zrealizowany przez:



**Centrum Myśli
Jana Pawła II**

Institucja Kultury
m.st. Warszawy

JP2 online

Patronat:



**KONFERENCJA
EPISKOPATU
POLSKI**

**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego**

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury.

Partnerzy:



**INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ**



KS. ADAM

Boniecki: Sto lat temu

KTO MÓGŁ PRZYPUSZCZAĆ, ŻE W CHŁOPCU, który urodził się wieczorem 18 maja 1920 r. w Wadowicach, spełni się sen wieszczki Słowackiego o słowiańskim papieżu? Co innego *ex post*. Miesiąc po wyborze Jana Pawła II zacząłem zbierać wspomnienia i dokumenty do kalendarium życia Karola Wojtyły. Wyłania się z nich droga, jakby nakreślona przez mądrego scenarzystę, wiodąca do celu z żelazną logiką.



Jakby Bóg przygotowywał go do papieństwa. W sprawach miary wielkiej i mniejszej. Choćby przyjaźnie z Żydami w latach młodości w Wadowicach i potem na uniwersytecie (ochroniał przed szykanami wszechpolaków koleżankę, Ankę Weber). Studia – spotkanie z kulturą humanistyczną. Okupacja – żeby uniknąć wywózki na roboty, ale też żeby zarobić na chleb dla siebie i ojca, pracował jako robotnik. Dzięki temu o pracy mówił jak żaden inny papież. A to, że część seminarium przeszedł eksternistycznie, uchroniło go przed chorobą klerykalizmu. Udział w podziemnej organizacji Unia był szkołą ryzyka. Doświadczenia okupacji, a potem PRL-u uwarściły go na godność i prawa człowieka. Podczas rzymskich studiów zamieszkał w belgijskim kolegium, co otworzyło go na inny niż polski sposób myślenia.

Na tej drodze była praca w wiejskiej parafii w Niegowici, z wybitnym proboszczem ks. Kazimierzem Buzą. I była też praca na uczelni: studia nad mistyką św. Jana od Krzyża (w Rzymie), etyką Maxa Schelera, spotkanie z fenomenologią (prof. Roman Ingarden). A także to, że jako biskup pomocniczy utrzymuje przyjazne kontakty z redakcją „Tygodnika Powszechnego”. I to, że jako wikariusz kapitulny i jako metropolita krakowski ma do czynienia z wrogiem Ko-

ściołowi reżimem. Jako wiceprzewodniczący Episkopatu ma wgląd w Kościół w całym kraju. Potem przychodzi Sobór Watykański II, coraz bliższe relacje z Kościołami i ich biskupami w innych krajach. Od 1967 r. pracuje w rzymskich kongregacjach, uczestniczy w synodach biskupów. Kilkakrotnie zostaje wybrany do Sekretariatu Synodu.

Jednak opis drogi do papieństwa nie wyjaśnia tajemnicy wielkości i siły Jana Pawła II. Wyjaśnia ją Benedykt XVI w liście napisanym na stulecie urodzin swego poprzednika. Według Benedykta sekretem Jana Pawła II była świętość: „Święty jest człowiekiem otwartym, którego przenika Bóg. Święty to ktoś otwarty na Boga, to człowiek przeniknięty Bogiem. Świętym jest ten, kto nie koncentruje uwagi na sobie, ale sprawia, że widzimy i rozpoznajemy Boga”. Takim był Jan Paweł II, którego papież emeryt nazywa „wyzwalającym odnowicielem Kościoła”.

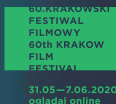
Święty. Kiedyś unikano kanonizowania papieży. Sądzone, że trudno rozeznaczyć, co w ich działaniu było ich, a co w „ich imieniu” dziełem kurii. Kuria rzymska zatrudnia setki ludzi, którym papież ufa. Musi ufać! Dykasteriom powierza różne kategorie spraw i... się nie wtrąca. Wie, że osobiście wszystkiego nigdy ogarnąć nie zdoła, choć ostatecznie będzie za wszystko odpowiadał.

W ostatnich dekadach papieży coraz częściej się kanonizuje. Kanonizacje są dla żyjących, żeby świętych pamiętali, bo świętym to już niczego nie doda. Nie zapomnijmy więc, że sto lat temu w Wadowicach urodził się święty, że znając go, być może lepiej można zrozumieć, co to właściwie znaczy świętość. ©P

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

60. Krakowski Festiwal Filmowy
oraz Fundacja
Tygodnika Powszechnego
zapraszają na pokazy filmu
w reż. Aleksandry Potoczek

- **PONIEDZIAŁEK**, 1 czerwca, o godz. 12
– dwa seanse, w tym jeden z audiodeskrypcją; po projekcjach spotkanie z reżyserką oraz autorem zdjęć Adamem Palentą
- **ŚRODA**, 3 czerwca, o godz. 16 – pokaz konkursowy
- **PIĄTEK**, 5 czerwca, o godz. 18 – pokaz specjalny, po którym odbędzie się spotkanie z bohaterem, ks. Adamem Bonieckim, oraz twórcami – Aleksandrą Potoczek i Adamem Palentą; prowadzenie Anita Piotrowska



Wspierajmy instytucje filmowe! Bilety na seanse w symbolicznej cenie 6 zł – do kupienia pod adresem krakowfilmfestival.pl/xABO

Informacje szczegółowe o karnetach, biletach oraz zasadach udziału w projekcji online na krakowfilmfestival.pl

weź, oglądaj online



TEMAT TYGODNIKA

**14 Ten Kościół bawi się ofiarami**

KS. JACEK PRUSAK SJ

*Po raz kolejny widzimy, jak jest chory, ile w nim perwersji obszytej purpurą.***15 Gdzie my jesteśmy**

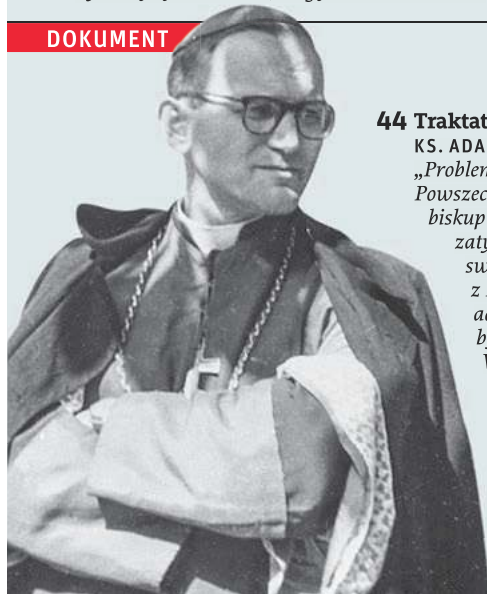
ROZMOWA Z MARTĄ TITANIEC Z FUNDACJI ŚW. JÓZEFA:

Tylko będąc w Kościele, mogę coś w nim zmienić.**22 Polityka**

JAROSŁAW FLIS

Ostatnie wydarzenia wstrząsnęły naszym systemem politycznym. Rozhermetyzował się układ, który jeszcze w lutym wyglądał na bardzo stabilny.

DOKUMENT

**44 Traktat o Kościele**

KS. ADAM BONIECKI

„Problem »Tygodnika Powszechnego«” – tak biskup Karol Wojtyła zatytułował swój raport z 1962 r., którego adresatem był prymas Wyszyński, a który dopiero dziś ujrzał światło dzienne.**74 Powolutku, mamy czas**

ROZMOWA Z ANNĄ SENIUK, AKTORKĄ:

Żyłam w przekonaniu, że jestem do niczego. Właściwie zostało mi to do dziś. Dlatego mój zawód uprawiam z determinacją.**88 Wonności świata całego**

DOROTA KOZIŃSKA

Każdy odór i wonne kadzidło rozkwitały w powietrzu jak gwiazdozbiory na ciemnym niebie.**54 Wszystkie kryzysy Kosowa**

MARTA SZPALA

Donald Trump chciał zakończyć konflikt między Serbią i Kosowem. Zamiast tego przyczynił się do upadku rządu, z którym mieszkańcy najmłodszego – i bardzo skorumpowanego – kraju Europy wiązali wielkie nadzieje.

6 Eksperyment na Polakach

MACIEJ MÜLLER

7-12 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia

ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ
ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA /
PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

22 Polityka po resecie

JAROSŁAW FLIS

26 Dzieci z tego nie będzie

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI:
Wskaźniki urodzeń i zapaść

27 Kasyno w każdej komórce

KRZYSZTOF STORY: *O hazardzie
kobiet coraz częściej się mówi*

30 Państwo zawsze stać

ROZMOWA Z L. RANDALLEM
WRAYEM, EKONOMISTĄ

■ ■ WIARA

34 Klerykalizm w genach

ARTUR SPORNIĄK:
Strukturalny trąd toczy Kościół

38 Ty będziesz żołnierzem mesjasza

RAFAŁ HETMAN
o księdzu Grzegorzu Pawłowskim

42 Drobiazgi codzienności

MACIEJ MÜLLER:
*Jak modlić się słowami
Pisma Świętego*

■ ■ DOKUMENT

44 Traktat o Kościele

KS. ADAM BONIECKI

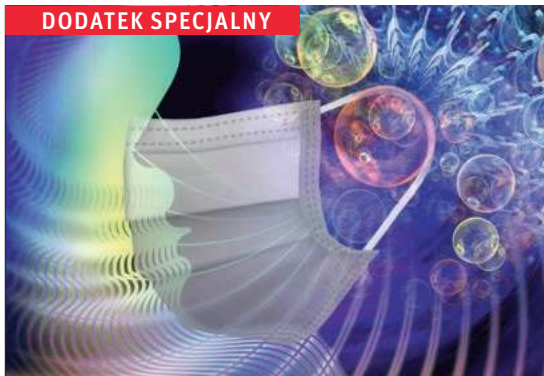
48 Karol Wojtyła o „Tygodniku”

Fragmenty memorandum z 1962 r.

50 Czego nie wiemy

o Karolu Wojtyle
KS. ADAM BONIECKI

DODATEK SPECJALNY



ANDREW OSTROVSKY / ADOBE STOCK

93 Wielkie Pytania na Nowo: PANDEMIA

Czy nauka powstrzyma pandemię COVID-19?

Ziemia: planeta wirusów

Zmęczenie kwarantanną: globalny problem

Dlaczego objawy choroby wywołują strach

i obrzydzenie?

Lekcja z historii klasycznej i z literatury

■ FELIETONY ■

33 ANNA DZIEWIT-MELLER 53 ANDRZEJ STASIUK

86 JAN KLATA 87 PAWEŁ BRAVO

92 STANISŁAW MANCEWICZ 92 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: MARTA TITANIEC

FOT. MAGDALENA BARTKIEWICZ DLA „PRZEWODNIKA KATOLICKIEGO”

Redaktor prowadzący: MARCIN ŻYŁA

KOMUNIKAT DLA CZYTELNIKÓW

Z powodów przez nas niezawinionych „Tygodnik” może przejściowo nie być dostępny w swoim pełnym dotychczasowym zasięgu. Trudności mogą wystąpić w szczególności w punktach sprzedaży obsługiwanych dotychczas przez Garmond Press S.A. Przypominamy, że jedynym pewnym sposobem regularnego otrzymywania pisma jest zamówienie prenumeraty na stronie **TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate**, do czego serdecznie zachęcamy. **Wydawca**

■ ■ ŚWIAT

54 Wszystkie kryzysy Kosowa

MARTA SZPALA

58 Sceny z życia chińskich parków

MARIA WIŚNIEWSKA Z PEKINU

60 Gdy domem jest kamper

PATRYCJA BUKALSKA
*o Wędrowcach z Wielkiej Brytanii
w czasie pandemii*

64 Trudno opuścić starych przyjaciół

PAWEŁ PIENIAŻEK Z HERATU
I KABULU: *Co dziesiąty Afgańczyk
jest uzależniony*

■ ■ HISTORIA

68 Narodziny samorządu

ANTONI DUDEK *o najtrwalszej
reformie rządu Mazowieckiego*

72 TYGODNIK CZYTELNIKÓW

■ ■ KULTURA

74 Powołutku, mamy czas

ROZMOWA Z ANNĄ SENIUK

78 Na linii i trzy kroki dalej

DARIUSZ KOŚCIŃSKI:
*Teatry szukają sposobów
na działalność twórczą*

81 One, czyli my

JUSTYNA BARGIELSKA:
Bibliotekarki i radości spotkania

84 W bujanym fotelu

ANITA PIOTROWSKA *o serialu
Lukasza Moodyssona „Gösta”*

86 Podróż w kosmos

LEKTOR *o książce Tomasza
Różyckiego „Kapitan X”*

■ ■ ZMYŚŁY

88 Wonności świata całego

DOROTA KOZIŃSKA

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ Strona świata

W górzystym Tadżykistanie i pustynnym Turkmenistanie ojcowie-prezydenci przygotowują swoje trony dla męskich potomków – **WOJCIECH JAGIELSKI** opisuje, jak synowie wyprzedzają książeczki tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

➔ Punkt zwrotny [Podkast Powszechny]

W kościele słowa „Nie opuszczę cię, aż do śmierci” czułem bardziej poetycko. I dopiero kiedy śmierć zajrzała mi w oczy, i ta druga osoba mi się poświęciła, zrozumiałem je dokładnie – opowiada **JERZY STUHR** w cyklu rozmów o punktach zwrotnych w życiu powszech.net/punkt-zwrotny



**WOŚ
SIĘ JEŻY** wolność równość ekonomia

Co czwartek na TygodnikPowszechny.pl

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



OBRAZ
TYGODNIA

EKSPERYMENT NA POLAKACH

Resort zdrowia nie udziela odpowiedzi na pytanie, czy możemy się czuć bezpiecznie. Rządowe komunikaty i decyzje na to by wskazywały. Statystyki zachorowań już nie.

MACIEJ MÜLLER

LICZBA, OD KTÓREJ ZALEŻY LOS POLAKÓW, nadal wynosi około 1. To wskaźnik reprodukcji koronawirusa, czyli „R”. Według ministra Szumowskiego spadł on wprawdzie na Mazowszu nawet do 0,5 (10 chorych zakaża 5 kolejnych), ale statystyki podbija Śląsk. Epidemiolodzy są sceptyczni wobec twierdzeń, że epidemia wygasa – nie ma gwarancji, że wkrótce nie zacznie się pięć do kolejnego wierzchołka.

Od poniedziałku 18 maja można pójść do fryzjera czy restauracji. Życie codzienne od mraża się spontanicznie od kilku tygodni. Ludzie, którzy poddawali kwarantannie torby z zakupami i nie chodzili do parków – za-

rzucają te środki ostrożności. Inni kapitulują przed dziećmi: trudno przez kolejny miesiąc powstrzymywać je przed zabawą z sąsiadami. Niełatwo zresztą rozmawiać z dziećmi, skoro sami jesteśmy coraz mniej przekonani do dystansowania społecznego.

Dominują emocje, bo brakuje racjonalnych argumentów. Z rządowych konferencji wynika, że się otwieramy, ale już nie – dlatego. Narracja ministra zdrowia, godna pochwały w marcu, w kolejnych tygodniach się posypała. Szumowski maseczki wyśmiewał, po czym nakazał ich noszenie. Zapowiadał, że wakacyjnych obozów nie będzie – po czym okazało się, że będą. Policjanci ścigali spacerowiczów,

*Przygotowywanie
restauracji
i kawiarni
do otwarcia,
Warszawa,
18 maja 2020 r.*

teraz niemal zupełnie sobie odpuścili. Nie dostajemy uzasadnienia, dlaczego coś, co było niedozwolone, staje się dozwolone. Z jednym wyjątkiem: liczbę osób na nabożeństwach zwiększono do jednej na 10 m², „na setne urodziny naszego wielkiego rodaka Jana Pawła II, który zmienił losy świata” – powiedział premier.

Coraz częściej pada pytanie: dlaczego zamknęto nas w domach przy kilkudziesięciu zachorowaniach, a przy kilkunastu tysiącach wracamy do (w miarę) normalnego życia? Nic dziwnego, że strach zmienia się w irytację. Ze statystyk, wbrew pozorom, niewiele wyczytamy, bo nie da się porównać stanu epidemii z początku marca i drugiej połowy maja. Dopiero teraz w Polsce przeprowadza się ponad 20 tys. testów na dobę; wtedy – kilkadziesiąt. Prawdopodobnie pierwsze zakażenia pojawiły się nawet w styczniu, a w momencie zamknięcia granic i wprowadzenia izolacji w drugim tygodniu marca infekcji mogło być wiele tysięcy; i tamte decyzje zapewne ocaliły Polskę przed losem Włoch czy Niemiec. Nigdy zresztą nie poznamy prawdziwej historii COVID-19 w Polsce, bo wykresy nie pokazują stanu faktycznego, tylko badany. Poseł Zjednoczonej Prawicy i lekarz Andrzej Sośnierz twierdzi nawet, że rząd przy pomocy sanepidu steruje danymi o pandemii.

W marcu brakowało testów i środków ochronnych dla medyków. W dyskusji nad ujawnioną przez „Gazetę Wyborczą” sprawą zakupu przez rząd niecertyfikowanych maseczek umyka najistotniejszy szczegół: w lutym Unia Europejska rozpięła przetarg na zakup środków ochrony dla krajów członkowskich. Gdyby Polska nie przespała zapisów, ministerstwo nie musiałoby kupować masek od instruktora narciarskiego z Zakopanego.

W polskich szpitalach lekarze nie byli zmuszeni do dramatycznych decyzji: komu pomagać, a komu nie. Gospodarkę odmrażamy jednak, w przeciwieństwie do innych krajów, przy wysokim wskaźniku R. Potrzebujemy odpowiedzi na pytanie, czy możemy się już czuć bezpieczni. I czy nie uczestniczymy w eksperymencie, którego podstawy są ekonomiczne i polityczne. Bo zdrowotne nakazywałyby nadal siedzieć w domu. ©P

Trzaskowski na białym koniu

ANDRZEJ STANKIEWICZ



TO PIERWSZY UDANY POLITYCZNY PROJEKT PO w tej kadencji – zablokowanie wyborów prezydenckich po to, by wymienić własną, słabą kandydatkę. Nie chciała się poddać do ostatnich godzin. Małgorzacie Kidawie-Błońskiej dobiły przecieki do gazet wieszczące jej wycofanie się, a także liczni znajomi, których liderzy PO użyli, by wyperswadować jej start. Koronawirus zainfekował jej początkowo obiecującą kampanię – zamknęła się w domu, odcięła od sztabu i speców od wizerunku. Gdy o wyborców trzeba było walczyć na telekonferencjach i transmisjach w mediach społecznościowych, okazała się kandydatką z innych czasów. Wyborcy zostawili ją dla Władysława Kosiniaka-Kamysza i Szymona Hołowni. A Platforma nie mogła sobie na to pozwolić. Dlatego partia, walcząc o rozpisanie nowych wyborów, walczyła także o możliwość wymiany swej kandydatki – o czym ona sama dowiedziała się jako ostatnia.

Platforma badała kilku kandydatów do prezydentury. W finalnym starciu znaleźli się prezydent stolicy Rafał Trzaskowski oraz były szef MSZ Radosław Sikorski. Czemu wygrał Trzaskowski? Bo partia uznała, że jest bardziej plastyczny od oschłego i wyniosłego Sikorskiego. W dodatku jest symbolem sukcesu

– poprowadził udaną kampanię wyborczą, rozbijając Patryka Jakiego w stolicy w 2018 r.

To jednak kandydat z poważnym defektem: jest wyraziście lewicowy, podczas gdy nastroje społeczne są centroprawicowe. M.in. na tym opierali swą krytykę stronnicy bardziej konserwatywnego Sikorskiego.

I Trzaskowski, i Sikorski jeszcze jesienią zakładali wygraną Andrzeja Dudy w cuglach i nie chcieli słyszeć o kandydowaniu. Planowali start za pięć lat. Skoro tym razem tak palili się do startu, może to znaczyć, że podparty badaniami społecznymi instynkt polityczny podpowiada im, iż właśnie teraz można pobić kandydata PiS.

Pierwsze sondaże pokazują, że Trzaskowski wchodzi do stawki z drugim wynikiem, a szanse Dudy na wygraną w pierwszej turze maleją. Start Trzaskowskiego praktycznie kończy kampanię Roberta Biedronia, pozbawia szans na drugą turę Kosiniaka-Kamysza i zapewne Hołownię.

W drugiej turze może się wydarzyć wszystko, choć wciąż Duda jako kandydat prawicy ma większe możliwości łowienia elektoratu, choćby w PSL czy Konfederacji. ©

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP”.

Nowy prezes, stary kłincz

KAMILA ZARADKIEWICZA na stanowisku p.o. prezesa Sądu Najwyższego zastąpił Aleksander Stępkowski. Zaradkiewicz to prawnik znany tyleż z wysokich kwalifikacji naukowych, co z gotowości do podejmowania walki zgodnie z interesami PiS, z którą to partią od 2015 r. ściśle związał karierę. Tym razem jednak jego umysł prawniczy nie wystarczył, by spacyfikować „starych” sędziów SN, rekomendowanych przez poprzednie wcielenie Krajowej Rady Sądownictwa. A wciąż stanowią oni większość w SN w stosunku do tych, których prezydent powołał po selekcji dokonanej przez nową, upolitycznioną Radę. Zaradkiewiczowi nie udało się nawet wyłonić komisji skrutacyjnej, która miała formalnie przeprowadzić proces nominacji (władzy zależą na kontroli nad tym

procesem, aby przynajmniej jeden kandydat wyłoniony przez SN jej odpowiadał).

Stępkowski to wprawdzie sędzia z „nowego” rozdania, ale nie dawał dotąd powodów, by uważać go za równie posłusznego wykonawcę partyjnej woli. W 2016 r. był wiceministrem spraw zagranicznych w rządzie Beaty Szydło i wyleciał z niego z hukiem za to, że zwrócił się do Komisji Weneckiej o opinię w sprawie zmian w ustawie o Trybunale Konstytucyjnym. PiS miał mu też wówczas za złe popieranie radykalnego zastrzeżenia ustawy antyaborcyjnej (jest założycielem organizacji Ordo Iuris). Przedstawiciele „starej” części Sądu odrzucają w oficjalnych wypowiedziach tę zmianę jako nieistotną, jednak trudno się spodziewać, by byli gotowi wejść w długotrwały stan wojny i bezkrońlewie w sądzie. Być może zatem Stępkowskiemu uda się, przy zastosowaniu nieco łagodniejszych środków, osiągnąć to, czego nie dokonał Zaradkiewicz.

©P PAWEŁ BRAVO

Bilans szkolnej kwarantanny

TEN OD DAWNA MOŻLIWY do przewidzenia, choć przez władze wypierany scenariusz rysuje się coraz wyraźniej: w bieżącym roku szkolnym nauczanie w pełnym tego słowa znaczeniu już nie wróci. Jakby mało było chaosu wokół odmrażania oświaty, urzędnicy zrobili w zeszłym tygodniu wiele, by go zwiększyć. Wiceszef MEN Maciej Kopeć najpierw informował, że tradycyjnych lekcji już nie będzie, później resort prostał, że obecny stan potrwą do kolejnej weryfikacji – więcej dowiemy się 7 czerwca.

Na razie musi nam wystarczyć tyle: 25 maja do szkół wrócą uczniowie klas 1-3. Głównie na zajęcia opiekuńczo-wychowawcze, choć z opcją dydaktyki. Od tego dnia możliwe też będą stacjonarne konsultacje dla zdających wkrótce egzaminy ósmoklasistów i dla maturzystów. A od 1 czerwca – dla wszystkich uczniów.

Ponad dwa miesiące zdalnego nauczania pozwała na pierwszy bilans. Zyski są niepewne: rodzice zobaczyli edukację od środka, a (niektórzy) uczniowie i nauczyciele weszli w nieznaną sobie dotąd świat cyfrowej nauki. Co z tą wiedzą zrobią w warunkach edukacji powracającej, być może, od września w stare koleiny?

Straty widać wyraźnie: ministerstwo podjęło fatalną decyzję, by wymagać pełnej realizacji podstawy programowej, nie tylko dekretując fikcję, ale też zostawiając z tyłu tych, którzy w tym wyścigu nie mogli nawet wystartować – dzieci bez dostępu do sprzętu.

Na epidemii stracili nauczyciele. Także finansowo: opublikowane niedawno przez ZNP wyniki ankiet wskazują, że 62 proc. pedagogów dostało po kieszeni, głównie za sprawą odcięcia od godzin ponadwymiarowych. I wizerunkowo: najpierw zostali bez przygotowania wrzuceni na głębokie wody cyfrowej nauki, a później poddani krytyce (filmiki z nauczycielkami gubiącymi się w pracy online; szyderstwa z Bogu ducha winnych pedagogów postawionych przed kamerami rządowej TVP itd.).

A nie był to dla nauczycieli czas odpoczynku – raczej przeciwnie. Teraz część z nich będzie musiała się jeszcze rozdwoić, dając stacjonarne konsultacje i nie przerywając lekcji online. Koniec czerwca i ostatni – tym razem chyba wirtualny – dzwonek będzie bardziej niż kiedykolwiek sygnałem ulgi.

© P PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

KRAJ W SKRÓCIE

ZAMASKOWANI

„Noszenie maseczki na brodzie lub pod nosem to nie odwaga i szpan, ale egoizm i brak odpowiedzialności. Maseczka nie ma nas chronić przed innymi, ale innych przed nami” – przypomina rzecznik resortu zdrowia. Woła na puszczy, bo bez maseczek coraz częściej pokazują się prezydent i członkowie rządu.



ZDEMASKOWANI

Komisja Europejska zdecydowała o wszczęciu wobec Polski tzw. procedury przeciwnaruszeniowej w związku z brakiem przepisów, na podstawie których władze mogłyby być skarżone do sądów za niską jakość powietrza. W 2018 r. TSUE orzekł, że Polska łamie prawo, dopuszczając do nadmiernych przekroczeń stężeń pyłu zawieszonego PM10.

OSADZENI

O przeludnieniu ośrodka dla najgroźniejszych przestępców w Gostyninie (maksymalna liczba miejsc to 60, obecnie izoluje się tam 86 osób) alarmuje biuro RPO. „Uważam, że rolą moją i mojego zespołu jest zajmowanie się tymi, o których prawa nikt się nie upomni” – mówi Adam Bodnar.

Oblany egzamin z równości

POLSKA JEST HOMOFOBICZNYM LIDEREM w Uni Europejskiej – zajęła ostatnie miejsce w rankingu ILGA-Europe, który mierzy poziom równouprawnienia osób LGBT+.

Wynik opracowywany jest na podstawie analizy prawodawstwa w konkretnych krajach oraz praktyki stosowania w nich prawa w sześciu kategoriach: równość i zakaz dyskryminacji, rodzina, wolność zgromadzeń, zrzeszania i ekspresji, przestępstwa z nienawiści i mowa nienawiści, uzgadnianie płci i integralność cielesna oraz prawo do azylu. Wynik podawany jest w procentach: równościowym liderem po raz czwarty została Malta (89 proc.), za nią znalazły się Belgia i Luksemburg (73 proc.) oraz Dania i Norwegia (68 proc.). Polska: 16 proc. Jest jeszcze gorzej niż w latach poprzednich, gdy zajmowaliśmy miejsce przedostatnie.

Ale fatalny wynik nie jest zaskoczeniem – odzwierciedla rzeczywistość. „Strefy wolne od LGBT”, homofobiczne wypowiedzi polityków, pełne kłamstw i manipulacji materiały w telewizji publicznej (jak m.in. „Inwazja”), bezprawne zakazy organizacji marszów równości (jak w Rzeszowie), spisywanie przez policję uczestników tych marszów za flagę czy koszulki z tęczowym orłem, zatrzymanie Elżbiety Podleśnej w związku z wizerunkiem tęczowej Maryi, pobicia na pierwszym marszu równości w Białymstoku.

Tendencja spadkowa jest, niestety, także ogólnoeuropejska: według rankingu w blisko połowie badanych krajów odnotowano brak pozytywnych zmian pod względem równouprawnienia osób LGBT+.

© P EWELINA BURDA

Samolotem nie tylko do domu

TO TRUDNY, ALE NIE BEZNADZIEJNY CZAS na planowanie podróży. Linie lotnicze liczą straty, czekają na nowe przepisy sanitarne i spodziewane w czerwcu otwarcie wewnętrznych granic UE. Chętnym na rezerwację podróży latem oferują jednak często możliwość np. bezpłatnej zmiany terminu. Potaniały bilety do ciekawych, choć niekojarzących się dotąd z wakacjami miejsc – do Londynu jeszcze nie polecimy na weekend (Wielka Brytania zapowiada utrzymanie obowiązku dwutygodniowej kwarantanny po przekroczeniu granicy), ale kilkaset złotych za lot do fińskiej Laponii to już gratka.

Wznowienie niektórych lotów z Polski od 1 czerwca – na początek z Warszawy i Krakowa do Frankfurtu – zapowiada Lufthansa, która stopniowo przywraca też połączenia długodystansowe. W lipcu swoje bazy chce uruchomić Ryanair. Firma zapowiada reaktywację ok. 40 proc. rejsów. LOT, podobnie jak linie w innych krajach Europy, rozmawia z rządem o kilkuset milionach złotych pomocy publicznej. Na wznowienie ruchu, choćby częściowe, czekają lotniska: to w Krakowie w kwietniu obsługiwało... 52 pasażerów. © P ŻYM



JOHANNES EISELE / AFP / EAST NEWS

ĆWICZ DYSTANS SPOŁECZNY i nie daj się zwieść pięknej pogodzie: w nowojorskim Domino Park ludzie usiedli w namalowanych na trawie kręgach, by zachęcać innych do przestrzegania restrykcji. Burmistrz upomina osoby bez maseczek spotykające się np. pod barami. Nowy Jork to wciąż jedno z głównych ognisk epidemii w USA: choć spada tu liczba nowych infekcji, nadal codziennie przybywa ponad tysiąc chorych na COVID-19. Do końca minionego weekendu w mieście zmarło ponad 20 tys. osób (w całych Stanach ponad 90 tys.: to prawie dwa razy tyle, ilu Amerykanów zginęło w wojnie wietnamskiej). W większości stanu Nowy Jork restrykcje obowiązują do 28 maja, z możliwością przedłużenia. Na zdjęciu: nowojorski Domino Park, 15 maja 2020 r. © MAG

Przedwyborczy atak na Chiny

MARTA ZDZIEBORSKA Z SAN DIEGO (USA)



EPIDEMIA POGORSZYŁA napięte już wcześniej relacje USA z Pekinem, a Donald Trump wykorzystuje to w walce o reelekcję.

Po chwilowej „odwilży” – podpisaniu w styczniu porozumienia handlowego – Chiny znów zagościły we wrogiej retoryce prezydenta USA i jego administracji. Biały Dom obarcza je winą za rozpętanie globalnej pandemii (przez tuszowanie jej skali u siebie) i spekuluje, że wirus miał początek w laboratorium w Wuhan. Trump grozi sankcjami, a jego doradca ekonomiczny Peter Navarro domaga się od Chin odszkodowania za pandemię. W minionym tygodniu Trump stwierdził, że „nie ma ochoty na rozmowę” z przywódcą Chin Xi Jinpingiem i nie wyklucza zerwania relacji dyplomatycznych.

W odpowiedzi rzecznik chińskiego MSZ powiedział, że oba kraje „powinny dążyć do kompromisu i zacieśnienia współpracy w dobie epidemii”. Odpieranie ataków stało się dla Pekinu rutyną. Chińskie MSZ opublikowało 10 maja dokument mający dementować „24 kłamstwa” polityków i ultraprawicowych dziennikarzy z USA. Według Pekinu antychińska retoryka jest próbą odwrócenia

uwagi od tego, że Trump nie radzi sobie z kryzysem. Ale jednocześnie Chińczycy robią swoje: FBI alarmuje, że chińscy hakerzy próbują wykraść wrażliwe dane z amerykańskich laboratoriów pracujących nad szczepionką.

A pomyśleć, że jeszcze w styczniu Trump chwalił Xi Jinpinga za „transparentną” reakcję na epidemię. Prezydent USA zmienił retorykę, gdy „chiński wirus” (tak go nazywa), zaczął zabijać Amerykanów, a gospodarka spowolniła. Ubiegający się o reelekcję Trump, który nie może już chwalić się niskim bezrobociem (przez epidemię pracę straciło 36 mln Amerykanów), musiał znaleźć temat zastępczy.

Wątek chiński przewija się też w jego atakach wobec Joego Bidena, kandydata Demokratów na prezydenta. Trump zarzuca mu zbyt „łagodne stanowisko” wobec Chin. Biden odpłaca krytyką za nieudolną reakcję na epidemię i wcześniejszy „romans” z Pekinem. Przedwyborcza retoryka może mieć dotkliwe skutki dla relacji z Chinami. Do napięć handlowych, zarzutów o szpiegostwo i kradzież technologii doszedł jeszcze koronawirus. ©

Nowe dylematy Łukaszenki

BIAŁORUSKI REŻIM pełną parą przygotowuje się do kolejnych wyborów prezydenckich, których datę (9 sierpnia) wyznaczono w minionym tygodniu. Mają przedłużyć władzę urzędującego od 26 lat Aleksandra Łukaszenki. Jednak jego kolejna reelekcja może okazać się trudniejsza niż zwykle.

Tym razem sytuacja będzie wyjątkowo niesprzyjająca. W kraju szaleje epidemia: zarejestrowano już ponad 30 tys. infekcji, ale nadal nie wprowadzono kwarantanny. Głosowanie będzie tradycyjne, gdyż władze niezmiennie udają, że nic strasznego się nie dzieje. Liczne są jednak oznaki, że społeczeństwo myśli inaczej. Na epidemię nakłada się kryzys gospodarczy, który sprawia, że nie można otworzyć worka z wydatkami socjalnymi. Do tego dochodzi nierozwiązany spór z Moskwą o ceny ropy i gazu.

Na uczciwe wybory, rzecz jasna, nie ma co liczyć, ale przeciwnicy Łukaszenki mogą być mocniejsi niż zazwyczaj. Wprawdzie kilka partii opozycyjnych zrezygnowało z wyłonienia wspólnego kandydata – uznając, że wyborów w czasie epidemii organizować nie wolno – ale to nie ich boi się reżim. Zagrożeniem mogą się okazać Walerij Cepkało (długoletni szef Parku Wysokich Technologii, najbardziej udanego projektu białoruskiej gospodarki w XXI w.) i Wiktor Babaryko, do niedawna szefa Biełgazprombanku, jednego z największych banków w kraju (własność Gazpromu). Obaj są znani i popularni. Jeśli się okaże, że nie startują jako „kandydaci techniczni” Łukaszenki, sytuacja zrobi się ciekawa. Ostre ton ich krytyki pod adresem reżimu już jest dla niego problemem. W lipcu stanie się jasne, czy kontrolowana przez władze Centralna Komisja Wyborcza zechce ich zarejestrować.

Już teraz zablokowano start Siergieja Tichanowskiego, popularnego blogera i znanego krytyka władz. Razem z kilkudziesięcioma zwolennikami trafił do aresztu, co uniemożliwiło mu złożenie dokumentów. Można to potraktować jako jeden z sygnałów, że Łukaszenka liczy się z tym, iż jego wybór na szóstą kadencję łatwy nie będzie. © WOJCIECH KONOŃCZUK

Giełdy nie wierzą w kryzys

INWESTORZY URZĄDZAJĄ BAL NA TITANICU w obliczu recesji? – do takiego wniosku łatwo dojść, obserwując największe giełdy. W rzeczywistości świat finansów płynie innym statkiem niż reszta gospodarki.

W kwietniu i maju prawie na całym świecie kursy akcji szły w górę, odrabiając straty z lutego i marca, kiedy stało się jasne, że pandemia spowoduje zapaść globalnej gospodarki. Indeks 30 największych spółek notowanych na Wall Street, który pod koniec marca spadł w pobliżu 18 tys. punktów, od kilku tygodni trzyma się pułapu 24 tys. – choć stare przysłowie inwestorów mówi „Sell in May and go away”, wyrażając przekonanie, że wiosna i lato nie są dobrym czasem na zakup akcji. Zieleni się także Azja: japoński Nikkei od marca urósł o 25 proc. Giełda w Hongkongu – ponad 10 proc. Nawet warszawski WIG, obecnie zaulek rynku finansowego, odzyskał niemal połowę tego, co stracił w lutym.

Analitycy twierdzą, że to zapowiedź rychłego odbicia gospodarki, która być może nie wpadnie w głęboką recesję. Istnieje jednak jeszcze inne wyjaśnienie: giełdy rosną w nadziei, że pieniądze na pobudzenie realnej gospodarki uda się – podobnie jak w 2008 r. – zatrzymać głównie na rynkach finansowych. © P MAREK RABII

Zbrodnia katyńska: czas tolerancji się skończył?

PRZED 75. ROCZNICĄ końca II wojny światowej, w rosyjskim Twerze, na polecenie miejscowej prokuratury zdemontowano tablicę upamiętniającą Polaków zamordowanych w tutejszym więzieniu NKWD i tablicę upamiętniającą wszystkie ofiary Stalina. Prokurator uznał, że znajdują się one pod niewłaściwym adresem – wisiały na gmachu byłego więzienia – i nadmienił, że w archiwach służb specjalnych jest 60 tomów akt dotyczących egzekucji; wcześniej strona rosyjska nie ujawniała informacji o tych dokumentach. Grupa członków Rosyjskiej Akademii Nauk zaprottestowała przeciw demontażowi: „To wyjątkowy cynizm, bezczeszczenie pamięci niewinnych ofiar”. Konsekwentnie protestuje też Stowarzyszenie Memoriał.

Wiosną 1940 r. w piwnicach tego gmachu NKWD rozstrzelało 6,3 tys. Polaków z obozu Ostaszkowa; mord był częścią zbrodni katyńskiej. W 1991 r. administracja Tweru ufundowała tablicę „Pamięci zamęczonych”, a rok później z inicjatywy Rodzin Katyńskich zawisła tablica poświęcona zamordowanym Polakom.

Rosyjskie władze uznają, że zbrodni katyńskiej dokonało NKWD, jednak nie pasuje ona do heroicznej wersji historii lansowanej przez Kreml. Pamięć o ofiarach stalinizmu była dotąd z niechęcią tolerowana. Czy demonstacja to sygnał, że czas tolerancji się skończył?

© ANNA ŁABUSZEWSKA

Więcej na blogu autorki na stronie „TP”.

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

PORZĄDKI

Franciszek przyjął rezygnację biskupa pomocniczego Josepha Binzera z Cincinnati w USA dziewięć miesięcy po tym, jak zostało ujawnione, że nie poinformował on swego ordynariusza o oskarżeniach dotyczących wykorzystywania seksualnego nieletnich przez ks. Geoffa Drewa. Uważa się, że 65-letni Binzer jest pierwszym amerykańskim biskupem usuniętym na podstawie wydanego w 2019 r. listu apostolskiego „Vos estis lux mundi”, określającego standardy postępowania wobec przełożonych oskarżonych o zaniedbania albo o wykorzystywanie seksualne. Watykan nie podał powodu rezygnacji biskupa.

POCHWAŁA

„W godzinie, w której Kościół na nowo cierpi z powodu naporu zła, jest on dla nas znakiem nadziei i ufności” – napisał Benedykt XVI na prośbę kard. Stanisława Dziwisza w liście z okazji setnej rocznicy urodzin św. Jana Pawła II. Papież emeryt porównuje swojego poprzednika do dwóch papieży, którym historia dopisała przydomek „wielki”: Leona I, który namówił wodza Hunów, by oszczędził Rzym, i Grzegorza I, który kilka razy ocalał Rzym przed Longobardami. Jan Paweł II przyczynił się do obalenia komunizmu.

POMOC

„Modlitwa należy do wszystkich, do ludzi każdej religii, a zapewne także do tych, którzy nie wyznają żadnej z nich. (...) Modlą się uczucia, ale nie można powiedzieć, że modlitwa jest tylko uczuciem. Modli się inteligencja, ale modlitwa to nie tylko akt intelektualny. Modli się ciało, ale można rozmawiać z Bogiem nawet przy najpoważniejszym kalectwie. Zatem cały człowiek się modli, jeśli modli się jego serce” – mówił papież podczas śródowej audyencji ogólnej w ramach cyklu katechez o modlitwie.



FABIO FRUSTACI / EPA / PAP

Przed skrajną prawicą Silvię broni biskup

W MNIEJ NIŻ 48 GODZIN ogólnonarodowa radość we Włoszech zamieniła się w niespotykaną falę hejtu wobec Silvii Romano, która jako wolontariuszka pracująca w sierocińcu w Kenii została porwana przez islamistów i po 18 miesiącach w niewoli została niedawno uwolniona przez państwo włoskie. Powodem hejtu stała się konwersja na islam 24-letniej Włoszki, której – jak sama mówi – dokonała dobrowolnie (wysiadając z samolotu na rzymskim lotnisku Ciampino, co transmitowały media, Silvia Romano miała na sobie zieloną chustę). Politycy skrajnej prawicy nazwali Romano „neoterrorystką” i wezwali, by odesłać ją z powrotem do Afryki.

W obronie Włoszki stanął przewodniczący włoskiego episkopatu kard. Gualtiero Bassetti. „Powrót tej dziewczyny jest powrotem młodej osoby, o której w tej chwili wszyscy myślimy jak o własnej córce. Było gorące przyjęcie przez wszystkich, było święto, bo ta nasza córka przeszła przez niezwykle niebezpieczne sytuacje, okazała odwagę” – powiedział hierarcha. Metropolita Perugii nie odniósł się wprost do jej konwersji, ale zauważył: „To dziewczyna, która działała zawsze z mocnych pobudek humanitarnych czy religijnych, i to pomogło jej przeżyć”.

Psychologowie ostrzegają przed pochopnymi ocenami, gdyż w sytuacji długotrwałego stresu związanego z niewolą mogą się włączać obronne mechanizmy identyfikacji z agresorem.

Zapytany przez dziennikarzy o promienny uśmiech córki, jej ojciec odpowiedział: „Nie mylmy uśmiechu z umiejętnością radzenia sobie z sytuacją, w której stałeś się ofiarą”.

© ARTUR SPORNIAC

Co się powinno stać po filmie Sekielskich

ARTUR SPORNIAK



PO RAZ PIERWSZY W POLSCE BISKUP PUBLICZNIE oskarżył drugiego biskupa o nadużycia i zapowiedział, że sprawę zgłasza do Watykanu. Tak po obejrzeniu filmu „Zabawa w chowanego” zareagował abp Wojciech Polak wobec biskupa kaliskiego Edwarda Jania. „Nie dochowano obowiązujących w Kościele standardów ochrony dzieci i młodzieży” – napisał w oświadczeniu. I wskazał dwa nadużycia bp. Jania: nie zareagował na informację przekazaną mu przez rodziców pokrzywdzonego chłopaka i nie rozpoczął wymaganego przez prawo kościelne dochodzenia (w filmie kaliski hierarcha bezprawnie domaga się, by ofiara sama się zgłosiła do kurii) oraz przeniósł sprawę z parafii na stanowisko kapelana szpitala, gdzie nadal miał kontakt z dziećmi.

Abp Polak podziękował osobom pokrzywdzonym, że zdecydowały się opowiedzieć o doznanej krzywdzie, i zaapelował do księży, siostr zakonnych, rodziców i wychowawców, „by nie kierowali się fałszywą logiką troski o Kościół, skutkującą ukrywaniem sprawców przestępstw seksualnych”. Kuria kaliska z kolei w reakcji na

film wydała suche oświadczenie, w którym nieudolnie broni bp. Jania.

Abp Polak zareagował jako Delegat Episkopatu ds. Ochrony Dzieci i Młodzieży. Powołanie tej funkcji w czerwcu 2019 r. było reakcją na pierwszy film braci Sekielskich „Tylko nie mów nikomu”. Wówczas abp Polak zgodził się podjąć niewdzięcznej roli śledczego wśród polskich biskupów, przełamując w ten sposób silny do tej pory mechanizm solidarności grupowej. We wrześniu mówił mediom, że wpłynęło do niego pięć skarg na biskupów, które przekazał do Rzymu. Dotychczas nie usłyszeliśmy jednak o żadnej dymisji w polskim Episkopacie.

Jak powinny potoczyć się sprawy w przypadku bp. Jania? Po zgłoszeniu nadużycia Watykan zobowiązuje odpowiedniego dla biskupa kaliskiego metropolitę (diecezja kaliska należy do metropolii poznańskiej, jest zatem to abp Stanisław Gądecki) do przeprowadzenia śledztwa, którego wynik następnie będzie przesłany do Rzymu. Na jego podstawie papież wyda decyzję. Wyrok zwykle nie jest publicznie ogłaszany. Dowiadujemy się jedynie, że papież przyjął ustąpienie biskupa z urzędu. ©P



WŁOCHY OTWIERAJĄ ŚWIĄTYNIE po 70 dniach całkowitego zakazu odprawiania nabożeństw z udziałem wiernych. Przygotowania trwały od kilku dni: kościoły zostały zdezynfekowane (na zdjęciu bazylika św. Piotra w Watykanie), a księża otrzymali szczegółowe instrukcje o obowiązujących ich przepisach sanitarnych (m.in. liczbie osób, które mogą wziąć udział w nabożeństwie, obowiązku używania maseczki i rękawiczek w czasie rozdawania komunii). Papież Franciszek odprawił swą pierwszą publiczną mszę w poniedziałek rano przy grobie Jana Pawła II, w setną rocznicę urodzin świętego. Otwarcie kościołów jest jednym z elementów łagodzenia zaostreżeń w tzw. drugim etapie wychodzenia z pandemii we Włoszech. ©P EA

Czarno na białym o finansach Watykanu

SĄ W KIEPSKIM STANIE – przyznaje prefekt Sekretariatu Ekonomicznego o. Guererro Alves na stronie Vatican News. Do tej pory o dziurze budżetowej, finansowych malwersacjach i marnotrawstwie pieniędzy dowiadaliśmy się z przecieków, wykradanych dokumentów i śledztw prowadzonych przez prokuraturę. Jeśli mówi o tym otwarcie watykański „minister finansów”, musi mieć po temu ważne powody.

Po pierwsze – to reakcja na pojawiające się coraz częściej informacje o ekonomicznej zapaści Watykanu. Prefekt uspokaja, że jak na razie bankructwo Stolicy Apostolskiej nie grozi. Deficyt budżetowy nie jest niczym nadzwyczajnym (to niemal reguła od czasów Jana Pawła II). „Nie jesteśmy firmą, naszym celem nie jest zysk ani zrównoważony budżet” – mówi o. Alves. Przyznaje jednak, że wszystkie wydatki powinny być jawne, by uniknąć podejrzanych lub dziwnych inwestycji (jak zakup luksusowej willi w Londynie czy udział w produkcji filmu „Facce w czerni II”). „Im większa transparentność, tym mniej błędów” – dodaje i to zapewne drugi powód, dla którego zdecydował się mówić o otwarciu o pieniądzach Stolicy Apostolskiej. Dzięki temu dowiadujemy się, że budżet Watykanu to kwoty, jakimi obraca średniej wielkości polskie miasto (ok. 270 mln euro wpływów). Że z wydatków (320 mln euro) niemal połowę stanowią wynagrodzenia pracowników, a 7,5 proc. to pomoc dla potrzebujących. I że konieczne oszczędności na pewno nie dotkną ani jednych, ani drugich.

Trzecim i bez wątpienia najważniejszym celem o. Alvesa jest próba dotarcia do darczyńców i odzyskanie ich zaufania. Z powodu pandemii dochody Stolicy Apostolskiej zmalały (od 25 do nawet 45 proc.). W zarządzanych przez nią nieruchomościach (2,5 tys. mieszkań, 600 sklepów i biur) obniżono lub zawieszono czynsze, wyszło też stałe i zasobne źródło, jakim są Muzea Watykańskie. Konieczne będą cięcia inwestycyjne, redukcja zamówień i weryfikacja zawartych umów – ale to wszystko może okazać się zbyt mało. Trzeba będzie – jak zwykle – liczyć na hojność wiernych. A budżet na nowy rok budować od zera.

©P EDWARD AUGUSTYN

#Hot16Challenge2: czas popsuć zabawę

MARCIN NAPIÓRKOWSKI



EPIDEMIA RAPU PUSTOSZY KRAJ. FILMIKI NAgrali już chyba wszyscy żyjący muzycy i gorączka rymowania powoli rozprzestrzeniła się na aktorów, polityków, księgowych i filatelistów. Spłaszczenia krzywej nie widać. Wkrótce zainfekowana będzie cała populacja i każdy obywatel zostanie autorem przynajmniej jednego lepiej lub gorzej zrymowanego peanu na cześć niezłomnych medyków. Zasady są proste. Wskazana osoba nagrywa szesnastowersowy rap i nominuje kolejne ofiary. Przy okazji wykonawcy i widzowie wpłacają pieniądze na wsparcie ochrony zdrowia.

Dobry rap szanuję jak Hołownia konstytucję. Kilka wykonów sprawiło mi prawdziwą przyjemność (kto ma dzieci, niech posłucha, jak z wyzwania wybrnął CeZik!). Chciałbym jednak trochę popsuć zabawę.

Nowy challenge (i w ogóle modne zjawisko internetowych wyzwań) jak w soczewce skupia wady i zalety mediów społecznościowych. Zdolność przyciągania i mobilizacji olbrzymiej publiczności (w momencie pisania tego tekstu łącznie ponad 200 mln wyświetleń na YouTube!), ale też narcyzm, stadność, podporządkowanie

wszystkiego bieżącej polityce i co najgorsze – przedkładanie efektywności nad efektywność.

Ochronie zdrowia niepotrzebne są teraz wyrazy uznania, klaskanie i rymowanie. Nie powinniśmy podziwiać rezydentów, pielęgniarek czy ratowników za to, że przemęczają się za małe pieniądze, lecz sprawić, żeby przemęczali się mniej, a zarabiali – więcej. Doraźne zrzutki nie rozwiążą systemowego problemu. Zamiast tego mogą z niego zrobić normę i zamienić w widowisko. Badania potwierdzają, że tego typu akcje często dają nam złudne poczucie wzięcia spraw w swoje ręce. Zwiększają tym samym ryzyko, że przy kolejnej debacie o finansowaniu ochrony zdrowia znów usłyszymy, że przecież i tak wszystko trzyma się tylko dzięki WOŚP i zrzutkom, a tak w ogóle to mamy prywatne abonamenty.

O ile muzykom jeszcze mogę wybaczyć, że rapują, to od polityków oczekiwałbym raczej pracy nad lepszym prawem i zmian administracyjnych, a nie wydrukanych z tabletu mądrości o wieszaniu komunistów albo ostrym cieniu mgły, który, przywołany przez prezydenta, stał się najsłynniejszym polskim cieniem od czasu pamiętnego orla cienia. ©

Mały ekran zdradza więcej

GDY MAMY GO W RĘKU, zapominamy o ostrożności w sieci. To wnioski badań Shiri Melumad i Roberta Meyera z Uniwersytetu Pensylwanii, opublikowanych przez „Journal of Marketing”. Przeanalizowali oni 370 tys. tweetów, 10 tys. recenzji i 20 tys. reklam, żeby sprawdzić, jak i kiedy dzielimy się osobistymi przemyśleniami.

Tweety wysyłane ze smartfona częściej niż te z komputera pisane są w pierwszej osobie, częściej opisują negatywne emocje i omawiają relacje z rodziną i przyjaciółmi. Użytkownicy proszeni w sieci o podanie prywatnych danych (np. dochodu) chętniej udostępniają je z telefonu niż z komputera.

Naukowcy mają kilka hipotez. Po pierwsze, mały ekran smartfona sprawia, że korzysta się z niego trudniej: użytkownik skupia się więc na zadaniu, odsuwając rozpraszające sygnały – w tym zahamowania. Po drugie, smartfony są z nami zawsze. Użytkownicy kojarzą z nimi poczucie bezpieczeństwa i komfortu. Melumad nazywa je wręcz „smoczkami dla dorosłych”. © WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Koronawirus i dzieci

CHOĆ INFEKCA SARS-COV-2 kojarzona jest przede wszystkim z chorobą dróg oddechowych starszych osób, pojawiają się podejrzenia, że wirus może atakować inne układy – również u dzieci. W połowie maja władze Nowego Jorku informowały, że do stu wzrosła liczba przypadków pewnej choroby występującej u dzieci zakażonych koronawirusem.

Pediatryczny wieloukładowy zespół zapalny (PMIS) obejmuje m.in. wysoką gorączkę, wysypkę, powiększone węzły chłonne i ogólnoustrojowe zapalenie. Zespół ten spełnia część kryteriów innej rzadkiej choroby występującej u dzieci – choroby Kawasaki. Związek między wirusem a nową chorobą nie jest jeszcze w pełni ustalony, ale podejrzenia są silne. Z danych szpitalnych z Bergamo opublikowanych w piśmie „Lancet” wynika, że w latach 2015-20 zanotowano 19 przypadków choroby Kawasaki. Tymczasem od lutego do kwietnia 2020 r. było już 10 przypadków PMIS.

Zagrożeni są również młodzi dorośli. Pojawiają się doniesienia o częstszym występowaniu udarów niedokrwiniennych mózgu u osób mających kontakt z SARS-CoV-2. © BARTOSZ KABAŁA

KULTURA W SKRÓCIE

NIEODBYTE WYBORY

„Fatszerstwo wynikające z błędów systemu komputerowego albo innego rodzaju ingerencji w system liczenia głosów” – tylko słowami przewodniczącego Rady Mediów Narodowych Krzysztofa Czabańskiego racjonalnie wyjaśnić można fakt, że utwór Kazika o odpowiedzianiu cmentarza (przez prezesa PiS) debiutuje na szczycie Listy Przebojów Trójki w środku maja. Jakże może nam się podobać piosenka, którą słyszymy pierwszy raz? O zbadanie sprawy proszą minister Jadwiga Emilewicz i Joachim Brudziński.



KAZIK OFFICIAL VIDEO / YOUTUBE

ZABAWA W CHOWANEGO

Komunikat na stronie LP3 potwierdza przypuszczenia Czabańskiego:

„wystąpił błąd”. W efekcie tegoż z radia znikają nie tylko wyniki piątkowego notowania listy, ale i jej prowadzący Marek Niedźwiecki, a po nim Hirek Wrona. Po niedzielnej „Sieście” przepada z eteru związany z rozgłośnią 30 lat Marcin Kydryński. Z Trójki znikną też prawdopodobnie nagrania Mystic Records, wytwórni reprezentującej Nicka Cave’a, Deep Purple i Skunk Anansie.

WSZYSTKO KOŃCZY SIĘ PIOSENKĄ

Tymczasem w niedzielę wieczorem teledysk do piosenki Kazika „Twój ból jest lepszy niż mój” ma już więcej widzów niż film braci Sekielskich „Zabawa w chowanego”.

łaka powszechna dla każdego!

Po co nam łaka? Gdzie w mieście znajdziesz dziką przyrodę? Jak możemy przeciwdziałać suszy oraz filozofia „chwastów”, czyli co ma łaka do trawnika? A także – jak zjeść łakę na kolację?



Już 3 czerwca z „Tygodnikiem” dodatek o korzyściach z łaki oraz prezent – nasiona najpiękniejszych roślin łakowych do samodzielnego wysiania.

łącz się z nami,
zmieniaj krajobraz



Ten Kościół bawi się ofiarami

KS. JACEK PRUSAK SJ

Po raz kolejny widzimy, jak chory jest polski Kościół, ile w nim perwersji obszytej purpurą i klerykalnym zadufaniem w sobie.

ZABAWA W CHOWANEGO JEST POTRZEBNA DZIECKU DLA JEGO normalnego rozwoju, ale pod warunkiem, że dziecko zostanie znalezione, i że może na to liczyć. Taka zabawa uczy go zaufania do siebie i świata, daje ekscytację i nowe kompetencje, pozwala oswajać się z lękiem. O tym już dawno temu, niemalże w literacki sposób, pisał wybitny psychoanalityk Donald W. Winnicott.

Zabawa w chowanego może mieć jednak swoją ciemną stronę – kiedy zamiast dziecka chowa się ten, który miał je szukać i znaleźć. Z perspektywy dziecka to przestaje być zabawne i może doprowadzić do traumy.

Bracia Sekielscy z tytułem swojego nowego filmu o sytuacji ofiar osób duchownych, ofiar wykorzystanych zarówno przez sprawców, jak i przez system kościelny, trafili w dziesiątkę. Bo po raz kolejny okazało się, że w kościelnej „zabawie w chowanego” infantylni są zarówno przestępcy, jak i ich przełożeni chowający się przed rzeczywistością ludzkiej krzywdy w swoje pogmatwane, perwersyjne kościelne schematy myślenia, odczuwania i zachowania. Najpierw bawią się z ofiarą, mówiąc jej: „jeśli przed tobą ucieknę, nigdy mnie nie znajdziesz”. Potem bawią się z nami kościelnym zakłębieniem: „nie mówię tak, nie mówię nię – dlatego niczego mi nie udowodnisz”. Smutne i porażające, że po raz kolejny, i w niedługim odstępie czasu, widzimy, jak chory jest polski Kościół, jak trudno jest przerwać jego patologiczną zabawę z ofiarami, ile w nim perwersji obszytej purpurą i klerykalnym zadufaniem w sobie.

O cieniu nadziei na poprawę sytuacji rozmawiamy w „Tygodniku” z Martą Titaniec z Fundacji św. Jerzego. Tymczasem wszystkie kościelne media trąbią o setnej rocznicy urodzin polskiego papieża, którego słynne hasło z pierwszej jego encykliki „człowiek jest drogą Kościoła” chcieliśmy widzieć jako dziedzictwo polskiego katolicyzmu dla świata. Oglądając „Zabawę w chowanego” i mając w pamięci owo „rewolucyjne” hasło pontyfikatu „naszego” papieża, możemy dojść do wniosku, że zarówno nad Wisłą, jak i w innych miejscach świata, człowiek jest drogą Kościoła, dopóki nie jest ofiarą księdza – za to sprawca jest drogą Kościoła, bo jest duchownym i jego urzędnikiem. Z tej drogi już dawno temu zszedł Jezus w poszukiwaniu owiec poranionych i zostawionych przez Kościół, i nie zmieni tego żadna deklaracja Episkopatu. Jeszcze wróci, żeby zająć się sprawcami przebranymi za pasterzy, którzy działają jak hieny – bo wilki nie mają w sobie takiej perwersji.

© P

GDZIE MY JESTEŚMY

MARTA TITANIEC,
FUNDACJA ŚW. JÓZEFA:

Gdy temat molestowania stał się głośny, chciałam odejść. Pomyślałam: od dawna wierzę Bogu i Kościół ziemski jest dla mnie przeszkodą. Zostałam, bo tylko będąc w Kościele, mogę coś w nim zmienić.

ANNA GOC, MARCIN ŻYŁA: „Ten film przyczyni się do jeszcze surowszego potępienia przestępstw pedofilii” – mówił w maju 2019 r., po premierze pierwszego dokumentu braci Sekielskich „Tylko nie mów nikomu”, przewodniczący Episkopatu abp Stanisław Gądecki. Coś się zmieniło po roku?

MARTA TITANIEC: Jesienią 2019 r. pojawił się pomysł założenia Fundacji św. Józefa. W styczniu fundację zarejestrowano. Ma ona, we współpracy z diecezjami, pomagać osobom wykorzystanym seksualnie przez księży.

Kiedy się Pani dowiedziała, że stanie na jej czele?

Pod koniec 2019 r. Prymas Wojciech Polak chciał, żeby wspólnie z księdzem fundację poprowadziła osoba świecka, najlepiej kobieta. Zaproponował mnie.

Jak zareagowali biskupi?

Wydaje mi się, że to był szok dla polskiego Kościoła: świecka kobieta na czele



→ fundacji powołanej przez Konferencję Episkopatu Polski? Miałam już co prawda doświadczenie pracy w strukturach kościelnych, najdłuższe w Caritas Polska, ale pojawiły się głosy, że jestem utożsamiana ze środowiskami, które nie są reprezentatywne dla większości katolików.

Czyli?

Z tzw. środowiskami otwartymi. Jednak po głosowaniu w episkopacie ostatecznie zostałam wybrana. Niektórzy biskupi mi nawet gratulowali, życzyli siły.

A wśród szeregowych księży był opór?

Byli tacy, którzy dziwili się przy mnie: „Dlaczego mamy płacić za księży pedofilów?”. Wyjaśniałam, że to nie „płacenie za pedofilię”, tylko współodpowiedzialność i pomoc skrzywdzonym. Nie wiem, czy to zrozumieli, choć zwykle tak chętnie szafują argumentem, że Kościół to wspólnota.

Jak ma działać fundacja?

Zrzucają się na nią diecezje według liczby księży w każdej z nich. Rocznie po 150 zł od księdza, po 2 tys. zł od biskupa.

Gdy spotkaliśmy się w lutym, mówiła Pani o kłopotach: choć termin minął miesiąc wcześniej, niektórzy

biskupi nie wpłacili na fundację.

Jeden zasugerował, żeby Pani podeszła do każdego z zalegających z wpłatą biskupów i „miło ich o nią poprosiła”.

Stan na teraz jest taki, że wszystkie diecezje wpłaciły.

Rozmawiamy tuż po premierze

„Zabawy w chowanego”, drugiego filmu braci Sekielskich. Co pokazał?

Dla mnie ten film jest obezwładniający. Pokazuje konkretne zaniedbanie z 2016 r., kiedy po otrzymaniu zgłoszenia trzeba już było rozpocząć procedurę według przepisów kościelnych. Ale równocześnie to nie jest cała prawda o Kościele.

Dlaczego? Z perspektywy osób skrzywdzonych, i nie tylko ich, ten film to właśnie cała prawda.

Nie mogę odmówić im racji. Ale pomimo, że w filmie pokazano prawdziwe wydarzenia, nie zgadzam się, że to przypadek reprezentatywny.

Wielu delegatów traktuje swoją pracę bardzo poważnie i z troską o osoby pokrzywdzone. Sami się zastanawiają, jak dotrzeć do tych, którzy jeszcze się nie zgłosili, do tych, którzy potrzebują, a odmawiają pomocy, jak wesprzeć rodziny pokrzywdzonych. Wiele diecezji płaci za terapię, są nawet takie, które finansują ofiarom prawników.

Nie wydaje się Pani okrutne powiedzieć osobie wykorzystywanej przez księdza, by zadzwoniła do innego księdza, a potem spotkała się z nim i w obecności jeszcze jednego księdza opowiedziała, co się stało? Bo to dziś Kościół oferuje osobom pokrzywdzonym.

Rzeczywiście, dzisiaj, poza jedną kobietą w Krakowie, delegatami są tylko księża. To słaby punkt w systemie zgłaszania.

Nie tyle słaby, co dla wielu osób wykorzystanych przez księdza uniemożliwiający zgłoszenie sprawy.

Sami delegaci już to widzą. Wielu mówi, że potrzeba osób świeckich, i stara się o to na poziomie diecezji.

Co na to biskupi?

To kompetencje delegatów. Jeśli zaczynają o to zabiegać, oznacza, że mogą mieć przyzwolenie biskupów.

Uczestniczyła Pani kiedyś w przesłuchaniu, które zostało zorganizowane przez delegata?

Tak, jako osoba wspierająca wykorzystaną kobietę.

Było bardzo dużo emocji, potrzebowała mnie. Nie wyobrażam sobie, gdybym sama miała składać takie zeznanie wyłącznie w obecności mężczyzn, w tym



**PO STRONIE
OFIAR**

**O wykorzystywaniu seksualnym nieletnich,
o zмовie milczenia i innych grzechach
polskiego Kościoła
piszemy konsekwentnie od lat.**

**Wybór najważniejszych tekstów „TP”
z ostatniego dwudziestolecia na temat,
który wstrząsa dziś Polską,
w bezpłatnym internetowym
wydaniu specjalnym.**

Czytaj na:

TygodnikPowszechny.pl/postronieofiar

księży. Również z tego wyrosła Inicjatywa „Zranieni w Kościele”.

Ale to inicjatywa świeckich katolików, a nie Kościoła hierarchicznego.

Tak, telefony odbierają tylko świeccy, przede wszystkim kobiety. Oczywiście nie zastępuje to samego zgłoszenia, ale osoba pokrzywdzona może liczyć na towarzyszenie takie, jakiego potrzebuje w zgłaszaniu.

Jeszcze raz: czy Pani zdaniem księża są właściwymi osobami, by przyjmować zgłoszenia ofiar innych księży?

Bycie księdzem nie wyklucza właściwego przyjęcia osoby pokrzywdzonej i wysłuchania. Ale chodzi o to, by takie osoby miały wybór wśród świeckich, w tym kobiet. Mam sygnały od pokrzywdzonych, że zostały dobrze przyjęte przez księdza, ale samo to, że nie mają wyboru, jest słabym punktem. Trzeba to zmienić.

Z 30 rozmów, które odbyłam z koordynatorami pracującymi w diecezjach, tylko jedna toczyła się wokół pretensji, po co ta fundacja w ogóle powstała. Przewodzi diecezja krakowska. Ma delegatkę, kobietę, do której mogą zadzwonić ofiary. Tu powstała też pierwsza w Polsce grupa samopomocowa, która łączy pokrzywdzonych z osobami wrażliwymi na ten temat.

Kiedy kilka miesięcy temu ujawniono sprawę bp. Jan Szkodonia, pierwszą reakcją abp. Marka Jędraszewskiego były słowa: „To absolutnie niepewne”. A na stronie krakowskiej kurii zamieszczono komunikat ze zdaniem: „biskup opuścił teren archidiecezji”.

Dla mnie problemem nie jest to, że opuścił diecezję. Kiedy jest zgłoszenie, księdza odsuwa się od posługi. Analogicznie zastosowano to wobec biskupa. To, co mnie uderzyło, to suchy ton komunikatu i brak perspektywy osoby, która zgłosiła krzywdę.

A co się zmienia z perspektywy osoby, która chce zgłosić sprawę w diecezji? Ona o wpłatach na fundację nie musi wiedzieć.

Mam świadomość, że może nie tak szybko, jak byśmy wszyscy chcieli, ale się zmienia.

Telefon zaufania działa anonimowo, ale dzwoniący czasami podają nazwiska sprawców.

600 przypadków,
o których mówili biskupi,
to wierzchołek góry lodowej.

Ale jak konkretnie?

Koordynatorzy pytają mnie, jak mogą pomóc. Czasem dzwonią do rodzin ofiar, próbują te rodziny odwiedzać. Zastanawiam się: skoro dzisiaj gros skrzywdzonych nie chce pomocy finansowej od Kościoła, czy to znaczy, że koordynatorzy źle z nimi rozmawiają? A może w systemie jest coś złego? Dlatego teraz zadajemy sobie pytanie, jak trafić, by przyjęli od nas pomoc? Jak odbudować zaufanie?

Na stronie fundacji jest lista koordynatorów. Niektórzy z nich, poza przyjmowaniem zgłoszeń ofiar, pełnią funkcję kanclerzy albo notariuszy kurii, jest nawet rzecznik prasowy. Co w tym dziwnego, że ofiary nie chcą do nich dzwonić? Nie ma tu konfliktu interesów?

Samo łączenie funkcji nie sprawia automatycznie, że jest konflikt. Ja nie widzę w tym nic złego.

Spytamy jeszcze raz: czy nie wydaje się Pani okrutne, że ofiara księdza musi to zgłosić rzecznikowi prasowemu kurii?

Jeżeli coś ma się zmienić w podejściu do osób pokrzywdzonych, to nie może chodzić tylko o osoby od kontaktów z nimi, ale też o tych, którzy mają wpływ na prace kurii. Spotkania z osobami pokrzywdzonymi uwrażliwiają, jest to więc szansa na to, że szybciej się zmienimy.

To brzmi tak: uczymy się, choć to nauka na otwartych ranach. Jedną z bohaterek reportażu, który publikowaliśmy w „Tygodniku”, prosząc o pomoc psychologiczną otrzymała ofertę skorzystania z terapii prowadzonej przez księdza.

Zgoda, nie powinno tak być. I z tego, co słyszę, dzisiaj osoby same wybierają sobie

terapeutów. Delegatów i koordynatorów diecezjalnych pytam, ile jest zgłoszeń, na jakim są etapie, jaką pomoc oferuje diecezja i jakiej oni oczekują od fundacji. Jest duża potrzeba szkoleń. Po spotkaniu z księżmi i świeckimi katechetami ktoś powiedział, że dopiero teraz przypomina sobie sytuację, kiedy dziecko chyba starało mu się powiedzieć, że jest molestowane, ale on nie zareagował, bo nie zdawał sobie z tego sprawy. Oni stykają się z takimi historiami, ale nie potrafią ich odczytać.

Czują, że nie są gotowi na pracę z ofiarami?

To nie kwestia czucia, tylko kompetencji i profesjonalnego przygotowania, które trzeba aktualizować i poszerzać na wszystkich, którzy w różny sposób angażują się w Kościół.

Po rozmowach z koordynatorami wiem, że poziom przygotowania w diecezjach jest nierówny. Stąd jednym z głównych zadań fundacji jest wspieranie działań Centrum Ochrony Dziecka. Przeszkoliło ono do tej pory ok. 6 tys. osób, pracując ze świeckimi ekspertami, a także m.in. z Fundacją Dajemy Dzieciom Siłę.

Rok temu o. Adam Żak, kierujący COD, mówił „Tygodnikowi”, że mimo wielu starań, także świeckich terapeutów, trafia na opór ze strony niektórych biskupów.

Kiedy siedem lat temu Episkopat powoływał o. Żaka na koordynatora ds. ochrony dzieci i młodzieży, nie przyznał mu pieniędzy. COD zrobiło niesamowitą robotę, dzięki niemu Fundacja św. Józefa nie zaczyna od zera. Chce wspierać działania, które są prowadzone w polskim Kościele od kilku lat. I ma kościelne pieniądze wpłacone przez wszystkie diecezje. To, że zostały wpłacone, to znak, że coś się zmienia.

Sprawcami są niemal wyłącznie mężczyźni. To czemu jest opór przed świeckimi terapeutkami?

Widzę ten opór, ale zmiana podejścia to proces. Jeśli Kościół tworzy system, to naturalnie składa się on z księży.

Naturalnie? Kościół to nie tylko duchowieństwo.

Dziś widzimy, że konieczna jest też obecność świeckich, w tym kobiet. Postrzegam to jako naukę wrażliwości, o którą jako świecka się dopominam. ➔

→ **Wróćmy do pytania: co się zmieniło w ostatnim roku w Kościele, jeśli chodzi o sprawy związane z pedofilią?**

Skrzywdzeni zaczynają mówić. To konkretni ludzie, widzimy ich twarze.

Ma Pani wgląd w archiwum kościelne jako osoba reprezentująca i Kościół, i ofiary?

Nie. Bo na obecnym etapie nie jest mi to potrzebne.

Dlaczego?

Fundacja św. Józefa zajmuje się bezpośrednią pomocą pokrzywdzonym. Opłaca terapie, finansuje szkolenia tym, którzy im pomagają. Jest biuro delegata ds. ochrony dzieci i młodzieży, które koordynuje prace. Jeśli wyniki będą mi potrzebne, poproszę o nie.

Gdyby Pani potrzebowała, biskupi udostępniliby Pani archiwum?

Myślę, że tak.

Była Pani jedną z osób świeckich, które zainicjowały akcję „Zranieni w Kościele”. Dyżurowała Pani przy telefonie zaufania. Do tej pory zadzwoniło ponad sto osób. Zwykle takich, które nie zgłaszały sprawy w kurii, więc nie ma ich w statystykach. Biskupi muszą zdawać sobie sprawę, że dane, które przedstawili, to ledwie część przypadków.

Telefon działa anonimowo, ale dzwoniący czasami podają nazwiska sprawców. Te 600 przypadków, o których mówili biskupi, to wierzchołek góry lodowej. Oni o tym wiedzą – zostało to nawet powiedziane na konferencji w marcu 2019 r. Arcybiskup Polak, który z ramienia KEP jest delegatem ds. ochrony dzieci i młodzieży, zamówił pogłębioną analizę tych danych w Instytucie Statystyki Kościoła Katolickiego.

Dlaczego ma się nimi zająć instytucja kościelna? Cemu biskupi nie zlecają analizy na zewnątrz, jak zrobił to niemiecki episkopat?

Nie widzę zagrożenia, że dane będą analizowane przez ISKK. Nie sądzę, żeby zostały tam zmanipulowane.

Nie chodzi o manipulację, lecz o audyt. O dopuszczenie świeckich ekspertów.



PAWEŁ KĘSKA

MARTA TITANIEC jest członkinią Fundacji św. Józefa, współinicjatorką Inicjatywy „Zranieni w Kościele”. Od wielu lat zajmuje się pomocą humanitarną na Bliskim Wschodzie, Ukrainie, Białorusi, w Azji i Afryce. W latach 2010-18 kierowniczka działu projektów zagranicznych w Caritas Polska. Członkini zarządu Klubu Inteligencji Katolickiej, prezeska Fundacji Most Solidarności, sekretarz generalna Polskiej Rady Chrześcijan i Żydów, członkini Zespołu Laboratorium „Więzi” i Rady Programowej Fundacji Krzyżowa dla Porozumienia Europejskiego.

To, że kwerendą zajmują się wyłącznie ludzie Kościoła, może być zagrożeniem, ale nie musi. Wiem, kto się tym zajmuje. Poza tym w ISKK pracują też świeccy socjolodzy.

Ale dane nie wychodzą na zewnątrz. Wygląda to tak, jakby biskupi ufali tylko swoim ludziom.

Nie do końca podzielam takie przekonanie. Rok temu zaprezentowano dane, które zebrano w polskim Kościele po raz pierwszy. Niedawno zaczęły się pogłębione badania nad tymi ankietami. Posłuży to wszystkim. ISKK jest najstarszym niezależnym ośrodkiem naukowym prowadzącym badania nad religijnością.

Nie jest niezależny, bo jest kościelny. W Radzie Naukowej zasiadają zarówno eksperci świeccy, jak i naukowcy-księża.

Czy jest w Kościele pomysł na to, jak przygotować pełniejszy raport?

Jestem przekonana, że takie badania będą kontynuowane, bo dotychczasowa kwerenda kończy się w 2018 r. Z samego telefonu zaufania wiemy, że poprzedni rok przyniósł wiele nowych zgłoszeń.

I co się z nimi dzieje?

Jak wszystkie inne dokumenty, są gromadzone przez delegatów.

Jeśli do któregoś z kilkudziesięciu delegatów – pracujących w każdej diecezji i zgromadzeniu zakonnym – wpływa nowe zgłoszenie, zostaje Pani o tym powiadomiona?

Nie, bo zgłoszenia dokonuje się w miejscu dokonania czynu i nie ma potrzeby informowania fundacji. Natomiast delegaci kontaktują się ze mną wtedy, gdy skrzywdzeni potrzebują pomocy finansowej – na prawnika lub terapeutę.

Jak często to się dzieje?

Teraz mamy ponad 30 osób, którym diecezje płacą za pomoc prawną albo terapię. Myślę jednak, że po filmie „Zabawa w chowanego” pokrzywdzeni mogą mieć opór przed szukaniem pomocy w Kościele.

Dlaczego?

Bo mogą się bać, że nie zostaną wysłuchani. Po filmie uświadomiłam sobie natomiast, że powinnam sama ich szukać. Ja, przedstawicielka fundacji, czyli biskupów, osoba świecka, chcę do nich wychodzić.

Czy biskupi proszą Fundację św. Józefa o dane? Przekazujecie im cykliczne raporty?

Na razie nie, bo działamy od niedawna i dopiero wypracowujemy formy działania. Oczywiście każdy przygotowany raport będzie przekazywany KEP, która jest fundatorem.

Biskupi zwracają się do fundacji z jakimikolwiek pytaniami?

Mam regularny kontakt z prymasem, który jest delegatem KEP. On bierze na siebie kontakt z biskupami.

Delegat ds. ochrony dzieci i młodzieży podlega w każdej diecezji biskupowi. W praktyce to od niego wszystko zależy. Czy odbywa Pani z biskupami regularne spotkania, podczas których rozmawiacie o problemie pedofilii?

Moim operacyjnym kontaktem są delegaci i koordynatorzy, którzy często pełnią te dwie funkcje jednocześnie. W niektórych spotkaniach uczestniczyli biskupi, niekiedy koordynatorzy swoje odpowiedzi wcześniej konsultowali z biskupami.

Barbara Smolińska z Inicjatywy „Zranieni w Kościele” opowiadała w rozmowie z „Tygodnikiem”, jak bardzo pomógłby apel biskupów, aby księży rozwiesili plakaty z numerami telefonów we wszystkich kościołach. Żaden biskup dotąd tego nie zrobił.

Kilka dni temu plakaty zostały rozesłane do wszystkich diecezji z prośbą o rozwieszenie i z listem prymasa jako delegata. Druk plakatów i wysyłkę sfinansowała fundacja.

Czy to, co Pani robi, nie zmienia Pani podejścia do biskupów?

Był czas, gdy chciałam odejść z Kościoła. Zaczęło to we mnie kielkować pod koniec 2018 r., kiedy temat wykorzystania stał się głośny. Pomyślałam: od dawna wierzę Bogu i Kościół ziemski jest dla mnie przeszkodą. Zostałam, wtedy zaangażowałam się w powstanie Inicjatywy „Zranieni w Kościele”, bo tylko będąc w Kościele, mogę coś w nim zmienić.

Dobrze by było, gdyby każdy proboszcz powiedział na kazaniu:

przyjdźcie do centrum pomocy. Przyjdźcie i powiedzcie o osobach, o których wiecie, że zostały skrzywdzone.

Fundację św. Józefa potraktowałam jak zaproszenie, by jednak zostać. Nie chcę tylko krytykować, chcę współtworzyć zmianę. A żeby to robić, trzeba mieć wpływ.

Ale ma go Pani?

Jeszcze trudno mi powiedzieć, to dopiero początek. Chyba jest tak, że ciągle mam nadzieję. Tischner powiedział, że jak jest nadzieja, to rodzi się droga, i teraz, gdy pracuję w fundacji, odpowiedziałam na pytanie: tak, chcę być w Kościele.

To możliwe?

Dla mnie to część relacji z Bogiem. Uwielbiam zdanie z Izajasza: „Chodźcie i spór ze Mną wiedźcie! – mówi Pan”. To mnie konstytuuje. Siedzenie w Kościele

nie polega na jego uzdrawianiu, na poczuć misji, chodzi o coś innego. Jestem tu ze względu na Niego. To nie jest rzeczywistość nadprzyrodzona, tylko konkretna relacja. Jestem przekonana, że Bóg też przemawia do mnie przez ludzi, i mogę powiedzieć, że jestem pobłogosławiona przez spotkania z nimi. Bardzo dużo mi dają.

Dlatego też judaizm jest dla mnie bliższy, bo on uziemia człowieka. Nie człowiek dla szabatu, tylko szabaty dla człowieka. Tu jest dotykanie potrzeb człowieka, a nie jakieś dogmaty, których mój katecheta nie był w stanie przełożyć na życie.

Jakie są najbliższe plany fundacji?

Nazywam to „odwróceniem systemu”. Dzisiaj to jest jeszcze wybór pomiędzy delegatem a duszpasterzem, obaj to księży. Prawie wszyscy, którzy mieli do nich przyjść, prawdopodobnie już przyszli. Wiemy, że ofiar jest dużo więcej, i musimy zrobić wszystko, by zechciały przyjść.

Teraz zależy nam na tym, by tacy ludzie zobaczyli, że coś jednak się zmieniło. Dobrze by było, gdyby każdy proboszcz powiedział na kazaniu: przyjdźcie, jest taki punkt, nie na plebani, nie w kurii, tylko w centrum pomocy. Przyjdźcie i powiedzcie o osobach, o których wiecie, że zostały skrzywdzone. Tu i tu, w takich godzinach. To jest właśnie odwrócenie systemu. Szukanie ludzi, a nie czekanie, aż przyjdą.

©© Rozmawiali ANNA GOC I MARCIN ŻYŁA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rabij,
Mariusz Sepiolo, Andrzej Stankiewicz,
Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik),
Marcin Żyła
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda,
Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka,
Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdań, Sylwia Frołow,
Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne:
Maja Kuczmńska (kierownik),
Anna Dziurdzińska, Marta Filipiuk-Michniewicz,
Monika Ochędowska, Mateusz Gawron,
Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz,
Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia,
Jan Kłata, Stanisław Mancewicz,
Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Eliza Kačka, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucy, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocun, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Ślawek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Świątek, Jacek Taran, Joachim Trenkner

Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczmńska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków,
ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11,
redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70,
reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83,
prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”



Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZIA NA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

PAWEŁ

Śpiewak: Narodziny cywilizacji



„I ODSZEDŁ KAIN SPRZED OBLICZA PANA, i zamieszkał w ziemi Nod, na wschód od Edenu. I obcował Kain z żoną swoją, a ta poczęła i urodziła Henocha (Enocha). Potem zbudował miasto i nazwał je imieniem syna swego Henocha”. Nie znajdziemy na

współczesnej mapie ziemi Nod. Jest to, jak to się najczęściej tłumaczy, ziemia wędrowców znajdująca się poza obliczem Pana. Jest Bogu obca i wroga. Pierwsze miasto biblijne (*ha'ir* – oznacza po hebrajsku „miasto”) rymuje się z imieniem syna Enocha Irad. Irad z kolei wiąże się z nazwą pierwszego miasta w Mezopotamii, Eridu. Dlaczego miasto, po którym nie został najmniejszy ślad, jest obecne w historii boskiej?

Myśliciele żydowski wyciągają z tego radykalne wnioski. Ludzie modlitwy i posłuszeństwa żyją życiem prostym, buntownicy wobec Boga – szukają siły i sławy w mieście. Dedykowali je własnej pamięci, sądząc, że pozostaną tam na zawsze. W midraszach właśnie ten wątek jest rozwijany. Potomkowie Kaina pragnęli tam mieszkać przez tysiąclecia, ale ich domy i miasta zamieniały się rychło w grobowce. Pycha Kaina i Enocha oraz kolejnych pokoleń zostanie ukarana.

Z pewnością miasto z murami obronnymi miało dawać poczucie bezpieczeństwa Kainowi, który – mimo swego piętna – był zewsząd zagrożony. Odpowiedzią na strach przed nagłą śmiercią, o czym chętnie pisał w XVII wieku Thomas Hobbes, były wieże strażnicze i mury. Miasto Kain poświęcił synowi, z kolei potomkowie Irada stworzyli cywilizację z muzycznymi instrumentami, narzędziami z miedzi i żelaza. Z nią pługi oraz broń. A więc na strachu przed śmiercią i bratobójstwem zrodziła się waleczna nowoczesność. Zaczął się wyścig zbrojeń. Zrodziła się z ludzi, którzy odeszli od Boga i zastąpili Go swoimi wynalazkami.

Z Biblii wiemy, że ta droga prowadziła do coraz większego moralnego chaosu. Pojawili się upadli aniołowie, którzy obcowali z ziemskimi córkami. Z tych związków zrodzili się giganci czy mocarze. Ocalał po potopie jeden i nosił imię Og. Zniknęły wszelkie zahamowania etyczne i eksperyment z ludzkością zdał się Bogu całkowicie nieudany. Wniosek z tego jeden: Kain wniósł do świata zepsucie; zaczęło się bratobójstwem, potem doszły upiorne miasta, wynalazki, rozwiązłość. Nie tędy droga. Bóg Tory zawsze wybierał pasterzy, prostotę życia otwierającą na skupienie wewnętrzne, skromność i poczucie miary.

Jakże inną drogę wybrały Ateny, nazywając słowami Arystotelesa miasto prawdziwą samowystarczalną wspólnotą powstałą dla życia szczęśliwego. Te dwie wielkie cywilizacje musiały pozostać sobie obce, a sprzeczności między nimi są teraz naszymi sprzecznościami. Cisza i skupienie pozostały w klasztorach, świątyniach, z rzadka na uniwersytetach, a zgłębienie bo-gactwa wypełniły miasta. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Wniebowzięci



WNIEBOWZIĘTY TO TEN, KTÓRY PORZUCIWSZY ten zbrukany złem padół leż, wpatrzony w Boga, w aniołów i świętych, może wreszcie powiedzieć: jestem szczęśliwy, Bóg sam wystarczy. A jednak w tym szczęściu coś zaczyna zgrzytać. A co z tymi w czyśćcu i w piekle? Co z tymi, którzy zostali na ziemi?

Na te pytania teologowie próbowali już odpowiedzieć wieki temu. Twierdzono, że święci w zachwycie kontemplują piekło i cierpiących w nim, w tym swoich najbliższych, a ich radość potężnie wprost proporcjonalnie do natężenia cierpień potępionych. Bożej sprawiedliwości musi stać się zadość i za obrazę boskiego majestatu nie może być innej kary, jak nieskończona i niewyobrażalna. Trochę inaczej uczestnicy wiecznej szczęśliwości odnosili się do pozostających na ziemi. Ci byli im przydatni. Mogli się za nich modlić, wstawiać przed Bożym tronem, wypraszać „łaski potrzebne do życia”, czyli przede wszystkim ziemską pomyślność. Dlatego bywa, że podczas chrztu, na pytanie: „O co prosicie Kościół dla waszego dziecka?”, pada odpowiedź: „O zdrowie”. Również przystępując do spowiedzi i komunii, jak też pozostałych sakramentów i sakramentaliów, chcemy sobie i innym wyjednać u Boga łaskę. Czyli co?

Zabiegając o tę łaskę, niechcący odsłaniamy motywy naszych praktyk religijnych. To znaczy brak zaufania do Boga i obawę, że On niekoniecznie chce zawsze naszego dobra. Dlatego bezpieczniej jest trzymać się od Boga z daleka, zachować uprzejmy dystans. Oczywiście nie przyznajemy się do tego nawet przed sobą. Nie bez powodu w Niedzielę Miłosierdzia Franciszek mówił o wirusie egoistycznej obojętności. Podstawą tego egoizmu jest przekonanie, że w życiu najważniejsze jest, żeby mnie, za wszelką cenę, było dobrze. Inni niech się sami martwią o siebie, mnie wystarczą moje zmartwienia. „Zaczynamy od tego – mówi Franciszek – a dochodzimy do selekcjonowania ludzi, odrzucania biednych, składania w ofierze na ołtarzu postępu tych, którzy zostają z tyłu. Obecna pandemia przypomina nam jednak, że nie ma różnic i granic między tymi, którzy cierpią. Wszyscy jesteśmy ułomni, wszyscy równi, wszyscy cenni”.

Pastor Martin Niemöller w czasie wojny napisał:

„Kiedy naziści przyszli po komunistów, milczałem, / nie byłem komunistą. / Kiedy zamknęli socjaldemokratów, milczałem, / nie byłem socjaldemokratą. / Kiedy przyszli po związkowców, nie protestowałem, / nie byłem związkowcem. / Kiedy przyszli po Żydów, milczałem, / nie byłem Żydem. / Kiedy przyszli po mnie, nie było już nikogo, kto mógłby zaprotestować”.

Zanim człowiek zatrzęśnie sobie drzwi do nieba, najpierw zamyka drzwi przed ludźmi i przed rzeczywistością, w której żyje. Zanim zobojętniejemy na niebo, obojętniejemy na ziemię. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Przełom

Stracić złudzenie,
że posiada się czas.
Wcielić siebie.

SIMONE WEIL



Wszystko, co widzisz,
szybko ulega zmianie
i wnet zniknie. I zawsze
miej w pamięci,
ilu już zmian sam byłeś
świadkiem.
Świat – to zmiana,
życie – tym,
za co je bierzesz.

MAREK AURELIUSZ



LITURGIA – ZA SPRAWĄ lektury 15. rozdziału *Dziejów Apostolskich* – przeprowadziła nas ostatnio przez najtrudniejszy przełom w życiu Kościoła w pokoleniu apostołskim. Staliśmy się świadkami pierwszego w dziejach Kościoła soboru, obradującego w Jerozolimie w roku 49. Jego tematem był stosunek Kościoła do Izraela. Jeszcze trzy lata wcześniej Kościół tworzyli wyłącznie Żydzi. Owszem, zdarzały się sytuacje wyjątkowe, jak chrzest dworzanina z Etiopii czy setnika Korneliusza w Cezarei lub misja Filipa w Samarii, ale zasadniczo Ewangelia nie wychodziła poza świat żydowski. W 46 roku Paweł i Barnaba (obydwaj Żydzi, choć z diaspyry – jeden z Tarsu, drugi z Cypru) wyruszyli na pierwszą wyprawę misyjną. W jej trakcie – w ciągu trzech burzliwych lat – zobaczyli wyraźnie, jak „Bóg otwiera poganom podwoje wiary”: powstały nowe Kościoły w greckich miastach Azji Mniejszej, gromadzące ludzi, którzy wcześniej nie mieli bladego pojęcia o Prawie Mojżesza. Czy jednak – pytano w Jerozolimie – można zostać chrześcijaninem nie zostając wcześniej żydowskim prozelitą? Nie przyjmując znaku pierwszego przymierza – obrzezania? Nie poddając się Prawu?

Paweł i Barnaba uważali, że można, i zgodnie z tym przekonaniem nauczali oraz działali. Czy oznacza to jednak, że chcieli odciąć Kościół od Izraela? I czy

po to właśnie zebrał się jerozolimski sobór, by to postanowić? Albo by ogłosić „zastąpienie” Izraela przez Kościół?

Nie. Ani nie było to celem, ani też nikt nie zrozumiał w ten sposób podjętych w Jerozolimie uchwał. By to pojąć, najlepiej sięgnąć po 11. rozdział *Pawłowego Listu do Rzymian* (napisanego niespełna dziesięć lat po zebraniu jerozolimskim). Apostoł pogan uświadamia swoich adresatów, iż są oni jak dziczki oliwne wszczępione przez Boga w drzewo oliwne, którego korzeniem jest Izrael, i każdego ostrzega: „Nie wynos się; a jeżeli się wynosisz, [pamiętaj, że] nie ty podtrzymujesz korzeń, ale korzeń ciebie!”.

W Jerozolimie nie chodziło więc o „odcięcie się od Izraela”, ale o określenie natury i sposobu wszczępienia w drzewo oliwne – Lud Boga, do tej pory składający się wyłącznie z Żydów.

To wszczępienie – tak ustalono – dokonuje się przede wszystkim przez wiarę w Jezusa Chrystusa, to znaczy przez wszczępienie w Niego – przez trwanie w życiodajnej, wiernej, przemieniającej komunii z Nim. Jezus Chrystus jest nie do pomyślenia „bez” Izraela. I my/Kościół w Nim – w takiej samej mierze – również. Tak więc nie „odcięcie”, nie „zastępstwo”, ale zakorzenienie.

A przecież czasami trudno wręcz nie zapytać, czy ów przełom, przez który Duch Święty z taką wirtuozerią i suwerennością przeprowadził Kościół na soborze w Jerozolimie, rzeczywiście się dokonał? ©

CYTANIA LITURGICZNE (24 – 31 V)

Uroczystość Wniebowstąpienia Pańskiego:
Dz 1, 1-11; Ps 47; Ef 1, 17-23; Mt 28, 16-20;
Poniedziałek: Dz 19, 1-8; Ps 68; J 16, 29-33;
Wtorek: Dz 20, 17-27; Ps 68; J 17, 1-11a;
Środa: Dz 20, 28-38; Ps 68; J 17, 11b-19;

Czwartek: Dz 22, 30; 23, 6-11; Ps 16; J 17, 20-26;
Piątek: Dz 25, 13-21; Ps 103; J 21, 15-19;
Sobota: Dz 28, 16-20. 30-31; Ps 11; J 21, 20-25;
Niedziela Zesłania Ducha Świętego: Dz 2, 1-11;
Ps 104; 1 Kor 12, 3b-7. 12-13; J 20, 19-23.

Wybrał PIOTR SIKORA

KRAJ



POLITYKA PO RESECIE

Ostatnie wydarzenia wstrząsnęły naszym systemem politycznym.
Rozhermetyzował się układ, który jeszcze w lutym
wyglądał na bardzo stabilny.

JAROSŁAW FLIS

Opole, 28 kwietnia 2020 r.



MARIUSZ PRZYGOŁA / FORUM

ZACZYNAJEMY OD NOWA. Z POZORU SPORO rzeczy wygląda po staremu – mogą być ci sami kandydaci ze starymi podpisanymi. Życie zbliża się do normy sprzed pandemii, coraz odważniej wychodzimy na zewnątrz. Ale wiemy, że to będzie wyjście do nowej rzeczywistości. Wszystko wskazuje, że tak samo będzie w polskiej polityce.

Pierwszy reset w życiu publicznym wywołała pandemia. Drugi reset zdarzył się dlatego, że zaczęła się gra o majowe wybory. Trzeci reset jest rezultatem jej wyniku: przegranej Jarosława Kaczyńskiego. Paradoksalnie nieprzeprowadzenie wyborów było i tak dla niego mniej bole-

snym rozwiązaniem niż zderzenie jego planów z rzeczywistością – wybory rozpoczęte, lecz niedokończone na skutek niewyobrażalnego chaosu.

Zrzucanie winy za swoje niepowodzenie na sabotaż opozycji i opór samorządów jest przyznaniem się do porażki. Od początku PiS wysyłał przecież komunikat: zrobimy to na przekór wam, nie mamy o czym rozmawiać, nie bierzemy jeńców. Mało jest bardziej żenujących obrazków niż przegrany bezwzględny gracz narzekający na zbyt małą uległość przeciwnika.

Procedury i realia

Gdzieś na dalszym planie toczy się gra o rozliczenie tego, co się dotychczas działo – tyle że można będzie do niej wrócić dopiero po rozstrzygnięciu wyborów. Pewnie trudno, żeby opozycja, która odniosła pierwszy od dawna sukces, już teraz odmawiała sobie tej przyjemności. Za nami seria przypadków łamania prawa i procedur na niespotykaną wcześniej skalę. Czy jednak nacisk na rozliczenie nieczystych chwytów pomaga w o wiele ważniejszej grze o wybory? Nawet jeśli opinia publiczna popierała opozycję w sprawie majowego terminu, to nie znaczy, że teraz będzie chciała rozliczać winnych. Ludzie nie chcieli tych wyborów, bo mają inne problemy na głowie, do których teraz mogą wrócić. Można powiedzieć: zasłużyliście na czerwonej kartce, ale mecz już się skończył – waszą porażką. Czy kogoś się zdyskwalifikuje na dłużej, to się okaże po finale.

Po drodze czeka nas jeszcze gra o sposób przeprowadzenia nadchodzących wyborów. Ona akurat może okazać się najmniej emocjonująca. Koniec czerwca jest terminem dla wszystkich do przyjęcia. Rozwiązanie znalezione przez Państwową Komisję Wyborczą (bez stwierdzenia nieważności przez Sąd Najwyższy) przeszło jednogłośnie, także głosami ludzi z opozycji. Jest też na rękę partii rządzącej. W dziurawym prawie znalazł się wytrych akceptowany przez wszystkich.

Na niuanse prawne trzeba spojrzeć z perspektywy obywatela, zwłaszcza jeśli chodzi o uznanie już zebranych i złożonych w marcu podpisów. Przypomina to sytuację, gdy obywatel składa pismo do urzędu, a ono nie zostaje rozpatrzone w terminie – czy obywatel ma je napisać

jeszcze raz? Prawo jest od rozwiązywania problemów, a nie ich tworzenia. Powinniśmy więc się razem zastanowić, jak poradzić sobie z problemem, którego prawo nie przewidziało – zamiast uznać, że nic się nie da zrobić, skoro prawo nie daje narzędzi. W takim przypadku lepiej stworzyć z tego, co mamy, jakiś zgrabny wi-chajster prawny.

Termin „wybory hybrydowe” to nazwa handlowa użyta po to, by PiS nie było przykro, że stosujemy *de facto* rozwiązanie, które PO przyjęła za swoich rządów i zostało zastosowane w wyborach prezydenckich 2015 r. Jakież różnice, owszem, są. Nie da się obecnie potwierdzać osobiście odbioru pakietów wyborczych, co było dawniej ważnym elementem. To otwiera drogę do głosowania za domownikami – starczy, by jedna aktywna osoba w domu zwróciła się do gminy z prośbą o wysłanie pakietów np. za syna na studiach w Anglii.

Warto jednak chwilę się zastanowić, zanim zaczniemy komplikować procedurę, żeby się przed tym obronić. Wybory korespondencyjne jako procedura trudniejsza prowadzą do zwiększenia liczby głosów nieważnych. Przy dużym zainteresowaniu takich głosów będzie sporo i pewnie tym więcej, im bardziej skomplikujemy procedurę. Stąd już blisko do kolejnego kryzysu, podobnego do tego po wyborach samorządowych 2014 r. Byłoby więc dobrze, żeby gra o reguły zakończyła się polubownie. Lepiej chyba spuścić na problem zasłonę milczenia, z cichą nadzieją, że zjawisko nie okaże się masowe i nie będzie faworyzować żadnej ze stron. Może akcja „zamów babci pakiet” pozostanie marginesem.

Nie wiemy, czy nasz system będzie przygotowany na wzmożone zainteresowanie głosowaniem korespondencyjnym, zwłaszcza w dużych miastach. Przed pięć laty rekordzistą był Kraków i oddano w nim... 538 głosów korespondencyjnych – a co się stanie, jak ich będzie 50 tysięcy? W odróżnieniu od poprzedniej ustawy, przepychanej kolanem i pełnej niedoręczności, wracamy w stare koleiny. Wiemy, że pandemia może wystawić na próbę stare procedury, lecz przy zgodnej współpracy PKW i samorządów można szukać rozwiązania problemów. Tak właśnie dotąd doskonalili się proces wyborczy. Obywatele i urzędnicy już nie są pod taką presją obaw jak dwa miesiące temu, łatwiej więc będzie wszystko →

→ przemyśleć w ciągu najbliższych kilku tygodni.

Gra o zwycięstwo

Niestety, minione miesiące zniszczyły do reszty zaufanie stron sporu do siebie. Cały czas trzeba uważać na dopiski drobnym druczkiem czynione w ostatniej chwili – ale nie widać interesów, które mogłyby jakoś dzielić strony. Jedyny problem w miarę czytelny – choć niejednoznaczny – to sprawa rejestracji nowych kandydatów. Co przenosi nas do najważniejszej z czterech gier – o zwycięstwo w wyborach.

Trudno przewidzieć, jak ułożą się sondaże w ciągu najbliższych tygodni, ale rozhermetyzował się układ, który jeszcze w lutym wyglądał na bardzo stabilny: elektorat każdej partii głośnie na swojego kandydata, a krążący od wyborów do wyborów elektorat TUP – Tymczasowego Ugrupowania Protestu – w liczbie około 10 proc. skupia Szymon Hołownia.

Ostatnie wydarzenia wstrząsnęły systemem, część wyborców deklarowała w sondażach brak chęci udziału w głosowaniu, więc ich kandydaci spadali w dół. Różne okoliczności doprowadziły do roztrwonienia wyjściowego kapitału przez Małgorzatę Kidawę-Błońską. Decyzja o jej rezygnacji stanowi pierwszy akcent drugiej połowy tej niezwyklej kampanii – lecz nie jest to wcale rezygnacja faworyta, kandydatka PO nigdy nim nie była. Faworytem był i pozostaje urzędujący prezydent. Pandemia zmieniła jednak także jego sytuację.

Początkowo próbował grać rolę przywódcy narodu, nie tylko zatroskanego, lecz i aktywnie walczącego z zagrożeniem; doglądał nawet produkcji płynu odkażającego... Szybko się okazało, że nikt takich zabiegów nie traktuje poważnie – może poza opozycją, którą to bardzo kłuło w oczy. Decydentami podczas walki z pandemią okazali się minister Szumowski z premierem Morawieckim, prezydentowi pozostały trzeciorzędne aktywności. Andrzej Duda okazał się także statystą w rozgrywce o termin wyborów. Kluczowe porozumienie Kaczyńskiego i Gowina było negocjowane dokładnie wtedy, kiedy on przemawiał w studiu: zaden z Jarosławów tego nie oglądał, bo mieli ważniejsze sprawy do omówienia. Prezydent podpisał też ustawę o wyborach korespondencyjnych, o której było wiadomo, że w ciągu kilku dni idzie do

Czy wiszące dość gęsto na płotach Polski lokalnej plakaty Kosiniaka-Kamysza mogłyby zostać zastąpione plakatami Hołowni?

Bo plakaty Dudy przed drugą turą będą tam wisieć dalej.

kosza i służy tylko jako nagroda pocieszenia dla Kaczyńskiego po kompletnej porażce jego szalonej szarży.

PiS ma zatem taki problem, jak Komorowski w 2015 r., kiedy też się wydawało, że wybory wygra się z rozpędu. Nie ma planu B: kim miałby się stać teraz Duda, żeby zasłużyć na reelekcję? Cała sytuacja odebrała mu jeszcze więcej powagi niż „Ucho Prezesa”. Okazało się, że ważne sprawy rozstrzygają się na Nowogrodzkiej, a on jest tylko showmanem w telewizji. Ostatni raperski występ byłby może atutem, gdyby to były normalne czasy. Lecz nawet jeśli Polacy mają już dość słuchania o koronawirusie, to przecież jeszcze nie znaczy, że do wyborów nie podchodzą poważnie.

Dylematy Platformy

PO jak dotąd wyszła na Małgorzacie Kidawie-Błońskiej niewiele lepiej niż lewica na Magdalenie Ogórek – i to jedyne pocieszenie dla PiS. Była ona najwygodniejszym przeciwnikiem, ucieleśniała wszystkie słabości głównej siły opozycji. Pandemia zaciążyła też nad układem sił w PO, gdzie kilka konkurencyjnych ośrodków nie koordynuje do końca swoich ruchów. Grodzki, Budka, sztab Kidawy czy prezydenci wielkich miast – to różne spojrzenia, różne interesy i różne przekazy. To także przyczyniło się do sondażowego zjazdu kandydatki.

Kampanijny reset pozwolił PO na podmiannę kandydatury, choć wiąże się to zawsze ze sporym ryzykiem. Nowy kandydat może się już nie przebić, potęgując tylko problemy. Po stronie PO pojawił się jednak argument, że nie można tych wyborów odpuścić – bo Unia Wolności w 2000 r. nie wystawiła kandydata i zniknęła ze sceny. Lecz przecież w tych samych wyborach Akcja Wyborcza So-

lidarność kandydata wystawiła, tyle że marne – i też odeszła w niebyt.

PO nie jest bezsilna jak dawniej UW albo AWS – jest wielokrotnie mocniejsza. Ma marszałka Senatu, władzę w połowie województw i prezydentów większości wielkich miast. Przeżyła już kilka inicjatyw, które chciały ją zastąpić, lecz dziś są na marginesie – Ruch Palikota, Nowoczesna czy Wiosna. To solidna baza przed przyszłymi wyborami, tyle że sejmowymi. Sytuację PO porównywać można z austriackimi chadekami – ich kandydat zajął piąte miejsce w wyborach prezydenckich w 2016 r. dostając marne 11 proc., ale to nie przeszkodziło, by ich nowy młody lider, Sebastian Kurz, wkrótce przejął inicjatywę i odbił dla socjaldemokratów urząd kanclerski.

Na razie jednak konkurentami nowego kandydata PO będą w pierwszej kolejności ci, którzy skorzystali na problemach Kidawy-Błońskiej: Szymon Hołownia i Władysław Kosiniak-Kamysz. W porównaniu z nimi Rafał Trzaskowski nie jest *Wunderwaffe*, choć to bez wątpienia najmocniejszy z kandydatów, jakich mogła teraz wystawić PO. Jest uznawany przez partię za swojego, ma na koncie jednoznaczne zwycięstwo przed niecałymi dwoma laty. Jednocześnie nie jest symbolem rządów PO, tak jak to byłoby w przypadku Tuska czy Sikorskiego.

Nie znaczy to jednak, że nie ma słabości – on też wpisuje się w szereg negatywnych stereotypów Platformy. Jest – podobnie jak Kidawa-Błońska – bardzo warszawski. W walce o stołeczny ratusz sięgał po retorykę mocno postępową, co nie ułatwia przeciągania na swoją stronę wyborców centrum. Ma szansę na zmobilizowanie elektoratu zmiany, lecz cały czas nie wiadomo, jak ustawi sobie relacje z dwoma „czarnymi końmi” ostatnich tygodni.

Tym bardziej że teoretycznie istniała też opcja wycofania się kandydatki bez zgłaszania zmiennika, bo jest dwójka kandydatów z innych partii, którzy mają z punktu widzenia Platformy spore atuty. Po pierwsze Władysław Kosiniak-Kamysz, który na wiejskich płotach w Polsce toczy wyrównany pojedynek o poparcie elektoratu z Dudą. Jego wygraną można by uznać za zwycięstwo kandydata Europejskiej Partii Ludowej, do której wszak należą zarówno PO, jak i PSL. Wtedy nawet Angela Merkel czy Kurz mogliby Platformie pogratulować (warto przypomnieć, że Kosiniak-Kamysz już

w zimie zgłaszał pomysł wspólnych praw wyborów obu tych partii, ale PO go wówczas zignorowała).

W ubiegłorocznych wyborach senackich widać było dużą lojalność wyborców w ramach tzw. bloku senackiego: wyborcy PO głosowali na kandydata z PSL i na odwrót. Wygrana Kosiniaka-Kamysza – której wykluczyć nie sposób – może za to stanowić zagrożenie nie dla Platformy, ale dla PSL, bo po prostu nie miałby go kto w Sejmie zastąpić. Wtedy najważniejszym liderem sejmowej opozycji zostałby Borys Budka.

Rezygnacja na rzecz kandydata ludowców oznaczałaby dla PO konieczność pożegnania się z nadziejami na własny triumf. Nie wydaje się to jednak tak bolesne, jeśli nagrodą byłaby porażka głównego przeciwnika. Dla PO sukces Kosiniaka-Kamysza jest przecież niewątpliwie lepszy niż sukces Dudy. Wygrana Dudy oznacza dla niej dużo większe tarapaty, niezależnie od tego, czy własny kandydat dostanie 15 czy 45 proc.

Szanse Hołowni

Okazało się, że także Szymon Hołownia radzi sobie lepiej, niż można było się spodziewać. Jego sytuacja jest podobna do sytuacji Pawła Kukiza – z tym że jest zdecydowanie poważniejszym człowiekiem. Nie może liczyć na młodzieżowy elektorat zgrywy, ale można go sobie wyobrazić w roli prezydenta. Może, jak kiedyś Kukiz, przyciągnąć osoby, które uważają, że PiS zasłużył na porażkę, ale PO nie zasłużyła na zwycięstwo. Może też rozherme-

tyzować elektorat Dudy – przejąć zawieszony umiarkowany elektorat PiS. Części wyborców odpowiada jego bezpartyjność, co ułatwia transfery.

W tej grze możliwe są jeszcze inne gambity. A co, jeśli Kosiniak-Kamysz, nie ryzykując sondażowego zwrotu po pojawieniu się nowego kandydata PO, zrezygnuje na rzecz Hołowni? Ten ostatni mógłby wtedy wziąć jeszcze większy rozpęd. Wycofanie się dwóch z trójki najmocniejszych obecnie kandydatów mogłoby się wiązać z potężnym uderzeniem w Dudę. Byłaby to deklaracja: potrzebujemy prezydenta jako arbitra, a Hołownia mógłby się do tej roli nadać.

Ważne jest to, czy za miesiąc ludzie będą czuć wiatr zmiany i nadzieję, czy się zmobilizują – wtedy nowi wyborcy mogą przechylić szalę na rzecz kandydata opozycyjnego, a Hołownia jest znacznie bardziej przeciwny Dudzie niż komukolwiek innemu, choć dużo mówi o podważeniu duopolu. Może więc odegrać taką rolę jak Andrej Kiska w 2014 r. na Słowacji, kiedy kandydujący na prezydenta premier Fico był ucieleśnieniem obozu władzy. Miał za przeciwnika kilku słabych kandydatów wyłonionych przez skłócone opozycyjne partie i właśnie takiego kandydata „spoza siły”.

Kosiniak-Kamysz i Hołownia mają bardzo podobne wyniki w sondażach dotyczących drugiej tury. W badaniach robionych przed pandemią było widać, że wyborcy ich nie odróżniają, dziś jednak nie jest oczywiste, jakie mogą być między nimi przepływy. Potencjał obydwu urosł

przez te miesiące, ale na innym nawozie. Hołownia ma niewątpliwie najbardziej skuteczną kampanię w internecie. Czy jednak aparat wyborczy Kosiniaka-Kamysza, uruchomiony przezeń w Polsce lokalnej, przestawiłby się i jego plakaty na płotach mogłyby zostać zastąpione plakatami Hołowni? Bo plakaty Dudy przed drugą turą będą tam wisieć dalej.

Dużo zależy od tego, jak by się takie wycofanie i „przekazanie pałeczki” rozegrało. Gdyby Kosiniak-Kamysz zdecydował się jednak zostać w Sejmie, gdyby zamiast być drugim Wojciechowskim, wybrał rolę Witosa, może to zaważyć na wyniku i stworzyć śmiertelne zagrożenie dla Dudy. Mógłby wystąpić na nowych plakatach obok Hołowni w roli kingmakera i gdyby Hołownia wygrał, Kosiniak-Kamysz mógłby to zdyskontować jako własny sukces. Trzaskowski zaś mógłby jedynie żałować, że podobne plakaty, tylko z nim i z Hołownią, nie wiszą na miejskich płotach.

Najciekawsze jest jednak to, czy i jak widoczny spadek epidemicznych obaw, w połączeniu z wystudzeniem politycznych emocji, rozhuśtanych przez grę o majowe wybory, przełoży się na stosunek do nadchodzących wyborów. W szczególności stosunek tej jednej trzeciej wyborców, która nie widziała dotąd życia politycznego jako nieustającego armedgedonu. Być może, antycypując ich uczucia, kandydaci będą tonować nastroje. A może tym razem nawet oni już uwierzyli, że to naprawdę gra o wszystko? © JAROSŁAW FLIS

Domowe lekcje czytania

**Literatura jest niezbędnym elementem dobrego życia.
Jak czytać, żeby lepiej myśleć i działać?**

W każdą **środę o godzinie 12.00** na facebookowym profilu „Lekcji czytania” dyrektor programowy Festiwalu Conrada **Grzegorz Jankowicz** analizuje wybrany tekst i odpowiada na Wasze pytania.

W środę 20 maja czytamy i rozmawiamy o opowiadaniu Ambrose’a Bierce’a pt. „Przy moście nad Sowim Potokiem” w przekładzie Jerzego Krzysztonia (tekst udostępniamy na facebookowym profilu „Lekcji...” dzięki uprzejmości spadkobierców tłumacza). A w **środę 27 maja** przeczytamy „Hammerklavier” Yasminy Rezy (przeł. Andrzej Krzywicki) opublikowane przez wydawnictwo Nisza.



Dzieci z tego nie będzie

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Polskie wskaźniki nowych urodzeń, nie bacząc na program 500 plus, zbliżyły nas znowu do stanu zapaści. Jeśli epidemia coś zmieni, to na gorsze.

TEN FRYWOLNO-ŻYCZENIOWY PRZEKAZ był jednym z hitów pierwszych tygodni kwarantanny: oto połączeni w pary młodzi Polacy, siłą odpawani od knajpianych stolików i innych stadnych rozrywek, zajmą się wyłącznie sobą nawzajem. A skoro tak, to być może przy okazji patriotycznie podreperują nędzne polskie wskaźniki dzietności.

W cieniu tej dość swobodnej prognozy pojawiły się nowe demograficzne statystyki. Ich ogłoszenie zbiegło się z kwietniowym apogeum zakażeń, i pewnie dlatego zostały przykryte przez inne „krzywe”. A wywrą na nasze zbiorowe życie co najmniej tak samo doniosły wpływ.

Przerwana sztafeta

Marzec przyniósł najmniej urodzeń od grudnia 2015 r., a więc zanim ruszył mający m.in. ratować demografię program 500 plus. Na świat przyszło 27 tys. dzieci – o niemal 2 tys. mniej niż w marcu roku poprzedniego. Nie lepiej wygląda bilans całego pierwszego kwartału: urodziło się w tym czasie o 3 tys. dzieci mniej. Do po-

ziomu sprzed wprowadzenia flagowego rządowego programu spadał też w marcu tzw. roczna suma krocząca urodzeń (zbiera dane za ostatnie 12 miesięcy).

Choć specjaliści radzą, by zjawiska dzietności nie oceniać wyłącznie na bazie tych liczb (wpływają na nie długofalowe procesy: np. to, że z wieku rozrodczego wychodzą powoli roczniki fali wyżu z początku lat 80.), to optymizmem nie napawają inne, dokładniejsze dane.

Dobrze już było, i to dawno. Na początku lat 90. współczynnik dzietności – pokazujący, ile dzieci rodzi statystycznie jedna kobieta w wieku rozrodczym – przekraczał jeszcze nieznacznie 2, a więc poziom potrzebny do tzw. zastępowalności pokoleń (dwójka potomków przejmie w generacyjnej sztafecie pałeczkę od dwojga rodziców). A potem było pikowanie – aż do przedziału między 1,2 a 1,45 w ostatnich dwóch dekadach.

Jeszcze bardziej niepokojąco wygląda szersze spojrzenie na polską demografię. Po pierwsze będzie nas ubywać – ONZ szacuje, że do końca stulecia populacja Polski może stopnieć o 14 mln. Po drugie będziemy się gwałtownie starzeć. „To praktycznie oznacza wymyślenie kraju na nowo” – bił na alarm jeszcze pod koniec 2019 r. Paweł Borys, szef Polskiego Funduszu Rozwoju. Polska na nowo to konieczność rewolucji w niemal każdej sferze: zdrowia, opieki, na rynku pracy czy w systemie emerytalnym.

Dzietność podczas zarazy

Jak na trendy w polskiej dzietności może wpłynąć epidemia? – Nadziei szukałabym w analogiach historycznych – mówi prof. Irena E. Kotowska, ekonomistka i demografka SGH, członkini Komitetu Nauk Demograficznych PAN. – W drugiej połowie lat 70. i w pierwszej lat 80.

liczba urodzeń rosła co prawda głównie dlatego, że było więcej kobiet w wieku rozrodczym, bo do tego wieku doszedł wyjątkowo liczny rocznik powojennego wyżu. Ale w górę, mimo tego trudnego czasu, poszła też nieznacznie dzietność, zwłaszcza w latach 1982-83 w miastach. Jedno z wyjaśnień tej zmiany głosi, że w wyjątkowo niepewnych czasach, w których niewiele od nas zależy, zwracamy się do sfery mogącej wzmocnić nasze poczucie sprawczości. Rodzina jako enklawa bezpieczeństwa w niebezpiecznym czasie.

Ale badaczka SGH przyznaje: więcej przesłanek przemawia za innym scenariuszem. – O wpływie obniżonego poczucia bezpieczeństwa na decyzje prokreacyjne myślałam już w kontekście kryzysu klimatycznego. On istnieje od dawna, ale dopiero w ostatnich latach zaczęło się o nim intensywnie mówić. Młodzi są szczególnie wrażliwi na zagrożenia dotyczące przyszłości ich i ich dzieci. Teraz nałożyły się na to lęki związane z epidemią – mówi prof. Kotowska.

Spójrzmy na krajobraz zniszczeń wokół niejednej polskiej pary dobijającej do trzydziestki bądź ją przekraczającej, posiadającej już dziecko lub dopiero planującej zostać rodzicami: niższe dochody, brak pracy albo perspektywa jej utraty, żłobki i przedszkola zamknięte przez długi czas na głucho (niektóre nadal), rodzice 60 plus wyłączeni – ze względów bezpieczeństwa – z roli dziadków, ochrona zdrowia trudno dostępna, jeśli w ogóle. A do tego medialny refren ostatnich tygodni: „nie wiemy, ile to potrwa”. Brzmi jak gotowa recepta na odłożenie ważnej życiowej decyzji na bliżej nieokreślone jutro.

Prof. Kotowska: – Boję się, że to wpłynie na zmianę aspiracji młodych lu-

TP

GRAŻYNA MAKARA Z GRAND PRESS PHOTO oraz nominacje do Nagrody im. Zygmunta Moszkowicza



Z ogromną radością informujemy, że nasza fotoreporterka (na zdjęciu) zajęła II miejsce w konkursie Grand Press Photo za zdjęcie w kategorii Środowisko.

Natomiast spośród 11 tekstów nominowanych do Nagrody im. Zygmunta Moszkowicza „Człowiek z pasją”, konkursu dla dziennikarzy poniżej 30. roku życia, aż trzy to te napisane dla „Tygodnika Powszechnego”. Nasi autorzy, którzy powalczą o nagrodę główną w wysokości 7 tys. zł, to: **Damian Nowicki** za „Głód ma twarz Jaganki”, **Mariusz Sepioto** za „Macie wszystko umieć” oraz **Agnieszka Zielińska** za „Powrót do Maroka”. Laureatów poznamy w pierwszej połowie czerwca. Wszystkim gratulujemy!

dzi. Do tej pory rozważali argumenty za i przeciw powiększeniu rodziny, ale też pytani o to, ile dzieci chcieliby mieć, deklarowali około dwójki potomstwa. To dawało nadzieję, że właściwa polityka rodzinna może wpłynąć na decyzje prokreacyjne. Teraz może się to zmienić.

Miasta na pomoc

Choć i do tej pory ten wpływ był ograniczony: ani ułatwienia w urlopach związanych z opieką nad dzieckiem i poprawa w dostępie do usług żłobkowo-przedшкоlnych za poprzedniej władzy, ani sypanie groszem za obecnej nie przyniosły trwałego efektu. Współczynnik dzietności wzrósł co prawda w 2016 i 2017 r., ale potem znów spadł. – Musimy się przyzwyczaić, że wpływ działań państwa na decyzje o posiadaniu dzieci nie będzie spektakularny. Co nie znaczy, że należy go zaniechać – radzi prof. Kotowska.

Badaczka SGH przeprowadziła niedawno przestrzenne analizy płodności. Ujawniły one, że w niektórych miastach powyżej 100 tys. mieszkańców od 2014 r. widać wyraźny wzrost. – Nie możemy już mówić o niskiej dzietności w Gdańsku, Warszawie, Poznaniu, Opolu czy Krakowie i Koszalinie, bo współczynniki są tam wyższe od 1,5 – mówi prof. Kotowska. – Moja interpretacja jest następująca: miasta, w których więcej młodych pracuje, a rodzice mogą skorzystać z rozwiązań ułatwiających łączenie pracy ze zobowiązaniami rodzinnymi, dają większe poczucie bezpieczeństwa. Widać to zresztą w statystykach dotyczących profilu rodzących kobiet: w miastach są to w dużej mierze kobiety w przedziale 30-34 z wyższym wykształceniem, a więc często pracujące.

Czy to sygnał dla państwa i samorządów, że i w mniejszych miejscowościach da się sprzyjać decyzjom o posiadaniu dzieci? Prof. Kotowska: – Gdybyśmy i tam rozbudowali infrastrukturę, być może moglibyśmy liczyć na wzrost aktywności zawodowej kobiet, a co za tym idzie, na wzrost dzietności. Epidemia, podczas której pod jednym dachem znalazły się dom, praca, przedszkole i szkoła, uczy nas doceniania usług: także edukacyjnych, zdrowotnych, opiekuńczych i wypoczynkowych. Nie liczymy, że ich rozwój zdziała cuda, ale na pewno poprawi jakość życia rodzin. I być może przynajmniej zahamuje negatywne trendy. ©©

ANDREW BRET WALLIS / GETTY IMAGES



Kasyno w każdej komórce

KRZYSZTOF STORY

To nieprawda, że mężczyźni obstawiają więcej niż kobiety. Dla każdego nałogowca stawka jest taka sama: przegrywa tyle, ile tylko może.

PIERWSZY RAZ OBSTAWIŁA, GDY MIAŁA 13 lat, ostatni – dokładnie trzy lata i trzy dni temu. Po drodze były niewinne zakłady, postępujące uzależnienie i miesiące terapii. Kradzieże, długi i myśli samobójcze. Dzisiaj jest pielęgnowanie odzyskanej normalności i ciągła uważność. Historia Uli jest świadectwem szkód, jakie hazard może wyrządzić w życiu człowieka. I tego, że, jak każde uzależnienie, może dotknąć każdego – bez względu na miejsce urodzenia, wykształcenie

i płeć. Zwłaszcza ta ostatnia cecha dla wielu definiuje „hazardzistę”. Świat kasyn, automatów i zakładów bukmacherskich jest uważany za „męski”.

– W Polsce brakuje szeroko zakrojonych badań hazardzystek – mówi dr Bernadeta Lelonek-Kuleta, psycholożka, terapeutka uzależnień. – Dane pokazują, że przewaga mężczyzn jest w tym gronie niewielka i zmniejszała się w ostatnich latach. Kobiety też łatwiej się uzależniają.



→ Ula pochodzi z małej miejscowości na Podlasiu. Zaczęła od zakładów sportowych. Liga Mistrzów, siatkówka, to co akurat leciało w telewizorze. Sama interesowała się sportem, grała w piłkę nożną, tenisa stołowego. Wielu nałogowych hazardzistów gwałtownie przechodzi od etapu niewinnych zakładów do bardzo częstego grania. To nie jest jedna z tych historii.

– Wszystko działo się stopniowo. Później pojawił się internet, zaczęłam też zarabiać własne pieniądze. Dorobiłam na wakacjach, dostałam stypendium i mogłam zagrać. Kontuzja kolana wykluczyła mnie ze sportu. Zamiast niego miałam operację za operacją. Hazard był sposobem na odreagowanie.

Odegram się

Ula wyjechała na studia do Warszawy. Nowe środowisko oznaczało nowe oczekiwania, które sama stworzyła w głowie. Sama siebie prowokowała do ekstremalnych stanów emocjonalnych. Zaczęła unikać bliskich relacji na rzecz tych powierzchownych, w których nie musiała tłumaczyć się z grania.

Pierwszą pożyczkę na grę wzięła, mając 22 lata. – Po prostu przegrałam pieniądze na czynsz. Pierwsza pożyczka jest takim szokiem w życiu gracza. Jest poczucie winy, chcesz to jak najszybciej spłacić. Ale szok szybko mija, a potem jest etap rozwoju prawdziwej patologii. Etap kolejnych długów, kradzieży. Przeszłam przez to wszystko.

Każdy hazardzista bardzo długo powtarza sobie i innym kilka kłamstw. Na pierwszym miejscu: „Zaraz się odegram”.

– Tragiczne w tym uzależnieniu jest to, że przyznanie się do braku kontroli następuje bardzo późno – mówi dr Lelonek-Kuleta. – Często po krytycznym wydarzeniu. Większość moich pacjentów mówi, że przychodzi sama, bo wie, że

musi coś z tym zrobić. Ale za tym przyściem stoi to, że żona się dowiedziała, że lokaty już nie ma albo że dom jest zastawiony. Hazardzista bardzo długo broni się przed terapią, pomocą, bo wiara w wygraną jest ogromna.

Ula pierwszy raz poszła na terapię, gdy rodzice odkryli, że ukradła ich pieniądze z lokaty. Jeszcze długo później dochodziła do realnej chęci zmiany swojego życia.

– Bezpośrednio po tamtej kradzieży nie byłam jeszcze gotowa. Dopiero po kolejnym nawrocie to wyszło ode mnie. Wtedy czułam, że albo śmierć, albo wyleczenie. To była taka determinacja, że jakby tylko terapeuci kazali mi ubierać się na czarno, tobym wszystkie ciuchy malowała farbą, bo na nowe nie było mnie stać.

Dr Lelonek-Kuleta mówi, że większość pacjentów musi dotknąć dna, by zacząć skuteczną terapię. – Ale poziom tego dna jest bardzo indywidualny. Miałam pacjenta, który grał ledwie trzy-cztery miesiące, ale miał ogromne poczucie winy, bo okradał rodzinę. Dla niego to już było dno, od którego można się odbić. Nie wolno generalizować.

– Ten schemat mocno przypomina uzależnienie od alkoholu czy narkotyków. Jakie są różnice? Brak głodu fizycznej substancji? – pytam dr Lelonek-Kuleta.

– Głód jest taki sam – odpowiada. – Słabiej go rozumiemy, bo nie ma fizycznego obiektu, substancji. Ale głód wytwarza mózg, tak samo w przypadku alkoholu, jak i emocji, które dostarcza hazard. Co do różnic, od 2013 roku, gdy patologiczny hazard został oficjalnie uznany za uzależnienie, w mechanizmach szukamy podobieństw, a nie różnic, choć na poziomie samego zjawiska one oczywiście istnieją.

ZMIANA 1. INTERNET Od czasu, gdy 13-letnia Ula postawiła pierwszy zakład za namową starszego znajomego, w świecie hazardu zaszło kilka poważnych zmian. Oczywiście gra nieco więcej osób, ale różnica nie jest dramatyczna. Z raportu CBOS: w ciągu ostatnich 12 miesięcy na pieniądze grało 37 proc. Polaków. To o trzy punkty więcej niż w 2015 r. Podobnie jest z liczbą osób uzależnionych: według szacunków podawanych przez CBOS „liczba osób cierpiących z powodu patologicznego hazardu nie przekracza 30 tysięcy”.

Zmieniły się jednak wzorce zachowań hazardzistów. Najważniejszą przyczyną

tych zmian jest pojawienie się internetu i hazardu online. – Już kilkanaście lat temu w literaturze prognozowano, że hazard w sieci będzie miał większy potencjał uzależniający – mówi dr Lelonek-Kuleta. – Te intuicje się potwierdziły.

– Mogłoby się wydawać, że hazard jest związany z relacjami, z pewnym rytuałem, pójdę do kasyna czy salonu.

– Jest, i te formy dalej istnieją. Ale kluczowymi czynnikami są dostępność i anonimowość.

Ula potwierdza te obserwacje: – Faleci często nie mają problemu, by wejść do kasyna. Ale ja miałam paranoidalny lęk, że ktoś się dowie, zobaczy mnie przez okno autobusu. Chodziłam do bud z automatami. Chyba nigdy nie byłam tam w dzień. A w internecie? Mogę grać w kapciach, piżamie. Mam potrzebę zagrać, gram.

– Jeszcze jeden aspekt: wirtualnymi pieniędzmi operujemy swobodniej – mówi dr Lelonek-Kuleta. – To też dobre wyjście dla osób nieśmiały, introwertycznych, które nie odnalazłyby się przy pokerowym stole w kasynie. A tak siadają przed komputerem i mogą oderwać się od smutków, nakarmić emocjami, które daje hazard.

Granie przez internet zyskuje na popularności. Od 2017 r., kiedy znowelizowano ustawę hazardową, jedyne legalne kasyno online w Polsce jest zarządzane przez Totalizator Sportowy. I co roku zwiększa swoje przychody. Internet udostępnił hazard także ludziom mieszkającym na wsiach i w małych miastach. Wszystkim zaś ułatwił ukrycie go przed bliskimi. – Na początku spotkania zazwyczaj pytam pacjenta: czy udało się nie grać? – mówi dr Lelonek-Kuleta. – Jeden pacjent kiedyś przyznał, że niestety nie. Jadąc na terapię, już w samochodzie obstawiał zakład na komórkę.

ZMIANA 2. MŁODZIEŻ Przeniesienie hazardu do sieci oznacza też osłabienie kontroli. Wprawdzie od noweli z 2017 r. funkcjonuje np. rejestr zakazanych (i zablokowanych na terenie Polski) domen, które oferują nielegalny hazard, ale Ministerstwo Finansów dalej szacuje, że wartość szarej strefy zakładów bukmacherskich przewyższa wartość legalnego rynku.

Nowe technologie przyniosły również swobodny dostęp do hazardu dla dzieci i młodzieży.



ŁUKASZ KWIATEK, autor

i redaktor dodatku „Wielkie Pytania o pandemię” (czytaj na s. 93-122), będzie gościem Grzegorza Chlasy w środę 20 maja o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia.

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl

– Światy gier wideo i hazardu się przybliżają – zauważa Lelonek-Kuleta. – Przykładem są zawody e-sportowe. Dostęp do nich jest swobodny, gdzieś obok podpisane są strony, na których można nielegalnie obstawiać.

Popularny staje się tzw. *skin gambling*. Wyniki gier obstawia się nie pieniędzmi, tylko za pomocą skórek, często dekoracyjnych elementów w grze (nowy kolor broni, inny mundur itp.). Skórki mogą być zupełnie bezwartościowe albo kosztować w internecie tysiące dolarów.

Młody człowiek nie zainteresowałby się kasynem. A w ten sposób traktuje to jako element gry. W grach coraz częściej pojawiają się dodatkowo płatne elementy losowe, tzw. lootboxy. Płaci się określoną sumę i w zamian gracz może wylosować coś z trzech pudełek. Zawsze się coś wygrywa, więc pytanie, czy to już hazard. Ale na pewno uczy tych samych zachowań, tych samych emocji.

ZMIANA 3. KOBIETY Dr Lelonek-Kuleta: – W ostatnich latach dostrzegamy znaczne nasilenie grania wśród kobiet. Według polskich badań przeważają mężczyźni, ale Polki stanowią już niemal 46 proc. wszystkich graczy. Z kolei granie problemowe dotyczy 9 proc. grających kobiet i ponad 21 proc. grających mężczyzn.

Ula: – Uzależniamy się dużo szybciej, jesteśmy dużo bardziej zaangażowane. Ja grałam całą sobą. Zależało mi na tym, żeby jak najszybciej znać wynik. Cały dzień mam czekać na koniec meczu? W ostatniej fazie obstawiałam, kto wygra gema w tenisie, którego właśnie rozgrywają na żywo.

O hazardzie kobiet coraz częściej się mówi. Co nie oznacza, że wcześniej nie istniał.

Ula: – Przyjaźnię się z Asią, która nie gra od 22 lat. Opowiadała, jak chodziła do kasyn 25 lat temu i wcale nie była tam jedną kobietą.

– Jakie są więc różnice?

– Tkwią w tym, co dookoła. Wiele kobiet ma syndrom matki Polki – mocno przykrywają swoją grę. Ja do dziś wpłacam czynsz dwa tygodnie za wcześniej. Żeby nie burzyć wizerunku uporządkowanej kobiety, na której można polegać.

– Wielu ludzi sądzi, że faceci grają z większym rozmachem, na większe stawki.

– Nieprawda. Nawet jeśli siedzisz w kasynie 30 godzin, to musisz ostrożnie te



Popularny staje się tzw. *skin gambling*.

Wyniki gier obstawia się
za pomocą skórek,
czyli dekoracyjnych
elementów w grze. Mogą być
zupełnie bezwartościowe
albo kosztować w internecie
tysiące dolarów.

stawki dawkować, bo zaraz skończysz grę. Ale prawda jest taka, że jeszcze nigdy nie słyszałam historii kogoś, kto rzuciłby granie bez długów, mając oszczędności na koncie. Dla każdego nałogowca stawka jest taka sama. Przegra tyle, ile może.

Dostawcy gier wyprzedzili badania i profilaktykę. Pojawiają się już pierwsze produkty skierowane specjalnie do kobiet, zarówno pod kątem designu, jak i reklamy. 6 maja Katarzyna Bonda zachęcała swoich fanów i fanki do obstawiania, czy jej najnowsza książka trafi na listę bestsellerów (później usunęła wpis).

Dr Lelonek-Kuleta: – Dla mężczyzn bardziej pociągająca jest rywalizacja, chęć pokazania się, sprawdzenia. Kobiety wybierają inne gry, oparte na czystej losowości. Częściej szukają w hazardzie regulacji emocji. Rozrywki, resetu. Ponad połowa woli grać sama.

Ula: – Ja grałam dla świata. Byłam pewna, że jak wygram, to wszystkim wszystko kupię, zabiorę rodziców na wakacje. Chciałam uszczęśliwić innych.

Dr Lelonek-Kuleta: – U mężczyzn częściej mocniej widać te zewnętrzne straty, głównie finansowe. Szkody w wymiarze psychologicznym są bardziej wyraziste u kobiet. Kobiety hazardzistki częściej się wstydzą, mają poczucie winy, oskarżają się o bycie złą partnerką i matką. A przede

wszystkim nie wiedzą, gdzie szukać pomocy.

James Bond i ja

Ula: – Byłam, pewna, że jestem jedyną grającą kobietą na ziemi. Hazardzista to jest przecież facet, James Bond, martini i kobiety wokół niego.

Ale można być kobietą i uzależnić się od hazardu. Problem w tym, że trudniej wtedy o pomoc. Oferta dla kobiet jest ograniczona.

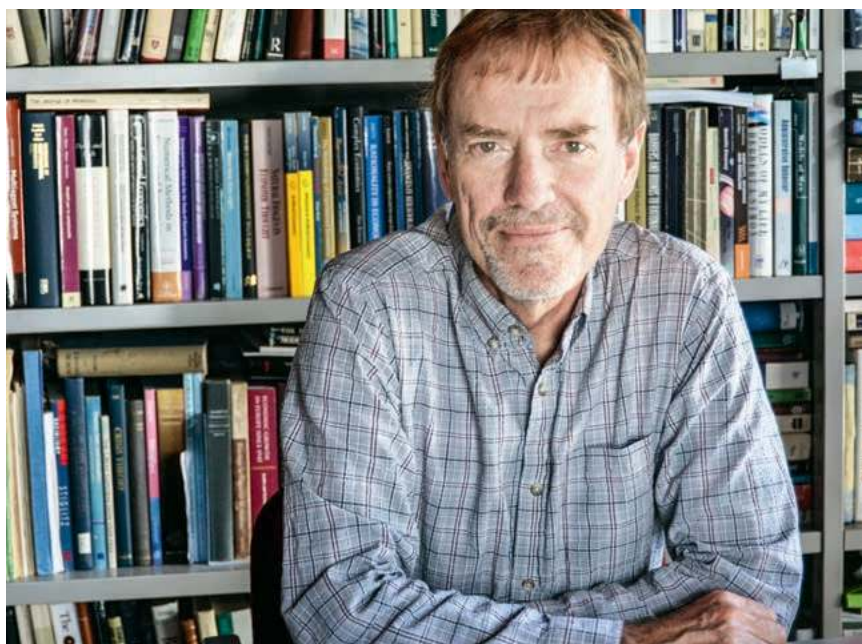
Ula: – Owszem, wszystkie mitingi, grupy wsparcia są dostępne. Ale bycie jedną kobietą w grupie często zniechęca. Inne są też problemy, a ciężko dyskutować z facetami o macierzyństwie.

Lelonek-Kuleta: – Placówki często tłumaczą się tym, że kobiety się nie zgłaszają. Że od paru lat nie da się utworzyć grupy wsparcia. Fulvia Prever, psychoterapeutka z Mediolanu, zaproponowała inne godziny spotkań dla kobiet. Na przykład wtedy, kiedy dzieci są w przedszkolu. Albo rozkładanie ulotek w damskich toaletach. Tak żeby ta komunikacja mogła pokonać ogromną barierę wstydu, dużo większą niż u mężczyzn.

Ula: – Natrafiłam na badania: ponad 60 procent kobiet preferuje jednopłciowe grupy. Ja sama leczyłam się w Gnieźnie, w ośrodku pomocy tylko dla kobiet. A na pozostałych terapiach przez ponad pół roku chyba tylko raz nie byłam sama jako dziewczyna. Znam historie około trzystu hazardzistów w Warszawie, którzy przestali grać. A kobiet? Garstkę.

Lelonek-Kuleta: – Nigdy nie natknęłam się w środkach masowego przekazu na informacje o problemach z hazardem u kobiet, kampanie popularyzujące formy wsparcia dla nich. Ja się w tym specjalizuję, więc sama ich szukam. Ale kobiety, które mogą potrzebować pomocy, muszą się na taką informację właśnie natknąć. Powinien być przekaz, że to normalny problem i że jest gdzie szukać pomocy. Drugi aspekt to zwiększanie oferty tej pomocy.

Ula: – Dzisiaj nie gram i to jest sukces. To wymagało i nadal wymaga ciężkiej pracy. Czuję się, jakbym wchodziła pod prąd po ruchomych schodach. Ciągle praca, którą warto wykonać, bo dzięki niej w życiu pojawia się miejsce nie tylko na grę. I bardzo ciężko ją wykonać samemu. Dobrze, by więcej kobiet wiedziało, że nie muszą. Że mogą skorzystać z pomocy. © KRZYSZTOF STORY



MATERIAŁY PRASOWE WYDAWNICTWA EKONOMICZNEGO HETERODOX

Profesor L. Randall Wray, 2018 r.

Państwo zawsze stać

L. RANDALL WRAY, EKONOMISTA:

Czy w demokratycznym kraju masowe bezrobocie musi być ceną za stabilność walutową? Mieszkańcy Europy Zachodniej czy USA orientują się, że można inaczej.

RAFAŁ WOŚ: Co będzie po pandemii?

L. RANDALL WRAY: Otwiera się wreszcie realna szansa na inną politykę ekonomiczną. Mówię „wreszcie”, bo sam piszę o potrzebie takiej alternatywy od dobrych trzydziestu lat.

Alternatywa wobec neoliberalizmu miała się pojawić już po kryzysie 2008 r. I co?

Historia uczy, że tylko poważne kryzysy są w stanie wytrącić myślenie o społeczeństwie i ekonomii z zastanych kolein. Ale zazwyczaj jeden nie wystarczy. Tak było w pierwszej połowie XX wieku. Wtedy też to trwało: I wojna światowa, wielki kryzys lat 30., II wojna i konieczność konkurowania przez kapitalistyczne państwa z ZSRR. Dopiero wtedy zaszła zmiana.

Tamta zmiana polegała na grubsza na tym, że wcześniej, gdy nadchodził kryzys, rządy przyglądały się z boku, czekając, aż „żywił się wyszumi”.

A od II wojny rządy zaczęły się angażować w gaszenie pożarów. Zmiana, której Pan oczekuje, ma polegać na czym?

Na tym, by rządy nie tylko się angażowały, ale by angażowały się po dobrej stronie. By broniły interesu większości ludzi.

Jak to zrobić?

Mówiąc w największym skrócie, państwa muszą sobie przypomnieć, jak wiele mogą zrobić dla swoich obywateli. Bo teraz udają, że mogą niewiele. Mobilizują się tylko wtedy, gdy trzeba zabezpieczyć interesy bardziej uprzywilejowanych grup – czyli zakumulowanego kapitału.

Powtórzę pytanie. Jak to zrobić?

Poprzez pieniądź. Pieniądź jest kluczem. Żyjemy w systemie pieniądza państwowego. To oczywiste, prawda?

Tak, to państwo emituje pieniądź. Robi to za pośrednictwem

banku centralnego oraz banków komercyjnych udzielających kredytów. Pojedynczy człowiek nie może tego zrobić.

No właśnie. Państwo tworzy pieniądź. Ale czy to nie dziwne, że choć państwo tworzy pieniądź, to jednocześnie zewsząd słyszymy, że państwa... nie stać? Dobra edukacja dla wszystkich? Nie stać nas. Transport publiczny? Nie stać nas. Pełne zatrudnienie? Nie stać nas. A teraz mamy pandemię, która pokazuje to w sposób taki, że bardziej dramatycznie już się chyba nie da.

W krajach średniozamożnych widać to wyraźniej. Wieloletnie zaniedbania w produkcji leków, brak sprzętu medycznego, zbyt mało lekarzy.

Na dodatek pandemia przyspieszyła nadejście kryzysu gospodarczego, którego głębokie źródła tkwią jeszcze w problemach sprzed 2008 r. Wiele krajów rozwiniętych wchodzi w ten nowy kryzys z wysokim i utrzymującym się od dekady bezrobociem. Aby ratować sytuację, rządy muszą teraz mobilizować miliardy na stabilizację gospodarki.

Czyli jednak państwo coś gasi.

Ale tu pojawia się przykry problem. Te wydatki finansowane są deficytem wydatków publicznych.

A przez ostatnie trzy-cztery dekady wbijano nam do głowy, że deficyt jest zły. Rozprzestrzeniło się fałszywe przekonanie, że rząd to jest takie gospodarstwo domowe, tyle że większe. Słysząc więc np.: „Gdybyśmy zarządzali naszym budżetem domowym tak, jak rząd zarządza swoim, tobyśmy zbankrutowali”. Z tego fałszywego przekonania rodzi się z kolei równie fałszywy postulat, by trzymać deficyt budżetowy pod kontrolą. Bo inaczej czeka nas nieuchronnie gospodarcza zapaść.

A nie czeka?

Nie, przeciwnie. Szereg ekonomicznych i społecznych nieszczęść naszych czasów: bieda, bezrobocie czy nierówności, bierze się właśnie z antyzadłużeniowej obsesji.

Gdyby rządzący państwami chcieli i umieli korzystać z potęgi, jaką daje im suwerenna waluta, to z powracającymi cyklicznie kryzysami kapitalizmu można by radzić sobie dużo lepiej.

Czas chyba na kilka słów prezentacji. Jest Pan jednym z czołowych orędowników tzw. nowoczesnej teorii monetarnej (z angielska zwanej MMT). Bywacie też nazywani zwolennikami „nowoczesnego pieniądza” albo po prostu pieniądza suwerennego. Wasze podejście zyskuje na popularności, zwłaszcza w anglosaskich mediach zaczynacie odgrywać taką rolę, jaką Thomas Piketty po kryzysie 2008 r. Czy przedstawiane przez Was ekonomiczne pomysły na wyjście z kryzysu to oferta dla wszystkich rządów? Czy tylko dla najbogatszych?

Nie tylko dla najbogatszych. Istnieje jedno fundamentalne założenie. Rząd musi utrzymywać suwerenną walutę.

Polska suwerenną walutę ma, choć wstępując do UE zgodziła się, że w pewnym momencie porzuci ją na rzecz euro. Z tym terminem jest jednak problem. Suwerenność jest w polskiej debacie przedstawiana jako coś przestarzałego i trochę niebezpiecznego; refleks XX-wiecznych nacjonalizmów.

Suwerenność walutowa to kluczowa kategoria ekonomii politycznej. Chodzi w niej o to, by rząd mógł dbać o godziwe warunki życia dla obywateli. Rząd, który suwerenną walutą nie dysponuje, w praktyce nie może się z tego zadania wywiązać. Są na to liczne przykłady. Australia to średniej wielkości kraj. Pretensji do mocarstwowości nie ma żadnych. Jednocześnie przez lata prowadziła konsekwentną politykę pełnego zatrudnienia.

Co to znaczy?

To znaczy, że tamtejszy rząd dbał o to, by bezrobocie nie było wyższe niż 1-2 proc. Czyli by każdy, kto chce pracować, mógł to robić. Prowadzenie takiej polityki jest możliwe, ale państwo musi przeprowadzać kosztowne interwencje w gospodarkę. Gdy np. cena ropy szła do góry, Australia obniżała wartość swojej waluty. Aby to posunięcie nie uderzyło w konsumentów, rząd sięgał po narzędzia stymulacji. Państwo australijskie było też gotowe do działania jako pracodawca ostatniej instancji – np. zatrudniając ludzi przy projektach infrastrukturalnych poprzez armię lub państwowe koleje. Ta polityka finansowana była przy

pomocy utrzymującego się stale deficytu fiskalnego. Dzięki czemu kilka pokoleń mieszkańców Australii mogło żyć w po-koju, spokoju i dobrobycie.

Powiedział Pan, że warunkiem prowadzenia takiej polityki jest suwerenny pieniądz. Co to właściwie znaczy w dzisiejszym świecie?

Suwerenny pieniądz oznacza, że władza kraju nie wyzbyła się prawa do emisji własnej waluty. Prawa tego można się wyzbyć na dwa sposoby. Po pierwsze wprost, tak jak w strefie euro. Przykładem kraju, który tak postąpił i zapłacił za to wysoką cenę, są Włochy.

Dlaczego Pan uważa, że stało się tak z powodu braku walutowej suwerenności, a nie np. z powodu złej polityki gospodarczej włoskich rządów?

Dobrze znam problemy wewnętrzne Włoch. Ale mówienie, że są spowodowane wyłącznie przez złą politykę rządów, to wygodna mieszkanka gazetowych stereotypów i strategii „obwinmy ofiarę, jej nikt i tak nie uwierzy”.

Skąd ta pewność?

Faktycznie wejście do strefy euro było błędem włoskiej klasy politycznej. Ale od tamtego momentu trudno mówić o błędach, bo rządzący w praktyce utracili możliwość prowadzenia polityki innej niż antyspołeczna.

Pamiętam dobrze ten czas. Przeciwnicy wspólnego pieniądza byli przedstawiani jako podejrzani nacjonaści. Niestety dość szybko można było dostrzec negatywne skutki tego procesu. Państwo zaczęło się wycofywać z różnych dziedzin. Początkowo widać to było w drobnych rzeczach – a to niezadbany trawnik wokół biblioteki, a to pogorszenie dostępności usług publicznych. Potem zaczęło być słabo na rynku pracy. Pojawił się problem 30-latków mieszkających z rodzicami. Wtedy nadszedł kryzys 2008 r. i rozpętało się piekło. A rząd nie mógł w praktyce zrobić nic poza poruszaniem podatkami czy programami socjalnymi. Gdy zanadto luzował ludziom pętlę, był przywoływany do porządku przez tzw. rynki finansowe.

To był moment, gdy dla nikogo nie ulegało już wątpliwości, że Włochy straciły suwerenność. Nie w żadnym symbolicznym, lecz faktycznym sensie. Fala anty-

europeskich nastrojów zaczęła narastać i narasta nadal.

Mówił Pan jeszcze o drugim rodzaju walutowej niesuwerenności.

Tak. Ten model jest znany z Ameryki Łacińskiej. Tam nie ma projektów integracji walutowej, ale wiele krajów ma lub miało walutę przypiętą do dolara, by za wszelką cenę stabilizować jej kurs.

To źle?

Zależy dla kogo. Dla zgromadzonego w kraju kapitału to dobrze, bo jego właściciele nie lubią, gdy kapitał traci na wartości. Ale źle dla zwykłych ludzi i dla pracowników, bo rząd w praktyce nie może rozpocząć żadnego programu walki z bezrobociem albo niwelowania nierówności. W praktyce więc w wymienionych krajach utrzymywało się przez lata kilkudziesięcioprocentowe bezrobocie. A to znak, że gospodarka stale pracuje na pół gwizdka – nie wykorzystuje pełnego potencjału. To nie jest ekonomiczna konieczność, lecz wybór polityczny.

Nie nadaje Pan przypadkiem suwerenności walutowej zbyt dużego znaczenia?

Zgadzam się, że suwerenna waluta nie rozwiąże wszystkich problemów. Jak jesteś mały, biedny i nie produkujesz zbyt wiele na eksport, trudno będzie ci zachować wartość swojej waluty. W końcu zaczniesz się zadłużać w dolarach czy w euro, a to może być niebezpieczne. Ale na sprawę trzeba patrzeć także z drugiej strony. Czy w demokratycznym kraju masowe bezrobocie i skazywanie na brak perspektyw wielkiej części populacji muszą być ceną za stabilność walutową? Czy to jest akceptowalna cena, żeby interesy zakumulowanego kapitału były bezpieczne? W tzw. normalnych czasach mówi się o tym trudno, bo wszystko jakoś idzie. Dopiero, gdy nadchodzi kryzys, większość ofiar takich układów zaczyna się orientować, że można inaczej. Moim zdaniem spora część mieszkańców Europy Zachodniej czy USA zaczyna się orientować, że można inaczej.

Założmy, że kraj nie wyzbył się własnej waluty, a rządzący chcą zastosować się do Pańskich rad. Co powinni zrobić?

Powinni postawić sobie za cel pełne zatrudnienie. Można to zrobić np. przez →

→ schemat gwarancji zatrudnienia. To byłby rodzaj nowej umowy społecznej. Władza gwarantowałaby w niej obywatelom, że każda osoba, która będzie chciała podjąć pracę, tę pracę otrzyma. Zatrudnieniu powinien towarzyszyć pakiet świadczeń socjalnych i praw pracowniczych. Taki schemat miałby wiele zalet. Na przykład wywierałby presję na pracodawców prywatnych, by poprawiali warunki zatrudnienia, bo jak tego nie zrobią, nie znajdą pracownika.

Podniosą się protesty, że to doprowadzi do niekontrolowanej inflacji.

Zacznijmy od samego zjawiska niekontrolowanego wzrostu cen. Nasi krytycy powiadają tak: najpierw inflacja jest niska, ale rząd stosuje politykę pobudzającą popyt. Inflacja więc rośnie i pożera owoce polityki wzmacniającej popyt, wobec tego stymulacja musi być mocniejsza, co powoduje jeszcze większą inflację. Aż wreszcie dochodzi do hiperinflacji. Ale nie znajdziemy w historii żadnego przypadku hiperinflacji, która rozpoczęła się w ten sposób. W rzeczywistości hiperinflacja to zjawisko w ekonomii niezwykle rzadkie.

Ale się zdarza.

Tak, zazwyczaj w sytuacji, gdy następuje krach po stronie podaży. Tak było w Zimbabwie, gdzie przeprowadzono nieprzemyślaną reformę rolną, a małe gospodarstwa nie były w stanie wyprodukować odpowiednio dużo żywności. Albo weimarskie Niemcy, gdzie sytuacja była związana z koniecznością spłaty przesadnie wysokich reparacji wojennych.

No to powiedzmy, że nie hiperinflacja. Ale wysoka inflacja.

Może, ale nie musi się pojawić. Wszystko zależy od poziomu wykorzystania mocy produkcyjnych w gospodarce. Inflacja jest możliwa tylko wtedy, gdy gospodarka już dziś znajduje się w sytuacji pełnego zatrudnienia.

Problem w tym, że we współczesnym świecie jesteśmy daleko od takiej sytuacji. Wspomniałem o Włoszech, gdzie bezrobocie od dekady jest dwucyfrowe. Podobnie jest w Hiszpanii. Poza tym inflacji nie trzeba demonizować. Podobnie jak dług.

A nie jest tak, jak często słyszymy, że „na inflacji najmocniej cierpią najubożsi”?

To wygodny slogan. Kryją się za nim zazwyczaj interesy tych, którzy inflacji nie lubią najbardziej. Czyli posiadaczy kapitału. To oni na inflacji tracą najmocniej. To oni też do wzrostu inflacji najmocniej się przyczyniają.

Dlaczego?

Wzrost cen dóbr luksusowych zazwyczaj pociąga za sobą wzrost cen dóbr zwykłych.

Dzieje się tak dlatego, że gospodarka zaczyna się przeorientowywać na obsługiwanie bardziej lukratywnego popytu. Pogarsza też bilans handlowy krajów. Zwłaszcza słabiej rozwiniętych, bo dobra luksusowe produkowane są głównie przez kraje najbogatsze. Na dodatek popyt na dobra generowany przez klasę miliarderów sprawia, że moce produkcyjne w gospodarce przesuwają się w kierunku produkcji takich rzeczy. Na czym cierpią jakość czy badania produktów masowych, gdzie rynki są zazwyczaj konkurencyjne, a marże zysku niewielkie. Dlatego podatki majątkowe powinny być bardzo wysokie. Istnienie klasy miliarderów w zasadzie niczego gospodarce i społeczeństwu nie daje.

Co jeszcze prócz gwarancji zatrudnienia finansowanej emisją własnego suwerennego pieniądza Pan proponuje?

Niskie i stabilne stopy procentowe. Wysokie stopy to świetna wiadomość dla zakumulowanego kapitału, ale fatalna dla biznesu. Patrząc na drobne biznesy – np. na restauracje – zobaczymy, że koszt pozyskania kapitału jest prawdopodobnie drugim największym kosztem w prowadzeniu działalności gospodarczej.

Wysokie stopy to był zawsze sposób na walkę z inflacją.

I właśnie na tym przykładzie widzimy, jak niszcząca jest obsesja inflacji. Wyobraźmy sobie ekonomistę, który mówi: no dobra, to walczmy z inflacją przy pomocy podwyżek cen ropy. Albo walczmy z inflacją nakręcając podwyżki płac. Co by pan pomyślał o takim ekonomście?

Że zwariował.

Dlatego władze sięgające po wysokie stopy są trochę jak człowiek, któremu wydaje się, że naciska na hamulec, podczas gdy w rzeczywistości z całej siły dodaje gazu. To się zawsze źle kończy.

Na koniec spytam jeszcze o podatki. Jakie powinny być?

Trzeba pamiętać, że we współczesnej gospodarce podatki też nie są tym, czym się wydają. Ich celem nie jest np. napełnianie państwowej kasy.

Wspomniał Pan o tym na początku, ale jest to stwierdzenie tak kontrintuicyjne, że warto je powtórzyć.

Tak, powtórzmy. Państwo tym różni się od gospodarstwa domowego, że samo produkuje pieniądź, którym potem płaci. Państwo nie musi go w żaden sposób „zrobić”. On jest tworzony z niczego. Jednym kliknięciem. Dlatego państwo najpierw wydaje, a potem zbiera pieniądze w formie podatków.

To po co są te podatki? Nie mogłoby ich nie być?

Podatki są potrzebne, bo mają wiele zadań. Bez podatków inflacja faktycznie mogłaby się wymknąć spod kontroli. Żeby tego uniknąć, państwo podatkami ściąga z rynku nadmiar popytu. Przy pomocy podatków można też realizować cele społeczne, np. walczyć z nierównościami. Mówilem przed chwilą o podatku dla najbogatszych...

Jakie powinny być podatki?

Obecny system oparty na podatkach dochodowych i od sprzedaży jest niezbyt funkcjonalny. Mam nadzieję, że w nadchodzących latach będzie również okazja do zmiany tego elementu ekonomicznej układanki. Powinniśmy iść w kierunku jednego podatku, łączącego w sobie różne formy czerpania zysków: nie tylko z pracy, ale też z kapitału czy innych aktywów ekonomicznych składających się na majątek. To byłby podatek przyszłości.

A tymczasem?

A tymczasem obserwujemy bieg wypadków. Mam wrażenie, że już w ciągu paru najbliższych lat to, o czym teraz rozmawiamy, stanie się wiedzą powszechną.

©® Rozmawiał RAFAŁ WOŚ

L. RANDALL WRAY – amerykański ekonomista z nowojorskiego Bard College. Autor wielu książek, m.in. „Nowoczesnej teorii pieniądza. Wprowadzenia do makroekonomii suwerennych systemów monetarnych” (wyd. pol. 2019).

ANNA

Dziewit-Meller:

Wystarczająco dobrze



NAJWAŻNIEJSZE TO RANO WSTAĆ I ODPIEPRZYĆ SIĘ OD SIEBIE – powiada z okładki książki „Ludzkie sprawy” Wiktor Osiatyński.

Wystarczająco dobre – życie, macierzyństwo, praca, kariera, ciało, dom, stosunki z rodzicami, przyjaźń. Chyba właśnie poczucie, że jest wystarczająco dobrze (choć oczywiście mogłoby być znacznie lepiej), daje szansę na to, by się w końcu od siebie odpieprzyć.

Czyli ja jeszcze niestety nie mogę tak do końca. Jeszcze trochę kopię się z koniem, jeszcze coś tam mam komuś do udowodnienia. Może jestem po prostu jeszcze za młoda, by już się od siebie na dobre odpieprzyć? Bo – bądźmy uczciwi – trochę się już jednak odpieprzyłam, dochodząc np. w końcu do wniosku, po latach strasznej orki, że perfekcjonizm i marzenia o wiecznym miejscu na podium odsuwają mnie od tego, co naprawdę mogę i potrafię. I że podium nie jest kluczowe dla poczucia dobrze wykonanej roboty. Terapia uczy zrzućcia z ramion ciężaru oczekiwań, zwłaszcza tych cudzych, zwłaszcza tych istniejących wyłącznie w naszej głowie. Ale nauczenie się tego to niełatwa rzecz – kto się stał ekspertem od przeglądania się wyłącznie w cudzych oczach, ten buksuje na jałowym biegu i nigdzie nie zajędzie, jeśli nie odwróci wzroku w zupełnie inną stronę. Ale jaki to strach, co się tam zobaczy!

Odpieprzenie się od siebie to też stłumienie nienasyconego głodu, który napędza do pogoni za ciągłym ulepszaniem, zabieganiem o uwagę, o akceptację, a może i o to, co nam się zdaje miłością. A przecież nawet WHO mówi jasno, że najważniejsze dla zdrowia ludzi jest życie w sposób zrównoważony – czyli dawanie z siebie tyle, ile możemy, nie więcej. Nie wiem, jak to zalecenie ma się do czasu pandemii, kiedy dajemy z siebie stanowczo za dużo, ale zakładam, że teraz trwa

aberracja systemu, i że gdy przeminie, znów będzie można pracować nad tym, by się od siebie odpieprzyć.

W jednej z rozmów w tomie „Ludzkie sprawy” dziennikarka Dorota Wodecka pyta Wiktora Osiatyńskiego o niskie poczucie własnej wartości. Profesor przytacza teorię Stefana Johanssona, terapeuty i twórcy amerykańskiego ośrodka leczenia uzależnień Cornerstone Institute, który w latach 80. pomagał Osiatyńskiemu unowocześniać polskie leczenie odwykowe. Jego zdaniem Polacy są przewrażliwieni na punkcie własnej wartości i przez to właśnie gotowi są oddać drugiemu więcej, niż sami mają. Nie ze szczodrości, lecz z lęku, by obdarowywany źle o nich nie pomyślał. Lęk i wstyd, że ktoś nas w końcu zdemaskuje, nakładają nam ciężkie kagańce i uniemożliwiają wydanie z siebie czystego głosu. Takiego, którym przemówiłoby nasze prawdziwe, wolne „ja”.

Osiatyński powiada, że „chęć samorozwoju i doskonalenia się to jedno, ale dążenie do doskonałości dlatego, że wszystko, co niedoskonałe, wzmacnia w człowieku przekonanie o jego własnej niedoskonałości, nie ma nic wspólnego z ambicją, lecz z toksycznym wstydem. (...) Błąd nie jest informacją, że sposób, w jaki działa, jest zły, tylko mówi mu, że to on jest do niczego. Dlatego taki człowiek źle znosi krytykę, a jednocześnie sam krytykuje, moralizuje i osądza innych”.

A zatem odpieprzyć się od siebie, dojść do porozumienia z własną głową, że sztuka odpuszczania nie musi być równoznaczna z przegraną, a dobre życie oznacza coś zupełnie innego, niż kiedyś mi się zdawało. Że wspólne siedzenie z dzieckiem na huśtawce po wielkiej kłótni o prace domowe, gdy złość już ulatuje i zaczyna się dobra rozmowa o komiksie, jest wystarczająco dobrym macierzyństwem. Że ciało, które zdołało wydać z siebie dwoje innych ciał, a teraz nadal nie zawodzi, daje energię, boli tylko czasami – to wystarczająco dobre ciało. Że rodzice, z którymi darło się straszliwe koty przez całe życie, ale teraz tęskni się za nimi, gdy pandemia, i dzwoni się, by pogadać o zdrowiu, wnukach i polityce – to wystarczająco dobrzy rodzice. Że praca, która bywa źródłem wielkiej frustracji, ale od czasu do czasu i dużej przyjemności, to stanowczo wystarczająco dobra praca. Że życie, w którym postanawiam się od siebie w końcu zdrowo odpieprzyć, to najlepsze życie, jakie mogę mieć. ©

Przed Sądem Rejonowym w Sanoku, I Wydziałem Cywilnym, toczy się postępowanie z wniosku Stanisława Łusika w sprawie o dział spadku i zniesienie współwłasności po Halinie Łusik z domu Pojnar, c. Józefa i Czesławy, zm. 19 lipca 2018 r. Sygn. akt I Ns 554/19.

Sąd wzywa, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili się do sprawy w szczególności spadkobiercy Daniel Łusik oraz Arkadiusz Łusik, bądź inni zainteresowani, i udowodnili swoje prawo w przedmiocie zniesienia współwłasności, gdyż w przeciwnym razie Sąd uwzględni wniosek działowy, jeżeli zostanie udowodniony.

W Sądzie Rejonowym w Stalowej Woli pod sygn. akt I Ns 657/19 wszczęte zostało postępowanie z wniosku Wiesławy Miśków, z udziałem Wojciecha Kędzi, Franciszka Kędzi, Jana Kędzi, Stefani Kulagowej, o nabycie przez zasiedzenie własności działki ewidencyjnej nr 1767/2, o powierzchni 0,0855 ha, położonej w Turbii, dla której nie ma urzędzonej księgi wieczystej, a jako właściciele w LWH 959 i 1235 figurują Wojciech Kędzi, Franciszek Kędzi, Jan Kędzi i Stefania Kulagowa.

Sąd wzywa wszystkie osoby zainteresowane, w szczególności Wojciecha Kędzi, Franciszka Kędzi, Jana Kędzi i Stefani Kulagową bądź ich następców prawnych, aby w terminie 1 miesiąca od ukazania się ogłoszenia zgłosiły się do Sądu i wykazały swoje prawa, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięte w postępowaniu, a sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

KLERYKALIZM W GENACH

Niełatwo wyleczyć strukturalny trąd, jaki toczy Kościół.
Nie zwalnia to nas jednak z ciągłego próbowania.

ARTUR SPORNIAK



PO OBEJRZENIU „ZABAWY W CHOWANEGO”, drugiego filmu braci Sekielskich, osoby niewierzące, które na Kościół spoglądają z zewnątrz, mogą tylko utwierdzić się w antyklerykalizmie. Pytają, dlaczego taka instytucja w ogóle istnieje – skoro sama stwarza warunki dla krzywdzenia dzieci przez pedofilów, a biskupi uparcie oprawców chronią.

Dla wierzących nadprzyrodzony wymiar Kościoła jest realny i nie da się go niczym zastąpić. Ale i oni po filmie zastanawiają się, jak to możliwe, by kapłan, działający *in persona Christi*, z taką łatwością krzywdził bezbronnych? Aby biskup, ustanowiony z woli Jezusa pastorem, czyli przewodnikiem wierzących,

stawał po stronie wilków w koloratkach, a nie ofiar?

Na te pytania pojawiają się co najmniej dwie odpowiedzi. Pierwsza wskazuje na wszechobecny klerykalizm. Druga za przyczynę uznaje współczesny relatywizm i rozwiąłość seksualną, spowodowaną rewolucją obyczajową roku 1968. Tak obecny kryzys w Kościele tłumaczy m.in. papież emeryt Benedykt XVI, a za nim środowiska konserwatywne i tradycjonalistyczne. O ile jednak zachowanie ukazanego w filmie pedofila ks. H. ktoś jeszcze mógłby próbować tłumaczyć tym, że został zdeprawowany w młodości, o tyle już zachowanie jego przełożonego, bp. Edwarda Jania, który przez wiele lat ignorował docierające do niego sygnały o krzywdzeniu dzieci i przenosił oprawcę z parafii na parafii, nie ma nic wspólnego z rewolucją seksualną.

Słownikowa definicja klerykalizmu wskazuje, że jest to dążenie do uzyskania przez kler wpływu i przywilejów w sferze świeckiej – społecznej i politycznej. Tak rozumiany klerykalizm stanowi w filmie Sekielskich tło dla dwóch pytań. Dlaczego prokuratury przekazują kuriom akta toczących się przeciwko księżom dochodzeń, skoro kurie występują w tych dochodzeniach jedynie w roli świadków? Inni świadkowie nie mają takich przywilejów, a biskupi – jak zauważa występujący w filmie adwokat Artur Nowak – mogą w ten sposób zawczasu przygotować się do ewentualnych oskarżeń o ukrywanie pedofilii.

Drugie pytanie dotyczy tajnego okólnika ministra Ziobry, nakazującego prokuraturom okręgowym przekazywanie spraw dotyczących księży Prokuraturze Krajowej. Czy tak bardzo upolityczniona Prokuratura Krajowa może rzetelnie badać sprawy dotyczące Kościoła? Już sam fakt, że zainteresowane są najwyższe prokuratorskie władze, może działać mroząco na prokuratorów terenowych zajmujących się sprawami o pedofilię. Co ostatecznie może działać na korzyść podejrzanych ludzi Kościoła.

Choroba

O klerykalizmie od początku pontyfikatu mówi też Franciszek, widząc w nim cho-

robę toczącą od wewnątrz Kościół, albo nazywając „perwersją”. „Pasterz musi iść na czele stada, by wskazywać drogę, ale też być w jego środku, by widzieć, co się tam dzieje, a także na tyłach, żeby mieć pewność, że nikt się nie zgubi. Klerykalizm sprawia, że pasterz jest tylko na początku, wyznacza kierunek – i ekskomunikuje zbaczających z drogi. To przeciwieństwo tego, jak postępował Chrystus. Klerykalizm potępia, dzieli lud Boży i nim gardzi, zmienia księżowską posługę w księżowską potęgę” – mówił do jezuitów we wrześniu 2019 r. „Powiedzenie »nie« wobec nadużycia oznacza stanowcze odrzucenie wszelkich form klerykalizmu” – pisał w Liście do Ludu Bożego rok wcześniej, po ogłoszeniu wstrząsającego raportu dotyczącego wykorzystywania nieletnich w amerykańskiej Pensylwanii.

Wewnętrzny klerykalizm dzieli Kościół na dwa rozłączne światy: hierarchię i świeckich. Tylko ci pierwsi sprawują realną władzę. Robią to w sposób nietransparentny dla drugich, pozostając właściwie poza kontrolą. Ci drudzy mogą czuć się chrześcijanami „drugiej kategorii”. Gdy ktoś bezbronny zaczyna być krzywdzony przez wilka przebranego w sutannę, w warunkach otaczającego go klerykalizmu jest w beznadziejnej sytuacji.

Natura i łaska

Średniowieczna sentencja głosi, że „łaska buduje na naturze” (w swoim działaniu musi naturę zakładać). Innymi słowy: to, co nadprzyrodzone, nie może abstrahować od tego, co świeckie.

Fraza ta przychodzi też na myśl, gdy przyglądamy się ustrojowi Kościoła. Można bowiem odnieść wrażenie, że w niektórych sferach – zwłaszcza w sferze sprawowania władzy – natura ludzka jest w Kościele ignorowana. Ignoruje się choćby prawo psychologiczne, że nikt nie jest sędzią we własnej sprawie. Biskupi posiadają pełnię władzy, którą sprawują praktycznie poza kontrolą. To oni mają władzę ustawodawczą, wcielają własne ustawy w życie i je osądzają, składając co parę lat papieżowi sprawozdanie z własnej działalności.

Oczywiście zwierzchnikiem biskupów jest papież, ale on jest jeden, biskupów zaś 5,4 tys., i nie jest możliwe, by każdemu mógł się uważnie przyglądać. Co prawda papież ma do pomocy Kongregację ds. Biskupów, ale warto spojrzeć na jej skład: 25 kardynałów, czterech arcybiskupów →



FRANCO ORIGLIA / GETTY IMAGES

*Przygotowania do papieskiej wizyty
w rzymskim sanktuarium
Bożego Miłosierdzia, 19 kwietnia 2020 r.*

⇒ i biskup – ani jeden świecki, zakonnik czy zakonnica, choć wszyscy (osoby konsekrowane w pewnej mierze także) podlegamy własnemu biskupowi. Taki stan rzeczy prowadzi do tego, że perspektywa świeckich nie jest w kongregacji brana pod uwagę.

Ten system z natury nie może działać prawidłowo. I nie działa. Dowodzą tego lawinowo ujawniane przypadki pedofilii i ich tuszowania przez biskupów praktycznie w każdym zakątku świata.

Wewnętrzna niemoc naprawczą Kościoła dostrzegli, jak się wydaje, biskupi niemieccy i zaproponowali drogę synodalną, czyli coś, czego do tej pory w tej instytucji nie było. Odstawili na bok hierarchiczny ustrój Kościoła i zasiedli ze świeckimi do rozmów na palące tematy, jak równi z równymi. Ten ryzykowny krok wywołał duży niepokój wśród biskupów z innych krajów. Zwróćmy jednak uwagę, że niechęć wobec niemieckiej drogi synodalnej (eksperymentu czasowego jedynie!) można potraktować nie tylko jako lęk o to, co w Kościele jest niebezpieczne, bo z Bożego ustanowienia, ale także jako miarę klerykalnego myślenia.

Biskup nie do ruszenia

Jak oddzielić to, co należy do ustanowionej przez Boga natury Kościoła, od tego, co jest jej historycznym, zmiennym wyrazem?

Kanonista z Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie, ks. prof. Piotr Majer, przestrzega przed stosowaniem do opisu Kościoła świeckich kategorii, np. monteskiuszowskiego trójpodziału władz. W osobie biskupa skupia się bowiem wspomniana już pełnia władzy w Kościele partykularnym: ustawodawcza, wykonawcza i sądownicza. Zauważa, że właśnie tak mocne umocowanie biskupa w Kościele należy do prawdy doktrynalnej. Biskup posiada pełnię władzy, gdyż jako następca apostołów reprezentuje samego Chrystusa i jest głową lokalnego Kościoła. – Co prawda przed Soborem Watykańskim II traktowano biskupów jako wikariuszy papieża, tak jakby uczestniczyli w jego władzy, ale na soborze wyraźniej uświadomiono sobie, że władza biskupów pochodzi wprost od Boga – mówi.

Dlatego, jak zauważa ks. Majer, ma ona najwyższe przymioty: jest wieczna, czyli nie delegowana przez kogoś, tylko sprawowana na mocy posiada-



MACIEJ KOSYCARZ / KFP

Wmurowanie kamienia węgielnego pod budowę terminalu w Gdańsku-Rębiechowie, 31 maja 2010 r.

negu urzędu, własna, czyli wykonywana w swoim własnym imieniu, i bezpośrednia, co oznacza, że biskup może ją sprawować samodzielnie (choć może swoją władzę delegować).

– Zgodnie z prawem kanonicznym władza biskupia ma pewne ograniczenia, ale nieliczne – wskazuje kanonista. – Na przykład jeśli biskup chce sprzedać majątek kościelny (od pewnej kwoty w górę), musi uzyskać zgodę kolegium konsultorów oraz rady ds. ekonomicznych. Podobnie, gdy chce mianować ekonoma diecezji. Z kolei przed erygowaniem lub zniesieniem parafii musi zasięgnąć zdania rady kapłańskiej.

Bardzo mocną pozycję biskupów widać także, jeśli chodzi o ich sądzenie. – Sądzić biskupa może tylko papież. W sprawach spornych w imieniu papieża robi to Rota Rzymska. Ale już w sprawach karnych czyni to osobiście biskup Rzymu – zauważa ks. Majer.

Niełatwo biskupa nawet odesłać na emeryturę. – Zauważmy, że biskup po osiągnięciu 75 lat nie traci urzędu automatycznie. W kodeksie prawa kanonicznego czytamy, że „jest proszony o złożenie rezygnacji”. Symbolika pierścienia biskupiego mówi o tym, że jest on „zaślubiony” z diecezją. Niektórzy teologowie pytają, czy zatem od takich „zaślubin” istnieje emerytura. Ożywione dyskusje na ten temat toczyły się w czasach soboru, który emeryturę biskupów wprowadził – dodaje ks. Majer.

Gdy się przyjrzeć prawemu ustrojowi Kościoła, przestaje być dziwne, że do tej pory usunięcie biskupa z urzędu było tak rzadkie. Oczywiście papież zawsze mieli taką władzę, ale prawie z niej nie korzystali. Ks. Majer: – Do niedawna w prawie kościelnym nawet nie było nigdzie wprost powiedziane, że można biskupa usunąć z urzędu.

Konkretne normy dotyczące usuwania biskupów wprowadza list apostolski Franciszka „Come una madre amorevole” z czerwca 2016 r., a procedury badania odpowiedzialności biskupów w sprawach o pedofilię list apostolski „Vos estis lux mundi” z maja 2019 r.

Możliwe reformy

W praktyce zreformować ustrój Kościoła mógłby dopiero nowy sobór. Świeckim pozostaje działać w ograniczonym zakresie. Mocną diagnozę odnoszącą się do klerykalizmu polskiego Kościoła oraz postulaty naprawcze zaproponował jednak w 2019 r. na łamach „Znaku” teolog (a dziś także proboszcz) ks. Grzegorz Strzelczyk.

Instytucjonalny kryzys, ujawniony podejściem do przypadków pedofilii, nazywa on „długotrwałą chorobą wrzodową”. Jego zdaniem część przełożonych Kościoła w Polsce na różnych szczeblach nie wypełnia dobrze swoich obowiązków. Dodatkowo obawy o prowokację bezpieki w czasach komunizmu „sprawiły, że biskupi i księża nauczyli się dzia-

łania w półcieniu, bez ujawniania trudnych spraw”. Po transformacji popełniono kilka osłabiających Kościół błędów – zrezygnowano z katechezy parafialnej, co oddaliło młodzież od Kościoła, a zwiększając liczbę diecezji, i tym samym seminariów, rozdrobniono centra myśli teologicznej, co od razu odbiło się na jakości kształcenia księży. Wciąż też obowiązuje przestarzały model finansowania, czyniący z Kościoła zakładnika władz.

Ks. Strzelczyk postuluje reformę formacji kleryków, tak by lepiej potrafili radzić sobie z własnymi emocjami oraz nabyli zdolność podejmowania samodzielnych decyzji. A także rozpoczęcie formowania świeckich do współuczestniczenia w podejmowaniu decyzji („To jest trudne. Ten, kto jest pasterzem, musi w ogóle dopuszczać, by ktoś mu doradzał”). Teolog postuluje również, by świeccy głośno wyrażali swoje niezadowolenie.

Warto też próbować mierzyć się z koniecznością przejścia od struktury hierarchicznej do bardziej synodalnej („brakuje episkopatowi rzeczywistych struktur pomocowych, think tanków złożonych z fachowców, w których przygotowywano by projekty pod obrady episkopatu”).

Tu – dopowiadając – można zaproponować niewielką modyfikację w funkcjonowaniu Konferencji Episkopatu Polski, która mogłaby przynieść spore zmiany. Chodzi o to, by w zebraniach KEP zawsze uczestniczyli świeccy obserwatorzy. Na

pewno uczyniłoby to biskupie rządzenie bardziej transparentnym.

Zmiana mentalności

Od 2017 r. wszyscy przedstawiciele Kościoła, gdy uzyskają wiedzę na temat prawdopodobnego przestępstwa wobec nieletnich, mają pod groźbą sankcji zgłosić to do państwowych organów ścigania. Wcześniej biskupi wzbraniali się przed informowaniem władz o pedofilach w strukturach kościelnych. Pewien biskup ordynariusz, zapytany, dlaczego nie przekazuje informacji o podejrzanych księżach, zachnął się: „Nigdy nie doniosłem na swojego księdza!”. Na pytanie, dlaczego, odpowiedział: „Ale jak bym wyglądał w oczach księży?”.

Tu się nasuwa jeszcze jedno pytanie: a jak wygląda w oczach ofiar?

Faktem jednak jest, że to księża, a nie świeccy, na co dzień są najbliższymi biskupa i to oni stanowią jego rodzinę. Soborowy Dekret o pasterskich zadaniach biskupów w Kościele tak mówi o tej relacji: „Biskupi szczególną miłością winni zawsze otaczać kapłanów, mając ich za synów i przyjaciół, ponieważ oni w swoim zakresie podejmują ich zadania i troski i spełniają je tak gorliwie w codziennych zabiegach. (...) Kapłanom, którzy w jakikolwiek sposób znajdują się w niebezpieczeństwie lub w czymś nie dopisali, winni okazać czynne miłosierdzie”.

Pytanie, kto jest najbliższą rodziną biskupa, wbrew pozorom ma spore znaczenie. Świecki kodeks postępowania karnego zwalnia najbliższe osoby podejrzanego (jego żonę, rodziców czy dzieci) od obowiązku składania zeznań. Kryje się za tym – znowu – naturalna mądrość. Gdyby ktoś musiał składać zeznania obciążające najbliższą osobę, stawałby w przykrym konflikcie wartości. Jeśli oskarżony ksiądz jest kimś bliższym dla biskupa niż nieznana ofiara, w naturalnym odruchu będzie go bronić. Wbrew Ewangelii.

Jak to zmienić? Świeccy muszą stawiać się także coraz bardziej codziennymi współpracownikami biskupów. Na razie papież powinien wprowadzić mianowanym przez siebie biskupom „rok propedeutyczny”. Ksiądz, przyjmując nominację na biskupa, musiałby spędzić rok na zwykłej pracy w takich miejscach jak domy pomocy s. Małgorzaty Chmielewskiej czy schroniska Brata Alberta. Jeśliby przetrwał, mógłby otrzymać sakrę. Można przypuszczać, że taka formacja zmieniłaby jego sposób patrzenia na świat, a rządzenie przybliżyła do ewangelicznego ideału służby.

Ktoś napisał, że aby rozbijać zamknięte struktury kościelne, Sekielscy powinni fundować Kościołowi taki film co roku. Tak, Sekielscy albo ktoś inny powinien taki otrzeźwiający prysznic sprawiać nam wszystkim przynajmniej co roku.

© P. ARTUR SPORNIĄK

TP

W NASTĘPNYM NUMERZE „TYGODNIKA” SPECJALNY DODATEK:

O dobrym umieraniu

Czas pandemii to dobry moment, by porozmawiać o czymś, co do tej pory wielu z nas wypierało. Wraz z założonym przez ks. Jana Kaczkowskiego Puckim Hospicjum pw. św. Ojca Pio zapraszamy do rozmowy o opiece paliatywnej, dobrym odchodzeniu i duchowym wymiarze choroby i śmierci.

W dodatku:

- Ksiądz Adam Boniecki w rozmowie z Anną Goc m.in. o towarzyszeniu ludziom w odchodzeniu i roli wiary w mierzeniu się z ostatecznością
- Katarzyna Jabłońska o umieraniu dobrym i złym
- Aleksandra Kutz o tym, dlaczego wypieramy temat śmierci
- Anna Saletra, psycholog Puckiego Hospicjum: sceny z życia pacjentów



PUCKIE
HOSPICJUM
PW. ŚW.
OJCA PIO

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
FOT. DAMIAN KRAWCZYK

Ty będziesz żołnierzem mesjasza

RAFAŁ HETMAN

**W Polsce był Żydem,
w Izraelu – Polakiem.
Ksiądz Grzegorz Pawłowski
nie żałuje, że opowiedział
historię swojego życia.**

NIE WIADOMO JUŻ, NA KOGO BYŁA ZADRESOWANA. Nie wiadomo, kto powiedział: „Tak, jego brat żyje w Hajfie”. Pewne jest natomiast, że przesyłka z milenijnym numerem „Tygodnika Powszechnego” przysłała do Bat Jamu z Polski, nadawcami byli Tujakowie z Tomaszowa Lubelskiego.

Był rok 1966, do Bat Jamu, niedużego miasta na południe od Tel Awiwu, cały czas napływali imigranci. Ulicami chodzili już Żydzi z Argentyny, Egiptu, Maroka, Rumunii, Turcji i Bułgarii. Byli też przybysze z Polski i to właśnie oni pochyłali się teraz nad płachtą zadrukowanego drobną czcionką papieru. „Moje życie” – taki tytuł nosił jeden z najdłuższych artykułów numeru.

Autor pisał: „Urodziłem się w Zamościu w roku 1931 jako najmłodszy z czworga rodzeństwa. Siostra Sura była ode mnie dwa lata starsza, druga siostra, Sznajdla Małka – pięć, a brat Chaim – siedem. Rodzice – Mendel i Mariem Griner – trudzili się sprzedawaniem węgla opałowego. Historia mojej rodziny zgodnie z tym, co pamiętam i co ocalały akta archiwalne w Zamościu, to dzieje typowej średniozamożnej rodziny żydowskiej”.

Dzieje strachu i rozstań. Najpierw wyjechał Chaim, na wschód, razem z cofającym się wojskiem radzieckim. Potem zniknął Mendel. Prawdopodobnie zabili go naziści w czasie prac publicznych gdzieś w Zamościu. Mariem z córkami zginęła w Izbicy. Ktoś odkrył ich kryjówkę, potem razem z innymi Żydami zamknięto je w remizie strażackiej, a po



Ks. Pawłowski w prowadzonej przez siebie Bibliotece Polskiej przy kościele św. Piotra w Jafie, Tel Awiw, 27 lutego 2020 r.

dziesięciu dniach zostały zamordowane na cmentarzu żydowskim i spoczęły w zbiorowej mogile.

Uratował się najmłodszy. Jakub Hersz. Miał jedenaście lat. Udało mu się uciec z piwnicy, w której ukrywała się grupa Żydów. Nie zdążył pożegnać się z siostrami, nie zdążył pożegnać się z matką, ale zapamiętał jej słowa: „Ty będziesz żołnierzem mesjasza”.

Kiedy pisał artykuł do „Tygodnika”, już wiedział, że przepowiednia się sprawdziła.

Metryka

Pytam: – A jak to było z tym chłopcem, który przyniósł księdzu metrykę?

– Ja go spotkałem na ulicy w Zamościu – odpowiada ks. Pawłowski. – Starszy ode mnie. Widocznie mnie znał. Żydowski chłopiec. Pyta mnie: czy chcesz żyć? No pewnie, że chcę żyć! To musisz mieć metrykę urodzenia, mogę ci ją dać. A skąd ty ją weźmiesz? A co cię to obchodzi?! Poczekaj. Poczekaliśmy kilka minut i mi ją dał.

– Na metryce był Grzegorz Pawłowski?

– Ja wtedy nie umiałem jeszcze czytać. Poszedłem do rodziny Michałków. Znałem ich. To byli Polacy. Pokazałem metrykę, a oni spytali, czy wiem, jak się teraz mam nazywać? Grzegorz Pawłowski. Wbili mi to do głowy razem z datą urodzenia, że potem zapomniałem swojej prawdziwej. Dopiero po wojnie w archiwum w Zamościu mogłem sprawdzić, kiedy urodziłem się naprawdę.

Ta metryka uratowała mu życie: – Ktoregoś dnia poszedłem się zagrzać – opowiada ks. Pawłowski. – W Zamościu, tam gdzie tory kolejowe, był obóz pracy przymusowej. Po prawej stronie stała wartownia, było mi zimno, więc tam wszedłem. Ale przyszło dwóch Niemców. Chodzą z nami, chłopce. Byli bardzo grzeczni i zaprowadzili mnie na gestapo. Gestapowiec pyta: ile masz lat? Ja mówię. Nieprawda! I uderza mnie w twarz. Pokazałem mu metrykę, więc zaprowadzono mnie do gestapowca wyższej rangi. Była tam już jakaś Żydówka, która nie miała żadnego dokumentu. Gestapowiec mnie pyta: gdzie masz opaskę? Nie mam i mu pokazuję metrykę. Kiwnął głową i mówi: tak, jego wypuszczam. I cichym głosem: a ona na śmierć. Podchodzi do niej drugi Niemiec z pistoletem i mówi: ja cię zabiję. A ten wyższy rangą: dlaczego ją straszysz, każdy chce żyć. Czyli wiedziałem, że on miał dobre serce. A ten wyrok nie był od niego, tylko on tak musiał. Ale gdyby chciał zbadać, że jestem chłopcem żydowskim... Przecież byłem obrzezany. Nie chciał badać.

Mesjasz

Wojna się już skończyła, ale strach pozostał. Dlatego trzynastolatek wszędzie opowiada, że jest dzieckiem Polaków. Katolików. Że ojciec był szewcem i umarł przed wojną, a matkę z młodszą siostrą zabili Ukraińcy. On się uratował, bo wtedy akurat spał w stodole. Kiedy tak zmyśla, potrafi się rozplakać ze wzruszenia.

W domu dziecka w Rogoźnie kłamie w żywe oczy księdzu, choć od dawna fascynuje go kościół, piękne ołtarze, śpiew wiernych, organy i kazania. Od dawna co niedzielę chodzi z innymi dziećmi na msze. Chodzi też na religię, zdaje egzaminy przed pierwszą komunią, wsiąka w nową wiarę. Ale nie ma chrztu. Przed pierwszą komunią idzie z płaczem do księdza Wacława Kosmali i wyznaje, że nie został ochrzczony. „Skąd wiesz?”

– pyta duchowny. „Matka mi mówiła...” – kłamie.

Ceremonia chrztu odbywa się na kilka dni przed pierwszą komunią. Matką chrzestną Grzegorza Pawłowskiego zostaje kierowniczką domu dziecka Kazimiera Łagowska, ojcem Wincenty Umer. Chłopiec tego dnia ma na sobie nowy garnitur z kokardką na piersi.

Kiedy jest w siódmej klasie, dom dziecka w Rogoźnie zostaje zlikwidowany. Grzegorz Pawłowski trafia do Bystrycy koło Lublina. Do liceum chodzi w Lublinie. Chce służyć do mszy. Uczy się ministrantury. Wkrótce zaczyna posługę i zapomina języka żydowskiego. Jest ministrantem w katedrze. Codziennie przystępuje do komunii.

– Nie kłóciło się w środku księdza, że się sprzeniewierza wierze rodziny?

– Nic mi się nie kłóciło – powie w roku 2020, siedząc przy stole w niewielkim pokoju w budynku kościoła św. Piotra w Jafie. – Jeżeli Stary Testament mówi o mesjaszu, a Pan Jezus jest mesjaszem, to jestem na dobrej drodze. Nie miałem wątpliwości, bo przecież matka mi powiedziała „ty będziesz sługą mesjasza”. Coś w tym było.

Święcenia

– Kiedy pojawiło się powołanie?

– Po siódmej klasie zostałem przeniesiony do Domu Młodzieży w Lublinie. A już po dziewiątej klasie chciałem iść do jakiegoś zakonu. Na przykład do kapucynów. Przychodzę, a furtian mówi: ci chłopcy już pojechali. W Lublinie byli jezuici. Przyszedłem do nich i w tajemnicy powiedziałem prawdę o sobie i że chcę wstąpić do zakonu. Ten człowiek, z którym rozmawiałem, poszedł do Domu Młodzieży i wszystko opowiedział dyrektorowi. Nikt wcześniej tam nie wiedział, że jestem Żydem. Ja do was już nie pójde, jak wy tak tajemnice zachowujecie!

Najpierw jednak Pawłowski trafił z Lublina do Puław.

– Byłem bardzo religijny – opowiada. – To były czasy stalinizmu. W szkole zrobiono masówkę. Zebrano młodzież w sali i zaczęto najeżdzać na wiarę, na papieża. Nie mogłem wytrzymać i zabrałem głos. Jako jedyny! Chcieli mi dać wilczy bilet. Zastanawiano się w kuratorium, co ze mną zrobić. Z jakiegoś powodu w kuratorium była siostra Klara Staszczuk z Puław, kierowniczką domu dziecka. „To ja go wezmę do siebie” – mówi. I przysze-

dłem do Puław do gimnazjum Czaratoryskich. Ale tam też była masówka, najazd na religię i też zabrałem głos. UB mnie wzywa: jak chcesz zdać maturę, musisz donosić, co się dzieje u siostr zakonnych. Ja mówię: nie będę donosił. To nie zdasz matury! To nie zdam! Jednak dali mi maturę skończyć. I siostra Klara powiedziała, że bym poszedł do seminarium, ale nic nie opowiadał.

– O pochodzeniu?

– Że jestem Żydem, nie trzeba mówić. Już chodzę w sutannie drugi rok, a ojciec duchowny Karol Konopka mówi: spowiadaj się z całego życia. Ja mówię: nie ma potrzeby spowiadać się z całego życia. A dlaczego? Bo byłem późno chrzczony. A dlaczego? Bo byłem późno chrzczony... A dlaczego? Bo jestem Żydem. Czy o tym powiedziałeś rektorowi? Nie. Kładę ci na sumieniu, masz to powiedzieć. I powiedziałem.

– I co?

– Najpierw zapytali o metrykę chrztu. To mogłem dostarczyć. Ale później D. zaczął mnie prześladować. Przez cały czas, odkąd się ujawniłem, mnie prześladował. On był chyba z rodziny antysemickiej. Jemu moje pochodzenie przeszkadzało. Przecież Pan Jezus pochodzi z rodziny żydowskiej. Obrzezany był. Matka Boża Żydówka. Co to przeszkadza, że jeszcze jeden Żyd dołącza?

– A kim był D.?

– Później biskupem. Ależ mi dokuczał...

– Co robił?

– Może zostawmy ten temat. Tak czy owak zostałem wyświęcony. Siostry mi urządziły prymicje. Siostra Klara zastępowała matkę i w imieniu matki udzieliła błogosławieństwa, ks. Zygmunt Adamczewski w imieniu ojca. Siostry zrobiły przyjęcie. I później poszedłem do Żółkiewki, potem do Bobów i do Chodła, i w Chodlu właśnie napisałem ten artykuł. Ujawniłem się. Koniec już tego ukrywania się.

Artykuł

Ks. Grzegorz Pawłowski pisze swój artykuł w 1966 roku i wysyła do „Tygodnika Powszechnego”. „Co będzie, to będzie” – myśli.

– Wtedy w Polsce, jeżeli ksiądz był Żydem, to ukrywał – powie w roku 2020 i stuknie ręką w stół. – Był taki M., który w jidysz mówił, ale ukrywał to. Wszyscy wiedzieli, że był Żydem, ale on niby nie→

→ wiedział. Ja z kolei uważałem, że to jest hańba dla księdza katolickiego, stróża moralności, żeby się zapierał ojca, matki, sióstr, całej rodziny, która w okrutny sposób została zamordowana. Ale zadawałem sobie pytanie, co będzie z tymi Polakami antysemitami...

Ogromny tekst ukazuje się w podwójnym numerze 15-16 w kwietniu 1966 r. Polska obchodzi tysiąclecie chrztu.

Na pierwszej stronie redakcja cytuje fragmenty listu Karola Wojtyły opublikowanego przed rokiem: „[Kościół] żyje stale wolnością każdego z osobna człowieka, który świadomie wybiera Boga i chce do Niego przynależeć. Początkiem owej przynależności jest Chrzest. Sakrament wyznawców, a przedtem jeszcze Sakrament dzieci Bożych. Potężny wątek dziejów naszej duchowości wiąże się właśnie z nim”.

We wstępie do artykułu ks. Pawłowskiego (który podpisał się również swoim żydowskim imieniem) redakcja zwraca uwagę na wkład Żydów w bogactwo kultury polskiej: „Szczęśliwie się stało, że wstrząsające wspomnienia Jakuba Hersza Grinera – księdza Grzegorza Pawłowskiego – możemy drukować właśnie w numerze poświęconym Milenium. Gdyby ich tutaj nie było, brakowałoby w »Tygodniku« istotnego akcentu. Bo tysiąclecie Polski to nie może być święto autochtonów. Okrylibyśmy się wstydem, gdybyśmy tej rocznicy nie obchodzili wspólnie ze wszystkimi, którzy w ciągu dziejów przyszedli do Polski z zewnątrz i stawali się Polakami, zachowując przecież swoją narodowość, wyznanie, kulturę. Pierwszeństwo wśród nich należy się na pewno »Izraelowi, bratu starszemu«. (...) Polska była im matką, ale była macochą”.

Tułaczka

Artykuł ks. Pawłowskiego czytają jego parafianie. Ci obecni, z Chodla, i ci byli z innych miejscowości. Podobno w sąsiednim Pusznie milenijny numer „Tygodnika” ludzie przekazują sobie od domu do domu.

„Zaczęto się dobijać do drzwi naszej kryjówek”.

„Wyszedłem z domu pierwszy. Zauważyłem kilku gapiów Polaków. Żadnego Niemca. Wykorzystałem sytuację i uciekłem. Ktoś powiedział: »To chłopiec żydowski«, ale inni szepnęli: »Cicho, niech ucieka«. Mamusia i dwie siostry zostały,

Fałszywa metryka
uratowała mi życie.

Z czasem zapomniałem swoją datę urodzenia.

Dopiero po wojnie
w archiwum w Zamościu
mogłem sprawdzić,
kiedy urodziłem się naprawdę.

ociągając się z wyjściem, nic nie wiedząc o mojej ucieczce”.

„Nadeszła noc. Byłem bezdomny. Udałem się na krańce Izbicy dla większego bezpieczeństwa. Podszedł do mnie jakiś mężczyzna i bez pytania, jakby coś o mnie wiedział, wskazał dom, w którym na pewno mnie przenocują. I rzeczywiście – przyjęto mnie tam bardzo serdecznie”.

„A właśnie kiedy opuszczałem Izbicę, zauważyłem, jak łapano chłopca żydowskiego. Może by i uciekł, gdyby nie przechodząca tamtędy dziewczyna, która go schwyciła. Biedak szamotał się, płakał, błagał o litość, ale daremnie”.

„Przez pewien czas przechowywało mnie starsze małżeństwo, państwo Ptasz-kowie (Józef i Anastazja), zamieszkali przy ulicy Partyzantów 31. Polacy byli nader dla mnie życzliwi. Nie mogłem tam być długo ze zrozumiałych względów, ażeby ich nie narażać”.

„Przechowywała mnie potem znajoma starsza pani, Katarzyna Wońska (ul. Hrubieszowska 10). Była dla mnie czuła jak matka”.

„Wśród tej ciągłej tułaczki nauczyłem się nieźle po polsku i przyswoiłem sobie pacierz, a metryka ciągle mi się przydała. Gdzie tylko przebywałem, klękałem rano i wieczorem do pacierza, żeby nikt mnie nie posądził o inne wyznanie”.

„Przyjęła mnie do pasienia krów Józefa Harasim. Kazała do siebie mówić – »babcia«, do córki (Teofili Bajak) – »ciocia«, a do jej męża Aleksandra – »wujek«”.

Żyd

– Po publikacji artykułu okazało się, że Polacy nie są antysemitami. Ja z takimi nie miałem do czynienia – powie ks. Grzegorz Pawłowski w roku 2020. – Ludzie

byli ciekawi, bardzo się mną interesowali. Mogłem normalnie pracować. Na przykład w Abramowicach głosiłem rekolekcje jako Żyd. Ksiądz Żyd. Ludzi przyszło dużo, byli ciekawi. To było za czasów Gomułki, kiedy prześladowano Żydów, a ja od ludzi nic nie słyszałem, żadnego słowa. Wszędzie mnie honorują. Nawet ksiądz biskup Cisło, on jest bardzo życzliwy dla Żydów, o tym warto wspomnieć, kiedy jedzie na wizytację parafii i bierzmowanie, to mnie bierze, jak jestem w Polsce. Żebym dał świadectwo.

– Uwolnił się ksiądz od ciężaru?

– Czulem się sobą. To mi dokuczało, dlaczego ja się nie przyznaję do pochodzenia. Przecież moja rodzina zginęła tylko dlatego, że wszyscy byli Żydami, nic złego nie zrobili. W moich oczach to są święci ludzie.

Brat

„Przyjedź, ktoś z twojej rodziny żyje” – powiedział głos w słuchawce. Chaim musiał się bardzo zdziwić, kiedy odebrał telefon, ale jeszcze tego samego dnia wsiadł w pociąg i przyjechał z Hajfy do Tel Awiwu, potem do Bat Jamu.

Co myślał jadąc? Na pewno głos w telefonie wyjaśnił, że chodzi o małego Hersza. Ostatni raz bracia widzieli się we wrześniu 1939 roku. Chaim czytał gazety. Był pewien, że jeśli Niemcy zaatakują Polskę, Żydów czekają prześladowania. Kiedy więc pojawiła się możliwość ucieczki na wschód, nie wahał się. W dniu wyjazdu nie zdążył się pożegnać z najmłodszym bratem. Chaim trafił do Armii Czerwonej, doszedł z nią do Berlina. Nie wrócił do Zamościa, bo myślał, że wszyscy zginęli. Przez Cypr dotarł do Izraela. Pracował w kibucu, ożenił się z Żydówką z Tomaszowa Lubelskiego.

Chaim czyta artykuł i płacze.

– To jest mój brat – mówi.

Pomnik

– Jak napisałem artykuł, to już potem mogłem wszystko robić – mówi ks. Pawłowski. – Pojechałem do Izbicy, poszedłem na cmentarz żydowski i zobaczyłem, jak się tam krowa pasie. To myślę sobie, że ja jako ksiądz nie mogę na to pozwolić, żeby krowa chodziła po grobie mojej matki, sióstr i pomordowanych Żydów. I wtedy postawiłem pomnik. Przedstawia górę Synaj, jest napis: „Nie zabijaj!”.

„Błogosławionej pamięci najdroższych rodziców Mariem i Mendla Griner, sióstr

Sznajdli i Sury oraz wszystkich Żydów zamordowanych na tym cmentarzu w listopadzie 1942 r. przez hitlerowskich gwałcicieli przykazań bożych” – tak brzmi napis.

– Dostałem pozwolenie od rabina z Warszawy. A jak już wszystko postawiłem, policja kazała mi się zgłosić w Izbicy. Poszedłem tam w sutannie.

Opowiedział o rodzinie. Przyjęli to.

– A swój grób kiedy ksiądz przygotował?

– To już zrobiłem, jak byłem w Izraelu. Drugi pomnik, dla siebie, bo chcę być pochowany obok matki. Nikt by mi tego, jako księdzu, nie wybudował. A to jest moja wola. Nie mogłem tam krzyża postawić, więc na pomniku jest kosz z chlebem i dwie ryby. Jak Żyd patrzy, to nie bardzo wie, co to oznacza, a chrześcijanin jak patrzy, to wie.

Na nagrobku napis: „Opuściłem najbliższych w obliczu ich zagłady, aby ratować swe życie. Oddałem je w służbie Bogu i ludziom. Powróciłem na miejsce ich męczeńskiej śmierci”.

Wyjazd

W artykule opublikowanym przez „Tygodnik” autor zwierza się czytelnikom z jeszcze jednego sekretu. Od dawna czuje powołanie, by głosić Ewangelię wśród Żydów. „W jakiś sposób jestem odpowiedzialny za życie duchowe swojego narodu, z którym łączą mnie więzy krwi” – pisze.

Chce wyjechać do Izraela. Dobrze mu wśród Polaków, ale powołanie jest silniejsze. Jeszcze nie wie, że w Hajfie mieszka jego brat.

W 2020 r., kiedy rozmawiam z ks. Pawłowskim w Jafie, mija dokładnie 50 lat od jego przyjazdu do Izraela. Kiedy przyjechał tu w 1970 r., nie został uznany przez władze Izraela za Żyda.

Również dla Chaima przestał już być Żydem.

Praca

Chaim jedzie na lotnisko. Za chwilę ma spotkać młodszego brata. Po tym, co przeczytał w artykule, na pewno ma mieszane uczucia.

„Wyjeżdżając z Polski miałem napisane »Żyd«, jak przyjechałem do Izraela, napisano mi »Polak«” – powie ks. Pawłowski w 2006 r. Tomaszowi Czajkowskiemu z „Ośrodka Brama Grodzka – Teatr NN”.

Pojechałem zobaczyć dom matki brata.

Jak się wtedy ludzie rzucali, jak wściekli byli! Mówię: „jestem księdzem katolickim, mam obrazki z Ziemi Świętej”.

Dałem im je, dopiero uwierzyli.

W drodze do Hajfy Chaim oświadcza bratu, że musi zdjąć koloratkę. W jego domu nie może chodzić ubrany jak ksiądz. Rabin, którego Chaim się radzi, podpowiada: „Lepiej z daleka. Żeby on nie miał wpływu”.

„Ja powinienem ciebie uważać za nieboszczyka – oświadcza w końcu Chaim. – Ale tego zrobić nie mogę” – dodaje.

„Jestem u brata, ale źle się czuję” – mówi któregoś dnia do słuchawki Grzegorz Pawłowski. Po drugiej stronie kabła jest ks. Alfred Delme, znajomy ze studiów Karola Wojtyły. „No to ja jestem sam. To przyjedź do mnie” – odpowiada duchowny.

Ks. Delme ma mieszkanie i kaplicę. W mieszkaniu Grzegorz Pawłowski nocuje, w kaplicy się modli. Zaczyna też naukę hebrajskiego i angażuje się w duszpasterstwo Polaków mieszkających w Tel Awiwie. Z czasem ma coraz więcej pracy. Coraz lepiej mówi też po hebrajsku. W tym języku uczy dzieci religii. Niedługo napisze po hebrajsku podręcznik do nauki religii. W kościele św. Piotra w Jafie prowadzi msze w języku polskim. Czasem po polsku i hebrajsku jednocześnie.

Dom

– Jak się układały stosunki z bratem?

– Później już dobrze – przyznaje ks. Pawłowski. – Nawet niedawno był u mnie jego wnuk z żoną. Podałem koszerne jedzenie. Zawsze koszerne stawię. Brat umarł 23 lata temu, na serce. Kiedyś z bratankiem pojechałem zobaczyć w Tomaszowie dom jego matki. Jeszcze stał. Ale ludzie tam się wtedy skandalicznie zachowywali. Jak oni się rzucali, jak wściekli byli! W końcu im powiedziałem: myśmy przyszli tylko zobaczyć. Ja jestem księdzem katolickim. Proszę bardzo, mam

obrazki z Ziemi Świętej. Dałem im obrazki, dopiero uwierzyli. Religijni Polacy!

Tak samo było, jak poszedłem odwiedzić w Zamościu dom, w którym mieszkaliśmy, jak nasz dom się spalił. Mieszkaliśmy w jednym pokoju wszyscy. Gospodarz tego domu wyskoczył: ale ja ten dom kupiłem! Ja mówię: przyszedłem jako ksiądz, ja tylko chcę zobaczyć, jak myśmy mieszkali. Zrozumieli.

Infuła

Ks. Pawłowski w 2011 r. został uhonorowany tytułem protonotariusza apostołskiego, czyli infuła. Od tego czasu ma prawo do noszenia fioletowej sutanny i mitry. W 2018 r. otrzymał tytuł Honorowego Obywatela Miasta Lublina. Pięć książek. Właśnie oddał do druku kolejną. Na każdej podpisuje się tak samo: ks. Grzegorz Pawłowski (Jakub Hersz Griner). Po naszym spotkaniu autor wręcza mi jedną z nich – „Ocaleni z Zagłady”.

We wstępie Marian Turski pisze: „Ogromna jest wiara Jakuba Hersza Grinera, który narodzi się na nowo jako Grzegorz Pawłowski. Wychowany przez tych, którzy go ratowali – jak sam pisze – w atmosferze wiary chrześcijańskiej, przyjął ją jako własną. Uznaje to i szanuje – to emanuje z Jego postawy i Jego twórczości. Jest to, jestem o tym przekonany, wiara bardzo bliska źródła judeochrześcijańskich”.

Dodaje też: „Odnosi się wrażenie, że Jego przekonanie, iż w ludziach dominuje dobro, niemal ociera się o naiwność. Może być też, że ks. Grzegorz – człowiek dobrego serca, niekiedy swoje *wishful thinking* przenosi na opisywaną rzeczywistość”.

Opowieści

W Izbicy historia ks. Grzegorza Pawłowskiego obrosła legendą. W tych opowieściach Jakub Hersz Griner spotyka na swojej drodze samych troskliwych ludzi. Kiedy ucieka od matki i śmierci, przygarniają go na noc. Rano namawiają do ucieczki, bo Niemcy są zbyt blisko. Ratują go kolejni. W końcu piechotą dochodzi do Lublina. Tam trafia do sióstr zakonnych. Po wojnie odnajduje brata, wiara ich nie dzieli, cieszą się, że przeżyli.

© RAFAŁ HETMAN

Przy pisaniu tekstu korzystałem z Biblioteki Multimedialnej na stronie TeatrNN.pl.

Drobiazgi codzienności

MACIEJ MÜLLER

O tym, w jaki sposób można modlić się słowami Pisma Świętego, opowiada w nowej książce opat tyniecki.

LECTIO DIVINA TO MONASTYCZNA PRAKTYKA modlitewna polegająca na codziennej lekturze Pisma Świętego. Mniści przestrzegają przed szkoleniem się w konkretnych jej metodach: każdy musi odnaleźć swoją, jest to bowiem osobiste spotkanie z Bogiem. A Boga nie da się do niczego zmusić, można natomiast i warto z Nim przebywać – nawet jeśli nie miałyby z tego czasu wyniknąć praktyczna nauka. Celem i nagrodą będzie *metanoia*, przemiana myślenia.

„Czasem mamy dużo sił i ochoty, jesteśmy otwarci i pojętni, czytanie Pisma Świętego cieszy nas jak nic innego na świecie” – pisze o. Szymon Hiżycki w wydanej ostatnio książce „Słowo jest blisko ciebie”. Bywa, że „po prostu czytamy i mniej więcej rozumiemy, co Autor miał na myśli”, ale zdarzają się też chwile, „w których wszystko w nas krzyczy, że powinniśmy Pismo zamknąć i wreszcie zrobić coś konkretnego”. Wszystkie te sytuacje – uspokaja opat tyniecki – są normalne.

Cóż więc czynić? Po prostu czytać. Jak tłumaczył o. Hiżycki w jednym z wywiadów dla „TP” (nr 46/2018), w apoftegmatych Ojców Pustyni „często wraca motyw siły Słowa Bożego. Ktoś się skarży: czytam Pismo, ale nie rozumiem jego sensu. Abba mówi tymczasem: módl się. Ty nie rozumiesz, ale demony uciekają”. W *lectio divina* niekoniecznie chodzi o intelektualne uchwycenie sensu; starożytni pustelnicy mówili raczej o medytowaniu Pisma – w znaczeniu „przeżywania” jego słów, powtarzania ich w rytm pracy.

Strzały z łuku

Lectio divina ma więc wymiar indywidualny. W tej praktyce pomoże jednak po-



KRISTEN CURETTE / ADOBE STOCK PHOTO

dejzerzenie „wyników” osiągniętych przez bardziej doświadczonego czytelnika. Taką funkcję może pełnić wspomniany tom gromadzący biblijne rozważania o. Hiżyckiego z lat 2014–16.

O ile teksty autora są efektem wytrwałych rozmyślań, o tyle warstwa edytorska książki nosi niestety znamiona pośpiechu. Brakuje (z wyjątkiem pierwszego rozdziału) oznaczenia lat liturgicznych A, B i C, co utrudnia wyszukiwanie rozważania pasującego do danego dnia (dla ułatwienia: 2020 to rok A, pasują więc rozważania z roku 2014). W spisie treści nie przypasowano rozdziałów do dat.

Opat w niektórych tekstach przedstawia główną myśl płynącą z biblijnego passusu, innym razem skupia się na zdaniu czy nawet słowie. Interesuje go religijność dotykająca życia. Przypomina, że modlitwa jest budowaniem relacji z Bogiem, a nie „naszego dobrego wizerunku w oczach innych bądź też własnych”. Że jeśli nie ma na nią czasu, warto sięgnąć do starej praktyki aktów strzelistych: „krótkich, intensywnych modlitw, które zanosimy pośród naszych zajęć, a które niczym strzały wypuszczone z łuku szybują w niebo”. Bóg nie potrzebuje specjalnego czasu ani przestrzeni, „naszym Taborem może być kolejka do sklepu, zatłoczony tramwaj, samochód, którym jedziemy do pracy”. My z kolei nie potrzebujemy do

wiary cudów, bo skoro Królestwo Boże jest niepozorne jak ziarnko gorczycy, „w drobiazgu codzienności jest ukryty Bóg i Jego dary”.

Trójca, durniu

Celem życia chrześcijanina jest zbawienie. Opat podkreśla (czytając Pawłowe listy), że dostajemy je „za darmo, dzięki Męce Pańskiej”, i „nie możemy sobie u Boga na nie zasłużyć” – możemy je tylko przyjąć. Kiedy mówimy „bądź wola Twoja”, nie pętamy sobie rąk, tylko zwracamy się ku tej woli, która „chce, aby wszyscy ludzie byli zbawieni i doszli do poznania prawdy” (1 Tes 4, 3).

Życ mamy – wskazuje z kolei apostoł Piotr – w bojażni. Brzmi to niezbyt zachęcająco – nie ukrywa o. Hiżycki. Tylko co to właściwie oznacza? Bojaźń to nie lęk, tylko świadomość tego, że skoro „Syn przelał krew, to każdego dnia i w każdej chwili jest gotów dla nas na wszystko, abyśmy mogli z Nim żyć na wieki”. I to z tego względu warto „badać, czy decyzja, którą mamy podjąć, jest po myśli Bożej”.

Myśl tę pomaga zrozumieć przytoczona w innym miejscu anegdota: benedyktyn wspomina, jak spytał jednego z mnichów, dlaczego przy biurku zawiesił kartkę z napisem: „Trójca Przenajświętsza, durniu!”. „Zawsze, kiedy zderzam się z własnym grzechem – tłumaczył zakonnik – kiedy nie daję rady, kiedy wydaje mi się, że jakiś problem jest nie do rozwiązania, przypomina mi się tajemnica Trójcy Świętej. Na ludzki rozum jest nie do pojęcia, ale wiara mówi nam, że taki właśnie jest Bóg. Skoro zatem On jest tak niepojęty, tak zjednoczony, tak miłujący, tak pełen szacunku, potęgi, to da sobie radę i ze mną, i z moją słabością, z którą ja sobie rady dać nie mogę, i jakoś dzięki Niemu do nieba się doczołgam”.

A że dogmat Trójcy jest nie do pojęcia? „Pojmowanie, kim jest Bóg, zajmie nam całą wieczność – pisze opat. – Weźmy zatem głęboki oddech, dopiero stawiamy pierwsze kroki w tej fascynującej przygodzie”.

© P



Szymon Hiżycki OSB
**SŁOWO JEST
BLISKO CIEBIE.
REFLEKSJE
WOKÓŁ CZYTAŃ
LITURGICZNYCH**
Tyniec 2020



**13. FESTIWAL
MUZYKI
FILMOWEJ**
26.05—1.06.2020 r.

SŁUCHAJ W RMF CLASSIC

CODZIENNIE O 21.00

26.05 | CINEMA CHORALE (2019)

27.05 | CINEMATIC PIANO: LION.
DROGA DO DOMU –
HAUSCHKA & DUSTIN
O'HALLORAN (2018)

28.05 | CINEMATIC PIANO:
JEAN-MICHEL BERNARD
(2017)

29.05 | ALL IS FILM MUSIC: GALA
JUBILEUSZOWA 10. FMF (2017)

30.05 | MIĘDZYNARODOWA GALA
SERIALI (2015)

31.05 | GALA MUZYKI FILMOWEJ:
ANIMACJE (2016)

1.06 | KONCERT SPECJALNY
Z OKAZJI DNIA DZIECKA

SPRAWDŹ PROGRAM KONCERTÓW ONLINE NA **RMFCLASSIC.PL**

OGLĄDAJ NA:



/rmfclassic



@rmfclassic



/rmfclassic

TRAKTAT O KOŚCIELE

„Problem »Tygodnika Powszechnego«” – tak biskup Karol Wojtyła zatytułował swój raport z 1962 r., którego adresatem był prymas Wyszyński, a który dopiero dziś ujrzał światło dzienne. Co to za dokument?

KS. ADAM BONIECKI

BYŁ ROK 1961, GDY POLSCY BISKUPI zaniepokoiili się „Tygodnikiem Powszechnym”. Niektórzy z nich pytali, czy może on określać się jako pismo katolickie. Prawdopodobnie wtedy przewodniczący Episkopatu prymas Stefan Wyszyński zwrócił się do metropolity krakowskiego abp. Eugeniusza Bazia-ka z prośbą o przedstawienie stanowiska. Arcybiskup, który troskę o „Tygodnik” już wcześniej powierzył Karolowi Wojtył – od 1958 r. biskupowi pomocniczemu – jemu też zlecił opracowanie dokumentu, o który poprosił kard. Wyszyński.

W marcu 1962 r. dokument taki, zatytułowany „Problem »Tygodnika Powszechnego«. Próba analizy”, został przekazany kard. Wyszyńskiemu, wraz z wprowadzającym listem bp. Wojtyły. Nieco później (być może na prośbę prymasa) autor przekazał jeszcze „Aneks”. W liście bp Wojtyła wyjaśniał, że jego analiza ma pomóc („według uznania Waszej Eminencji!”) do „ustalenia poglądów na temat katolickości »Tygodnika Powszechnego« w gronie Dostojnego Episkopatu”.

„Starałem się uchwycić problem »Tygodnika Powszechnego« od strony tego wszystkiego, co dlań jest najbardziej istotne i znamienne – pisze przysły papież. – Istnieje moim zdaniem jakaś zasadnicza koncepcja tego pisma oraz jego wewnętrzna linia. Zdaje mi się przeto, że przyznawanie mu lub też odmawianie prawa do tego [katolickiego] charakteru, jaki ono samo wyznaczyło sobie w podtytu-
tule, zależy w pierwszym rzędzie od przy-

jęcia lub też odrzucenia owej jego zasadniczej koncepcji i linii”.

Bp Wojtyła podejmuje więc problem katolickości „Tygodnika”. Jednak nie jest to ani apologia, ani oskarżenie, lecz traktat o Kościele. Konkretnie: o miejscu i roli w nim ludzi świeckich.

Przechowywaną w Archiwum krakowskiej Kurii Metropolitarnej kopię tych dokumentów, dotąd niepublikowanych, odnalazł i zamieścił w swojej książce – wydanej niedawno z okazji stulecia urodzin Karola Wojtyły – ks. prof. Jacek Urban, dyrektor tego Archiwum [o książce piszemy w tym numerze – red.]. Objętość dokumentu – kilkadziesiąt stron maszynopisu – sprawia, że nie możemy przytoczyć go w całości. Publikujemy jego fragmenty, natomiast całość czytelnicy znajdą na naszej stronie internetowej.

Katolicki, nie kościelny

Bp Wojtyła zaczyna od zwięzłego przypomnienia historii „Tygodnika”, „który swym ładunkiem treściowym nie miał chyba precedensu”. Píše, że po 1945 r. wydawanie takiego pisma okazało się potrzebne, bo w polskim katolicyzmie „na-gromadziły się w ciągu tegoż dwudziestolecia [międzywojennego] i okupacji pewne nowe energie, które potrzebowały takiej właśnie krystalizacji, zwłaszcza na tle nowych stosunków, jakie po zakończeniu wojny natychmiast się u nas zarysowały”.

Autor podkreśla, że początkowo „Tygodnik” – w latach 1945-53 wydawany przez Kurię Krakowską – był pismem

„nie tylko katolickim, ale wręcz kościelnym”, a jednocześnie „na tle szerokiej dyskusji światopoglądowej (...) jednym z głównych organów, poprzez który wypowiedziadała się strona katolicka”. Pismo związane z Kurią nie angażowało się politycznie, traktując politykę „li tylko sprawozdawczo”.

Jednak nie tamten rozdział historii pisma interesuje autora. Dla bp. Wojtyły moment przełomowy to rok 1956. Gdy po „odwilży” w komunistycznej PRL pismo wraca do prawowitej redakcji, Kurią Metropolitalną nie jest już jego wydawcą. Robiony przez tych samych ludzi co przed 1953 r., „Tygodnik” pozostaje katolickim pismem społeczno-kulturalnym, ale wydawanym przez zespół świeckich katolików. Nie jest więc już „w żadnej mierze pismem kościelnym, ale tylko pismem katolickim”. Związek z Kurią Metropolitalną redakcja zachowuje dzięki osobie asystenta kościelnego, mianowanego przez krakowskiego ordynariusza, a kompetencje asystenta dotyczą ortodoksyjności publikowanych materiałów religijnych.

Dzieło katolickiego laikatu

Bp Wojtyła kładzie nacisk na to, że pismo „w swej dzisiejszej postaci to w o wiele większej mierze dzieło katolickiego laikatu, aniżeli w swej [postaci] pierwotnej”. „Tygodnik” sprzed roku 1953 „o wiele bardziej uczył, chociaż także dyskutował”. Obecny przede wszystkim obserwuje i dyskutuje. „Pod pewnym względem socjologia zajęła w nim miejsce



Spotkanie z redakcjami „Tygodnika Powszechnego” i „Znaku” w siedzibie arcybiskupów krakowskich po nominacji abp. Karola Wojtyły na kardynała, czerwiec 1967 r.

filozofii i teologii – jest to jednak proces raczej dobrze wyważony, zgodny z ogólną przemianą umysłowości”. Autor dodaje, że „Tygodnik” „jest może teraz bardziej religijny, podczas gdy dawniej był bardziej światopoglądowy i teologiczny”.

Jeśli świeccy katolicy angażują się w wydawanie tego pisma, to dlatego, że czują się odpowiedzialni za Kościół – pisze autor. Nie można zaś być odpowiedzialnym, pozostając „w roli elementu słuchającego (Kościół słuchający) i biernego”. Powstaje nowa sytuacja: pojawienie się „laikatu nauczającego”, będącego dopełnieniem nauczania hierarchicznego.

Świadom uprzedzeń wobec „Tygodnika”, bp Wojtyła stawia zasadnicze pytanie: „Które konflikty wynikają z błędów doktrynalnych, a które są tylko produktem odrębnego sposobu widzenia tych samych prawd i tych samych spraw, innego nieco u świeckich niż u duchownych?”. I dalej opisuje ten „świecki” sposób widzenia i oczekiwań, aby „Kościół był bardziej dla świeckich niż dotąd, bo dotąd był bardziej dla duchownych”.

Rzecz o doktrynie

„Nauczający laikat” chce być w zgodzie z nauczającym Kościołem – pisze bp Wojtyła i podkreśla, że w „Tygodniku” wprawdzie „bywają potknięcia, ale uporczywego błędu nie ma”, a trzeba też odróżnić błędy doktrynalne od błędów postępowania czy taktyki.

Podważa też niektóre stawiane „Tygodnikowi” zarzuty. Np. pyta, czy błędem doktrynalnym jest wyczuwalna w „Tygodniku” tendencja, aby katolicyzm „polski” (z jego mocnym powiązaniem pierwiastka narodowego z religijnym) zastąpić katolicyzmem „uniwersalistycznym” (powszechnym!). I podaje drażliwy – dla prymasa Wyszyńskiego – przykład entuzjastycznej reakcji „Tygodnika” na Sobór Powszechny z ideą zjednoczenia chrześcijan (przypomnijmy, że Sobór Watykański II miał zacząć się za kilka miesięcy, jesienią 1962 r.) oraz pewien dystans, z którym redakcja traktuje Wielką Nowennę milenijną, sztandarowy projekt kard. Wyszyńskiego.

Akcentowanie uniwersalizmu jest czymś pozytywnym – pisze bp Wojtyła – jednak robi wrażenie *désintéressement* w stosunku do tego, co jest zwyczajne i przeciętne w polskim katolicyzmie oraz w Kościele w Polsce. To zaś, pisze dalej, musi wywoływać sprzeciw u ludzi, którzy są ściśle związani właśnie z teraźniejszością Kościoła w Polsce, jak hierarchia i duchowieństwo.

Omawiając jeszcze kilka stawianych „Tygodnikowi” zarzutów (o elitarność czy estetyzm), bp Wojtyła tłumaczy, że aprobatą (lub dezaprobatą) pisma, aby była sensowna, musi dotyczyć samych założeń i zasad. „Tymczasem u nas – pisze bp Wojtyła, być może mając tu na myśli grono biskupów – zwraca się uwagę na różne szczegóły, tj. na publikacje, które z punktu widzenia katolickiego robiły wrażenie niewłaściwych, bądź w znaczeniu teoretycznym, bądź praktycznym”, nie docierając do istoty rzeczy. „Nie będziemy jednak – konkluduje – akcydentalnych potknięć uważać za przekroczenie granic katolicykości”.

Misja świeckich

⇒ Biskup Karol Wojtyła był świadom uprzedzeń części Episkopatu. W swym tekście chciał nade wszystko przedstawić „Tygodnik” jako realizację misji świeckich w Kościele, jej specyfikę, różną od misji osób duchownych.

Wiedział, jak świeccy potrafią irytować duchownych, zwłaszcza biskupów, oraz jak duchowni są postrzegani przez świeckich. Chciał też doprowadzić do zaprzestania ataków na „Tygodnik” z powodu jednej czy drugiej niefortunnej publikacji. Znając dobrze ludzi ze środowiska „Tygodnika” i „Znaku”, cenił ich poważne zaangażowanie religijne i chronił przed zagrożeniami, których był, jak widać, świadom. Cenił ich, ale nie idealizował. Jako obrońca był skuteczny, bo może dzięki tamtym polemikom „Tygodnik” do dziś pozostał katolickim pismem społeczno-kulturalnym.

Napisane przez 42-letniego krakowskiego biskupa pomocniczego opracowanie zostało wysłane do kard. Stefana Wyszyńskiego z datą 7 marca 1962 r. Zawarta w nim obrona katolicyzmu „Tygodnika” – bo tekst niewątpliwie jest obroną, choć wcale nie bezkrytyczną – opiera się na jego wizji miejsca i roli świeckich w Kościele. Dodajmy, że takiej wizji, jaką odnajdziemy później w soborowym dekreście o apostołstwie świeckich („*Apostolicam actuositatem*”), ogłoszonym w 1965 r.

Bp Wojtyła jest przekonany, że „Tygodnik” urzeczywistnia właśnie ideę odpowiedzialności świeckich za Kościół. Píše: fakt, że „jest on [*Tygodnik*] dzisiaj daleko bardziej niż poprzednio dziełem grupy świeckich katolików, każe nam zwrócić szczególną uwagę na jego stosunek do Kościoła, jako (...) religijnej społeczności, w której na plan pierwszy wysuwa się kapłaństwo oraz hierarchia z nim związana (...). Polski laikat reprezentowany (...) przez zespół »Tygodnika Powszechnego« zdaje sobie sprawę z tego”.

Dalej czytamy: „Świadomość ta nie uchyla jednak (...) potrzeby zaznaczenia swojej odrębności własnego zaangażowania. (...) Laikat współczesny to nie jest tylko prosta obecność świeckich w Kościele, oznacza on przede wszystkim ich zaangażowanie połączone z poczuciem odpowiedzialności za Kościół. Jedno i drugie musi zakładać jakieś własne widzenie Kościoła i wszystkich jego spraw –

własne to nie znaczy bynajmniej nieortodoksyjne, niemniej oznacza zawsze w jakiś sposób »świeckie«. Stoi poza tym widzeniem inne powołanie doczesne, inna formacja, inne warunki i styl życia itd. To wszystko nie może pozostawać bez konsekwencji. Odpowiedzialność świeckich za Kościół w którymś miejscu musi dotknąć doktryny – wynika to z samej istoty tej odpowiedzialności: nie można być odpowiedzialnym za Kościół, pozostając w roli elementu słuchającego (Kościół słuchający) i biernego, musi się wówczas w jakiś sposób »głosić« bodaj z pozycji wyznawcy, jeśli jeszcze nie »nauczać«. A jednak przy dzisiejszej organizacji życia kulturalnego i umysłowego wychodzi to w ostatecznym rachunku na jakieś »nauczanie«”.

Nowe ujęcie, nowe zadania

Bp Wojtyła ostrzega, że między tymi, którzy „z urzędu i posłannictwa” nauczają w Kościele, a laikatem „nauczającym” mogą powstawać konflikty. Wtedy – powtórzmy przytoczony już powyżej cytat – podstawowe pytanie brzmi: „Które konflikty wynikają z błędów doktrynalnych, a które są tylko produktem odrębnego sposobu widzenia tych samych prawd i tych samych spraw, innego nieco u świeckich niż u duchownych?”.

Dalej czytamy, że „nauczanie” laikatu, którego przejawem jest właśnie działalność pisarsko-publicystyczna „Tygodnika” i „Znaku”, wynika „ze swojego »świeckiego« sposobu widzenia Kościoła i różnych jego problemów”.

Jakie są cechy znamienne tego sposobu widzenia – pyta Wojtyła i odpowiada: to „nowe ujęcie Kościoła”. Otóż „Kościół ma być bardziej dla świeckich niż dotąd, bo dotąd był bardziej dla duchownych (...). Kapłaństwo to nie (...) statyczna godność, ale (...) dynamiczne zadanie (...). Kapłani istnieją nie dla siebie, lecz dla świeckich. (...) Stosunek świeckich do duchownych układa się na zasadzie mocno stawianych postulatów, na zasadzie przede wszystkim żądania, a nie przede wszystkim uznania. Taka zasada tkwi bardzo głęboko w samej koncepcji współczesnego laikatu. (...) Gdy laikat zaczyna w swoim sposób »nauczać« (...) zasada żądania może się skryształizować nawet w swoisty »antyklerykalizm ludzi wierzących« (...). W imię zrozumienia samej istoty kapłaństwa stawia się żądania oraz poddaje krytyce sposób życia, a jeszcze bardziej spo-

sób duszpasterzowania, ze szczególnym naciskiem na sposób nauczania”.

Rozmowy i listy

Opracowując swój tekst o „Tygodniku” – będący właściwie małym traktatem o laikacie w Kościele – bp Wojtyła nie wiedział, że za dwa lata, w 1964 r., zostanie arcybiskupem metropolii i sam będzie musiał wziąć odpowiedzialność za katolicyzm pisma, którego redakcja mieściła się (i mieści nadal) przy ul. Wiślniej, w oficynie pałacu arcybiskupów krakowskich.

Jako krakowski arcybiskup i przewodniczący Komisji Episkopatu ds. Świeckich, a niewątpliwie także z racji łączących go z ludźmi „Tygodnika” więzów przyjaźni, Karol Wojtyła czuł się odpowiedzialny za to pismo nie tylko „urzędowo”. „Tygodnik” leżał mu na sercu. Świadczy o tym choćby fakt, że mniej więcej co miesiąc zapraszał do siebie redaktorów „Tygodnika” i „Znaku” na Franciszkańską, na długie i czasem niełatwe rozmowy. Świadczy o tym także wymiana listów o sprawach najbardziej istotnych z redaktorem naczelnym Jerzym Turowiczem. Ta więź nie wygasła po wyborze na Stolicę św. Piotra.

W tej współpracy nie zabrakło „napięć i konfliktów”, o których pisał w 1962 r. Rozumiał interlokutorów – co nie znaczy, że się ze wszystkim zgadzał. Przedmiotem sporów nie były jakieś niefortunne incydenty, lecz zasady.

Widzenie duszpasterskie, widzenie dziennikarskie

Korespondencję Karola Wojtyły z Jerzym Turowiczem opublikowaliśmy w 2006 r. Uważna lektura tych listów pozwala stwierdzić, że w toczonych sporach zderzały się dwa sposoby widzenia zjawisk tego świata: duszpasterski i dziennikarski.

Kwestią kluczową było to, jak w redagowaniu pisma mają się do siebie informacja (o Kościele po Soborze) i formacja (religijna), którą kardynał nazywał „inicjacją” lub „pedagogiką wiary”. Abp Wojtyła uważał, że misją katolickiego pisma jest nade wszystko formacja i jej powinno być podporządkowane wszystko. Z informacji, które mogłyby zakłócić proces formacyjny, pismo katolickie powinno jego zdaniem raczej rezygnować.

Redaktor w odpowiedzi zapewniał, że pojawiająca się w jego piśmie krytyka ludzkiego pierwiastka w Kościele wynika



Spotkanie podczas Soboru Watykańskiego II: Karol Wojtyła (od półtora roku arcybiskup), Jerzy Turowicz i ks. prałat Edmund Uliński na tarasie Villi Quo Vadis we Frascati pod Rzymem. Nie udało się ustalić tożsamości kobiety. 6 października 1965 r.

z miłości do Kościoła, z troski, by działał się w nim lepiej. Kardynał nie przyjmował tego do wiadomości, wracał do idei inicjacji. To ona, a nie krytyka, musi być punktem wyjścia refleksji nad realizacją Soboru. „Krytyka Kościoła nie może spełniać funkcji pozytywnej – i dlatego trudno w niej dostrzec prawdziwą miłość Kościoła (...). Miłość bowiem nie może się wyrażać przede wszystkim w krytyce. Z relacji choćby międzyludzkich wiemy, że zasadniczym wyrazem miłości nie może być krytyka, lecz afirmacja” (list z 3 lipca 1969 r.).

W liście z 13 marca 1968 r. kardynał pisał do Turowicza: „szczególny problem naszych czasów rodzi się stąd, że prasa oraz inne środki społecznego przekazu myśli rozpowszechniają w błyskawicznym tempie oraz w szerokim zasięgu wszelkie nowości w dziedzinie religijnej. Nowości te dają czasem łatwą okazję do zgorszenia. Dzieje się tak bądź dlatego, że to, co owe środki przekazu podają, bywa nieraz ujmowane zbyt powierzchownie i przez to zniekształcane – bądź też ze względu na różne okoliczności, na jakie życie religijne napotyka w poszczególnych krajach – bądź wreszcie dlatego, że nie dość bierze się pod uwagę znaczenie podawanej nauki. Niejednokrotnie w takim nieroztropnym rozpowszechnianiu nowości biorą udział nawet księża, osoby

zakonne, teologowie czy wychowawcy, nie wykazując dostatecznej troski o »pedagogikę wiary«.

W drodze do ideału

Nie ma wątpliwości, że Karol Wojtyła, także potem jako Jan Paweł II, dobrze rozumiał aspiracje świeckich w Kościele, że nie obruszał się na ich krytyczne głosy dotyczące funkcjonowania kościelnych instytucji i ludzi Kościoła. Jako papież mówił o tym m.in. do polskich biskupów, podczas podróży do Polski w czerwcu 1997 r.: „O ile sytuacja dawniejsza zyskiwała Kościołowi ogólne uznanie – nawet ze strony osób i środowisk »laickich« – to w sytuacji obecnej na takie uznanie w wielu wypadkach nie można liczyć, trzeba raczej liczyć się z krytyką, a może nawet gorzej. Trzeba zdobywać się na *discernimento*: akceptować to, co w każdej krytyce może być słuszne. A co do reszty: jest rzeczą jasną, iż Chrystus zawsze będzie »znakiem sprzeciwu« (por. Łk 2, 34)”.

Myślę, że dla biskupa Wojtyły kreślona przez niego w 1962 r. wizja Kościoła, w którym harmonijnie uzupełniają się misja duchownych i misja świeckich, była raczej idealnym celem niż realną rzeczywistością. Starał się ten cel przybliżyć, świadom, że pełna jego realizacja jest utopią. Inicjatywy świeckich otaczał opieką, był przeciwnikiem pospiesznych potępień.

Z drugiej strony zdecydowanie i nieustępliwie bronił katolickiej doktryny wiary, której strzeże Urząd Magisterski Kościoła.

Jednak – uznając wartość krytyki Kościoła – źle ją znosił, zwłaszcza na łamach katolickiego „Tygodnika”. Nie dowierzał zapewnieniom – jak widzieliśmy w cytowanym już liście – że owe krytyki są wyrazem miłości do Kościoła.

Wątek miłowania Kościoła wróci jeszcze po latach – w liście z 5 kwietnia 1995 r. na jubileusz powstania „Tygodnika”. Papież, odnosząc się do sytuacji po upadku komunizmu, napisał: „Kościoł w »Tygodniku« nie znalazł, niestety, takiego wsparcia i obrony, jakiego miał poniekąd prawo oczekiwać; »nie czuł się dość miłowany« – jak kiedyś powiedziałem”.

Niechętnie interpretacje tamtego listu, sugerujące potępienie czy odwrócenie się papieża od naszego pisma, zaskoczyły samego Jana Pawła II. Pytał mnie wtedy, jak może temu zaradzić, jak okazać życzliwość i szacunek dla „Tygodnika”. Ostatecznie Jan Paweł II postanowił, że w bardzo napiętym programie kolejnej wizyty w Polsce musi się znaleźć czas na spotkanie z Jerzym Turowiczem. Przez to spotkanie chciał powiedzieć, że z „Tygodnikiem” (czytaj: z laikatem w Kościele) może się spierać, może coś oceniać krytycznie, ale nie ma zamiaru go skreślać.

© © KS. ADAM BONIECKI



Arcybiskup Karol Wojtyła i Jerzy Turowicz

ARCHIWUM „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Karol Wojtyła o „Tygodniku”

CYTATY Z MEMORANDUM Z 1962 R.

Pierwszy „Tygodnik”

POWSTANIE „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” W ROKU 1945 na tle nowej sytuacji wewnętrzno-politycznej, która wówczas zaistniała, było równocześnie czymś zaskakującym i czymś prawie że koniecznym. Zaskakujące było to powstanie przez to, że jak zaraz po pierwszych numerach można było zauważyć, powstaje tygodnik, który swym ładunkiem treściowym nie miał chyba precedensu w okresie dwudziestolecia – było zaś nieodzowne z tej racji, że nagromadziły się w ciągu tegoż dwudziestolecia i okupacji pewne nowe energie w polskim katolicyzmie, które potrzebowały takiej właśnie krystalizacji, zwłaszcza na tle nowych

stosunków, jakie po zakończeniu wojny natychmiast się u nas zarysowały.

W krótkim czasie zdobyło sobie to pismo w polskim społeczeństwie bardzo mocną pozycję, uczyło i mobilizowało do myślenia, stało się wręcz jakimś narzędziem katolickiego zaangażowania. Sprawy polityczne były na łamach „Tygodnika” traktowane li tylko sprawozdawczo, o żadnym zaangażowaniu nie było wówczas mowy – rzecz jasna skoro pismo było tak blisko związane z Kurią. Tym niemniej w okresie wzrastającego nacisku politycznego redakcja raz po raz była zmuszana do zajmowania stanowiska wobec jakichś faktów polityki międzynarodowej czy też wewnętrzno-politycznych, a doprecyzowanie tego stanowiska bywało czasem sprawą wielkiego napięcia i wielkich trudności. Coraz też gwałtowniej dawały się odczuć naciski cenzury, która zwłaszcza w ostatnich latach przed rokiem 1953 dawała się redakcji mocno we znaki.

„Tygodnik” po Październiku 1956

Można powiedzieć, stosując ten sąd z wszystkimi możliwymi zastrzeżeniami – że stał się on [„Tygodnik”] widownią jakiejś szczególnej próby sił polskiego laikatu katolickiego. Jako pismo redagowane i wydawane przez zespół świeckich katolików wśród bardzo trudnych warunków zewnętrznych, ideowo-politycznych, musi wciąż zdawać egzamin ze swojej dojrzałości w wielu kierunkach. Samo przejęcie „Tygodnika Powszechnego” od strony wydawniczej przez zespół świeckich katolików było raczej zgodne z życzeniem odnośnych władz kościelnych, a nowym wydawcom zdaje się także odpowiadało.

W odróżnieniu od pierwotnego „Tygodnika”, który był pismem społeczno-kulturalnym o charakterze przede wszystkim światopoglądowo-doktrynalnym, „Tygodnik” obecny jest również katolickim pismem społeczno-kulturalnym, ale o charakterze raczej praktyczno-obyczajowym. To przesunięcie wewnętrznej osi pisma nie jest rzecz jasna przypadkowe – odpowiada ono (...) przede wszystkim istotnym zainteresowaniom i zapotrzebowaniom naszej dzisiejszej inteligencji, zwłaszcza zaś inteligencji młodej, wchodzącej w życie. „Tygodnik” bardzo się stara nawiązać z nią kontakt.

„Tygodnik” a Kościół hierarchiczny

Nie można być odpowiedzialnym za Kościół, pozostając w roli elementu słuchającego (...) i biernego, musi się wówczas w jakiś sposób „głosić” bodaj z pozycji wyznawcy, jeśli jeszcze nie „nauczać”. (...) Tak jest nie tylko w wypadku wybitnych myślicieli i pisarzy takich jak Gilson, Maritain czy Chesterton, ale z całą pewnością także w wypadku poszczególnych pisarzy i publicystów naszego „Tygodnika Powszechnego” czy „Znaku”. Zdaje się zresztą, że jest to bardzo wysoki poziom, gdy chodzi o warsztat pisarski, o umiejętność wyrażenia myśli, o wnikliwość i spostrzegawczość, a zwłaszcza może o kontakt z życiem i umysłowością współczesną. (...) Jest to olbrzymie i bezcenne uzupełnienie, ale równocześnie kryje się tutaj także możliwość napięć czy nawet konfliktów [z Kościołem nauczającym – red.]. (...)

Pisarze i publicyści, ludzie „nauczający” piórem, a nieraz i żywym słowem (choć nie z ambony), szukają takich literackich środków wyrazu, z pomocą których prawda chrze-

ścijańska lepiej trafi do współczesnego człowieka, zwłaszcza inteligenta. I ten sposób nauczania przeciwstawiają – oczywiście nie wprost i nie otwarcie – przeciętnemu kaznodziejstwu. Jest to stała pretensja o sposób nauczania zamykająca się w zarzucie „dętwej mowy”. Gdy chodzi o samą doktrynę, to „nauczający laik” chce być w zgodzie z nauczającym Kościołem – to samo odnosi się i do „Tygodnika Powszechnego” wraz ze „Znakiem”. Bywają potknięcia, ale uporczywego błędu nie ma. Na tym polega zasadnicza różnica w stosunku do Paxu.

„Tygodnik” a polski katolicyzm

Jest tendencja, aby katolicyzm „polski” zastąpić katolicyzmem „uniwersalistycznym” (powszechnym!). Rzecz jasna, iż żaden katolicyzm nie może być inny niż powszechny, a jednak socjologicznie katolicyzm polski, francuski czy holenderski lub hiszpański – to jakieś „różne katolicyzmy”. Otóż zdecydowany zwrot w stronę uniwersalizmu wyczuwa się w „Tygodniku Powszechnym” doskonale. Jest to tam jakby funkcją jakiegoś zbiorowego instynktu. Wystarczy wziąć pod uwagę reakcję „Tygodnika Powszechnego” i „Znaku” na Sobór Powszechny i ideę zjednoczenia chrześcijan i porównać ją z reakcją na naszą Wielką Nowennę millenijną. Nie można powiedzieć, że tej ostatniej brak lub tym bardziej że jest negatywna czy krytyczna, ale czuje się, że pochodzi ona raczej z posłuszeństwa, podczas gdy tamta ze spontanicznego entuzjazmu.

Równocześnie (...) wyczuwa się (...) jakiś krytycyzm lub przynajmniej pewnego rodzaju désintéressement w stosunku do tego, co jest zwyczajne i przeciętne w katolicyzmie polskim i w Kościele katolickim w Polsce. Wyczuwa się przeto, że ludzie tej grupy daleko bardziej koncentrują się na problemie „jaki powinien być” katolicyzm w Polsce, niż na tym „jaki on jest”. Od tego, jaki jest, jak gdyby się dyskretnie odwracali, nie żywiąc głębokiego przekonania ani do jego masowości, ani do jego psychologicznych cech. Są przekonani nie tylko o tym, że powinien być inny, ale także o tym, że w przyszłości na pewno będzie inny, jeśli w ogóle ma być. (...) [A] przecież przyszłość wyrośnie z tej teraźniejszości, która jest, a nie z żadnej innej, jakże więc można jej jakby nie dostrzegać, nie zajmować się nią. Czy w „Tygodniku Powszechnym” znalazł się choć raz jeden reportaż z polskiej parafii (jeden raz był, ale to dosłownie jeden raz) – a przecież to jeden z częstych tematów w „Argumentach” czy „Nowej Kulturze”, nie mówiąc już o „Słowie Powszechnym”, które artykułami tego typu wabi nieświadomych.

Tego wszystkiego, co jest w „Tygodniku Powszechnym” i „Znaku”, nie sposób ująć w jakąś jedną formułkę. Jest to z pewnością swego rodzaju elitaryzm czy nawet arystokracja odsuwający się raczej od tego, co zwyczajne i przeciętne, lub traktujący to z dystansu. Wystarczy przerzucić choć parę numerów np. „Przewodnika Katolickiego”, aby dostrzec głęboką różnicę. Otóż ów dystans w stosunku do tego, co stanowi przeciętną rzeczywistość katolicką w Polsce, musi znów stwarzać przeciwreakcję wśród tych, którzy tę rzeczywistość najbardziej tworzą czy też na nią się składają. Wówczas też wśród kół katolickich nastawionych krytycznie pod adresem „Tygodnika Powszechnego” może wyrosnąć pytanie: czy ludzie „Tygodnika Powszechnego”

i „Znaku” dostrzegają w ogóle rzeczywisty Kościół i jego realne problemy? Czy można u nich dostrzec prymat sprawy Kościoła?

Światopogląd czytelników

Adresatem „Tygodnika Powszechnego” i „Znaku” jest oczywiście inteligencja katolicka, ale chyba nawet i ona nie w całej swej masie. (...) W całej pełni jest on (...) czytelny raczej dla elity. (...) Nic w tym nie kryje się niewłaściwego, gdyby nie ta okoliczność, że pism katolickich jest w Polsce mało, a więc to, które jest, siłą faktu musi pokrywać większy wachlarz zamówienia społecznego. Na tym tle ów elitaryzm „Tygodnika Powszechnego” może być rozumiany jako odwracanie się od tego wachlarza, w kierunku własnych predylekcji zespołu. Ale gdy mowa o adresacie, trzeba dodać jeszcze jeden ważny fakt: „Tygodnik Powszechny” widzi swych adresatów wśród inteligencji dechrystianizującej się i ulegającej zlaicyzowaniu, a także wręcz niekatolickiej – faktycznie też jest czytany przez ateistów i indyferentów – i w tym widzi jakąś szczególną swoją rolę. Może mu nawet ta rola nieraz przesłania tamtą; woli pozostawać w dialogu, niż uprawiać monolog dla wierzących.

Ludzie „Tygodnika Powszechnego” cieszą się, gdy „obcy”, tj. światopoglądowo związani z przeciwnym obozem nieraz podkreślają to, że „u was możliwa jest tak wielka wolność” (okazuje się wówczas, że prawdziwe dogmaty to jednak coś innego niż dogmatyzm). W sumie więc trzeba uznać, że zespołowi redagującemu „Tygodnik Powszechny” i „Znak” chodzi o to, i to jest chyba jedna z naczelnych jego trosk, aby tworzyć pismo kulturalno-społeczne, które swym poziomem nie ustąpi ani na krok analogicznym pismom redagowanym przez ludzi niekatolickiego czy nawet antykatolickiego światopoglądu.

Spojrzenie na kulturę

W tendencjach „Tygodnika Powszechnego” i „Znaku” tkwi może jakaś – chyba nieświadomiona, jak wszystkie tzw. skrzywienia zawodowe – próba sprowadzenia całokształtu wartości katolicyzmu i Kościoła do wartości kultury – niewątpliwie wspaniałej i fascynującej, przede wszystkim samych twórców pisma, kultury, która dlatego, że jest katolicka, czyli uniwersalna (powszechna), włącza w siebie w pewien sposób wszystko, co jest w kulturze ludzkiej

→

TP

Stulecie urodzin Jana Pawła II – zapraszamy do serwisu specjalnego

A w nim wybór najlepszych tekstów „TP”: o tajemnicach tamtego konklawe, o papieżu, który wołał bliskość ludzi niż cokoły, o pierwszej pielgrzymce do Polski i starciach krakowskiego biskupa z SB. Przypominamy też korespondencję papieża z Jerzym Turowiczem: jakie były relacje Jana Pawła II z „Tygodnikiem”?

Weź, czytaj | powszech.net/wojtyla

→ w ogóle. I dlatego to wielkie zamiłowanie do peryferii, dlatego tyle miejsca np. dla Camusa, nie mówiąc już o Mounierze, i dla całej plastyki współczesnej (nb. w większości o tematyce religijnej). Stąd też owa postawa „otwarta” tak często proklamowana, która poprzez wartości kultury stara się być blisko wszystkich ludzi bez względu na różnice religijne i światopoglądowe. Nie jest to więc postawa katolicka jako postawa tylko „wyznaniowa”, zwłaszcza jeśli przechodzi w tzw. integralizm (co innego niż integralizm) – tę uważaliby w „Tygodniku Powszechnym” za „zamkniętą” – ale postawa katolicka jest „powszechna”, taka, że może nawiązać (na płaszczyźnie wartości kultury) kontakt lub przynajmniej dialog ze wszystkimi ludźmi, nawet z ideowymi przeciwnikami.

Potrzeba czujności

Nie ma podstaw do tego, aby nie godzić się z samymi założeniami i zasadami, na których oparta jest cała inicjatywa pisarsko-publicystyczna polskiego laikatu katolickiego skupiona w „Tygodniku Powszechnym” i „Znaku”. Kontynuowanie tej inicjatywy wymaga jednak po obu stronach, tj. po stronie Episkopatu, zarówno jak po stronie „nauczającego laikatu”, stałej czujności – a więc też stałego porozumienia. Formy tego porozumienia jeszcze muszą się doprecyzować w praktyce. Oczywiście, że zasada posłuszeństwa doktrynalnego w sprawach wiary i moralności pozostaje poza wszelką dyskusją. Czujność zaś nieodzowna jest m.in. w tym celu, aby „Tygodnik Powszechny” nie był podejrzewany o jakieś demobilizowanie zdrowej katolickiej opinii społecznej opartej na tradycji.

„Tygodnik” a polityka państwa wobec Kościoła

Wiadomo, że od lata 1958 r. stosunek Państwa do Kościoła ulegał stałemu pogarszaniu się. Znalazło to pewne odzwierciedlenie w „Tygodniku Powszechnym”, zwłaszcza w publikowanych przezeń mowach poselskich. I tak S. Stomma (TP. 526) mówi o prawie równorzędnego startu dla młodzieży wierzącej i niewierzącej, a nawiązując do znaczenia tej siły moralnej, jakiej źródłem jest religia, domaga się takiego układania stosunków Państwo-Kościół, aby nadal realizował się „eksperyment polski”... S. Stomma wraca do tej samej sprawy w TP. 566, domagając się rozmów pomiędzy przedstawicielami Rządu i Episkopatu i wspominając o długiej liście skarg i żalów, których jednak na forum sejmowe szczegółowo nie wytacza. Właśnie o tych słusznych, najśluszniejszych pretensjach społeczeństwa katolickiego i Kościoła w Polsce, które w okresie od 1958 r. systematycznie i gwałtownie narastały, stanowczo za mało czyta się w „Tygodniku Powszechnym”. O wiele mocniej odczuwa się natomiast wysiłek w kierunku utrzymania samej zasady koegzystencji, jakby najważniejsze nie były fakty, które w nią godzą. Tymczasem o faktach mówi się mało, broniąc przede wszystkim zasady.

© KAROL WOJTYŁA

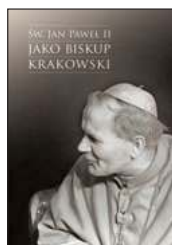
Śródtytuły i skróty od redakcji. Pełny tekst memorandum biskupa Karola Wojtyły do prymasa Wyszyńskiego publikujemy na naszej stronie internetowej.

Źródło: Ks. Jacek Urban, „Św. Jan Paweł II jako biskup krakowski. Wybrane zagadnienia”, strona 43 i następne.

Czego nie wiemy o Karolu Wojcie

KS. ADAM BONIECKI

Nowa książka ks. prof. Jacka Urbana pogłębia znajomość osoby ówczesnego biskupa krakowskiego: uświadamia, co myślał i jaką miał wizję.



Ks. Jacek Urban
„ŚW. JAN
PAWEŁ II
JAKO BISKUP
KRAKOWSKI.
WYBRANE
ZAGADNIENIA”.
Wydawnictwo
Księgarnia
Akademicka,
Kraków 2020

OTO I STULECIE URODZIN JANA PAWŁA II. Był postacią fascynującą. Napisano o nim setki książek, nakręcono kilka filmów, wydano w wielkich nakładach jego pisma i przemówienia. Jesteśmy więc przekonani, że świetnie go znamy – nawet jeśli ta znajomość sprowadza się do kilku anegdot i paru powtarzanych w kółko cytatów. Jak choćby ten niekompletny, z inauguracyjnego przemówienia: „Nie lękajcie się!” – podczas gdy pełne brzmienie to: „Nie lękajcie się! Otwórzcie na oścież drzwi Chrystusowi”.

Nawet my, z Krakowa, którzy spotykaliśmy go i znaliśmy jako naszego biskupa, wiedzieliśmy o nim niewiele i nadal mnóstwa rzeczy nie wiemy. Można się o tym przekonać czytając książkę, którą właśnie, z okazji setnej rocznicy jego urodzin, wydał ks. prof. Jacek Urban – dziekan Wydziału Historii i Dziedzictwa Kulturowego UPJPII, dyrektor Archiwum krakowskiej Kapituły Metropolitalnej i Archiwum krakowskiej Kurii Metropolitalnej. W książce „Św. Jan Paweł II jako biskup krakowski. Wybrane zagadnienia” się-



REPR. JAKUB GRELOWSKI / PAP

Biskup Karol Wojtyła wsiada do służbowego samochodu, początek lat 60.

gnął do materiałów archiwalnych, które – dopiero one – przybliżają nam niby znane obszary życia przyszłego papieża.

Głębszy wymiar

Ksiądz profesor pisze: „Proponuję kilka nacięć tematów, które nie zostały podjęte w tomie »Karol Wojtyła jako biskup krakowski« (1990). Nie ukrywam zamiaru oddawania głosu bohaterowi tej książki. Zamieszczam tekst źródłowy bp. Karola Wojtyły na temat »Tygodnika Powszechnego« (1962), kolejny na temat recepcji Soboru Watykańskiego II (1969) oraz obszernie fragmenty jego przemówienia do Rady Papieskiego Wydziału Teologicznego w Krakowie, będącego w pewnym sensie tekstem programowym (1973). Moim zdaniem są one ważne, a zarazem charakterystyczne dla kard. K. Wojtyły – św. Jana Pawła II papieża”.

Czerpiąc z dokumentów archiwalnych, ks. prof. Urban pokazuje więc głębszy wymiar nawet znanych wydarzeń z życia przyszłego papieża. Np. w rozdziale „Konsekracja biskupia ks. prof. Karola Wojtyły” relację z obrzędu (wszystkie konsekracje biskupie są do siebie podobne) przeplata bardzo osobistym komentarzem samego konsekrowanego.

Niektóre rozdziały książki są oparte o teksty krakowskiego metropolity. Tak jest w rozdziale „Spadek po Jadwidze. Troska kard. Wojtyły o Papieski Wydział Teologiczny w Krakowie w świetle jego przemówienia z 10 grudnia 1973”. Częściowo cytowany, a częściowo referowany tekst przemówienia kardynała – będącego wówczas przewodniczącym Komisji ds. Nauki Katolickiej Konferencji Episkopatu Polski i przewodniczącym Rady Naukowej Episkopatu – jest umieszczony w kontekście skomplikowanej sytuacji wyższych uczelni kościelnych w PRL. Dopiero dzięki temu odkrywamy, jak kard. Wojtyła widział sposoby i cele ówczesnych poczynąń Kościoła.

Z kolei rozdział o krakowskim Muzeum Archidiecejalnym i Muzeum Katedralnym na Wawelu jest nade wszystko opowieścią o długiej i poplątanej historii obu instytucji. Choć obie mają wielu ojców, do ich otwarcia doprowadził właśnie kard. Wojtyła.

Bóg zapłać za wsparcie

Jeszcze inny charakter mają rozdziały oparte na zachowanej w archiwach korespondencji (dostępnej w granicach za-

sady o niedostępnianiu korespondencji młodszej niż 50-letnia). Na wymianie listów z powołanymi do wojska alumnami oparty jest piękny rozdział „Kardynał Karol Wojtyła i klerycy-żołnierze”. Warto przypomnieć, że w latach 60. władze komunistyczne powoływały kleryków do służby wojskowej, jako że nie uznawały ich za studentów – w latach 1959-65 powołano tak 687 alumnów, a w latach 1965-68 kolejnych 876. Poddani presji ideologicznej, byli karani nawet za modlitwę czy noszenie medalików.

I oto okazuje się, że w archiwum kurii znajduje się kilka teczek, a w nich – dokumentacja wymiany listów między bp. Wojtyłą a klerykami z krakowskiego seminarium. Wzruszająca to lektura, gdy kleryk-żołnierz Stanisław Słaboń, odpowiadając na życzenia swojego biskupa, pisze: „Bóg zapłać za kartki nadesłane nam wszystkim. Twoje słowa podtrzymują nas na duchu”. Z kolei, reagując na list jednego z kleryków, który opisywał życie w komunistycznym wojsku, biskup odpowiadał: „rozumiem ten żal, wyrażony w ostatnim liście – z powodu przerwanych studiów, opóźnionych egzaminów itd. To wszystko będzie można nadrobić, a próbę wojska zabierzecie, da Pan Bóg, jako doświadczenie na całe życie kapłańskie”.

Listy do prymasa

Za szczególnie ważny uważam rozdział „Korespondencja ks. abp. Karola Wojtyły z kard. Stefanem Wyszyńskim”. Wprawdzie autor mógł opublikować tylko część przechowywanych listów (z lat 1958-68), to jednak materiał ten jest wystarczający do podważenia legendy o jakimś zasadniczym sporze tych dwóch postaci.

Listy świadczą o wzajemnym szacunku oraz lojalnej ich współpracy i są dowodem ogromnego wzajemnego zaufania. Uderzająca jest troska obu o dobrą wymianę informacji. Wynika z niej jasno, że prymitywny plan władz PRL skłócenia obu hierarchów kompletnie spalił na panewce.

W książce znajduje się też nieznany dotąd dokument: powstałe w 1962 r. na życzenie abp. Baziaka opracowanie autorstwa młodego, 42-letniego biskupa pomocniczego Wojtyły dla prymasa Wyszyńskiego (i ostatecznie dla Konferencji Episkopatu), zatytułowane „Problem »Tygodnika Powszechnego«”. O nim piszemy w tym numerze osobno. ©

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

#wygodniej Czytaj cały rok!

Zawsze jest czas na rozpoczęcie prenumeraty, ale jeśli chcesz otrzymać **podwójne, świąteczne wydanie na Boże Ciało, z nasionami polnych kwiatów i dodatkiem o korzyściach z łąki** (patrz str. 13 tego wydania) – zamów prenumeratę **JUŻ DZIŚ** (a najpóźniej do 27 maja 2020)!

Promocja #wygodniej to:

- **52 numery** „Tygodnika Powszechnego” z dostawą w cenie i pod wskazany adres oraz
- **natychmiastowy roczny dostęp online** o wartości 150 złotych*, czyli dostęp do bieżących wydań oraz do stale powiększającego się Archiwum (ponad 60 tys. tekstów) na stronie TygodnikPowszechny.pl

Sprawdź szczegóły promocji i zamów pod adresem:

powszech.net/wygodniej

Kontakt w sprawie prenumeraty:

Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 668 479 075
lub e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

– wydania drukowane

Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101
lub e-mail: kontakt@powszechswiat.pl

– wydania cyfrowe

Regulamin prenumeraty i promocji na
powszech.net/regulamin

~~520 pln~~ → **370 pln za rok!**

- **GRATIS** – wydanie „Tygodnik Powszechny Historia. Raport z przyszłości” **ORAZ** unikatowy notes „Książka do pisania. Jerzy Turowicz”**



**TYGODNIK
POWSZECHNY**

PARTNER MARKETINGOWY

SALES||manago
marketing automation

* dostęp zostanie uruchomiony do kilku godzin po zaksięgowaniu wpłaty

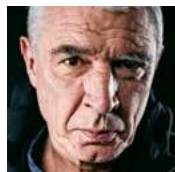
** notes i wydanie wysyłamy do trzech dni roboczych od zaksięgowania wpłaty

UWAGA! oferta dotyczy prenumeraty #wygodniej, nie łączy się z innymi zniżkami

ANDRZEJ

Stasiuk:

Elegia dla styliska



ZADZWONIŁEM DO REDAKTORA. „MOŻE byś o siekierze napisać” – powiedział. „Bo co? Że ostatnio pisałem o Dostojewskim?” – zapytałem. „To też. Ale stoję właśnie w ogrodniczym i siekiery oglądam. Wiesz, o siekierze jako o fetyszu w życiu i w kulturze też może być” – powiedział. „Świetnie się składa – odpowiedziałem – bo ja akurat drewno rąbię”. Co w istocie było prawdą. Tak powstają felietony, pomyślałem. Poprzez koincydencję sytuacyjną na przykład.

Z tym fetyszem jest coś na rzeczy. Od trzydziestu paru lat mieszkam na wsi i widziałem w swoim życiu niemało siekier. I wielu siekier używałem. W tym czasie odwiedziła mnie, rzec by można, rzesza ludzi. Zwłaszcza mężczyzn. I niemal każdy z nich pytał, czy może mi pomóc w rąbaniu drewna.

To był rytuał: siedzieli spokojnie jeden dzień, ale już na drugi pragnęli pomagać w gospodarstwie. Gdy proponowałem, że może gnój wyrzucić, dół wykopać, to ich zapał natychmiast przygasał. Widać widły i szpadeł nie miały wystarczającego fetyszystycznego powabu. Bo cóż diabeł, cóż tam grabarz wobec mężczyzny z siekierą, pod ciosami której ustępuje pradawna drzewna materia. Ustępuje sama przyroda wobec zwycięskiego mężczyzny stojącego we władczym rozroku i najlepiej bez koszuli. Zaprawdę widły i szpadeł to jest nic albo najwyżej jakieś jasełka oraz chłopski znój. Niektórych nie dało się przekonać i patrzyłem na nich przez okno. Im bardziej się nie dało, tym wyżej wznosili ostrze. Im ciężej szło, tym mocniej napierali na oporną materię w nadziei ostatecznego zwycięstwa. W rozroku, nadzy do pasa. Jak drwalskie archetypy. Aż w końcu wbijali siekierę ostatecznie. Czyli tak, że nie dało się jej uwolnić spośród poskręcanych bukowych sęków. Chyba że za pomocą drugiej siekiery albo stalowych klinów i młota. Patrzyłem przez okno i wcale nie miałem dobrego nastroju.

Bo nie wiem, czy państwo wiecie, ale kiedyś nie było w naszym kraju firmy Fiskars. Nie było tego technologicznego cudu, który pozwolił na wieczność spoić stal i poliwęglanowe czy jakie tam włókno. Stopić w jedną niezniszczalną całość ostrze i stylisko. Kiedyś styliska były tylko drewniane. Pękały i łamały się. Najbardziej podczas bezpardonowego pogromu materii przez moich archetypicznych drwali. Drwale wyjeżdżali, a ja zostawałem z resztkami narzędzi. Zostawałem w własnoręcznym struganiu trzonków, bo te ze sklepu do niczego się nie nadawały albo nie było ich wcale. Jak się miało gości, to trzeba było mieć zapas suchego jesionu. Nawet przyjemna praca, tylko długotrwała. Bo nie sztuka

nabić ostrze siekiery na kawałek drewna i zaklinować drewnem albo metalem. Każdy głupi potrafi, tyle że to i tak się w końcu wyrabia i zlatuje. Sztuką było uformować stylisko w kształcie długiego stożka o niemal niezauważalnej zbieżności, tak żeby ostrze nasunęło się na drewno i zatrzymało na samym końcu. Nawlec siekierę jak igłę na nitkę. Tak się zresztą mówiło: „nawlec”.

Ach te czasy, gdy rzeczy było niewiele i wymagały troski. Wymagały czułości. Te czasy, gdy trzonki od długiego używania (jeśli tylko nie zjawił się jakiś archetypiczny drwal) nabierały aksamitnej śliskości i dopasowywały się do dłoni, w której jednocześnie odciskała się pamięć każdego włókna, każdego słoju, każdej najłżejszej wklęsłości. Po pewnym czasie człowiek czuje się tak, jakby się z tym kształtem w dłoni urodził. Jakby się urodził z siekierą w dłoni. Jakby urodził się z fetyszem.

I ja, jak Redaktor, lubię przyglądać się w sklepach nowoczesnym siekierom. Są ich dziesiątki rodzajów, typów, marek. Lekkie, prawie kieszonkowe siekiery i ciężkie topory do rozłupywania najtwardszych pniaków. Doskonale wyważone, ergonomiczne, o geometrycznie i naukowo wyprofilowanych ostrzach, które potrafią ciąć drewno tak lekko, jak tnie się powietrze. Rzeczywiście są niezniszczalne. Dziś mógłbym spokojnie patrzeć przez okno na zmagania archetypicznych drwali. Powieka by mi nie drgnęła. Poliwęglan wytrzymał wszystko. Nie posiada wad. Tyle że dłoni nie zapamiętuje jego dotyku i kształtu.

No i znowu mi się zrobiła elegia. „Czego się nie tkniesz, to ci się robi” – szepcze moje zrezygnowane drugie ja. „Ano robi” – odpowiada równie zrezygnowane ja pierwsze. „Coraz częściej”. ©

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym dla Krakowa-Krowodrzy w Krakowie, I Wydział Cywilny, do sygnatury akt I Ns 1653/17/K toczy się postępowanie w wniosku Anny Kłosińskiej przy uczestnictwie Jana Marchowskiego i Alicji Marony o zasiedzenie.

Wnioskodawczyni Anna Kłosińska wniosła o stwierdzenie zasiedzenia nieruchomości znajdującej się w Krakowie przy ul. Zielony Most 5, składającej się z działki ewidencyjnej nr 576/2 o pow. 0,0178 ha, objętej LWH 508 Bronowice Małe, której poprzednimi właścicielami byli: Jadwiga Madej, Anna Wrona, Franciszka Marchowska, Maria Marona, Józef Marona, Zdzisław Marona, Cecylia Marona, Aleksandra Marona.

W związku z powyższym wzywa się zainteresowanych, zwłaszcza następców wyżej wymienionych osób, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się niniejszego ogłoszenia udowodnili swoje prawa, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi nabycie własności nieruchomości, jeśli zostanie udowodnione.

WSZYSTKIE KRYZYSY KOSOWA

Donald Trump chciał zakończyć konflikt między Serbią i Kosowem. Zamiast tego przyczynił się do upadku rządu, z którym mieszkańcy najmłodszego – i bardzo skorumpowanego – kraju Europy wiązali wielkie nadzieje.

MARTA SZPALA



MIESZKAŃCY PRISZTINY ŻARTUJĄ, ŻE EPIDEMIA pokazała Europejczykom, jak to jest żyć w Kosowie. Jako jedno z niewielu państw kontynentu, Kosovo jest objęte przez kraje Unii Europejskiej obowiązkiem posiadania wiz, a te zdobyć trudno. Teraz, gdy wszystkim ograniczono swobodę podróżowania – dodają moi rozmówcy ze stolicy Kosowa, z nadzieją w głosie – być może Unia przychylniej odniesie się do zniesienia wiz.

Jednak w ostatnich tygodniach, wraz z rozwojem epidemii, Kosowianie mieli coraz mniej powodów do żartów. W jej cieniu toczyła się bowiem inna walka, brutalniejsza – o władzę.

Zamrażanie i łagodzenie

Na wieść o rozprzestrzeniającej się w Europie pandemii rząd Kosowa zareagował szybko. Zanim jeszcze zdiagnozowano pierwszą infekcję COVID-19, zamknięto szkoły, przedszkola, kawiarnie i restauracje. Kosovo miało szczególne powody, aby obawiać się epidemii: państwowa ochrona zdrowia w tym kraju praktycznie nie istnieje, a szpitale są głównie prywatne.

Z czasem restrykcje zaostrzano. W połowie kwietnia godzinę policyjną zastąpiono zakazem wychodzenia z domów. Dozwolone było jedynie wyjście na zakupy, ale tylko raz dziennie i na 90 minut, w godzinach określanych przez pierwszą cyfrę numeru PESEL.

Analitik z Prisztiny Denion Galimuna przyznaje w rozmowie z „Tygodnikiem”, że choć początkowo ludzie byli niezadowoleni z ograniczeń, to szybko zorientowali się, iż działania podejmowane przez rząd przynoszą efekty. Liczba osób zakażonych nie wzrastała tak gwałtownie jak w innych państwach, a śmiertelność udało się utrzymać na niskim poziomie: do połowy minionego tygodnia w tym niespełna dwumilionowym kraju zmarło 28 osób. Nie protestowano więc, gdy kwarantanną objęto całe miasto: stołeczną Prisztinę i Kosowską Mitrowicę, zamieszkaną przez mniejszość serbską.

Między Prisztiną i Belgradem

W szczególnie trudnej sytuacji znaleźli się właśnie Serbowie, funkcjonujący między dwoma systemami. Miodrag Milićević z serbskiej organizacji Aktiv tłumaczy w rozmowie z „Tygodnikiem”, że początkowo nie wiedzieli oni, których zaleceń przestrzegać: tych wydawanych przez Belgrad (na który orientują się kosowscy Serbowie) czy tych płynących z Prisztiny. Tym bar-

dziej że komunikaty kosowskiego rządu były tłumaczone na język serbski z opóźnieniem i dopiero presja aktywistów spowodowała poprawę sytuacji.

Milićević wskazuje, że zamknięcie Mitrowicy – gdzie funkcjonuje jedyny serbski szpital – było szczególnie uciążliwe. Jednak Serbowie podporządkowali się restrykcjom wprowadzanym przez rząd Kosowa. Kryzys wymusił też współpracę między Belgradem a Prisztiną: dzięki włoskiej mediacji obie stolice – pozostające w konflikcie od secesji Kosowa dwie dekady temu – zaczęły wymieniać się informacjami (choć z Prisztiny nie przekazywano ich dalej władzom lokalnym, co potęgowało niepewność wśród Serbów). W geście dobrej woli władze Serbii przekazały nawet Kosowu tysiąc testów na obecność koronawirusa.

Kosowska analityczka Donika Emini z Platformy Civi-Kos podkreśla w rozmowie z „Tygodnikiem”, że rząd zawdzięcza sukces w walce z pandemią ministrowi zdrowia Arbenowi Vitii. Ten polityk z ruchu Samostanowienie (Vetëvendosje), który sam jest lekarzem, cieszy się dużą popularnością w społeczeństwie. Skuteczności rządu nie osłabiły ani wotum nieufności (przegłosowane 25 marca), ani nawoływania prezydenta – będącego w opozycji do rządu – do nieprzestrzegania restrykcji ze względu na ich rzekomą niekonstytucyjność.

Malejąca liczba nowych zakażeń pozwoliła na złagodzenie restrykcji już od 4 maja. W efekcie popularność Samostanowienia przekroczyła w sondażach 50 proc. Nie oznacza to jednak, że partia ta będzie dalej rządzić.

Nieskalany bojownik i skorumpowane elity

Powstały na początku lutego tego roku rząd, na czele którego stanął 45-letni premier Albin Kurti, lider Samostanowienia, dla wielu oznaczał nadzieję na zmiany i lepszą przyszłość – dla wszystkich, a nie tylko dla tych, którzy należeli do wąskiej grupy byłych członków Armii Wyzwolenia Kosowa.

To właśnie oni, byli partyzanci, dominowali bowiem na scenie politycznej od 2007 r. Wprawdzie ich rządy były niestabilne i naznaczone konfliktami personalnymi, ale dawnych partyzantów mocno łączyły dwa czynniki: pragnienie pomnażania własnego majątku i zarzuty o zbrodnie, których mieli się dopuścić podczas wojny o niepodległość Kosowa w 1999 r.

Postaciami symbolicznymi dla tej partyzantkiej elity są obecny prezydent Hashim Thaçi i były już premier Ramush Haradinaj. Gdy ten drugi objął w 2017 r. władzę, dwukrotnie zwiększył pensje członków rządu, twierdząc, że dotychczasowa nie wystarcza mu na zakup odpowiedniej garderoby. Zimowy urlop Haradinaj →

Od wojny o niepodległość w 1999 r., w której USA wsparły Kosowian przeciw Serbii, Stany cieszyły się tu wielką sympatią. Na zdjęciu: dowódca drużyny strażackiej wciąga na maszt flagę USA obok pomnika ówczesnego prezydenta Billa Clintona. Prisztina, 2 maja 2020 r.

→ zwykł spędzać wraz z rodziną w szwajcarskim kurorcie Sankt Moritz. Donika Emini mówi mi, że to właśnie ogromna frustracja społeczna po latach korupcji i nepotyzmu, które cechowały rządy dawnych partyzantów, wyniosła Kurtiego do władzy.

Drugim ważnym źródłem popularności Kurtiego był – jak podkreśla Emini – konsekwentnie budowany wizerunek bezkompromisowego obrońcy interesów mieszkańców, bez oglądania się na osobiste koszty. Wojna w Kosowie zastała go w serbskim więzieniu, gdzie miał spędzić 15 lat – skazany za organizowanie studenckich demonstracji. Zwolniony w 2001 r. po obaleniu w Serbii reżimu Slobodana Miloševicia, wrócił do Kosowa i jako lider ruchu protestów krytykował lokalne elity, a także działania oenzetowskiej misji UNMIK i unijnej EULEX. Kolejnym rządom zarzucał, że zgadzają się na niekorzystne porozumienia z Serbią, gdyż w zamian Zachód miał gwarantować im bezkarność – tolerując korupcję i brak rozliczenia zbrodni wojennych.

Ambitne priorytety Kurtiego

Kontestowanie negocjacji z Serbią, radykalne metody walki politycznej i odwołania do idei zjednoczenia z Albanią nie przysparzały Kurtiemu zwolenników na Zachodzie. Jednak w kraju jego popularność rosła – proporcjonalnie do niezadowolenia społecznego, widocznego zwłaszcza wśród młodych. W październiku 2019 r. udało mu się wreszcie wygrać przedterminowe wybory parlamentarne. Nawet sceptycy wobec jego stylu działania analitycy podkreślają, że jedynie Kurti może wprowadzić rzeczywiste reformy w Kosowie. Podobne głosy można usłyszeć w unijnych stolicach.

Przejmując władzę, Albin Kurti nie ukrywał, że priorytetem będzie dla niego reforma państwa i rozwój gospodarczy. Pierwsze decyzje – obniżka wynagrodzeń członków rządu, zdymisjonowanie politycznych nominatów w radach nadzorczych publicznych firm i zapowiedź lustracji majątkowej sędziów – zostały dobrze przyjęte przez społeczeństwo. Kwestia porozumienia z Serbią miała zejść na dalszy plan, choć – jak mówi mi Naim Rashiti, dyrektor kosowskiego think tanku Balkans Policy Research Group – zarówno państwa Unii, jak też USA naciskały na szybki powrót do dialogu z Serbią. I wtedy przyszła pandemia.

Przejęcie władzy przez Albina Kurtiego dało mieszkańcom Kosowa nadzieję na lepszą przyszłość. Radość nie trwała długo. Premier **chyba wygrał walkę z epidemią, ale stracił większość w parlamencie.**

Szybki koniec koalicji

Tracący poparcie społeczne prezydent Hashim Thaçi uznał, że walka z pandemią to dobry moment, aby powrócić do gry – i wezwał rząd do wprowadzenia stanu wyjątkowego. Oznaczało to bowiem przejęcie władzy w kraju przez prezydenta. Postulat Thaçiego wsparła Liga Demokratycznego Kosowa – ta sama, którą wcześniej z ruchem Kurtiego połączyły hasła walki z korupcją i dążenie do odsunięcia od władzy partyzantów, a która współtworzyła z nim teraz koalicję rządową.

Skąd taka wolta? Wcześniej politykom Ligi zdarzało się rządzić – na poziomie lokalnym i centralnym – w sojuszu z byłymi partyzantami. Gdy okazało się, że Kurti i jego Samostanowienie naprawdę chcą walczyć z korupcją, wielu działaczy Ligi poczuło się zagrożonych. Poza tym, jak wskazuje Naim Rashiti, tworząc rząd nie ustalono wspólnej strategii w kluczowych kwestiach, a poziom nieufności między partnerami koalicyjnymi był wysoki. Liga to najstarsza kosowska partia, a Samostanowienie to wciąż bardziej ruch protestu skupiony wokół charyzmatycznego lidera, który ma wspierających go bezwarunkowo wyznawców i jest niechętny kompromisom. Politycy Samostanowienia od początku podejmowali decyzje nie konsultując ich z Ligą.

Pomimo apeli z Unii Europejskiej o utrzymanie jedności, Liga złożyła wotum nieufności wobec własnego rządu. Mieszkańcy Prisztiny nie mogli protestować na ulicach, więc manifestowali uderzając w garnki i patelnie na balkonach. W innych państwach dziękuje się tak służbom medycznym, a my musimy bronić swojego rządu – komentowano.

Denioj Galimuna mówi, że ludzie byli wściekli, iż prezydent i jego sojusznicy wykorzystali epidemię do obalenia Kurtiego, zamiast wspierać rząd w tak trud-

nym momencie. Thaçi wyznaczył już nowego kandydata na premiera: ma nim zostać 44-letni Avdullah Hoti, niezbyt popularny polityk Ligi. Samostanowienie zaskarżyło tę decyzję do Trybunału Konstytucyjnego – wyrok ma zapadć pod koniec maja.

Kurti chce wykorzystać rosnące poparcie i dąży do przedterminowych wyborów, a winą za obalenie swojego rządu obciąża USA. Dlatego akurat Stany?

Donald Trump szuka sukcesu

W ostatnich kilkunastu latach Waszyngton nie angażował się aktywnie na Bałkanach, choć z niepokojem obserwował wzrost aktywności Rosji i Chin w tym regionie. Brak sukcesów na arenie międzynarodowej i walka o reelekcję sprawiły jednak, że Kosowo znalazło się w orbicie zainteresowań administracji Donalda Trumpa.

Zakończenie konfliktu między Belgradem a Prisztiną miało być tym sukcesem, którym prezydent USA mógłby pochwalić się w trakcie kampanii wyborczej. Do tej misji wyznaczono specjalnych przedstawicieli: mającego doświadczenie w kwestiach bałkańskich Matthew Palmera oraz Richarda Grenella – mniej doświadczonego, za to zaufanego współpracownika Trumpa, który od lutego pełni obowiązki szefa wywiadu, równocześnie będąc nadal ambasadorem w Niemczech.

Negocjacje kosowsko-serbskie, pod auspicjami Unii, od dawna tkwią w martwym punkcie. Przy wsparciu Chin i Rosji Belgrad blokuje działania Kosowa na arenie międzynarodowej i zabiega (z sukcesami) o wycofywanie uznania niepodległości tego państwa przez kolejne kraje. Wykorzystuje też kontrolę nad Serbską Listą – ugrupowaniem mniejszości – do blokowania reform w Kosowie. Próbuje wzmocnić swoją pozycję wobec Belgradu, poprzedni rząd w Prisztinie wprowadził stuprocentowe cła na produkty serbskie – od ich zniesienia władze w Belgradzie uzależniają powrót do rozmów.

Jest oczywiste, że sukces w tych negocjacjach pozwoliłby Trumpowi utrząć także nosa Europejczykom.

Negocjacje i groźby

Receptą na szybkie porozumienie miała być wymiana terytoriów, choć formalnie ta propozycja nigdy nie została skonkretyzowana. Czy więc Kosowo miałoby przekazać Belgradowi cały obszar na północy

zamieszkały przez serbską mniejszość (wraz z Kosowską Mitrowicą, jedynym serbskim miastem w kraju), czy jedynie kilka wsi? Czy Prisztina dostałaby w zamian Dolinę Preszewa zamieszkaną przez Albańczyków? Tego do dziś nie wiadomo.

Choć Belgrad nie kwapił się do zawarcia porozumienia, serbski prezydent Aleksandar Vučić odniósł się do tej koncepcji pozytywnie. Po stronie kosowskiej sojusznikiem Stanów okazał się natomiast prezydent Thaci, który spadek poparcia w kraju chciał zrekompensować sobie wsparciem Białego Domu. Przeciwnicy Thacięgo twierdzą nawet, że w zamian za kosowskie terytorium chciał zapewnić sobie bezkarność.

Sprawy miały pójść szybko. Naim Rashiti wskazuje, że Richard Grenell nie czekał nawet na ukonstytuowanie się rządu w Kosowie po wyborach z jesieni 2019 r. W styczniu i lutym w jego obecności Prisztina (reprezentowana przez prezydenta Thacięgo) i Belgrad zawarły porozumienia o wznowieniu połączeń lotniczych i kolejowych. Amerykanie naciskali na jak najszybsze zniesienie celi i powrót do dialogu politycznego.

Gdy na początku lutego Albin Kurti został premierem, był gotowy spełnić ten postulat. Ale żądał od Serbii wzajemności i zaprzestania stosowania pozacelnych barier, które blokują dostęp kosowskich produktów do serbskiego rynku. Kurti zdecydowanie odrzucał natomiast jakąkolwiek korektę granic i chciał zająć

miejsce Thacięgo przy stole negocjacyjnym. To nie wróżyło łatwych rozmów. Biały Dom spróbował jeszcze gróźb: dwóch bliskich Trumpowi senatorów i jego syn zasugerowali, że USA powinny rozważyć wycofanie swoich wojsk z Kosowa (są tam obecne od wojny w 1999 r., obecnie jako siły stabilizacyjne – obok żołnierzy z krajów Unii).

Gdy to nie przyniosło rezultatów, poszukano innych rozwiązań.

Czekając na kryzys

Prawdopodobieństwo, że Trump będzie mógł chwalić się zakończeniem tego sporu, jest jednak niewielkie. W szybką ugodę między Belgradem a Prisztiną nie wierzą ani Kosowianie, ani Serbowie. Serbie czekają wybory parlamentarne, które z powodu epidemii przełożono na 21 czerwca. W Kosowie sytuacja jest bardziej skomplikowana. Nawet jeśli Liga utworzy rząd, będzie mieć on niewielkie poparcie społeczne i silną opozycję ze strony Samostanowienia. A jeśli dojdzie do nowych wyborów, oznacza to dłuższą przerwę w negocjacjach.

Wyznaczenie na stanowisko specjalnego przedstawiciela Unii ds. dialogu kosowsko-serbskiego Mirosława Lajčaka oznacza z kolei, że Bruksela wraca do gry. W ostatnich dniach Lajčak podkreślił, że nie ma zgody na wymianę terytoriów. W Unii jest zbyt wiele państw obawiających się, że taki precedens – dostosowanie granic do linii podziałów etnicznych – wy-

korzysta Rosja, by usankcjonować swoje zdobycze terytorialne i sięgać po więcej.

Tymczasem mieszkańcy Kosowa zastanawiają się teraz głównie nad tym, jak głęboki będzie kryzys gospodarczy spowodowany pandemią. W kraju produkuje się niewiele, więc skutki zamknięcia gospodarki nie są tak dotkliwe. Tym bardziej że rząd zagwarantował wsparcie dla małych firm, dla osób samozatrudnionych i dla tracących pracę. Paradoksalnie dzięki kryzysowi Kosowo ma najniższy poziom oficjalnego bezrobocia od trzech dekad: aby ubiegać się bowiem o pomoc z rządowych pakietów antykryzysowych, trzeba było wyjść z szarej strefy i zarejestrować pracowników.

Donika Emini podkreśla jednak, że Kosowo żyje głównie dzięki licznej diasporze: emigranci nie tylko co miesiąc przesyłają pieniądze na utrzymanie swoim bliskim, ale przyjeżdżali masowo na wakacje i w odwiedziny, by organizować tu wesela i inne uroczystości. Wszystko to napędzało gospodarkę. Kryzys w Europie może ograniczyć też środki, które Kosowo otrzymuje od rządów Wielkiej Brytanii, Niemiec czy Szwajcarii.

Jeśli więc granice pozostaną zamknięte w okresie letnim, będzie to poważny cios dla gospodarki.

© MARTA SZPALA

Autorka jest analityczką w Ośrodku Studiów Wschodnich im. Marka Karpia w Warszawie, gdzie zajmuje się tematyką bałkańską.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // GRAFIKA NA OKŁADCE: WOJTEK KWIECIEŃ-JANKOWSKI



Wydanie jubileuszowe na 75-lecie „Tygodnika Powszechnego”

Piszą: Brzeziński, Dukaj, Jagielski, Kuźmiński, Lamża, Lem, Napiórkowski, Ochędowska, Okoński, Prusak, Rabij, Tischner, Turowicz, Żyła

„Raport z przyszłości” dostępny w sklepach z dobrą prasą i jako e-wydanie na powszech.net/raport

TYGODNIK
POWSZECHNY

FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

Sceny z życia chińskich parków

MARIA WIŚNIEWSKA Z PEKINU

Przestrzeń publiczna w dużych miastach Chin jest jak lustro, w którym odbijają się przemiany społeczne.

W WIOSENĄ SOBOTĘ JIAO JIANGUO wstaje bardzo wcześnie, zjada śniadanie – składające się z miski ciepłego mleka sojowego i smażonego w głębokim oleju podłużnego kawałka ciasta *youtiao* – po czym, tak jak przed wybuchem epidemii, rusza do parku Ritan. Co tydzień odwiedza w nim ulubiony zakątek, gdzie z wypiętą piersią i wyciągniętą dłonią ćwiczy arie z oper Verdiego. Oraz, z równym oddaniem, ulubiony szlager „O sole mio”. Pan Jiao zainteresował się włoskim śpiewem w 1981 r., gdy w Konserwatorium Muzycznym w Pekinie wysłuchał wykładu barytonu operowego Gina Bechiego, jednego z pierwszych zachodnich śpiewaków zaproszonych do Chin po rewolucji kulturalnej.

To wspomnienie rozpoczyna historię prowadzącą nas do Bramy Południowej, przez którą wraz z panem Jiao wchodzimy do parku.

Anonsy w cieniu cyprysów

Parki są wyjątkowo ważnymi miejscami w przestrzeni chińskich miast. Od świtu do późnej nocy wypełnione są ludźmi, z których tylko część spaceruje. Inni gimnastykują się, grają w madžonga, tańczą, śpiewają i kaligrafują na asfalcie chińskie znaki za pomocą dużego pędzla maczanego w kubelku wody. Szczególnie często parki odwiedzają ludzie starsi. Część z wnukami, inni przeciwnie: odrywają się od roli dziadków i ten czas wykorzystują dla siebie.

W tym roku wiosenne przebudzenie jest tylko trochę bardziej senne. W pawilonie nad jeziorem w parku Beihai, otoczony grupką słuchaczy, 60-latek recytuje poezję okresu Song. Przy stołach szachowych zwawci mężczyźni przekrzykują się, rozgrywając partię o 15 yuanów. Parę metrów dalej to kobiety wiodą prym w tańcach do rytmu hitów chińskiego popu,

ale nieraz przewinie się między nimi przytupujący z wdziękiem pan – podział płciowy jest zaznaczony, ale nie absolutny.

Nieopodal Zakazanego Miasta, w parku Zhongshan, rosną potężne, rozłożyste cyprysy zasadzone około tysiąca lat temu za dynastii Liao. W ich cieniu zatroskani dziadkowie młodych kawalerów i, nieco rzadziej, panien wywieszają anonsy matrymonialne zachwalające wzrost i pensję ich dorosłych już pociech. Czy wnuki o tym wiedzą? Nie zawsze. Czy metoda jest skuteczna? Seniorzy-swaci są tego pewni.

Olimpijskie ambicje

Parkowe życie często akcentuje tradycyjne elementy kultury chińskiej, ale samo w sobie nie jest zjawiskiem starym. Początki parków publicznych sięgają pierwszych lat Republiki Chińskiej, powstałej w 1912 r. w wyniku rewolucji, która obaliła dynastię Qing, ostatnią dynastię cesarską Chin. Po jej upadku zaczął się proces przekazywania własności prywatnej rodziny cesarskiej w ręce państwa. Na skutek tych zmian do 1926 r. większość cesarskich ogrodów została udostępniona publiczności.

Władze kielkującej republiki wykorzystywały parki jako przestrzeń edukacyjną służącą propagowaniu reformatorskich idei, takich jak walka z analfabetyzmem, ochrona zdrowia czy promowanie postaw obywatelskich. Jednak dla wielu ludzi barierę stanowiła zarówno opłata pobierana przy wejściu, jak i wytworny charakter miejsca.

Kolejnym ważnym etapem w poszerzaniu przestrzeni publicznej był okres po rewolucji komunistycznej w 1949 r., wraz z utworzeniem Chińskiej Republiki Ludowej. Wzorowane na sowieckich „parkach kultury i wypoczynku”, zielone



LU JIAN

przestrzenie znakomicie spełniały ideologiczno-wychowawcze założenia komunistycznych władz. Jako miejsce odpoczynku, spędzania wolnego czasu i rozrywki dla mas stały się integralnym elementem krajobrazu miejskiego.

Ostatni parkowy boom ogarnął miasto w latach poprzedzających olimpiadę w 2008 r. Kampania „Zielony Pekin, Zielona Olimpiada” miała na celu metamorfozę miasta przez budowę zielonej infrastruktury: parków, odnawialnych źródeł energii, nowych linii metra. Ambicji, by zaprezentować się światu jako wzór zrównoważonego rozwoju, towarzyszyły przemiany urbanistyczne, które odcisnęły piętno na tradycyjnej tkance społecznej miasta.

Z hutongów do bloków

Kluczem do zrozumienia żywotności przestrzeni publicznej w Pekinie są tradycyjne ciemnoszare alejki (*hutong*). W nich dorastał pan Jiao, urodzony w 1958 r. Wzdłuż wąskich hutongów rozpościerają się parterowe gospodarstwa (*siheyuan*) z dziedzińcami, które z czterech stron otaczają zabudowania. Hutongi przez wieki stanowiły o integralności społecznej – były podstawą wspólnotowości wielopokoleniowej rodziny i życia sąsiedzkiego.



*Ojciec gra z synem w wuziqi, tradycyjną chińską grę.
Park Chaoyang w Pekinie, kwiecień 2020 r.*



*Mężczyzna kaligrafuje na chodniku pędzlem wodnym.
Ogród Pałacu Letniego w Pekinie, kwiecień 2019 r.*

SIMON THOMAS

Dziś z hutongów pozostało niewiele, ale nawet krótki spacer daje wgląd w ich charakterystyczną gwarą codzienność. W hutongach koło świątyni Lamy dwie starsze kobiety w kolorowych kufajkach wygrzewają się na słońcu, wymieniając uwagi o cenie wieprzowiny. Mimo niewielkich rozmiarów alejek ruch jest żywy. Całe życie toczy się na oczach sąsiadów. Starszy mężczyzna na rowerze, z zaczepionymi na kierownicy siatkami z warzywami, mija się z małym autem dostawczym. Obok przed budką z makaronem robi się kolejka. Jest długa, znudzone dzieci wyrrywają się rodzicom, by zagrać w skakankę.

To uroczą scenka, ale tylko do pewnego stopnia prawdziwa – tak wygląda jedynie przedstawienie życia hutongów na kartkach pocztowych z Pekinu. O naiwny sentymentalizm mógłby oskarżony zostać ten, kto – odwiedzając te miejsca – nie zauważyłby złego stanu i ciasnoty domów albo niedociągniętej kanalizacji.

W późnych latach 80. w Chinach zmieniła się polityka dotycząca ziemi. Grunty pozostały własnością państwa, ale prawa do ich użytkowania urynkowano. Cenną ziemię centralnego Pekinu, na której stały tradycyjne zabudowania, zaczęli na ogromną skalę przejmować deweloperzy. W latach 1991–2001 wyburzono

jedną trzecią hutongów. Przed olimpiadą proces przyspieszył, pozostawiając niekniętych jedynie 10–20 proc. zabudowań. Na ich miejscu powstały budynki mieszkalne, biurowce, centra handlowe albo szerokie ulice. Te, które przetrwały, często zmieniają swój charakter i przerabiane są na modne bary czy drogie hotele.

W wyniku tego procesu przesiedlono ponad milion mieszkańców – zostali pozabawieni domów, w których ich rodziny często mieszkaly od pokoleń. Nierzadko musieli wyprowadzić się do wysokich bloków poza czwartą czy piątą obwodnicę miasta – tylko tam niewysokie odszkodowanie, które otrzymali, pozwalało na zakup mieszkania.

Pan Jiao miał szczęście: dostał mieszkanie w bloku postawionym dwa kilometry od miejsca, gdzie stał jego rodzinny dom, i trzy stacje metra od parku Ritan. Czy tęskni? – Na pewno teraz mnie i mojej żonie żyje się wygodniej. Nie jesteśmy młodzi, potrzebujemy własnej łazienki. Okno salonu wychodzi na południe, mamy więc jasne mieszkanie. Niczego nam nie brakuje – mówi.

A jednak zaraz dodaje z nutą nostalgii: – No, może łaźni. Zimą grałem tam z sąsiadami w szachy.

Gwałtowny zanik tradycyjnej architektonicznej tkanki miejskiej odciął dużo

ludzi od ich przyzwyczajeń i od dostępu do przestrzeni publicznej. W obliczu osamotnienia wielu zwróciło się w stronę parków. Podłożem wspólnotowego charakteru tych przestrzeni jest, podobnie jak w hutongach, cielesność. Tutaj fizyczność ciał – mięśni, krtani – odczuwana jest nie tylko przez ćwiczących, ale też pochłaniana przez zmysły ludzi wokół. Gdy w parku mijamy dobrze zbudowanego mężczyznę trenującego *taijiquan*, pan Jiao wyciąga ręce zza pleców i pozdrawia go energicznym gestem. To dawni sąsiedzi, teraz spotykają się co tydzień w parku.

Latawce z torebek

Postępująca od wczesnych lat 80. liberalizacja gospodarcza w Chinach miała ogromny wpływ na ewolucję sposobu spędzania wolnego czasu. Z jednej strony przed mieszkańcami dużych miast otworzyły się nowe możliwości: jak grzyby po deszczu w miastach wyrosły kina, salony karaoke i olbrzymie centra handlowe. Z drugiej strony dla tych, którzy nie dotrzymali kroku szybko zmieniającej się rzeczywistości gospodarczej, uprzedmiotowienie rozrywki oznaczało zawężony dostęp do kultury masowej, wcześniej gwarantowanej przez państwo.

W tym sensie zajęcia parkowe stały się alternatywą dla komercjalizacji sfery →

→ rozrywki i – szerzej – kultury. Puszczane w parkach kolorowe latawce często szyte są w domu z plastikowych toreb, a do wykonania wodnej kaligrafii trzeba wziąć ze sobą jedynie pędzel, kubelek wody i znaleźć wolny skrawek chodnika. Jednocześnie zajęcia parkowe, czerpiące z tradycyjnej kultury, są głosem umacniającym tożsamość narodową w coraz bardziej międzynarodowych miastach chińskich.

Nie oznacza to jednak, że rozrywka parkowa jest tylko twierdzą tradycji, opierającą się siłom globalizacji. Po pierwsze, otwarcie rynku pozwoliło na więcej autonomii i kreatywności w przestrzeni rozrywki. Grupowa rozrywka, za czasów maoistowskich organizowana w całości przez państwo, została w parkach „przejęta” przez obywateli, którzy organizują się oddolnie. Po drugie, otwarcie Chin na świat przyniosło nowe formy rozrywki praktykowanej teraz w parkach – jak zachodnie arie operowe śpiewane przez pana Jiao bądź bardzo popularny, choć znany w Chinach od niedawna, taniec towarzyszy.

Parkowicze kontra epidemia

Od końca stycznia czerwone banery na ulicach Pekinu zaczęły nawoływać przechodniów: „Zapobiegaj rozprzestrzenianiu się nowego koronawirusa – noś maseczkę, myj ręce, ogranicz wyjścia z domu”. Choć ulice od razu opustoszały, parki pozostały otwarte – i skupiły tych, dla których potrzeba wolnej przestrzeni była silniejsza niż strach przed chorobą.

Z czasem coraz cieplejsze dni wybudziły z zimowego snu nawet najwytrwalszych. Ludzie masowo ruszyli do parków. Ten entuzjazm zmusił władze, by ograniczyć dzienny limit wejść do niektórych parków i wprowadzić środki ostrożności. Każdego przy wejściu czeka więc teraz kontrola temperatury, a z głośników jak mantra powtarzany jest komunikat o noszeniu maseczki.

Pan Jiao ją oczywiście nosi, ale zdejmuje, kiedy śpiewa. Także starsi wiekiem gimnastycy dostosowują się do nowej sytuacji: ćwiczą wspólnie, lecz zachowują odległość dwóch wymachów ramion.

Parkowicze się nie poddają. Ale zasadne jest pytanie, czy unikatowa chińska kultura parkowa przetrwa nie tyle nawet epidemię, co kolejne lata.

Pan Jiao narzeka, że jego syn jest za pracowany, a w weekendy woli pójść do siłowni i na zakupy, niż towarzyszyć mu w parkowych eskapadach. Choć syn nie znalazł jeszcze żony, pan Jiao z niecierpliwością wyczekuje wnuków, którym będzie mógł przekazać swój muzyczny zapal. Nie wyobraża sobie lepszego miejsca niż ulubiony kąt przy skale, pod słońcem w parku Ritan.

© MARIA WIŚNIEWSKA

Autorka jest absolwentką Katolickiego Uniwersytetu Leuven w Belgii i kolegium MISH na Uniwersytecie Warszawskim, w ramach którego studiowała sinologię, socjologię i filozofię. Pracuje w Pekinie w organizacji zajmującej się problematyką migracyjną.

Mężczyźni grają na erhu, tradycyjnych chińskich skrzypcach. Park Xiangbishan w mieście Guilin w południowych Chinach, lipiec 2019 r.



CASSANDRA CHEVRETTE

Gdy domem jest kamper

PATRYCJA BUKALSKA

Dla Wędrowców, niewielkiej i barwnej grupy etnicznej w Wielkiej Brytanii, pandemia stworzyła sytuację bez wyjścia.

MOGĘ POTWIERDZIĆ, ŻE WSZYSCY WĘDROWCY z obozowiska na parking w Glebelands opuścili to miejsce i przenieśli się na teren zarządzany przez lokalne władze – tak swoje oświadczenie zaczął inspektor Mick Preston z policji w Leeds (północna Anglia). Na pozór brzmiało to jak sucha służbowa informacja. Jednak zakończenie było gorzkie: „Usunięcie obozowiska zawsze prowadzi do wysiedlenia ludzi i główne pytanie brzmi: dokąd?”.

Wędrowcy – to chyba najlepsze polskie tłumaczenie. W Anglii i Szkocji określa się ich oficjalnie jako Gypsies, Travellers (Cyganie, Wędrowcy), przy czym Gypsies nie ma tego negatywnego znaczenia, jakie w Europie Środkowej przypisywane jest czasem słowu „Cyganie”. Wędrowcy to uznana prawnie mniejszość etniczna żyjąca w Wielkiej Brytanii. Nie są Romami (z nimi łączy ich wędrowny styl życia), mają własny język (lub: języki) i kulturę. Uważa się, że przybyli z Irlandii (choć szkoccy Wędrowcy to raczej rdzenna ludność z górzystej Północy), ale ich początki na Wyspach owiane są legendami i teoriami czasem mistycznymi. Faktem jest, że żyją tu od wieków i od wieków spotykają się z niechęcią reszty społeczeństwa.

Nie inaczej jest dzisiaj.

Minister wyraża wdzięczność

Odbyło się to tak: grupa Wędrowców zatrzymała się na parking, po czym – jak to często się zdarza – zareagowali okoliczni mieszkańcy: policję zalały skargi („miliardy maili”, jak uściślił Preston). Jeśli byłoby ich kilka, policja i władze lokalne miałyby pole manewru. W sytuacji, gdy skarg jest dużo i wskazują, że obozowi-



DANNY LAWSON / PA / EAST NEWS

Zanim wybuchła epidemia: wóz Wędrowców przybywa na targ koński w Appleby, Wielka Brytania, 9 czerwca 2019 r.

sko stanowi zagrożenie dla społeczności, możliwa jest eksmisja bez decyzji sądu.

Jednak tym razem okazało się, że obywatelskie maile o śmieciach i nieczystościach miały się z prawdą. Obozowisko było czyste i uporządkowane. „Część z tych dezinformacji niepotrzebnie przyczyniła się do podsycania lęku, a czasem gniewu lokalnej społeczności, zwłaszcza przez odniesienia do koronawirusa, dystansu społecznego i całego wachlarza teorii, dlaczego Wędrowcy pojawili się właśnie w tym miejscu” – napisał potem w oświadczeniu Preston i trudno nie odnieść wrażenia, że inspektor był wzburzony sytuacją, w której się znalazł.

Policjant musiał uważać na słowa. Ale to, co się stało, można opisać wprost: w czasie epidemii grupa ludzi w drodze zatrzymała się na parkingu. Może chcieli nabrać wody, umyć się, zrobić zakupy, odpocząć. Jednak mieszkańcy postanowili się ich pozbyć, więc celowo wysłali na policję nieprawdziwe skargi, zmuszając ją do natychmiastowego działania.

Leeds nie było jedyne. Tydzień wcześniej do podobnej „obywatelskiej akcji” z masowym wysyłaniem skarg na policję doszło w Lightwater w hrabstwie Surrey (południowo-wschodnia Anglia).

O ile jednak w Leeds Wędrowcom zaofiarowano inne miejsce pod obozowisko, to w Lightwater zostali po prostu eksmitowani. W akcji ze skargami uczestniczyli tu przedstawiciele lokalnych władz, a swoją wdzięczność za „znalezienie odpowiedniego rozwiązania” wyraził na Facebooku minister Michael Gove, członek gabinetu Borisa Johnsona.

Gdy zakwita żarnowiec

W Wielkiej Brytanii żyje, według różnych szacunków, od stu do trzystu tysięcy Wędrowców. Większość już osiadła, ale część nadal wędruje, choćby kilka miesięcy w roku.

Tak było zawsze: droga wzywała wiosną. W Szkocji był to moment, gdy na żółto zaczynał kwitnąć broom, rodzaj żarnowca – krzew gęsto pokrywający szkockie wzgórza i pobocza. Ten żółty znak był sygnałem, że można opuścić zimowe siedlisko i ruszyć dalej.

Kiedyś ich trasę determinowały rodzinne spotkania, a przede wszystkim praca: Wędrowcy najmowali się do robót w polu. Kulminacją było zbieranie malin w Blairgowrie, a końcówką – wykopki ziemniaczane jesienią. Z czasem rolnictwo się mechanizowało, potrzeba było

mniej ludzi. A potem Wędrowców zastąpili – jeszcze tańsi – imigranci. Po spotkaniach w Blairgowrie pozostały tylko rodzinne opowieści.

Jess Smith, pisarka pochodząca ze szkockich Wędrowców, opowiadała mi kiedyś, że to właśnie spotkanie z rodziną i przyjaciółmi było tam najważniejsze. – Mogliśmy rozmawiać we własnym języku, bawić się razem. Nie chodziło o pieniądze, zarobek przy malinach nie był duży, ale właśnie o spotkanie w Blairgowrie – wspominała. – Swoją drogą mama jednak pilnie odkładała to, co udało nam się zarobić: przeznaczała pieniądze na nasze szkolne mundurki i prezenty gwiazdkowe – dodawała Smith.

Blairgowrie zostało upamiętnione w znanej piosence, napisanej przez pieśniarkę Belle Stewart: jej song „The Berry Fields o’ Blair” opowiada o tym, jak zjeżdżali się pracownicy z Glasgow i Dundee, z Fife i Aberdeen, z Zachodnich Wysp i Stornoway...

Targ w Appleby

Za to nic nie zmieniło się w Appleby, gdzie co roku w czerwcu zjeżdżają Wędrowcy na słynny targ koński. Kiedyś to wózek konny był ich podstawowym środkiem →

→ transportu (podobnie jak u Romów w Europie Środkowej). W Szkocji Wędrowcy przemieszczali się też często pieszo, ciągnąc dwukółowy wózek z dobytkiem (nazywano ich Summer Walkers – Letnimi Wędrowcami). Spali w namiotach z charakterystycznym półokrągłym dachem.

Targ koński to jednak bardziej kwestia zwyczaju. Bo współcześni Wędrowcy podróżują kamperami lub w przyczepach kempingowych. Ruszają w drogę, ponieważ to ich tradycja, nawet jeśli podróż ma potrwać już tylko kilka tygodni czy miesięcy.

Peter Gammond, zajmujący się sprawami Wędrowców pracownik lokalnych władz w Oxfordshire, podkreśla w rozmowie z „Tygodnikiem”, że wędrowka jest istotną częścią ich tożsamości. – Rodziny nadal podążają tymi samymi trasami, co ich przodkowie, aby przekazać dzieciom i wnukom część ich dziedzictwa. Jeden z nich powiedział mi kiedyś, że jeśli wyśle do krewnych esemesa: „Spotkajmy się przy stawie z jednonogą kaczką”, to oni będą wiedzieć, gdzie przyjechać – opowiada Gammond. – Różne rodziny mają różne trasy. Jeśli pochodzą np. z rodziny handlarzy, to będą wędrować od jednego końskiego targu do kolejnego.

W tym roku jednak, z powodu epidemii, odbywający się od 250 lat targ w Appleby – zwykle odwiedzany przez 40 tys. gości – został odwołany.

Na stałe lub na chwilę

Jak powiedziano, zdecydowana większość Wędrowców już osiadła. Ale nie wszyscy mieszkają w domach. Niektórzy wolą przyczepy kempingowe – na wyznaczonych i zwykle zarządzanych przez lokalne władze stałych miejscach postojowych. Jest tam zapewniony dostęp do wody, prądu i toalet. To namiastka dawnej wolności – kompromis i sposób na to, by dzieci mogły pójść do szkoły, a rodzice do stałej pracy.

Takich miejsc jest jednak ciągle za mało. Czasem ulokowane są też z dala od centrum miasta czy miasteczka, co utrudnia dostęp do sklepów, lekarza i szkół.

Brakuje też miejsc tranzytowych, gdzie można zatrzymać się na krótszy czas. Dlatego ocenia się, że w Anglii ponad 10 tys. Wędrowców zmuszonych jest obozować na dziko. Czasem są to parkingi, komunalne tereny zielone lub prywatne łąki czy działki. To prowadzi do konfliktów



Na targu końskim w Appleby, Wielka Brytania, 7 czerwca 2019 r.

z mieszkańcami – i w ostateczności do eksmisji.

Jeśli teren należy do samorządu, urzędnicy starają się pomóc i doprowadzić do tzw. negocjowanego postoju. Proponuje się inne miejsce, ustala czas obozowania i jego warunki, w tym pozostawienie miejsca w dobrym stanie.

– Odwiedzamy obozowisko, oceniamy potrzeby ludzi, w tym zdrowotne, a także wpływ na otoczenie. Jeśli nie dochodzi do łamania prawa czy zachowań społecznych, zwykle Wędrowcy mogą pozostać tam przez dłuższy czas – opowiada „Tygodnikowi” Ewa Fras, która w radzie hrabstwa Oxfordshire odpowiada za współpracę z tą mniejszością. – Nasze podejście było przed epidemią tolerancyjne i elastyczne – podkreśla urzędniczka.

Z miejsca na miejsce

– Od razu, jak tylko wprowadzono restrykcje związane z COVID-19, zdecydowaliśmy, że w Cheshire nie będzie eksmisji – mówi „Tygodnikowi” Dawn Taylor, szefowa wydziału ds. współpracy z Wędrowcami w Cheshire i Warrington.

Taylor opowiada, że odtąd mieli kilka przypadków obozowania na nieautoryzowanym miejscu. – Za każdym razem od razu jechaliśmy ocenić sytuację, dostarczyć wodę i przenośną toaletę. Trochę się obawialiśmy, że jeśli to teren prywatny, właściciel może nie być zadowolony. Ale uznaliśmy, że najpierw trzeba pomóc ludziom, a potem rozwiązać ten problem – mówi.

Jedna grupa wyjechała po trzech tygodniach. Druga została na terenie należącym do Kościoła Anglii, który na czas epidemii zgodził się na ich obozowanie. Dawn Taylor mocno podkreśla, że teraz, w czasie epidemii, najważniejsze jest, aby ludzie się nie przemieszczali. A każda eksmisja zmusza ich przecież, aby ruszyli w drogę.

Ewa Fras przytacza historię, która dobrze to ilustruje: – W ciągu ostatnich dwóch tygodni mieliśmy grupę Wędrowców, około dziesięciu kamperów, która rozbiła obozowisko na parkingu blisko naszego biura w Bicester. Jednak parking jest wynajmowany przez prywatną firmę, więc teren jest zaklasyfikowany jako prywatny. Nie mogliśmy się włączyć w przeniesienie lub pozostawienie tam obozowiska.

Właściciel wolał, by Wędrowcy się przenieśli, i oni się do tego zastosowali. – Pozostawili po sobie porządek, wszystkie śmieci były popakowane. Nie było żadnych skarg ze strony mieszkańców – podkreśla Ewa Fras.

Grupa zatrzymała się następnie w miasteczku Thame, przy szkole. Niestety znów okazało się, że to teren prywatny, i ponownie musieli się przenieść. Podobnie było w trzech kolejnych miejscach. Ostatecznie opuścili granice hrabstwa.

Zalecenia i realia

Gdy w Wielkiej Brytanii ogłoszono restrykcje związane z epidemią, Wędrowcy zaczęli się zastanawiać, co robić – skoro nie wolno podróżować bez waż-

nego powodu. Czyli powinni gdzieś się zatrzymać. Ale gdzie? Wiele pól kempingowych i parkingów zamknięto. Co więcej, często brano ich za niesfornych turystów zwiedzających kraj mimo zakazów.

Oni tymczasem – co pokazuje historia z Oxfordshire – czasem zwyczajnie nie mają dokąd pójść. Z kolei na stałych miejscach postojowych panuje tłok, wielkie rodziny żyją na małej powierzchni. Trudno w takich warunkach o społeczny dystans i reżim sanitarny.

Stowarzyszenia Wędrowców i organizacje pozarządowe zaczęły domagać się od rządu jasnych wytycznych. Rząd w Londynie to uczynił, ale dopiero w połowie kwietnia: zgodnie z zaleceniami lokalne władze powinny zapewnić zatrzymującym się Wędrowcom dostęp do wody, sanitariatów, wywozu śmieci oraz w razie potrzeby alternatywne miejsca postojowe. To jednak tylko zalecenia. Nie ma też mowy o wstrzymaniu eksmisji.

Taką decyzję podjęły natomiast autonomiczne władze Szkocji: wstrzymały eksmisję i nakazały lokalnym samorządom, by zapewniły miejsca postojowe, nawet gdyby to samorządy miały za to miejsce zapłacić, np. na terenie prywatnym. Dokładnie opisano też wymogi sanitarne, które trzeba zapewnić rodzinom.

Długa lista (starych) problemów

Kwestia miejsca do zamieszkania to tylko jeden aspekt sytuacji, w której znaleźli się Wędrowcy podczas pandemii. Kolejny to utrudniony dostęp do opieki zdrowotnej (nie mając stałego adresu, trudno się zarejestrować), połączony z faktem, że wielu z nich jest w grupie ryzyka (z powodu częstszego występowania u nich niektórych chorób, np. cukrzycy). To stare problemy, ale teraz sprawiają, że są bardziej narażeni.

Problemem jest też zdalna nauka dzieci – szkoły w Wielkiej Brytanii są zamknięte od końca marca. Na polach kempingowych zarządzanych przez władze jest dostęp do internetu, ale na innych bywa z tym różnie. Tymczasem wielu rodziców wśród Wędrowców nie jest w stanie wesprzeć dzieci w nauce, bo sami nie otrzymali wykształcenia.

Kolejny problem to pogrzeby. Wędrowcy mają silne więzy rodzinne i pogrzeb to wydarzenie, na które zjeżdżają dziesiątki krewnych i przyjaciół. W cza-

Jack Brennan, żyjący na łodzi Wędrowiec-ogrodnik z Surrey, zaoferował, że za darmo zajmie się ogrodami ludzi, którzy
na pierwszej linii walczą z epidemią.

się epidemii ceremonie pogrzebowe nie mogą się odbywać – dotyczy to wszystkich, również Wędrowców.

– Byłam ostatnio w obozowisku i rozmawiałam o tym, ale z trudem przyjmowano moje wyjaśnienia – wzdycha Dawn Taylor. – Dla Wędrowców najbliższa rodzina to czasem krewni rozsiani po całym kraju. Chcą złożyć kondolencje, wyrazy szacunku, ale to teraz niemożliwe.

Cała prawda...

Z parkingu w Leeds Wędrowcy przenieśli się w inne miejsce, zaproponowane przez władze samorządowe. Warto zaznaczyć, że ten tzw. negocjowany postój praktykowany jest przez władze w Leeds przy współpracy z policją już od kilku lat. Dzięki temu unika się konfliktów, a oszczędza na kosztach sądowych i uprzątnięciu obozowisk. Dla Wędrowców to ulga: w ramach negocjowanego postoju w Leeds mogą pozostać w jednym miejscu nawet trzy miesiące. Tymczasem tam, gdzie władze lokalne stosują podejście „zero tolerancji”, muszą się przemieszczać nawet co kilka dni.

Doświadczenie z ostatnich lat w Leeds procentuje – również dlatego, że między Wędrowcami a lokalnymi urzędnikami zbudowano tam zaufanie.

Właśnie o zaufanie między mniejszością a resztą społeczeństwa nadal jest najtrudniej. Nie pomagają media, często utwierdzające negatywne stereotypy. W środku epidemii jedna z brytyjskich stacji telewizyjnych wyemitowała dokument pt. „Prawda o przestępstwach Wędrowców” („The Truth About Traveller Crime”), który sugerował związek między obozowiskami a wzrostem przestępczości w danej okolicy.

Zaprotestowało wielu widzów, organizacje wspierające Wędrowców, a nawet

policja – zaprzeczając, aby istniało takie powiązanie. Program jednak dołął oliwy do ognia w tym i tak trudnym dla nomadów okresie – niektórzy z aktywistów z grona Wędrowców spotkali się w mediach społecznościowych z falą agresywnych komentarzy i groźb.

Duma i uprzedzenia

„Całe moje życie walczę z rasizmem, a po tym programie nawet nie wiem, gdzie zacząć – rozpoczął Davie Donaldson, znany aktywista pochodzący ze szkockich Wędrowców. – Moja wspólnota jest przerażona na myśl o szkodach, jakie wyrządził ten film. Jego emisja w każdym czasie byłaby nieodpowiedzialna, ale w czasie pandemii jest niewybaczalna”.

Donaldson właśnie kończy studia na Uniwersytecie w Aberdeen. Fakt, że jako jeden z nielicznych Wędrowców zdobywa wyższe wykształcenie, zawdzięcza swojej determinacji. Uważa, że niechęć do Wędrowców to ostatni z akceptowanych przejawów rasizmu w Wielkiej Brytanii.

Gdy rozmawiałam z nim jeszcze przed wybuchem epidemii, Donaldson wspominał, jak w szkole nauczycielka nie chciała sprawdzać jego zadań domowych. „Po co? To Cygan, nic z niego i tak nie będzie” – usłyszał kiedyś, jak o nim mówiła. W kolejnych szkołach nie przyznawał się więc do swojego pochodzenia, choć przychodziło mu to z trudem – Davie Donaldson jest bowiem bardzo dumny ze swojej kultury. Chciał się jednak uczyć, więc milczał. Dziś głośno upomina się o swoich ludzi, walczy o szacunek dla ich historii, kultury i tradycji.

Teraz, w czasie pandemii, są też inni, którzy chcą przełamać stereotypy – Wędrowcy organizują akcje charytatywne na rzecz służby zdrowia, przekazują zebrane datki, pokazują się swoim sąsiadom z najlepszej strony. Jack Brennan – na co dzień żyjący na łodzi ogrodnik z Surrey – zaoferował, że za darmo będzie zajmował się ogrodami ludzi, których dziś media nazywają kluczowymi pracownikami (*key workers*) – to nie tylko ludzie ze służby zdrowia, ale też np. śmieciarze. „Rząd może was nie doceniać, ale my tak” – mówił Brennan.

Dawn Taylor: – Może to, czego dziś doświadczamy, jest także okazją, aby pomóc Wędrowcom znaleźć bezpieczną przystań, zbudować wzajemne zaufanie?

© PATRYCJA BUKALSKA



Palacze heroiny w centrum Heratu, zachodni Afganistan, marzec 2020 r.

Trudno opuścić starych przyjaciół

TEKST I ZDJĘCIA **PAWEŁ PIENIAŻEK** Z HERATU I KABULU

Afganistan to światowy lider w produkcji opium, a co dziesiąty Afgańczyk jest uzależniony. Problem narkotyków od lat pozostaje nierozwiązany.

MIASTO HERAT W ZACHODNIM AFGANISTANIE, centrum, okolice regionalnego szpitala. Kręcą się tutaj różni ludzie – jak 27-letni Maruf, 35-letni Mohammad, 42-letnia Alija i 13-letni Ahmed. Niektórzy schludnie ubrani, inni w poszarpanej, brudnej odzieży.

Obok nich, przy drzewach, widać charakterystyczne wybrzuszenia. To ludzie przykryci kurtkami, kocami lub chustami – przez co wyglądają jak guzy wyrosłe z ziemi. Siedzą zwykle we dwie-trzy osoby. Heroiniści przykrywają się, aby nic się nie ulotniło, aby niczego nie zwiął

wiatr. Ekwipunek mają ten sam: aluminiowa folia podgrzewana zapalniczką i rurka, przez którą wciągają dym z topiącej się heroiny. Takich miejsc spotkań w 400-tysięcznym Heracie jest wiele – podobnie jak w innych miejscowościach w całym kraju.

To właśnie heroina jest – obok opium, metamfetaminy i haszyszu – jednym z najpopularniejszych narkotyków w Afganistanie, gdzie od 8 do 11 proc. z 33-35 mln mieszkańców jest uzależnionych.

– Głównie przyczyny to bezrobocie, bieda, wojna i niski poziom wykształ-

cenia – stwierdza Maruf. Rzeczywiście, większość moich rozmówców wskazuje brak nadziei na lepszą przyszłość jako kluczowy czynnik (obok złego towarzystwa), który sprawia, że tak wielu Afgańczyków sięga po narkotyki.

Podsunał mu je wujek

Ze zmierzwionymi czarnymi włosami i lekkim zarostem, mimo młodego wieku Maruf ma głębokie zmarszczki wokół oczu. Zażywa narkotyki od dziewięciu lat, a zaczął od opium w Iranie. Wielu Afgańczyków właśnie w tym kraju po raz pierwszy sięga po narkotyki. Samotni emigranci zarobkowi, z dala od rodziny i przyjaciół, często z problemami finansowymi, które wyjazd miał rozwiązać, bo w kraju pracy nie ma lub jest nisko płatna.

Maruf pojechał do Iranu – jak wielu z dwóch milionów Afgańczyków – aby zarobić. Znalazł pracę. Twierdzi, że to szef wciągnął go w narkotyki. Maruf zaczął sięgać po opium regularnie. Sytuacja ekonomiczna w Iranie się pogorszała, dlatego rok po tym, jak po raz pierwszy zapalił opium, wrócił do Afganistanu. Jednak problem nie zniknął. W kraju,

gdzie bezrobocie wynosi 40 proc., trudno było mu się odnaleźć. Nie znalazł pracy, uciekł w nałóg i na niego wydaje pieniądze, które w jakiś sposób trafią do jego kieszeni.

Maruf ma żonę i piątkę dzieci. Przyznaje, że nie dojadają z powodu złej sytuacji rodziny, którą pogarsza jego uzależnienie. Mówi, że chciałby wyjść z nałogu, zarobić na jedzenie dla bliskich, przestać być dla nich obciążeniem. Ale nie potrafi.

Miedzy nogami kręci się mały Ahmed, z mocno przekrwionymi oczami i blizną na twarzy. Ubrany jest w tradycyjną szatę, na którą założył poplamioną kamizelkę z kapturem. W plastikowym worku, który zrzucił z ramienia, ma śmieci. Potem odda je za grosze na prowizoryczne wysypiska. Mówi, że jego rodzice zmarli trzy lata temu i mieszka z wujkiem, który – jak twierdzi – znęca się nad nim fizycznie i uzależnił go od metamfetaminy.

– Sprzedał wszystkie moje rzeczy. Do tego uzależnił mnie, żeby wychodził zbierać pieniądze, za które potem on może kupić metamfetaminę – twierdzi Ahmed. – Chciałbym pójść do szkoły jak inne dzieci, ale wujek mi nie pozwala.

Alija jako jedyna z grupy tu zebranych nie jest uzależniona. Bierze za to jej mąż, przed którym znów musiała uciec z domu. Od sześciu lat jest uzależniony od metamfetaminy. Podobnie jak wujek Ahmeda, miał sprzedać wszystko, co mieli w domu, znęcał się nad nią i regularnie wyrzucał. Wraz z czwórką dzieci Alija pomieszkują czasem w szpitalu lub u matki, która ciągle przekonuje ją, by już nie wracała do męża.

Opium z biedy

Uprawianie maku, z którego zbiera się opium, a potem przetwarza się na heroinę, ma w Afganistanie długą historię.

Makowe pola zostały radykalnie wytrzebione tylko jeden raz w ciągu ostatnich dekad. Było to po tym, jak talibowie – rządzący krajem w latach 1996–2001 – wprowadzili zakaz uprawy maku. Gdy pod koniec 2001 r., po zamachach na World Trade Center, amerykańska inwazja obaliła talibów, mak przeżył swój renesans. Pola znowu były zasiewane. W 2002 r. szacowany zasięg upraw wzrósł do 74 tys. hektarów, a w 2017 r. było ich już ponad czterokrotnie więcej. Bieda, słabość instytucji rządowych, kolejna odsłona wojny i chaos sprawiły, że wielu rolników zasiało swoje pola makiem.



Alija musiała uciekać z dziećmi przed agresywnym mężem, od sześciu lat uzależnionym od metamfetaminy. Herat, marzec 2020 r.

W ostatnich latach sytuacja uległa nieznacznej poprawie. Według danych amerykańskiego Biura Narodowej Polityki Kontroli Narkotyków (ONDCP) w 2019 r. obszar upraw maku spadł do 160 tys. hektarów. Spadek ten wiąże się jednak raczej z suszą w 2018 r. oraz niższymi cenami opium na czarnym rynku.

Stany Zjednoczone, choć deklarowały walkę z uprawami i wydały na ten cel przynajmniej 9 mld dolarów, nie walczyły zbyt zaciekle z miejscowymi bossami narkotykowymi. To dlatego, że część z nich tworzyła opozycję wobec talibów – w 2001 r. stali się więc naturalnymi sprzymierzeńcami USA. Wtedy, w początkowym okresie, Amerykanie potrzebowali sojuszników, więc przymykali oczy.

Najbardziej znany przykład to prominentny polityk Ahmed Wali Karzaj, brat prezydenta Hamida Karzaja (który rządził w latach 2001–13). Ahmed Wali Karzaj został zamordowany we własnym domu w 2011 r. Wcześniej, od początku obecności Amerykanów w Afganistanie, współpracował z nimi. Zawdzięczał mu wiele, jednak z czasem stał się sprzymierzeńcem coraz bardziej problematycznym. Magazyn „New Yorker” określał go mianem „swego rodzaju ojca chrzestnego”. Amerykańscy oficjele byli przekonani (o czym informowali gazetę „New York Times”), choć nie udowodnili tego przed sądem, że pośród licznych innych występków handlował narkotykami.

To właśnie w okresie, gdy polityk nabrał znaczenia, Afganistan stał się światowym

wym liderem w produkcji opium. Dzierży ten tytuł do dzisiaj. Według ONZ w 2018 r. kraj odpowiadał za 82 proc. światowej produkcji heroiny. Znaczna część jest eksportowana do krajów ościennych, Europy i Ameryki. Reszta trafia na rynek wewnętrzny. Dziś z handlu opium czerpią zyski grupy znajdujące się po wszystkich stronach konfliktu. O handel narkotykami podejrzani są i talibowie, i lokalny odłam tzw. Państwa Islamskiego.

Puste łóżka

Kilka kilometrów na wschód od okrytego złą sławą mostu w dzielnicy Pul-e Sochta w Kabulu, gdzie regularnie kończy kilkuset uzależnionych, znajduje się państwowy szpital psychiatryczny. W nim cztery pokoje (łącznie 20 łóżek) są przeznaczone dla osób, które przyszły na odwyk. To jedna z czterech publicznych placówek w całym kraju. Ta z 20 miejscami przyjmuje uzależnionych nie tylko ze stolicy i stołecznej prowincji (liczącej razem z miastem ok. 6 mln ludzi), lecz także z prowincji sąsiednich.

Teraz jednak szpital świeci pustkami – z powodu epidemii COVID-19 i podjętych przez władze środków zaradczych, jak zamknięcie dojazdów do miast. Gdy byłem w szpitalu, na oddziale odwykowym przebywało raptem czterech pacjentów. Bali się, że w drodze do szpitala, jeśli w ogóle uda im się przedrzeć przez policyjne blokady, mogą się zarazić.

– My jesteśmy gotowi przyjmować pacjentów i z przyjemnością im pomożemy – deklaruje doktor Mohammad Szafi Azim pracujący w szpitalu. Chętnych jednak jest niewielu. Poza jednym wszystkie pokoje są puste. Trzech mężczyzn siedzi na łóżkach i rozmawia.

Poczęstował go nieznajomy

Jednym z nich jest 40-letni Wahid. Ma białą pasiastą pizamę, melanżową bluzę i chustę zawiniętą wokół szyi. Postawny, z krótko ściętymi posiwiałymi włosami, sam wyrывa się do opowiadania swojej historii.

Trafił do szpitala na terapię odwykową w pierwszej połowie marca, zanim epidemia stała się dużym tematem w Kabulu. Skierowano go tutaj z pracy, bo już dłużej nie dało się tolerować jego nałogu. A dokładniej: skierował go ojciec, który zajmuje wysokie stanowisko w organizacji pomocowej. To właśnie on dał pracę Wahidowi.

⇒ Mężczyzna twierdzi, że wszystko zaczęło się osiem lat temu, gdy odwiózł żonę do szpitala. Miała powikłania w trakcie ciąży. W szpitalu nie było poczekalni, więc Wahid został na zewnątrz. Padało. Wsiadł do samochodu i czekał na żonę. W którymś momencie w szybę zastukał starszy mężczyzna. Zapytał, czy może posiedzieć z nim, by przeczekać ulewę. Pogoda była paskudna, Wahid się zlitował. Tamten wsiadł, po chwili wyciągnął rurkę i folię i zaczął ją opalać. Wahid nie miał pojęcia, co robi. Mężczyzna powiedział, że pali heroinę.

– Zapytałem, czy mogę spróbować – opowiada Wahid. Mężczyzna podał mu rurkę. Wciągnął dym i jak twierdzi, poczuł się przyjemnie. Nie myślał, czym to może się skończyć.

– Przez trzy dni moja żona była w szpitalu, a ja siedziałem z tym facetem i paliłem heroinę w samochodzie na wprost szpitala – wspomina.

Uzależnił się i od tego czasu palił codziennie przez osiem lat. Dopiero po roku dotarło do niego, że nie może przestać. Cały czas chodził do pracy, ale coraz trudniej było dopiąć domowy budżet. Potrzebował więcej, niż zarabiał. Coraz mniej wydawał na trójkę dzieci i żonę. To ona musiała dawać mu pieniądze.

Najbardziej zależał od ojca. – Był tu wczoraj i ostrzegł mnie, abym nie wracał do narkotyków, zostawił je na dobre. Powiedział, że jest już stary i nie może ciągle utrzymywać mnie i mojej rodziny – przyznaje Wahid. – Byłem niezależnym człowiekiem, teraz jestem zależny od



Wahid pali heroinę od ośmiu lat. Tuż przed wybuchem epidemii trafił na terapię odwykową. Kabul, marzec 2020 r.

wszystkich: mojej rodziny, bliskich i przyjaciół.

Mieć do czego wrócić

Doktor Azim przyznaje, że dopiero po wyjściu z odwyku zaczynają się prawdziwe problemy. Na nie służba zdrowia niewiele może zaradzić. – Z fizycznego uzależnienia wyciągamy wszystkich – stwierdza Azim. – Jednak po dwóch-trzech miesiącach od zakończenia terapii pacjenci często znowu sięgają po narkotyki.

Problemem jest bowiem uzależnienie psychiczne. Ono może trwać nawet do pół roku. Azim wyjaśnia, że pacjent wraca do domu i wszystko mu przypomina o narkotykach: ludzie, ubrania,

w kieszeniach których nosił używkę, godziny zażywania. W połączeniu z łatwą dostępnością narkotyków na ulicach i brakiem perspektyw powoduje to, że według Azima tylko jedna czwarta z tych, którzy przeszli odwyk, zostawia narkotyki na dobre.

Do pozostałych trzech czwartych należy 35-letni Mohammad. Jest uzależniony od 19 lat. Zadbany, ze starannie przystryżoną brodą. Gdy spotkałem go na ulicy w Heracie, dzień wcześniej wyszedł z czteromiesięcznego odwyku. I tylko co zapalił opium: – Lekarz powiedział, że wszystko ze mną w porządku, ale spędziłem noc w domu i wróciłem do starych przyjaciół – mówi Mohammad. Jego twarz nie zdradza emocji. Po prostu pogodził się z porażką.

Przytłacza go brak pracy i samotność. To one miały popchnąć go znowu do narkotyków. W Heracie jest sam, cała jego rodzina wyjechała za granicę: mieszkają w Turcji i Niemczech. Dwóch braci z Niemiec chciało go ściągnąć do siebie, ale pod warunkiem, że będzie czysty. Mohammad nie dał rady, więc o wyjeździe i spotkaniu z bliskimi musi zapomnieć.

Natomiast Wahid przekonuje, że ma dość. Chce wyjść ze szpitala i znowu być niezależny, wspierać swoją rodzinę. Ma do kogo i do czego wracać. Czekają na niego rodzina i praca. Dlatego ma nadzieję, że po odwyku będzie wśród tej jednej czwartej, której się udało.

© PAWEŁ PIENIAŻEK
Współpraca: AREF KARIMI
i ALISZER SZACHIR

TYGODNIK
POWSZECHNY

Podkast
Powszechny



„Rozmowy o byciu razem”

Wojciech Mann, Anna Dymna, Jan Peszek, Katarzyna Nosowska, Marek Bieńczyk, Adam Wajrak, Tomasz Budzyński oraz Jerzy Stuhr

w autorskim cyklu

Katarzyny Kubisiowskiej.

weź, słuchaj!

powszech.net/podkast



CZAS ZARAZY

COPERNICUS FESTIVAL 2020: CZAS

WWW.COPERNICUSFESTIVAL.COM

19-24.05 online



COPERNICUS
FESTIVAL

PROJEKT JEST WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW MIASTA KRAKOWA

ORGANIZATORZY



Copernicus
Center



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO



TYGODNIK
POWSZECHNY



UNIWERSYTET JAGIELLOŃSKI
W KRAKOWIE

PARTNERZY



Ministerstwo Nauki
i Szkolnictwa Wzrznego



Kraków



TEMPLETON
RELIGION
FUND



MADRA
KSIĄŻKA
ROKU

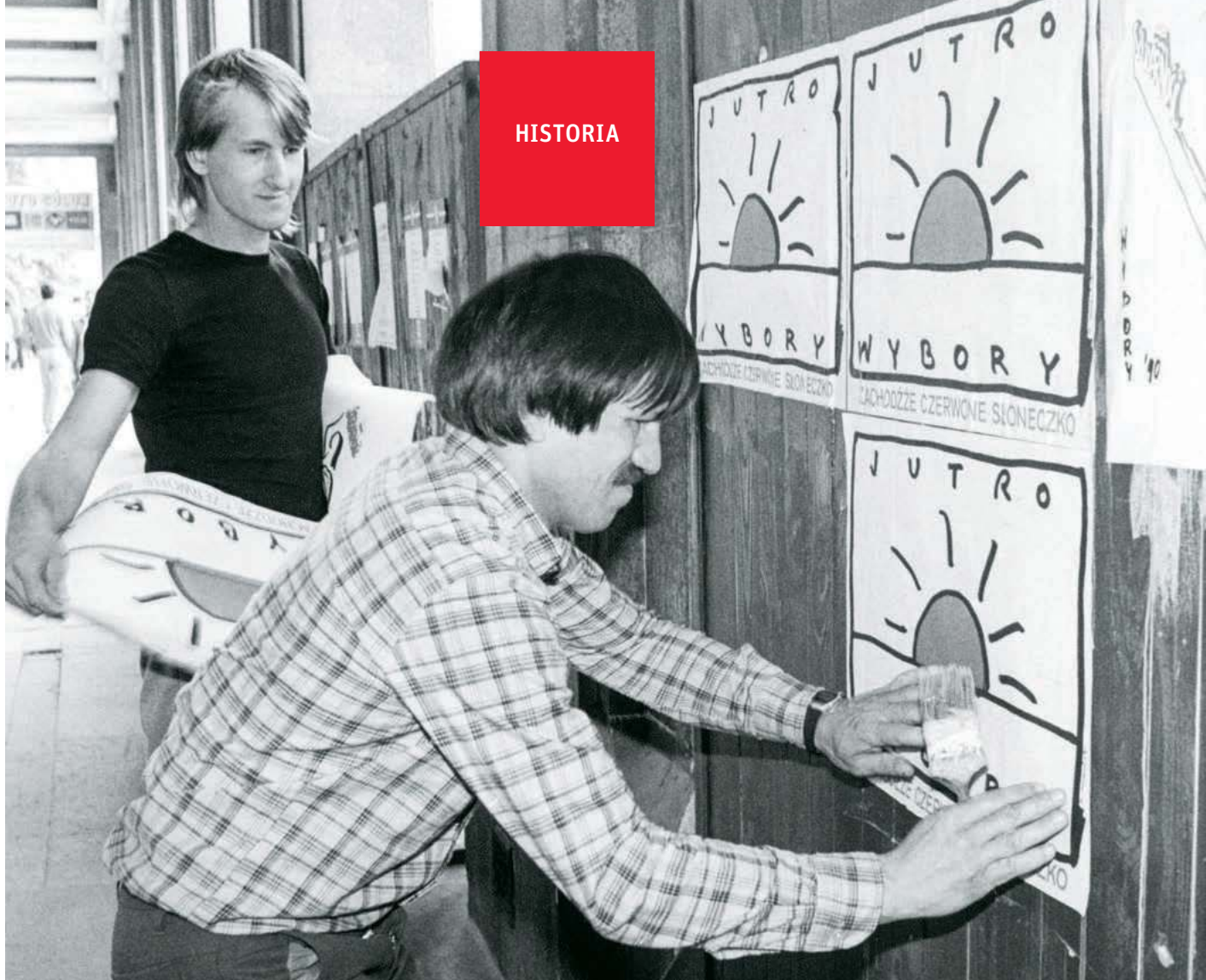
Admind_ BRANDING AND
COMMUNICATIONS

moje bambino®

Jangar

S-NET
GRUPA TOYA

Więcej informacji i program festiwalu w dodatku „Wielkie Pytania: PANDEMIA” na ostatnich stronach tego wydania „Tygodnika Powszechnego”



Działacze Solidarności rozklejają ostatnie plakaty przed wyborami samorządowymi. Zachodzące czerwone słońce symbolizuje koniec komunistycznej kontroli nad samorządem terytorialnym. Warszawa, 25 maja 1990 r.

NARODZINY SAMORZĄDU

Spośród reform zainicjowanych przez rząd Tadeusza Mazowieckiego właśnie ta – przeprowadzona 30 lat temu – okazała się najtrwalsza.

ANTONI DUDEK

WŚWIADOMOŚCI SPOŁECZNEJ DATA 27 maja 1990 r. właściwie nie istnieje. A to właśnie tego dnia odbyły się w Polsce pierwsze po II wojnie światowej całkowicie demokratyczne wybory. Ponieważ jednak nie towarzyszyły im ta-

kie emocje jak wcześniejszym o rok kontraktowym wyborom z 4 czerwca 1989 r. albo późniejszemu starciu Wałęsy z Mazowieckim o prezydenturę mało kto pamięta, że właśnie wtedy w naszym kraju zaczął się odradzać samorząd gminny.

Z długiej listy reform zainicjowanych przez rząd Tadeusza Mazowieckiego właśnie ta samorządowa okazała się najbardziej trwała oraz – w porównaniu z równie fundamentalną przebudową gospodarki – znacznie szerzej akceptowana.

O chęci jej dokonania premier wspominał już w swoim *exposé* we wrześniu 1989 r., zapowiadając „stworzenie prawnych i materialnych warunków uformowania samorządu terytorialnego, tak aby w krótszym, niż to było przewidywane, czasie doprowadzić do wyborów samorządowych”. Na tle niezwykle ostrożnego programu zmian ustrojowych, zarysowanych w tym wystąpieniu, była to bodaj najdalej idąca propozycja nowego premiera.

Skala trudności

„»Pan domaga się demokracji lokalnej, to proszę ją stworzyć« – powiedział do mnie Tadeusz Mazowiecki, gdy wezwał mnie w 1989 roku, aby powierzyć mi funkcję pełnomocnika rządu do spraw reformy samorządu terytorialnego” – wspominał prof. Jerzy Reguński. Jednak przy konstruowaniu rządu dla Reguńskiego zabrakło miejsca w konstytucyjnym składzie gabinetu – musiał się zadowolić stanowiskiem podsekretarza stanu w Urzędzie Rady Ministrów.

W całej sprawie nie chodziło jednak o osobiste ambicje Reguńskiego, ale o jego całkowicie logiczny pogląd, że „odbudowa samorządu polegała na tym, że zabierało się istotną część kompetencji właśnie administracji rządowej. Samorząd miał sukcesywnie wyjmować z jej kompetencji całe sfery działania”.

Ulokowanie zatem pełnomocnika rządu ds. samorządu terytorialnego właśnie w URM musiało spowodować konflikt. Niewiele pomogło tu wywalczone przez Reguńskiego osobiste podporządkowanie premierowi, bo całe jego biuro – liczące zresztą początkowo zaledwie pięć osób (w tym sekretarka i kierowca) – podlegało szefowi URM Jackowi Ambroziakowi. Ten zaś przyjął wyłączenie Reguńskiego spod swojego nadzoru „z niesmakiem i niechęcią, która w następnych miesiącach wyraźnie wzrastała”. Z kolei sam Ambroziak uważał, że na tak ostre oceny Reguńskiego wpływ mogło mieć rozczarowanie, iż nie uzyskał rangi samodzielnego ministra. W każdym razie – konflikt obu ważnych urzędników tylko spotęgował skalę trudności związanych z operacją odrodzenia samorządu.

Prof. Reguński i jego współpracownicy zdecydowanie odrzucili forsowany przez niektórych polityków obozu solidarnościowego pomysł, aby jeszcze przed końcem 1989 r. doprowadzić do przedtermi-

nowych i całkowicie demokratycznych wyborów do rad narodowych, funkcjonujących w czasach PRL. Uważając te ostatnie za struktury całkowicie fasadowe, obawiali się, że sama ich demokratyczna legitymizacja nie wystarczy, i że bez zasadniczych zmian kompetencyjnych cała operacja skończy się kompromitacją idei samorządowej. Z drugiej strony nie do przyjęcia okazał się wariant, który zakładał całościową reformę samorządu – Reguński szacował, że przygotowanie wszystkich jej elementów wymagałoby około 16 miesięcy, co słusznie uznano za termin zbyt odległy.

Presja i opór

Po zmianach politycznych, do jakich doszło w Warszawie z chwilą powstania rządu Mazowieckiego, w całej Polsce oczekiwano głębokich reform aparatu państwa. Z każdym miesiącem rosła na tym polu oddolna presja na rząd.

Jednak wewnątrz URM bardzo silny był opór wobec ich przyspieszania. Rzesza pracujących tam urzędników znalazła sobie obrońcę i patrona w osobie Jerzego Kołodziejskiego – byłego wojewody gdańskiego, który zaliczany był do tzw. grupy Tadeusza Fiszbacha, czyli reformatorskiego skrzydła PZPR. Z tą rekomendacją Mazowiecki mianował go sekretarzem stanu w URM, gdzie nadzorował terenową administrację rządową. Ponieważ zaś szef URM Jacek Ambroziak skoncentrowany był na wspieraniu samego premiera, Kołodziejski dość długo i skutecznie hamował zmiany kadrowe w terenie.

Kołodziejski nie ukrywał też sceptycyzmu wobec nadmiernej rozbudowy uprawnień samorządu. Podczas dyskusji w Senacie w styczniu 1990 r. argumentował, że „zasady funkcjonowania samorządu nie mogą osłabiać państwa. (...) Istotą relacji między interesem państwa a częściowymi interesami samorządów nie może być konflikt”.

Aby go uniknąć, Kołodziejski miał konkretną receptę. Korzystając z faktu, że równolegle procedowano nową ustawę o administracji terenowej, zaproponował, by urzędy wojewódzkie sprawowały nadzór nad samorządem jako podmiotem gospodarczym. „Jeśli od decyzji wójta będzie przysługiwało odwołanie do organów administracji państwowej w osobie starosty lub wojewody, to z samorządu terytorialnego będą nici” – ripostował wówczas prof. Michał Kulesza, współtwórca

reformy. Propozycja Kołodziejskiego została odrzucona.

Żmudne negocjacje

Reaktywowanie samorządu wymagało uchwalenia kilku całkowicie nowych ustaw oraz nowelizacji ponad stu innych.

Reguński, będący równocześnie senatorem, zdołał włączyć do intensywnych prac nad ich przygotowaniem izbę wyższą parlamentu, gdzie współpracowała z nim – jako pełnomocnikiem rządu – komisja na czele z senatorem Jerzym Stępnim oraz z Kuleszą w roli głównego eksperta.

W rezultacie poszczególne projekty nowych rozwiązań powstawały albo w biurze Reguńskiego w URM, albo w senackiej komisji ds. samorządu. W tej ostatniej przygotowano zresztą najistotniejsze dla reformy projekty ustaw: o samorządzie gminnym, o pracownikach samorządowych, a także ordynację wyborczą. Z kolei zespół Reguńskiego skoncentrował się na projektach ustaw dokonujących podziału kompetencji administracji rządowej i samorządu oraz na projekcie tzw. ustawy wdrożeniowej (określającej mechanizmy wprowadzenia reformy).

Niezwykle żmudnym zadaniem okazało się wynegocjowanie z poszczególnymi ministerstwami szczegółów nowelizacji ogromnej liczby przepisów. „Napotykalismy poważne opory – wspominał Reguński – bo w większości przypadków chodziło o ograniczenie kompetencji resortów, a co za tym szło, również środków finansowych i możliwości bezpośredniego wpływania na instytucje w terenie”.

Reguński podkreślał, że w niektórych przypadkach przełamanie resortowych oporów nie byłoby możliwe bez osobistego wsparcia premiera. Nawet stałe zaproszenie pełnomocnika rządu na posiedzenia gabinetu, czemu przeciwny był Ambroziak (on sam temu zaprzecza), udało się wywalczyć podobno dopiero po interwencji Mazowieckiego. Okazało się przepustką do nawiązania bezpośredniego kontaktu z ministrami i – jak przyznawał Reguński – spowodowało „większą łatwość załatwiania różnych spraw, które poprzednio były bardzo trudne”.

Ambroziak przyznaje, że miał inną niż Reguński wizję zmian w administracji, a niektóre radykalne propozycje profesora uznawał za brak realizmu ze strony akademickiego teoretyka samorządu. ➔

→ „W trakcie wizyt studyjnych, jakie odbyłem w Szwecji i Finlandii, przekonałem się, że rząd musi zachować pewien zakres wpływu na samorządy, aby zapewnić m.in. politykę zrównoważonego rozwoju, zapobiegającą potęgowaniu się różnic między bogatymi i biednymi gminami. Niezbędna też była pewna kontrola o charakterze antykorupcyjnym” – wspominał Ambroziak.

Majstersztyk złośliwości

Na początku 1990 r. zasadniczą część projektów dotyczących samorządu była już gotowa – i Mazowiecki, coraz ostrzej krytykowany za brak reform politycznych, postanowił wystąpić z inicjatywą skrócenia kadencji istniejących rad narodowych i przeprowadzenia wiosną całkowicie demokratycznych wyborów do rad gmin.

O swojej propozycji poinformował Lecha Wałęsę (wtedy lidera Solidarności) w czasie spotkania 14 stycznia, publicznie zaś zamierzał ją ogłosić w cztery dni później w Sejmie. Tymczasem 16 stycznia Wałęsa wydał oświadczenie, w którym oznajmiał: „Zmiany następują w tempie, które nie rokuje szans ich skutecznego, szybkiego wprowadzenia. Nie widzę innego wyjścia, jak zwrócić się do Sejmu i rządu Rzeczypospolitej Polskiej o przyspieszenie terminu wyborów do samorządów lokalnych”. Tłumacząc to posunięcie, Wałęsa napisał we wspomnieniach: „Premier Mazowiecki obraził się na mnie, że ukradłem pomysł, choć dobrze wiedział, że już moje wcześniejsze nawoływanie o specjalne pełnomocnictwa dla rządu było niczym innym, jak chęcią przyspieszenia procesu przemian”.

Zupełnie inaczej widział tę sprawę premier. Szef jego doradców Waldemar Kuczyński ocenił akcję Wałęsy jako „majstersztyk złośliwości” i „cyniczne sprzątnięcie »Żółwiowi« sprzed nosa główki sałaty”. Pisząc o Mazowieckim jako o żółwiu, Kuczyński nawiązywał do popularnego telewizyjnego programu satyrycznego „Polskie Zoo”, w którym polityków przedstawiano pod postaciami zwierząt. Obsadzenie w nim Mazowieckiego w roli żółwia utrzymywało obraz (byłego już wtedy) premiera jako polityka słynącego z wolnego mówienia i jeszcze wolniejszego podejmowania decyzji.

Jednak w przypadku reformy samorządowej trudno uznać ten obraz Mazowieckiego za uzasadniony. W marcu

1990 r., przy wsparciu rządu, Sejm uchwalił pakiet trzech ustaw samorządowych, w tym nową ordynację. Oczywiście i tym razem nie obyło się bez sporów, koncentrujących się wokół systemu głosowania. Rząd nie angażował się oficjalnie w spór o kształt ordynacji – w przeciwieństwie do innych kwestii, głównie tych dotyczących podziału kompetencji między administracją rządową i samorządową oraz pojawiających się postulatów równoczesnego uruchomienia samorządu na szczeblu wojewódzkim.

W tej ostatniej sprawie zwyciężył pogląd, że – z uwagi na bezpieczeństwo całej reformy, przygotowywanej w błyskawicznym tempie – powinno to nastąpić w jej drugiej fazie. Nikt wówczas nie zakładał, że potrwa to blisko dekadę.

Walka w terenie

Prof. Reguński zdawał sobie sprawę, że reaktywacja samorządu napotka olbrzymi opór w terenowej administracji rządowej. Aby go przełamywać, a przy okazji udzielić wsparcia mającym stawiać pierwsze kroki działaczom samorządowym, przeformował – znów wbrew Jackowi Ambroziakowi – utworzenie w końcu marca 1990 r. terenowej sieci doradztwa, którą tworzyło 49 wojewódzkich delegatów pełnomocnika rządu.

Reguński zrezygnował z wykorzystania do tego infrastruktury odziedziczonej po likwidowanych biurach ds. rad narodowych, istniejących w każdym urzędzie wojewódzkim – i doprowadził do przekazania jej swoim delegatom, którzy byli niezależni od wojewodów.

Ci ostatni byli w tym czasie, jak trafnie zauważył Reguński, „w większości starzy, przeciwni rządowi. Natomiast moi delegaci utworzyli pierwszą sieć już »nowej« administracji. Ich powołanie było solą w oku całej administracji rządowej. Stanowili bowiem sieć niezależną i ważny kanał informacji, która dotychczas należała wyłącznie do wojewodów. Wojewodowie prowadzili więc z nimi walkę”.

Za wymianę wojewodów i ich zastępców Ambroziak, jako szef URM, zabrał się energiczniej dopiero w drugiej połowie roku 1990 – w czym niebagatelną rolę odegrała oczywiście fala krytyki, wynikająca nie tylko z czerwcowego rozłamu w ruchu Komitetów Obywatelskich, ale też z pojawienia się (w konsekwencji majowych wyborów) rzeszy nowych działa-



czy samorządowych, domagających się głębokich zmian kadrowych w terenowej administracji.

W efekcie spośród ówczesnych 49 wojewodów i ponad 150 wicewojewodów, którzy zajmowali swoje stanowiska w chwili powstania rządu Mazowieckiego, do końca jego istnienia przetrwało na stanowiskach jedynie pięciu wojewodów i ich dziesięciu zastępców.

Sygnal społecznej frustracji

Przebieg kampanii wyborczej wiosną 1990 r., a zwłaszcza problemy ze znalezieniem w niektórych okręgach jednomandatowych chętnych do kandydowania, uwidoczniły skalę bierności i apatii społecznej. Wprawdzie w 30 proc. okręgów o mandat walczyło trzech kandydatów, ale w aż 45 proc. okręgów było ich tylko dwóch, a w 4,5 proc. zaledwie jeden.

Także frekwencja w majowych wyborach nie zachwycała: głosowało jedynie 11,4 mln z blisko 27 mln uprawnionych (tj. 42 proc.). Wprawdzie z perspektywy



Hasła przedwyborcze na ulicy Piotrkowskiej. Łódź, maj 1990 r.

późniejszych elekcji samorządowych nie wydaje się ona niska, jednak wiosną 1990 r. zignorowanie pierwszych całkowicie demokratycznych wyborów w powojennej Polsce przez ponad połowę obywateli mogło być szokujące.

Niestety, pogrążony w coraz ostrzejszym konflikcie wewnętrznym obóz solidarnościowy w dużym stopniu zignorował ten pierwszy tak masowy i poważny sygnał społecznej frustracji oraz zagubienia w nowej rzeczywistości. Tymczasem ich pierwszą ofiarą miał paść – już pół roku później – sam premier Mazowiecki i jego prezydenckie aspiracje.

Jednak wiosną 1990 r. wyniki głosowania odczytano inaczej: jako dowód, że Solidarność pozostaje nadal główną siłą polityczną w Polsce. Kandydaci Komitetów Obywatelskich i Solidarności rolniczej zdobyli bowiem 47 proc. z blisko 52 tys. mandatów radnych, jakie wówczas obsadzono. Drugą co do wielkości pulę mandatów (39 proc.) otrzymali kandydaci niezależni, tj. niereprezentujący żadnych or-

ganizacji. Polskie Stronnictwo Ludowe uzyskało 6,5 proc., a kandydaci innych partii zdobyli znikomą liczbę mandatów.

Samorządy kontra centrala

Szybkie i sprawne wyłonienie ponad 50 tys. ludzi dysponujących demokratycznym mandatem – oraz przyznanie im uprawnień do działania na rzecz swoich lokalnych społeczności – było największym sukcesem rządu Mazowieckiego w polityce wewnętrznej. W transparentny sposób odbudowano rozległy obszar funkcjonowania państwa, skutecznie chroniący obywateli przed skłonnościami władz w Warszawie do centralizmu i woluntaryzmu, praktykowanego przez komunistów (a przed 1939 r., przy wszystkich różnicach, przez rządzących autorytarnie pilsudczyków).

Jednak walka między samorządowcami a stołecznymi urzędnikami dopiero się zaczynała. Senator Jerzy Stępień wspomina, że wspomniany już sekretarz stanu w URM Jerzy Kołodziejowski próbo-

wał „zmienić kierunek decentralizacji, forsując ustawę o organach administracji ogólnej, uchwaloną ostatecznie w maju 1990 roku. Ta ustawa burzyła naszą koncepcję, bo macki rządu centralnego sięgały dawnego powiatu. Ponieważ jeszcze na dodatek rząd Mazowieckiego utworzył w sierpniu tego samego roku ponad 250 rejonów administracji ogólnej, rola gmin została dodatkowo pomniejszona”.

Ciąg dalszy nastąpi

Umożliwiając powstanie ruchu samorządowego, rosnącego szybko w siłę, równocześnie premier nie zdołał wykorzystać go dla celów swojej polityki. Ubolewał nad tym Regulski: wspominał, jak już w trakcie kampanii prezydenckiej starał się przekonać Mazowieckiego, aby „wykorzystał środowisko samorządowców. Przecież samorządy powstały dzięki rządowi i to należało ludziom uświadomić. Ale to nie znajdowało zrozumienia”.

Czy jednak taka operacja była w ogóle możliwa? Czy istotnie uniemożliwiła ją niechęć Mazowieckiego i jego sztabu do „uświadamiania” radnych? Wydaje się to wątpliwe. Większość autentycznych samorządowców starała się trzymać z dala od „wielkiej polityki”, słusznie koncentrując uwagę na rozlicznych problemach swoich małych ojczyzn. Dlatego nadzieje żywione przez Regulskiego wydają się złudzeniem, któremu zresztą w kolejnych dekadach III Rzeczypospolitej ulegało jeszcze wielu działaczy partyjnych, marzących o wprzęgnięciu lokalnych sił samorządowych do budowy ogólnopolskich obozów politycznych.

Tymczasem samorząd, z którego oczywiście niektórzy ludzie trafiali do kolejnych parlamentów i rządów, pozostał na szczęście w dużym stopniu światem autonomicznym. Ze wszystkimi swoimi zaletami, ale i wadami. Tak właśnie powinno być w zdrowym systemie demokratycznym, w którym porządek samorządowy oraz parlamentarno-rządowy powinny się uzupełniać i oddziaływać na siebie – ale pod warunkiem zachowania odrębności i niezależności w sprawach zasadniczych.

© ANTONI DUDEK

Autor jest historykiem i politologiem, profesorem UKSW. W latach 2010–2016 członek Rady IPN, autor książek o historii Polski w drugiej połowie XX w. Ostatnio wydał „Od Mazowieckiego do Suchockiej. Pierwsze rządy wolnej Polski”.



„TP” 17-18/2020

Koronawirus i katolickie dogmaty

Ks. prof. Andrzej Draguła porusza w artykule „Kościół na kwarantannie” bardzo aktualny i skłaniający do refleksji wielu katolików temat koniecznej, wymuszonej przez koronawirusa, zmiany sposobu udziału w religijnych praktykach, a w szczególności w sakramentach. Z szacunkiem i fachowym podejściem teologa opisuje różne obecne działania duszpasterskie, jedno z nich klasyfikując jako nadmiernie doktrynersko niewspółczesne, inne jako już za daleko idące i nawet niedopuszczalne. Chciałbym zwrócić uwagę na bardziej uniwersalny aspekt tej konfrontacji. Podobne dyskusje toczą się w sercu Kościoła pomiędzy papieżem Franciszkiem i papieżem

emerytem Benedyktem XVI. Toczyły się przez całą historię Kościoła, toczyły się pomiędzy Jezusem z Nazaretu a faryzeuszami. Dawne polemiki i idące często za nimi tragiczne ekskomuniki możemy dziś dość wnikliwie ocenić. Dyskusje nad obecnymi problemami są już dużo trudniejsze do weryfikacji. Wydaje się, że ważną wskazówką jest nie to, czy dana ocena ma historyczne i teologiczne podstawy, ale czy odpowiada najważniejszym wskazaniom chrześcijańskim – miłości oraz szacunku do Boga i ludzi. Te oceny są wydawane dla określonego środowiska i konkretnej sytuacji. Wymagania dla kapłanów w Ameryce Południowej, z której wywodzi się Franciszek, wielu osobom nie pasują do służby kapłańskiej w krajach Europy, a jeszcze bardziej Europy Wschodniej. Chcę zaapelować do naszej kościelnej hierarchii, pochwyciwszy od proboszczów, a skończywszy na arcybiskupach: w koronawirusowych czasach dawajcie ewangeliczny, uniwersalny przykład miłości Boga i bliźniego! Pokazujcie, jak z szacunku do drugiego człowieka, by go nie zarazić koronawirusem,

stosować się do zasad zalecanych przez wirusologów: zachowywać duże odległości pomiędzy osobami, nosić maseczki, nie zbliżać się do siebie, nie pić z tych samych naczyń, nie inicjować większych skupisk ludzi, zachowywać sterylność. Biorąc udział w niedzielnych transmisjach mszy świętej widzę, jak dużo czasu zabiera zrozumienie tych prostych reguł odprawiającym mszę św. przed kamerami. Jeszcze niedawno brałem udział w mszy wideo, podczas której odprawiający miał orszak służby liturgicznej – trzymano przed czytającym ewangeliaz, dwie osoby równocześnie podawały naczynia, celebrant i koncelebrant z reguły nie zachowywali między sobą odstępów i pili z jednego kielicha. Dlaczego tak kurczowo trzymali się tradycyjnego mszalnego rytuału? Na te sceny patrzyły tysiące widzów, nie wiedząc, czy może koronawirus nie ima się ludzi w lasce uświęcającej. Nawet najwyżej postawionym w hierarchii księżom wiele czasu zajmuje zrozumienie swojej roli przewodnika w czasie pandemii. Nie wystawiają sobie takim działaniem najlepszej opinii.

Można się zastanawiać, czy problemy doktryny, na które zwrócił uwagę ks. prof. Draguła, są naprawdę tak istotne i niepodważalne, jak się postuluje. W Polsce w dzisiejszych niezwykle czasach, podobnie jak w również dla nas niezwyklej dżungli amazońskiej, musimy być może sięgnąć głębiej, aż do podstawowych zasad i stamtąd, z zasadniczej perspektywy oceniać i planować nasze codzienne zachowanie. Wtedy najpewniej zaakceptujemy i być może doświadczymy głębokiego przeżywania telewizyjnej liturgii bez fizycznej eucharystii, i zaakceptujemy żonaty mężczyzna, który świadczy posługę kapłańską. Jeśli zbyt często będziemy „stać tu i nie dalej”, być może nasze opinie i działania będą funkcjonować jako faryzejskie.

BOGUSŁAW NOWAKOWSKI

Probiez wiary

Wszyscy jesteśmy w szoku – kapłani i wierni. Słyszę ciągle, że narasta wśród księży niepokój, ilu wiernych powróci do praktyk religijnych po zakończeniu pandemii. Strach ten często jest podsyty obawą o finanse kościoła parafialnego. Możemy obudzić się pewnego dnia w kraju, w którym, jak na Zachodzie, zaczęły zamykać kościoły lub sprzedawać je, by pokryć długi diecezji. Ideologia klerykalizmu, w której kształtowano wielu polskich księży, nagle weźmie w łeb: trzeba będzie szukać energiczniej zagubionych owiec, nie wystarczą głoszone bez przekonania religijne komunały. No i jeszcze jedna korzyść z tej sytuacji: mniej molestujących księży, mniej prześladowania niepokornych owiec, mniej parafialnych intryg. Ta pandemia uczy pokory, jest probiezem wiary autentycznej.

ALEXISS (głos z forum na stronie „Tygodnika”)

Z głębokim żalem przyjęliśmy wiadomość o odejściu Przyjaciela

Ś.†P.

Prof. zw. dr. hab.

Macieja Zielińskiego

wybitnego naukowca prawnika-logika i konstytucjonalisty,

szlachetnego, prawego Człowieka.

Będzie nam Ciebie, Macieju, brakowało.

JOLANTA I FRANCISZEK RAJEWSKY Z SYNEM MARCINEM

JOANNA RAJEWSKA DE MEZER Z MĘŻEM

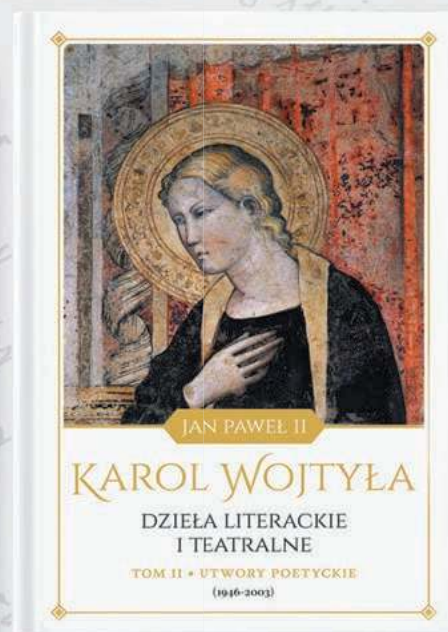
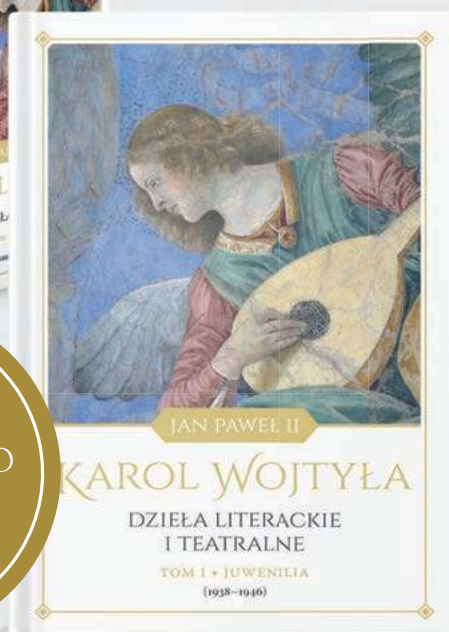
POZEGNANIE

Literacki
zapis myśli i przeżyć

KAROLA WOJTYŁY



BEZCENNE
DZIEDZICTWO
KULTURY



- TOM I **Juwenilia (1938–1946)**
 TOM II **Utwory poetyckie (1946–2003)**
 TOM III **Dramaty (1949–1964)** w przygotowaniu

POLECAMY TAKŻE

**NAJNOWSZY MIESIĘCZNIK
„ZNAK”**

Ostatni tacy papież
 O blaskach i cieniach pontyfikatów
 Jana Pawła II, Benedykta XVI i Franciszka



POWOLUTKU, MAMY CZAS

ANNA SENIUK, AKTORKA:

Żyłam w przekonaniu, że jestem do niczego.
Właściwie zostało mi to do dziś.
Dlatego mój zawód uprawiam z determinacją.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Opowie Pani o buku?

ANNA SENIUK: Rósł w parku w Krzeszowicach, stary, dostojny. Gałęzie miał rozłożyste, prawie równoległe do ziemi.

To były Krzeszowice pod Krakowem.

I jedno z miejsc w naszej tułaczce, po wypędzeniu ze Stanisławowa w 1945 r. przez ówczesne władze nazwanym niewinnie „repatriacją”. Z samego Stanisławowa i wyjazdu nie pamiętam wiele. Byłam mała.

A co Pani pamięta?

Daleką podróż, może trwała tydzień, może dwa. W wagonie bydlęcym jechaliśmy w sześć osób – rodzice, dziadkowie, moja starsza siostra i ja. Pamiętam stosy kufrów, skrzyń i żelazny piecyk na środku. No i moje pierwsze kino – przez szparę w drzwiach wagonu przesuwali się obrazki. Jak w bajce: drzewo, las, pole. Z wielkiej ciekawości nawet wsunęłam się w tę szparę i wypadłam z wagonu. Na szczęście pociąg jechał bardzo wolno i ojciec zdążył po mnie wyskoczyć. Wpadł też neseserek ze skromną biżuterią mamy, ale tego już nie znaleźliśmy. Pierwszy przystanek był u cioci, która miała dom w Brzeszczach pod Oświęcimiem. Tam pochowaliśmy babcię i dziadka, myślałam, że opuścili nas ze smutku i tęsknoty.

Potem Zator. Ojciec był nauczycielem, został tam kierownikiem szkoły rolniczej. Mieszkaliśmy w zdewastowanym

pałacu Potockich. W salach balowych, ozdobionych włoskimi freskami i marmurem, urządzono skup zboża i zasypano je po sufit ziarnem... A wokół zdziczały park, w którym do nocy można było się bawić z miejscowymi dziećmi. Pamiętam głos mojej mamy z okna, która śpiewnie wołała: „Aaaniuuu, Bożeeen-kooooo...”. Mama miała przepiękny głos i przed wojną marzyła, by kształcić się w tym kierunku.

Potem wylądowaliśmy w Krzeszowicach, gdzie dostaliśmy nieduże mieszkanie znów przy pałacowym parku Potockich... Tam właśnie znalazłam swój kącik, czyli cudowną gałąź w kształcie hamaka na starym buku. W domu było ciasno, więc urządziłam sobie komnatę całą w liściach, gdzie było przytulnie nawet w czasie deszczu. I połykałam książki.

Jakie?

Wszystkie! Od „Poematu pedagogicznego” Makarenki i trzytomowej autobiografii Gorkiego, które znalazłam w szkolnej bibliotece, po „Tajemniczy ogród”, „Pierścień i różę”, „Serce”.

To były lata 50., jeszcze czasy Stalina.

Stalin? To ten miły pan z ciepłym uśmiechem, którego portret wisiał w kancelarii mojego ojca?

Tak Pani Stalina zapamiętała?

Niezupełnie. Pamiętam jeden epizod z nim związany. Moja starsza siostra

w dniu jego śmierci kazała mi stać na baczność i trzymać wartę przy jego zdjęciu wyciętym z gazety. A potem z koleżankami serdecznie mnie wyśmiały. Okrutnie mnie wtedy upokorzył.

Proszę opowiedzieć o ojcu.

Uczył przyrody. Dzięki niemu potrafię odróżnić lipę od buka, klon od jaworu, świerk od jodły. Wiem, że polacie zawilców wczesną wiosną są pod ochroną, pokazuję wnukom, jak wygląda gil, wróbel, pliszka. Ojciec zabierał mnie →

ANNA SENIUK (ur. w 1942 r. w Stanisławowie) jest aktorką teatralną i filmową, profesor Akademii Teatralnej w Warszawie. Od 2003 r. związana z Teatrem Narodowym w Warszawie. Grała w spektaklach m.in. Kazimierza Dejmka, Jerzego Jarockiego, Jana Englerta. W filmie zagrała m.in. w „Pannach z Wilka” Andrzeja Wajdy i „Konopielce” Witolda Leszczyńskiego. Ogromną popularność przyniosła jej rola Magdy Karwowskiej w telewizyjnym serialu Jerzego Gruzy „Czterdziestolatek”. W 2016 r. nakładem wydawnictwa Znak ukazała się książka „Nietypowa baba jestem”, w której z Anną Seniuk rozmawia jej córka Magdalena Małecka-Wippich.



→ na wycieczki – najpierw niedalekie, do Czernej, Tenczynka, a później na Nosal, Kasprowy Wierch, Czerwone Wierchy. Wtedy jeszcze nie było tłumów na szlakach, śmieci i hałasu. Gdy ojca zabrakło, chodziłam z plecakiem sama.

Dlaczego sama?

W górach przeszkadza mi nawet najlepszy przyjaciel. Lubię chodzić w swoim rytmie, bo wtedy to nie jest tylko droga do celu, ale wędrówka po osobiste odkrycia i zdumienia. Bez pośpiechu.

Bo jestem introwertykiem, ale myślę, że ta cecha pogłębiła się u mnie przez cygańskie życie, które prowadziliśmy w pierwszych latach po wojnie w poszukiwaniu pracy, mieszkania i stabilizacji. Ciągłe przeprowadzki, a to furką, a to ciężarówką, a to pociągiem. Nieustanna zmiana szkół, nauczycieli, koleżanek. Musiałam więc znaleźć sobie miejsca, w których czułabym się bezpiecznie: strych, drzewo, dach, kościół.

Kościół?

Pusty kościół.

A mama?

Mama? Bardzo wymagająca, dotkliwie wytykała moje błędy, rzadko chwaliła. Pewnie chciała dobrze, ale przez wiele lat żyłam w przekonaniu, że jestem do niczego.

Właściwie zostało mi to do dziś. Dlatego mój zawód uprawiam z determinacją, by udowodnić sobie i innym, że tak nie jest. To nieustanna walka z sobą, a więc siła, która w aktorstwie jest niezbędna. Gdy jej zabraknie, przestanę być aktorką.

Aktorką została Pani w Krakowie.

Do Krakowa przyjechaliśmy, jak miałam 14 lat, i zakotwiczyliśmy się w nim na dobre. Mieszkałam tam do 28. roku życia i były to najbarwniejsze i najbardziej intensywne moje lata. Kraków w piękny sposób zastąpił mi moje rodzinne miasto – przyciągnął mnie, a ja mu pozostałam wierna.

Najlepszy moment w Krakowie?

1963 rok. Tytuł Najmilszej Studentki Krakowa, koronacja na Rynku, pochodnie, dorożka, bal.

1964 rok. Dyrektor Zygmunt Hübner zaangażował mnie i Janka Nowickiego do Starego Teatru. Pamiętam, pędzili-

śmy 13 maja przez Rynek, by nie spóźnić się na pierwszą próbę i... nie pamiętam już dokładnie, chyba przeskoczyliśmy Sukiennice.

Skok w zawód?

I w nowe życie.

A moment najbardziej gorzki?

Nie chciałabym sprowadzać wspomnień tylko do moich „naj”. Pomiędzy nimi są dziesiątki najwykleszych zdarzeń, jak ukradkowe uśmiechy, serdeczne przyjaźnie, małe smutki, pierwsze pocałunki, Planty o świcie, „nocne wypychanie ptaków” i zaczarowana dorożka Gałczyńskiego.

A ludzie?

Bronia Kwiatek, garderobiana w Starym, każda z aktorek ją wspomina – to była ogromna osobowość. Kiedy miałam swoją pierwszą premierę, ucharakteryzowałam się tak, jak uczyliśmy się u dziecka Eugeniusza Fuldego. Tylko że całą tę wiedzę, którą posiadałam, nałożyłam na jedną twarz – swoją. „A cóż pani z siebie takiego pajaca zrobiła?” – spytała Bronia. Tym zdaniem sprowadziła mnie na ziemię, to znaczy na scenę. Przyjaźniłyśmy się do końca.

Pani już wtedy wiedziała, że ten zawód jest szczególnie trudny dla kobiety?

Uświadomiłam to sobie dopiero, gdy urodziłam dzieci. Niektóre starsze koleżanki w teatrze ostrzegały: „Pamiętaj, aktorka nie może mieć dzieci, musisz się całkowicie poświęcić zawodowi!”.

Nie posłuchałam – mam wspaniałego syna i fantastyczną córkę.

Było trudno?

Macierzyństwo to jest potężne zmęczenie połączone z euforią. I chroniczne poczucie winy. Wieczorem, kiedy mama powinna opowiedzieć bajkę, przytulić, przykryć kołderką – to jej nie ma. Dziękować Bogu, mój mąż, kompozytor, pracował w domu, więc jakoś dzieliliśmy opiekę.

A Pani przed premierami?

Zwyczajnie. Uczyłam się na próbach, maksymalnie wykorzystywałam ten czas, by móc potem odciąć się od teatru i skupić na domu. Wtedy niczego nie było w sklepach – szłam pieluchy, po-

ściel, pizamki, firanki na starym singrze, który przyjechał z nami ze Wschodu. A na wakacje wyjeżdżaliśmy zawsze całą rodziną. To był święty czas, wtedy odrzucałam nawet najbardziej atrakcyjne propozycje.

Na przykład?

Odmówiłam Wajdzie zagrania w „Kronice wypadków miłosnych”.

Szkoda, bo to piękny film.

Tak, ale wymyśliłam sobie wtedy powiedzenie, które przydaje mi się w chwilach zawodowej posuchy: „im mniej gram, tym więcej żyję”. Rzucałam się wtedy w swoje pasje: narty, żeglarsstwo, jazda konna. A później podróże – od Szanghaju przez Podlasie po Madagę. A stosunkowo niedawno kupiłam sobie chatkę, o której zawsze marzyłam. Moja przyjaciółka Maria znalazła mi stuletni domek na Podkarpaciu. Nie miałam czasu go obejrzeć, więc Maria kupiła mi go w ciemno. Kiedy pojechałam wreszcie zobaczyć moje cudo, chatka się po prostu zawaliła! Widocznie stała sobie i czekała, by wreszcie ktoś ją kupić i wyremontować. (śmiech)

O!

Tak, z wiekiem pozwalam sobie na różne szaleństwa. Zamiast kupić coś blisko Warszawy, mam prawie 400 km do mojej chatki, a spędzam tam tylko parę dni w roku. Niepraktycznie, ale bardzo pięknie.

Jest stary sad – jabłonie, grusze, nieopodal kapliczka słynąca z cudów i studnia z uzdrawiającą wodą.

Nie daje mi spokoju to, że aktorstwo jest szczególnie trudne dla kobiety.

Ma pani na myśli nieubłagany czas? Co prawda Jan Nowicki powiedział mi kiedyś, że kobiety stare mają zmarszczki, mężczyźni zaś „szlachetne bruzdy”. Tak, to prawda, na szczęście od początku – dzięki dyrektorowi Hübnerowi – oprócz tak zwanych amantek grałam role komediowe i charakterystyczne. Dlatego nigdy nie odczułam brzemienia zmarszczek i kilogramów. Mając lat 60 zagrałam 80-letnią staruszkę w sztuce Siemiona Złotnikowa „Odchodzi mężczyzna od kobiety”. To była zresztą jedna z moich ukochanych ról. A Márta Mészáros zaproponowała mi rolę w operetce „Hrabina Marica”. Czy to nie cudowne w moim

wieku wchodzić na scenę w cekinach i strusich piórach? Im jestem starsza, tym bardziej pozwalam sobie na drobne szaleństwa.

Pani ma też szczęście do reżyserów.

W ogóle mam szczęście do ludzi. Kiedy dostałam propozycję, by wykładać w szkole teatralnej, ogarnął mnie popłoch. Co prawda w trzecim pokoleniu byłabym nauczycielką, ale nie studiowałam pedagogiki. A w tego typu szkole z każdym trzeba pracować indywidualnie.

Jeden jest wrażliwy, drugi bezczelny, trzeci udaje, czwarty w ogóle nic nie robi, a piąty się boi. Zadzwoiłam więc do profesora Aleksandra Bardiniego i spytałam, jak sobie mam z tym wszystkim poradzić. „Nie kłamać” – odpowiedział krótko.

Tyle?

W tym jest wszystko. Nie buduje się autorytetu na kłamstwie. Młodzi to czują.

Kto oprócz Bardiniego był dla Pani ważny?

Zbigniew Herbert. Napisał do moich studentów list z okazji premiery spektaklu dyplomowego „Opowieści o Panu Cogito” w reżyserii Zbigniewa Zapasiewicza. Herbert był wtedy bardzo chory i nie mógł przyjść na spektakl.

Ma go Pani pod ręką? Proszę przeczytać.

„Do Studentów Akademii Teatralnej, 14 I 1995 r.

Drodzy Nieznajomi, jesteście dość osobliwą, małą, skłóconą gromadką, bez której prześwietna ludzkość może się zupełnie dobrze obejść. Jesteśmy beznadziejną mniejszością – i co gorsza, uzurpujemy sobie prawo do wzniesienia niepokoju. Chcemy zmusić naszych bliznich do refleksji nad ludzkim losem, do trudnej miłości – jaką winni jesteśmy sprawom wielkim – także pogardy dla tych wszystkich, którzy z uporem godnym lepszej sprawy starają się człowieka pomniejszyć i odebrać mu godność. Czekają Was życie wspaniałe, okrutne i bezlitosne. Bądźcie w każdej chwili, w każdym wypowiedzianym ze sceny słowie po stronie wartości, za pięknym rzemiosłem przeciw tandecie, za nieustającym wysiłkiem woli i umysłu przeciw łatwej manierze, za prawdą przeciw obłudzie, kłamstwu i przemocy.

Niby dlaczego mam kawę
parzyć błyskawicznie?
Dlaczego nie mogę
powolutku nasypać, zakręcić,
usłyszeć szum.

**Pozbyliśmy się rytuałów,
bo szybko, bo szybciej...**

I nie bądźcie – na litość boską – nowocześni, bądźcie rzetelni. Hodujcie w sobie odwagę i skromność. Niech Wam towarzyszy wiara w nieosiągalną doskonałość i nie opuszcza niepokój i wieczna udreka, które mówią, że to, co osiągnęliśmy dzisiaj, »to jednak stanowczo za mało«.

Życzę Wam trudnego życia. Tylko takie godne jest artysty. Dla Was dobre myśli i pozdrowienia, i słowa nadziei.

Zbigniew Herbert”.

Można dać tytuł: „Przesłanie Pana Cogito do młodych artystów”.

Myślę, że ten list dotyczy nie tylko studentów, artystów, ale każdego z nas.

I Pani też ma trudne życie?

Jak wszyscy. To był 1993 rok, zaraz po śmierci mojej mamy okazało się, że mam raka piersi. Na szczęście trafiłam na profesora Andrzeja Kułakowskiego – nie tylko znakomitego chirurga, ale i wspaniałego człowieka, który nie pozwolił mi na psychiczną zapaść. Miał niezwykle poczucie humoru. Przed operacją zapytał:

- Jak pani spała dzisiejszej nocy?
- Wcale nie spałam.
- No to teraz się pani wyśpi.

A potem Pani sama wspierała kobiety po mastektomii.

Jeździłam do klubów amazonek na spotkania i rozmowy.

Co Pani im mówiła?

To, co sama sobie kiedyś. Dla tych kobiet bardzo ważny jest ktoś, kto osobiście da świadectwo. Że mamy nowe życie i nie możemy go zmarnować, a wstyd kobiet nie jest na miejscu, bo to tylko choroba.

Spotykałam kobiety, które rezygnowały z pracy, chowały się w domu, wsty-

dziły się nawet nie tego, że straciły piersi, ale że ludzie o tym wiedzą.

Odpisywałam na listy, które kobiety słały na adres teatru. Jeżeli komuś pomogłam, to znaczy, że nie na darmo wyzdrowiała.

Wtedy Pani wszystko przewartościowała?

Praca nad sobą wymaga czasu, zatrzymania się na chwilę. Eliminowanie z horyzontu wszelkich niewygodnych aspektów życia sprawia, że gdy dopadnie nas nagle nieszczęście, tracimy grunt pod nogami. A kiedyś bliski zmarły przebywał w domu dzień lub dwa. Był czas na pożegnanie, nawet dzieci uczestniczyły w tym misterium. To było mądre.

Teraz z tym coraz trudniej, dzieci trzymamy pod kloszem.

Sama nie mogę sobie wybaczyć, że nie mogłam być przy rodzicach, gdy odchodzili – bo ci, którzy odchodzą, potrzebują nas tak, jak my będziemy kiedyś potrzebować kogoś, by przy nas był. Gdy umarła moja babcia i leżała w domu, siedziałam obok, patrzyłam na nią, musiałam pocałować ją w strasznie zimną rękę, inną niż do tej pory.

Śmierć to przecież część życia, która powinna znaleźć swoje naturalne miejsce. Książd Twardowski napisał: „W życiu musi być dobrze i niedobrze, bo jak jest tylko dobrze, to jest niedobrze”.

Ale to bardzo trudne: zajrzeć w siebie i zobaczyć, co mamy w środku.

Co Pani ma w środku?

Oj, dużo niedoskonałości. Sporo narozrabiałam, ale to już moja tajemnica. Chciałabym przypominać sobie pewne zabawne zdarzenie, które nie najlepiej o mnie świadczy. Wychowywałam moje dzieci jak babcia mamę, a mama mnie. A tu proszę – kiedyś z synem i wnukami wracaliśmy ze spaceru i lunął deszcz. Zachwycone dzieci zaczęły wskakiwać do kałuż i bawić się w błocie. „Proszę natychmiast przestać!” – krzyknęłam ostro. A ich ojciec spokojnie: „A dlaczego?”. Pomyślałam: „Właściwie dlaczego nie? Niech skaczą. Wrócimy do domu, przebiorą się, a ubrania wrzucimy do pralki”. Ale mama i babcia...

A samotność na co dzień?

Mieszkam od lat sama i świetnie sobie z tym radzę. Ten stan nie jest mi obcy, ➔

→ chociaż zawsze byłam wśród ludzi. Mimo tego, że jestem na emeryturze, nadal intensywnie pracowałam: teatr, film, wyjazdy do Wrocławia, Poznania, Lublina, premiery, spotkania... To nagle się skończyło wraz z ogłoszeniem pandemii.

To co Pani teraz robi?

Porządkuję – jak wszyscy teraz – archiwizuję rodzinne, pudła ze zdjęciami rodziców, listy dziadków, testamenty, akty chrztu. W pewnym momencie trafiłam na zdjęcia babci, która tak spokojnie na mnie patrzyła. Pozazdrościłam jej tego spokoju.

Dlaczego?

Od jej śmierci świat tak bardzo przyspieszył, a jeszcze mu mało! Ciągłe słyszę prędzej, prędzej, szybko, szybko... Pamięta pani telewizyjną reklamę urzędnika do szybkiego parzenia kawy? A niby dlaczego mam tę kawę parzyć błyskawicznie? Dlaczego nie mogę powolutku nasypać, zakręcić, usłyszeć szum, porozkoszować się zapachem, otworzyć ekspresik, nalać do filiżanki i spokojnie pić łyk po łyku. Pozbyliśmy się rytuałów, bo szybko, bo szybciej. A my właśnie zrobimy sobie teraz rytuał z powoli. Mamy czas.

Czas okupiony niepewnością.

Tak, to nie jest czas radości. Ale mimo wszystko można spróbować podzielić się czasem z tymi, którzy czekają „na smutek w telefonie długie pół minuty”. Zaczęłam dzwonić do moich starych, samotnych znajomych. Czy pani wie, że najkrótsza rozmowa trwała prawie czterdzieści minut, a najdłuższa – dwie godziny? O! To były najczęściej radosne, niekończące się wspomnienia, jednak podszyte lękiem, że odłożę słuchawkę.

A co Pani ostatnio zrobiła tylko dla siebie?

Postanowiłam pójść na spacer do Łazienek, które w końcu zostały otwarte. A jak już byłam pod Łazienkami o osiemnastej, to okazało się, że właśnie je zamykają. Więc wróciłam do domu śmiejąc się pod nosem. Pomalutku.

© Rozmawiała

KATARZYNA KUBISIOWSKA

Na linii i trzy kroki dalej

DARIUSZ KOŚCIŃSKI

Teatry szukają sposobów na prowadzenie działalności twórczej, która rezygnując z „nażywości” zachowywałaby zarazem swoistość i odmienność.

PREMIER MORAWIECKI ZWOŁAŁ KONFERENCJĘ prasową, by obwieścić plan odmrożenia sportu, ale o instytucjach kultury nawet się nie zająknął. Jak z tym żyć, np. w teatrze? Jest sposób.

„Sztuka dramatyczna” – tak nazywano teatr w XIX w. Bardzo lubię tę nazwę i uważam ją za równie precyzyjną, co głęboką. Termin „teatr” jest nadużywany zarówno w odniesieniu do przedstawień artystycznych, jak i do zjawisk społecznych. „Sztuka dramatyczna” nie odwołuje się ani do iluzji, ani do udawania, ani do patrzenia nawet. Odwołuje się do dramatu, czyli do działania.

Ma bowiem wytworzyć wspólną przestrzeń doświadczenia, skomponowanego tak, że w najszcześliwszych przypadkach staje się procesem czynnego (więc też dramatycznego) poznania. To nie tylko sztuka tych, którzy przedstawienie przygotowują i spełniają, ale także tych, którzy w ten proces dają się wciągnąć. Artystami dramatycznymi są też ci, którzy tworzą publiczność. Teatr publiczny to nie widowisko – to dzieło sztuki dramatycznej.

Wyjść

Początek maja przyniósł charakterystyczny zwrot – pojawiły się w sieci formy teatralne odchodzące od dominujących dotychczas transmisji, a w zamian akcentujące pewną naśladowczą „żywy teatr” aktualność. Teatr im. Heleny Modrzejewskiej w Legnicy ogłosił, że 9 i 10 maja da „pierwszą premierę czasów pandemii” – zespołową realizację „Dekameronu” Giovanniego Boccaccia pod opieką reżyserską Jacka Głomba.

Wybór materiału literackiego był oczywisty, bo sto opowieści tworzących ten zbiór opowiada dziesięć wykwintnych osób, które uciekły z Florencji przed dżumą. Na dodatek nieciągła kompozycja tej kolekcji doskonale od-

powiadała warunkom, w jakich przedstawienie musiało powstawać.

Poszczególne opowieści były wybierane i w określony sposób realizowane przez członków legnickiego zespołu w koniecznej izolacji. Następnie stworzone przez nich całości zostały zmontowane i dramaturgicznie ułożone we względnie spójną kompozycję. Głomb bardzo mocno podkreślał w przedpremierowych wypowiedziach, że zależało mu, by „Nowy Dekameron” nie zamienił się w serię etiud. Innymi słowy, chodziło o to, by przy całej różnorodności historii i konwencji zachować całościową wymowę spektaklu, jakiej oczekuje się od „normalnej” premiery teatralnej.

Nie do końca się to udało. I nie chodzi tyle o mieszaninę konwencji (od inscenizacji dokamerowej przez film animowany po wideoklip), ile o rwącą się nic łączącą poszczególne fragmenty. „Dekameron” to wcale niełatwy do inscenizacji materiał, zawsze grożący rozpadem całości na mniej lub bardziej zręczne i zabawne anegdoty (moim zdaniem nie udało się przed tym niebezpieczeństwem ustrzec nawet Pasoliniemu w jego adaptacji filmowej). W wersji legnickiej zagrożenie to wzmocniło jeszcze nieuniknione pojawienie się mocnego, telewizyjopodobnego podziału montażowego, który w teatrze z pewnością zostałby osłabiony.

Tym bardziej jednak na uwagę zasługują te tropy, które – zgodnie z deklaracją Jacka Głomba – pozwalały na odnalezienie całościowej wymowy przedstawienia. Najbardziej oczywista z nich to dramaturgiczna rama wyraźnie odwołująca się do sytuacji pandemii („Prolog” w realizacji i wykonaniu Rafała Cielucha, który pojawia się też pomiędzy częściami i kończy spektakl budując jego znaczący epilog) oraz do społeczno-politycznej wymowy przedsta-



„Nowy Dekameron” inspirowany „Dekameronem” Giovanniego Boccaccia pod opieką reżyserską Jacka Głomba, Teatr Modrzejewskiej w Legnicy

wienia („Posłowie” według scenariusza i w wykonaniu Pawła Palcata – nie wiedzieć czemu umieszczone w zakończeniu pierwszej części, czyli niejako w połowie całości). Oba sygnalizowane przez nie tematy: pandemia i określony adres krytyki społecznej, pojawiają się też w poszczególnych sekwencjach. Wszystkie te elementy czytane łącznie pozwalają zobaczyć w „Nowym Dekameronie” tworzoną na gorąco próbę czynnego przemyslenia przymusowej izolacji pandemicznej jako rymującej się z patriarchalno-kościelną opresją, dotyczącą przede wszystkim kobiet, przeciw której wymierzony jest radosny erotyzm, tak charakterystyczny dla wielu nowel Boccaccia.

Przedstawienie, w którym zdecydowanie dominują głosy kobiece, jest skierowane przeciwko tym, którzy chcą zamknąć ciała pragnące miłości i bliskości w ideologicznej izolacji. Niemal wszystkie sekwencje intymności są odgrywane przez ciała nieludzkie: lalki, cienie, animowane sylwetki, co wydaje się wyrazem tęsknoty za bliskością, sposobem na odreagowanie wymuszonej samotności, a jednocześnie przestrogą przed tym, by umiejętnie podsycany strach nie sprawił, że w imię ochrony życia pozwolimy sobie

życie odebrać, sprowadzając je do biopolitycznej troski o przetrwanie.

Przeciwko temu właśnie wydaje się skierowana finałowa scena spektaklu: wyjście z domu, bez maski, bez znamion ostrożności. Prosta codzienna czynność, która staje się aktem politycznym.

Wniknąć

Choć Teatr w Legnicy zrobił wszystko, by nadać swojej premierze znamiona wydarzenia „na żywo” (oglądanie spektaklu możliwe jest tylko w czasie rzeczywistym podczas prezentacji odbywających się o określonej godzinie), to po stronie twórców owej nażywości właśnie nie ma: wszystkie sekwencje zostały wcześniej nagrane i są po zmontowaniu odtworzane w określonym porządku.

Inaczej rzecz się ma w przypadku drugiej premiery, która odbyła się w ten sam majowy weekend, dzień przed „Nowym Dekameronem”. Zrealizowana przez Dream Adoption Society we współpracy z Teatrem Powszechnym w Warszawie „Boska komedia 2.2.” konsekwentnie nazywana jest „medytacją VR na żywo”. Nie jest to projekt przygotowany specjalnie na okoliczność pandemii i w tym sensie nie zagraża pierwszeństwu Teatru Mo-

drzejewskiej. „Medytacja VR” to wariacja na temat jednego z wątków niezwykle złożonej kompozycji, jaką jest „Boska komedia” wyreżyserowana przez Krzysztofa Garbaczewskiego w Teatrze Powszechnym we współpracy z DAS (premiera 8 lutego).

Pisałem o tym przedstawieniu w „Tygodniku” wkrótce po premierze, wspominając, że osobnym planem tej „teatralnej medytacji” są działania grupy aktorów ubranych w headsety VR (wirtualnej rzeczywistości) i cały czas obecnych na proscenium. Projekcja tego, co robią w środowisku wirtualnej rzeczywistości, wyświetlana jest przez cały czas na ekranie nad sceną. Jednak w trakcie przedstawienia nie sposób jej śledzić i w zasadzie trudno cokolwiek więcej o niej powiedzieć poza tym, że jest i wygląda trochę jak połączenie początkowej fazy projektowania gry wideo z koszmarnym snem wytwórcy plastikowych zabawek.

„Boska komedia 2.2.” to zaproszenie do świata będącego swoistym analogonem przedstawienia teatralnego. Nie jego przeniesieniem w środowisko VR, ale właśnie – dramatycznie analogicznym rozegranie w innym składzie osobowym, według innego scenariusza, z innymi →

→ sekwencjami działań, ale z zachowaniem tej samej generalnej sytuacji poszukiwania wiedzy nie w transgresyjnej wędrówce, ale przez eksplorację wiodącą w głąb siebie. Tak jak scena prawdziwa, tak scena wirtualna staje się przestrzenią powtórzenia, którego niełatwe (także dla widzów) przesycenie stanowi warunek ujawnienia wymiarów nadaremnie poszukiwanych poza nią.

W wypowiedziach przedpremierowych Garbaczewski podkreślał, że jego praca z VR prowadzona w ramach Dream Adoption Society trwa od kilku lat i nie jest nowością wymuszoną przez pandemię. Paradoksalnie jej wybuch wsparł działania, które prowadzone były na marginesie prac teatralnych. Wobec ich zawieszenia to właśnie VR stał się środowiskiem i medium uprzywilejowanym, co pozwala na śmielsze prowadzenie poszukiwań – jak je Garbaczewski nazywa – „parateatralnych”.

„Boska komedia 2.2” nadała tym poszukiwaniom nowy wymiar, łącząc nowoczesną technologię wirtualności z kulturą czynną. Paradoks „medytacji VR na żywo” polega właśnie na tym, że bez wspólnoty przestrzennej, bez mitycznej „współobecności” zachowuje element nieprzewidywalności i bezpośredniości działania.

Oglądając „Boską komedię 2.2” nie mogłem się opędzić od poczucia, że oglądam coś świadomie unikającego znamion perfekcji i przygotowania. Garbaczewski dąży tu do otwarcia istniejącej i przeciwczonoj struktury na działania nieprzewidywane, wynikające nie z zamiaru i woli twórców, ale raczej z wytworzonej przez nich sytuacji. „Medytacje” Garbaczewskiego zdają się działaniami, które mają doprowadzić do momentu, w którym już nie działa jakieś „ja”, ale „się działa”. Na dodatek wirtualna rzeczywistość pozwala na otwarcie tego współdziałania na przybyszów z zewnątrz. Twórcy zapraszali wszystkich mogących to zrobić,

W „Nowym Dekameronie”
dostrzec można
**próbę przemyslenia
izolacji pandemicznej**
jako rymującej się
z patriarchalno-kościelną
opresją, dotyczącą przede
wszystkim kobiet, przeciw
której wymierzony jest
radosny erotyzm Boccaccia.

by wykorzystali aplikację VR Chat i przeszli do świata „Boskiej komedii”, do jej Czyścica. Nie wiem, czy tym razem ktoś się na to zdecydował, ale taka możliwość istnieje.

Nie wchodzić

W tym samym czasie, gdy w kraju ludzie teatru zaczynają szukać sposobów mniej doraźnego funkcjonowania *online*, przebywający czasowo w Stanach Zjednoczonych Michał Zadara wzbudził spore zainteresowanie radykalnym gestem odmowy, wystawionym jako przedstawienie, którego nikt nie zobaczy.

Zaproszony jako gościnny profesor do Swarthmore College w Pensylwanii, gdzie sam niegdyś studiował, polski reżyser pracował ze studentami tamtejszego Wydziału Teatru nad tragediami greckimi. Wspólnie zdecydowali się na wystawienie „Trachinek”, jednej z najrzadziej granych i mało znanych tragedii Sofoklesa. Opowiada ona o koszu Dejaniiry i śmierci Heraklesa, ukazując – jak piszą sami twórcy spektaklu – taki wizerunek mitycznego herosa, jakiego nie powinno się oglądać, jeśli chce się nadal wierzyć w jego bohaterstwo. Herakles jest tu gwałtowny, chętnie sięga po przemoc, zwłaszcza wobec kobiet, dla zaspokojenia swoich zachcianek. Także jego śmierć w męczarniach daleka jest od heroicznych obrazów. Świadkiniami jego ostatnich chwil są młode kobiety lub wręcz dziewczyny z Trachis, tworzące chór. To one widzą to, co nie powinno być widziane.

Gdy zaczęła się pandemia i zajęcia zostały zawieszone, a studenci rozjechali się do domów, Zadara kontynuował prace

zdalnie. Studenci przygotowywali swoje propozycje, nagrywali poszczególne sceny, które – stopniowo łączone – komponowały się w przedstawienie możliwe do pokazania *online*. Polski reżyser podjął jednak decyzję o zupełnie innym sposobie (nie)prezentowania swoich „Trachinek”.

Na premierze, która odbyła się w Frear Ensemble Theater w Swarthmore College 24 kwietnia, nie było nikogo. Zwyczajowe zaproszenie przyjęło przewrotną formę: „Nikt nie będzie wpuszczony – nikogo nie będzie na scenie. Prosimy nie dzwonić po rezerwację. Nie będzie streamingu na żywo”. Punktualnie o godzinie 20. komputer uruchomił przygotowaną wcześniej sekwencję projekcji, świateł i dźwięków. Spektakl się odbył, ale nikt go nie oglądał.

W kontekście tragedii interpretowanej jako przedstawienie tego, co niweczy pożądaną wizerunek, więc nie powinno być oglądane, taka decyzja wydaje się w swoim radykalizmie jakoś logiczna. Michał Zadara dodaje, że podjął ją także w reakcji na sytuację powszechnej akceptacji dla spektakli *online*, jako rodzaj protestu czy może drwiny sugerującej, że w teatrze najważniejsze jest to, czego zobaczyć nie można. Jak mi się wydaje, nie chodzi o brak kontaktu i wspólnoty przeżycia stanowiącej fundament teatru rytualistycznego (to akurat ideologia Zadarze obca). Za (nie)przedstawieniem „Trachinek” zdaje się stać teza, że tym, co najważniejsze, jest całociowy proces poznawczy i myślowy, który w sposób równie trudny do nazwania i subtelny, co konieczny i niefalsyfikowalny, możliwy jest tylko w sytuacji bezpośredniego doświadczenia „na żywo”.

„Trachinki” ze Swarthmore College mogłyby się wydawać jakimś wykoncypowanym akademickim eksperymentem, gdyby nie to, że w zadziwiający sposób wyprzedziły i zapowiedziały wydarzenia zaliczane do sfery „twardej rzeczywistości”. Kilkanaście dni po ich premierze w ojczyźnie reżysera odbyły się wybory, na które też nikt nie został wpuszczony. Pustka lokali wyborczych przejrzała się w pustkę teatralnej sali, w której odarty ze wzniosłości ginął ten, co w kolebce łeb urwał hydrze.

Doprawdy, zaskakujące bywają efekty sztuki dramatycznej. Nawet gdy nie daje nic do zobaczenia, daje wiele do myślenia.

© DARIUSZ KOŚCIŃSKI



Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia

Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego”.

Stuchaj nas w Małopolsce:

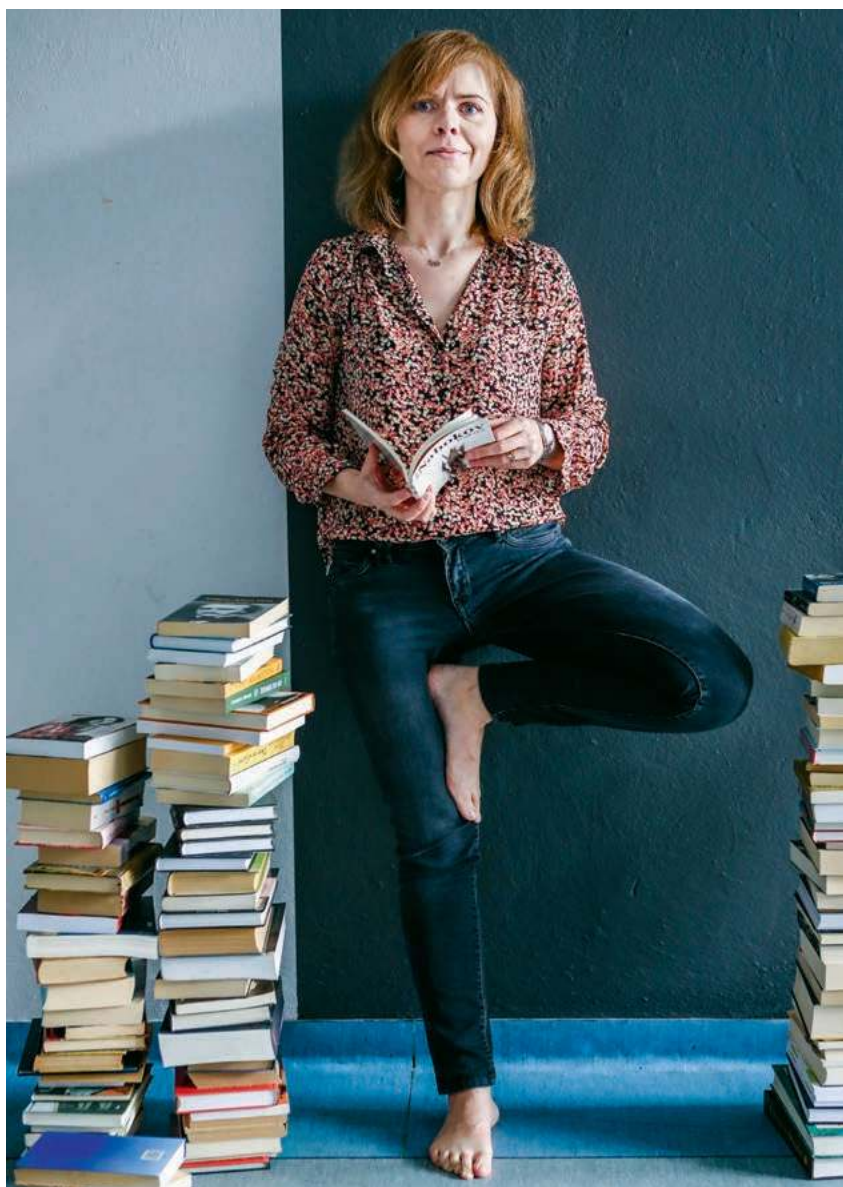
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM

Krynica Zdrój – 102,1 FM

Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM

Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM

Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl



Agnieszka Kutermankiewicz, bibliotekarka z Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Władysława Reymonta w Skierniewicach, maj 2020 r.

bym taką konieczność krążącym po okolicy patrolom? – w myślach przywoływałam mijany na spacerach z psem zaciszny zakątek pod nieodległym mostem Północnym i aranżowałam go na potrzeby własne, moich zwierząt i dzieci.

Zastanawiałam się, czy komornik pozwoli mi zabrać rower stacjonarny, a jeśli tak, to do czego go podłączę. Rozważałam, póki jeszcze miałam jakieś pieniądze na koncie, zakup generatora prądu. Po kilku tygodniach izolacji okazało się oczywiście, że straciłam zupełnie coś innego. Coś cenniejszego.

UWIELBIAM SPOTKANIA AUTORSKIE. MOJE.

Uwielbiam jeździć w miejsca, w których nie byłam, spotykać ludzi, których nie znałam, rozmawiać z publicznością, dokuczać prowadzącym, pokazywać obcym zdjęcia mojego psa w komórce, dostawać za to niewysokie honoraria. Jedyne, czego nie lubię, to czytanie wierszy. Moich.

Ale uważam, że zupełnie niezłe spotkanie poetyckie może się odbyć bez konieczności czytania wierszy, czasem nawet publiczność bywa wdzięczna, gdy udaje się pominąć ten, wydawałoby się że obowiązkowy, punkt programu.

Mam też ten hart ducha, że nie rani mnie, gdy na spotkaniu ze mną jestem ja i panie z biblioteki: jedna prowadząca, dwie na widowni. Szybko zwalczam w sobie poczucie winy i staram się ze wszystkich sił, żebyśmy wszystkie cztery bawiły się jak najlepiej. Bo w spotkaniach autorskich – moich – uwielbiam również bibliotekarki.

JEDNEJ NAWET ZADEDYKOWAŁAM swoją ostatnią książkę: gdy wysłałam jej plik składu, w którym na piątej stronie widniało „dla Agnieszki ze Skierniewic, bibliotekarki”, Agnieszka ze Skierniewic, bibliotekarka, odpisała: „Ej, nie żartuj z bibliotekarek”. Potem na szczęście zrozumiała moje czyste intencje i zrobiło jej się chyba dość miło.

Agnieszka jest bibliotekarką totalną: prowadzi książkową audycję radiową, Dyskusyjny Klub Książki, zdobywa pieniądze na projekty literackie, w tym także te związane z poezją, ogarnia lokalne wydawnictwa regionalne. Prowadziła spotkania z Markiem Niedźwieckim, Jerzym

One, czyli my

JUSTYNA BARGIELSKA

Milczałam tak długo, przy pełnej sali, że aż ktoś zapytał, czy potrzebuję, żeby mi przetłumaczyć pytanie. A ja po prostu zostałam publicznie postawiona w prawdzie i dowadywałam się czegoś fundamentalnego o sobie.

KIEDY W POŁOWIE MARCA, WRAZ Z NASTANIEM epidemii, *via* mail, Facebook, a niekiedy telefon zaczęły spływać kolejne informacje o odwołaniu moich spotkań autorskich czy warsztatów, sądziłam, że straciłam główne źródło utrzymania.

W ciągu trzech miesięcy, jak wyliczyli eksperci, z aspirującej do niższej klasy średniej przedstawicielki mało prestiżowego, ale zawsze wolnego zawodu miałam stać się bezdomną z niespłaconym kredytem we frankach. Nie mogąc pójść zbadać terenu osobiście – jak uzasadniła-

→ Jarniewiczem, Filipem Łobodzińskim, Jakubem Żulczykiem.

Ze mną nie prowadziła i zastanawiam się, w czym właściwie Marek Niedźwiecki jest ode mnie lepszy, ale nie mam do niej żalu, bo od kilku lat, z podziwu godnym wyczuciem moich słabszych zawodowo momentów, wysyła mi krzepiące biblioteczne raporty: że ktoś wypożyczył moją książkę i zażądał wszystkich kolejnych, albo żeby nie traciła ducha, bo na pewno uda mi się kiedyś napisać moją wymarzoną Wielką Amerykańską tylko że Polską Powieść. 21 marca składa mi życzenia z okazji Dnia Poezji, a ja jej z okazji urodzin. Cóż, tak, bibliotekarka totalna nie mogła się urodzić innego dnia.

GOSPODARZE I ORGANIZATORZY, których spotykam jeżdżąc z występami po kraju i zagranicę, to nie zawsze są panie z biblioteki, ale prawie zawsze są to kobiety. Kasię z Edynburga poznałam wiele lat temu na warsztatach pisania u Stasiuków w Banicy. Już nie pamiętam, czego dokładnie tam uczyłam, prześlada mnie niepokojące wspomnienie siebie, jak siedzę na skalnym występie i pokazuję grupie książki z obrazkami, pamiętam natomiast, że w tej grupie miałam Andrzeja Muszyńskiego i Weronikę Murek, ale to Kasia z Edynburga zapadła mi w pamięć najżywiej. Zupełnie bowiem bez wstydu przyznała, że jej ulubioną książką jest „Trudna decyzja panny Pym” Josephine Tey, że ona by chciała napisać właśnie coś takiego i czy ja jej mogę pokazać jak.

Niekiedy sędzę, że tylko my dwie na całym świecie czytałyśmy tę książkę, gdyby było inaczej, okupowałyby ona rankingi najwartościowszych pozycji XX wieku bez przerwy, co najwyżej dla dramaturgii osuwając się raz na jakiś czas z miejsca pierwszego na drugie. Jest to kryminał, który dzieje się w żeńskiej szkole wychowania fizycznego. Czy naprawdę trzeba cokolwiek dodawać?

Mój egzemplarz „Trudnej decyzji panny Pym” kończy w tym roku 50 lat, od pierwszego czytania w '82 na koloniach letnich w Białej nad Pilicą jest w regularnym użyciu i jest również relikwią. Miłość do panny Pym zaowocowała zaproszeniem do Szkocji, gdzie Kasia do niedawna prowadziła Interaktywny Salon Piszących. Wojciech Bonowicz, Elżbieta Leese, Maciej Woźniak, Jacek Dehnel – to tylko niektórzy autorzy, których udało się ściągnąć, zanim przedsięwzięcie straciło dofinansowanie.

Zielone, szpitalne kafele – nigdy przedtem ani potem nie widziałam takiego rozwiązania dekoracyjnego w bibliotece – edynbur-

*Spotkanie KAHy
w Zachęcie.
Warszawa,
październik
2019 r.*



*Spotkanie
w Harendzie.
Zakopane,
czerwiec
2016 r.*



*Lighthouse
– Edinburgh's
Radical Bookshop.
Edynburg,
grudzień 2017 r.*



skiej McDonald Road Library, stanowiły wymarzone tło dla stuporu, w jaki popadłam, gdy Kasia jako prowadząca zadała pierwsze pytanie: „Are you a dog person or a cat person, Justyna?”. Milczałam tak długo, przy pełnej sali, że aż ktoś zapytał, czy potrzebuję, żeby mi przetłumaczyć pytanie. A ja po prostu właśnie zostałam publicznie postawiona w prawdzie i dowiadywałam się czegoś fundamentalnego o sobie. W Polsce nikt nigdy mnie o coś tak intymnego nie zapytał.

INTERAKTYWNY SALON PISZĄCYCH w Szkocji, z którym warsztaty miałam kolejnego dnia, zbierał się w Domu Stowarzyszenia Polskich Kombatantów,

okna sali konferencyjnej spowijały zasłony z zielonego o złotym połysku pluszu, na ścianie wisiał kanonizacyjny portret papieża Polaka i ktoś dopilnował, aby wetknięto chorągiewki w polskich barwach narodowych we wszystko, co nadawało się do wtykania, łącznie z opróżnionymi butelkami za kontuarem minibaru. Piszący w Szkocji napisali i przeczytali przepiękne rzeczy, udzieliłam im z radością rzetelnego i przemyślanego feedbacku, ktoś spóźniony przyniósł wino domowej roboty, a po zakończeniu pracy zeszliśmy do kombatanckiej piwnicy poprzebierać się w zabytkowe sukmany, skoro tam niezabezpieczone wisiały.

Kasia rok później zaprosiła mnie jeszcze na premierę angielskiego wydania zbioru moich wierszy do radykalnej lewicowej edynburskiej księgarni, gdzie moje masochistyczne erotyki zakamuflowanej strażniczki patriarchy nabrały nieoczekiwane rewolucyjnego, feministycznego tonu. Tłumy szalały. Jeszcze przez jakiś czas oglądałam na Facebooku relacje z ogromną swadą prowadzonych przez Kasię spotkań z polskimi autorami, a potem Salon zatonął, z kapitan Kasią opuszczającą pokład jako ostatnia.

KRĄG ANONIMOWYCH HARCEREK, w skrócie KAHa – w którego ubiegłorocznym zjeździe miałam, mimo że nigdy nie byłam harcerką, zaszczyt wziąć udział, to grupa, którą stworzyły czynne i dawne instruktorki harcerskie z całej Polski. Bo czasem zdarza się tak, że okołoliterackie spotkanie, połączone z wielogodzinny maratonem czytania i dyskusowania o poezji, z którego wychodzisz na miękkich nogach, przearanżowana wewnętrznie i spocona, organizuje ci najlepsza przyjaciółka. Też kobieta, Bronka z Małych Rud, nauczycielka, społeczniczka, druha. Przekazywać harcerskie tradycje i celebrować przyjaźń – z takimi założeniami blisko setka kobiet spotka się w tym roku po raz osiemnasty, a każdemu spotkaniu towarzyszy sesja dyskusji, warsztatów, prezentacji w wybranej wcześniej dziedzinie. Za siedemnastym razem panie wybrały literaturę.

Niezwykły był dzień, który spędziłam z KAHa: warszawska Zachęta dała nam salę i korytarze, którymi kolejne grupy w większości starszych ode mnie kobiet, lekarek, nauczycielek, prawniczek, dyrektorek korporacji, wędrowały na literackie spotkanie z dzieciństwem, młodością, dojrzałością i starością kobiety – bo tak z innymi autorkami, odpowiedzialnymi za kontent, zaplanowałyśmy ten dzień. Joanna Mueller czytała z harcerkami wiersze współczesnych polskich autorek średniego pokolenia (czyli na przykład moje), Joanna Czeczott opowiadała o współtworzonem przez siebie „Kosmosie dla dziewczynek”, Paulina Adamczyk o niedawno debiutujących zjawiskowych polskich prozaikach.

HARCERSTWO JEST IDEA, ALE I STRUKTURĄ, więc po wszystkim nie mogło się obyć bez sprawozdania, którego fragment poświęcony mojemu udziałowi brzmi: „Z Justyną

Harcerki pokazały mi, że mogę być z tą całą poezją

– moją, cudzą, każdą –
po prostu potrzebna.

Ludziom, niekoniecznie
krytykom.

Bargielską zmierzyłyśmy się ze starością, wspierane przez wiersze Ursuli K. Le Guin spolszczone przez Justynę i Jerzego Jarniewicza we właśnie wydanym tomie »Dotąd dobrze«. Czy starzenie się jest traceniem i czy ta utrata jest zawsze smutna? A może jest uwalniająca? Radosna. Czy boimy się dotarcia na ostateczny zachód, czy może raczej drogi, tego co może się nam zdarzyć w trakcie? Słabości i tego, że zawieziemy same siebie? Czy i co myślimy o własnym umieraniu? Justyna mobilizowała nas do rozumienia, szukania znaczeń i skojarzeń. Do myślenia”.

Czytam to sprawozdanie, kiedy zdarza mi się czuć jak pierwszoklasista, który w szkolnym przedstawieniu o księżniczce, smoku i kawalerze zagrał trawę. Harcerki z KAHy pokazały mi, że mogę być z tą całą poezją – moją, cudzą, każdą – po prostu potrzebna. Ludziom, niekoniecznie krytykom.

Składną obecność tylu rozsądnych, dojrzałych kobiet wtedy w Zachęcie była i dla mnie zbawienna: Zuza Golińska i Magdalena Łazarczyk realizowały tego dnia swój performans „Lepka trawa, świędząca skała, spuchnięty język”. Podwójna postać, którą stworzyły obie założycielki jedną sukienkę, przemieszczała się po korytarzach galerii, pojawiając się akurat tam, gdzie się jej najmniej spodziewałam i symbolizując refleksję o przyszłości. Na szczęście harcerki prędko zorientowały się, że bardziej niż podwójnych postaci boję się tylko dłużowania ósemek i w dyskretny, ale skuteczny sposób starały się mnie przed tą postacią chronić, a nawet z zaskoczenia zrobiły zdjęcie, na którym postać intensywnie symbolizuje za mną, a ja, nieświadoma, uśmiecham się – żeby mi pokazać, że tak naprawdę nie ma się czego bać. To tylko sztuka.

ANIE, PSYCHOLOGĘ Z KRAKOWA, poznałam w okolicznościach dość obciążających dla zawiązującej się relacji: weszła w moje ży-

cie deklarując się jako psychofanka. To, że się zakolegowałyśmy, nawiązałyśmy współpracę, a na koniec wręcz zaprzyjaźniłyśmy, jest dziełem opatrności, bo, umówmy się, nawet największemu narcyzowi na hasło „psychofan” zapala się czerwona lampka. Ania ma dwóch synów i robi dla nich wszystko, więc zorganizowała mi cykl warsztatów w ich szkole: nie brzmi to jak wyzwanie, chyba że się weźmie pod uwagę, że jest to szkoła prywatna, dwujęzyczna, o klasach składających się mniej więcej po równo z dziećmi polskich i cudzoziemców. Szkoła ukierunkowana i ukierunkowująca na sukces, nieufnie odnosząca się do poetki, która na kanwie własnych, absurdalnych opowiadań dla dzieci zamierzała wzbudzić w kosmopolitycznych ośmiolatkach zachwyt dla polszczyzny. Nie mam zielonego pojęcia, jak Ania to zrobiła, ale zaproszono mnie, przygotowano przestrzeń, ugoszczono, zapłacono.

I znowu, to kolejne doświadczenie z trasy, o którym mogę z przekonaniem powiedzieć, że nauczyło mnie czegoś nowego, zarówno w sensie międzyludzkim, jak i jeśli chodzi o umiejętności: wiem już teraz, co powiedzieć, gdy przeżłowie smutny ośmiolatek, którego rodzice się rozwodzą, na pytanie, czy pokoloruje przedstawiający jego samego szablon, odpowiada „*I would rather die*”. Jest to bezcenna wiedza, a jej zdobycie drogo mnie kosztowało. I nie byłoby możliwe bez marketingowych, perswazyjnych, po prostu agencyjnych zdolności i pasji Ani z Krakowa, które postanowiła spożytkować bezinteresownie akurat na mnie.

SĄ TEŻ OCZYWIŚCIE PRAWDZIWE AGENTKI, które usuwają rzucane pisarzom przez rzeczywistość pod nogi logistyczne kłody niebezinteresownie, aczkolwiek, umówmy się, na takich autorkach jak ja się nie zarabia. Schemat zarządzania kryzysowego, które po wybuchu pandemii wdrożyły cztery dziewczyny z Agencji Autorskiej „Opowieści”, powinien trafić do podręczników managementu i skutecznego, a wdzięcznego chwywania się brzytwy.

Począwszy od drugiego tygodnia narodowej kwarantanny na fanpage’u agencji wieczór w wieczór odbywały się spotkania autorskie na żywo. Na tle swoich schludnych domowych bibliotek – to był chyba obowiązujący wybór scenografii, o czym dowiedziałam się za późno, →

→ bo moje z córką *show* na tle plakatu z „*Minecrafta*” od dawna już wisiało w sieci – opowiadali rzeczy przeciekawe Julia Fiedorczuk, Patrycja Dołowy, Małgorzata Rejmer czy Filip Springer.

Cykl zakończył się w maju. Kasia, druga Kasia, Maria i Ania wykonały tytaniczną pracę, z każdym kolejnym spotkaniem umacniając markę tych spotkań, zdobywając stałych widzów i tworząc, jak sami widzowie przyznawali, niezłą odskocznnię dla żyjącej COVID-19 społeczności Facebooka. Patronat objęło „Pismo”, a i sam Facebook musiał się nad projektem jakoś życzliwie pochylić, bo nie sądzę, by bez jego manipulacji zasięgami mój *streaming* osiągnął te 20 tysięcy wyświetleń.

Nie muszę dodawać, że wstęp na te spotkania był wolny i nikt na nich nie zarobił: rozumiem sens pracy za darmo z nadzieją, że kiedyś zacznie przynosić zysk, ale w przypadku Kasi, drugiej Kasi, Marii i Ani doszło, moim zdaniem, do czegoś więcej niż tylko intensywne inwestowanie w markę. Swoim pomysłem stworzyły autorom przestrzeń do kontaktu z czytelnikami, która, przynajmniej w moim przypadku, okazała się co najmniej tak samo potrzebna, aby twórczo funkcjonować, jak gaża, za którą mogłabym nakarmić swój mózg niezbędną w procesie twórczym glukozą. I przypomniały mi, jak bardzo za spotkaniami z czytelnikami tęsknię, i jak tęsknię za kobietami, które za tymi spotkaniami stoja.

A AGNIESZKA ZE SKIERNIEWIC niedawno została łódzkim bibliotekarzem roku – łódzkim, to znaczy że pomiędzy Rawą, Kutnem, Sieradzem i Skierniewicami włączając Łódź nie ma sobie równych w uprawianiu tego zawodu. W uzasadnieniu przyznania tego tytułu można przeczytać, że Agnieszka jest osobą zaangażowaną i poszukującą, ciągle się uczy, jest wytrawnym czytelnikiem, łatwo nawiązuje kontakty, odnajduje się w zespole. Podkreślono też jej wysoki poziom etyczny i klasę.

Na ziemi łódzkiej jest 510 bibliotek publicznych, 50 punktów bibliotecznych, które organizują około 30 tysięcy imprez rocznie dla 350 tysięcy czytelników. Pracuje w nich ponad tysiąc bibliotekarek i bibliotekarzy. I z nich wszystkich najświetniejsza jest Agnieszka.

© JUSTYNA BARGIELSKA

W bujanym fotelu

ANITA PIOTROWSKA

„*Gösta*” to serial dla tych, którym marzy się życie proste i „analogowe”, oparte na intensywnych relacjach i kontakcie z przyrodą.

WIEDZIAŁ O TYM TWÓRCA „*Idioty*”, choć jednak się z tym mierzył: to nie jest świat dla dobrych ludzi. Współczesne kino też o tym wie i unika takich bohaterów niczym zarazy. Dobro gorzej się sprzedaje, bywa mniej fotogeniczne, a co za tym idzie, mniej pociągające. To na ekranie często ociera się o kicz i banał, zdaje się zaprzeczać naszym wewnętrznym mrokom, nie przynosi spektakularnego oczyszczenia.

Dlatego stworzenie serialu ze współczesnym Myszkinem w roli głównej zakrawa na brawurę. Dokonał tego we własnym, bardzo niedostojewskim stylu reżyser Lukas Moodysson. „*Gösta*”, pierwszy szwedzki serial produkcji HBO Europe, powstał jeszcze w roku ubiegłym, ale nie był u nas medialnym wydarzeniem – raczej ciekawostką dla fanów twórcy „*Tylko razem*”. Dzisiaj słodko-gorzka opowieść o młodym psychologu ze smalandzkiej prowincji zyskuje coraz więcej widzów. To propozycja dla wszystkich, którzy czują się już zapchani netfliksową paszą o przewidywalnym składzie. Dla tych, którym marzy się życie proste i „analogowe”, oparte na intensywnych relacjach i kontakcie z przyrodą, lecz również dla bardziej podejrzliwych, ceniących sobie polemikę z utopiami. Ten serial bywa jak zimny prysznic na sielskim łonie natury.

Tytułowy *Gösta* (Vilhelm Blomgren) wypisał się z życia, które pędzi, gromadzi, konkuruje. Opuścił Sztokholm, by zajmować się dziećmi i młodzieżą z problemami, zacierając granice między swoją prywatnością a pracą. Jest gotowy na każde wezwanie, unieważnia fizyczny i emocjonalny dystans, nagina obowiązujące zasady. Niechaj symbolem tego będzie stary bujany fotel, który bohater umieszcza w swoim gabinecie: czy pomaga złagodzić napięcie czy „za-

graża równowadze” młodocianych pacjentów?

Moodysson uruchamia w ten sposób klasyczny konflikt między indywidualnością a instytucją, często przywoływany, gdy mowa o Skandynawii. Jednak krytyczne diagnozy typu „Szwedzka teoria miłości”, by przypomnieć głośny dokument z 2016 r., pozostawia daleko w tle. Bardziej niż metafora społeczeństwa, które w całości kwalifikuje się na gruntowną psychoterapię, interesuje go wpuszczenie w system człowieka, który traktuje jak najbardziej dosłownie głoszone przez ów system wartości: tolerancję, empatię, równościowość, poświęcenie siebie dla innych. Dlatego przez dwanaście krótkich odcinków autor „*Gösty*” wystawia swego bohatera na rozmaite próby. Konfrontuje go z romską żebraczką, samotną staruszką, z agresywnym blokersem, natarczywą seksualnie koleżanką z pracy... Bohater spieszy do nich z sercem na dłoni i wszyscy natychmiast wchodzą mu na głowę. Zrujnowany domek pod lasem staje się przytuliskiem dla różnej maści uciekinierów, wyrzutków, nieudaczników. Zaczęło się od przygarnięcia uchodźcy Husseina, a skończyło na siedmioosobowym (nie licząc psa) i wielce wybuchowym zestawie. Bo *Gösta* nie potrafi odmówić nikomu – ani traumatyzowanej nastolatce, ani nawiedzonym pseudoartystom, a tym bardziej własnemu anarchizującemu ojcu, który nie mogąc znieść kołchozowej atmosfery i politycznej poprawności, przemienia się na koniec w ostrego prawnicowca.

Wynajmowana przez *Göstę* chata, jakieś wyblakłe wspomnienie po rajskim Bullerby, to mikrokosmos państwa opiekuńczego, z różnymi jego absurdami i wewnętrznymi tarciami. W centrum uwagi pozostaje jednak on sam – młody idealista, który zapo-



MATERIAŁY PRASOWE HBO GO

Kadr z filmu „Gösta” w reżyserii Lukasa Moodyssona

mniał o własnych potrzebach i słowie „nie”. Lecz niezależnie od tego, czy bohater Moodyssona to chodząca, ubrana w budrysówkę pocziwość, czy ktoś, kto tylko przed czymś ucieka w dobroć, czy raczej polityczna metafora, serial z właściwym sobie szorstkim wdziękiem balansuje między rodzajowymi obserwacjami a cierpliwym oczekiwaniem na katastrofę. Jak długo bohater wytrzyma to powszechne wykorzystywanie? Kiedy wreszcie puszcza mu nerwy? Czy Gösta to rzeczywiście samo zdrowie kontra społeczeństwo na antydepresantach?

Podpowiedzią może też być naturalistyczna czołówka, piękna i mroczna jednocześnie. Albo filmy przyrodnicze, które ogląda nałogowo dziewczyna Gösty, by rozładować stres. Jedno jest pewne: Moodysson, namaszczony ongiś przez samego Bergmana, porzucił filmowe eksperymenty („Dziura w głowie”, „Kontener”) i zagraniczne wycieczki („Mamut”), by powrócić w rejony zamieszkiwane przez swojskich ekscentryków, rzucających wyzwanie światu pozornie najlepszemu z możliwych. Tak było z dziewczynską miłością w debiutanckim „Fucking Åmål” (1998) czy w niedawnym „We Are the Best!”, gdzie buńczuczne, uroczonie niezgrabne nastolatki próbowały założyć kapelę punkową. I tym razem reżyser kwestionuje wzorcową otwartość szwedzkiego społeczeństwa i, podobnie jak w „Tyłko razem”, pyta o granice bliskości obcych sobie ludzi zamieszkałych pod jednym

dachem. Gösta jawi się tu jako wcielenie niemożliwego ideału, czyli kogoś, kto próbuje być dla wszystkich i najgorzej wychodzą mu kontakty z samym sobą. „Jesteś zbyt fajny” – słyszy od swej dziewczyny, zmęczonej jego miękkim sercem, rosnącą odpowiedzialnością za innych, ciągłym mediatyzowaniem w konfliktach i zarazem brakiem prawdziwej intymności. Można bowiem czytać „Göstę” jako rzecz o dobru toksycznym, o jego ciemnej, ukrytej przed światem podszewce.

W porównaniu z milczącym Husseinem, który uciekł z irackiego piekła, szwedzcy bohaterowie serialu zdają się rozpuszczonymi przerośniętymi dziećmi, które uciekły co najwyżej z galerii handlowej albo z darmowej psychoterapii. Moodysson potrafi opowiadać o tym z lekkością, a nawet z rubasznym humorem. Polskiemu widzowi już w pierwszym odcinku serwuje sporą dawkę różnic kulturowych, zwłaszcza dotyczących ciała czy seksualności. Otula nas miękką kołdrą, to znów, wzorem swego bohatera, nakłada na ręce kolorowe włochate skarpety, ażeby rozbroić powagę i żeby nie było nam zbyt przyjemnie. Co i raz wprawia w ruch swój bujany fotel, nie po to jednak, by kogokolwiek ukołysać. Wręcz przeciwnie: chodzi o rozchwiecie emocji, a następnie złapanie równowagi. ©

GÖSTA – reż. Lukas Moodysson. Prod. Szwecja 2019. Dostępny na HBO GO.

WARTO ZOBACZYĆ

1. Dreamland



Dokumentalny, reż. Stanisław Berbeka, Polska 2019, e-kino-podbaranami.pl, 22 V, 19.00

W pierwszym polskim kinie wirtualnym trwa przegląd „Górskie opowieści”. Obok takich tytułów, jak „Jurek”, „Ostatnia góra” czy „Everest”, specjalnym wydarzeniem będzie jednorazowy pokaz dokumentu o himalaistcie Macieju Berbecie, autorstwa jego syna. Po seansie odbędzie się spotkanie online z twórcą filmu, które poprowadzi dziennikarz „Tygodnika” Bartek Dobroch.

2. Zniewaga



Dramat, reż. Ziad Doueiri, Liban/Francja 2017, Ale kino+, 25 V, 18.05

Współczesny Bejrut to istna beczka prochu. Drobną sprzeczka między palestyńskim uchodźcą a libańskim chrześcijaninem zamienia się w ostry konflikt polityczny z udziałem mediów i zatacza coraz szersze kręgi, sięgając do burzliwej historii regionu. Film otrzymał nominację do Oscara w kategorii nieanglojęzycznej.

3. Platforma



Thriller, reż. Galder Gaztelu-Urrutia, Hiszpania 2019, Netflix

Oto bardzo dosłowne wcielenie ekonomicznej teorii skapywania. W ponurej przyszłości więźniowie przetrzymywani są piętrowo – ci, którzy są niżej, zjadają resztki pozostawione przez tych z wyższych poziomów. Czy w prymitywnej walce o lepszą pozycję w łańcuchu pokarmowym jest miejsce na ludzkie uczucia? Pytaniu towarzyszą literackie odniesienia i filmowe aluzje.

4. Lighthouse



Dramat, reż. Robert Eggers, Kanada/USA 2019, CHILL, player

Dwóch odciętych od świata latarników toczy ze sobą starą jak świat grę o dominację. Czarno-biały film twórcy „Czarownicy: Bajki ludowej z Nowej Anglii” to kino złożone z kulturowych smaczków, aczkolwiek doprawione także dużą dozą złego smaku. Nad wszystkim zaś górują aktorskie kreacje Willema Dafoe i Roberta Pattinsona.

JAN

Klata:

Dionizjades Dudy



ANDRZEJ D. ZROBIŁ HIP-HOPOWI TO, CO OD kilku lat robił konstytucji. Mane, tekel, fares i pozamiatane. Reszta jest niema, nie ma co zbierać, reszty nie trzeba. Reakcja środowiska polskiego rapu jednoznacznie świadczy o końcu historii. Fukuyama,

szaranagajama, amen. Andrzej D. jest czarnym łabędziem polskiej wokalistyki i musimy uczcić ją minutą głuchoj ciszy, ona się już nie podniesie, *no future*.

Jednakowoż Hot16Challenge MC Prez posiada dwa aspekty: formalny i treściowy, czyli wykonawczy i liryczny. Co do aspektu performatywnego, jaki jest Duda, każdy widzi. Widać, że dawno nie był na nartach. Gdzie byli doradcy, żeby odradzić? Nie powinien robić takich rzeczy nawet po cichu, a co dopiero z dźwiękiem. Jak mawia Magda Gessler: kwestia smaku, po prostu.

Ale, ale, są jeszcze słowa, słowa, słowa, na początku było słowo. I tu się robi naprawdę *creepy*. Najtęższe głowy RP kaleczyły się na „ostrym cieniu mgły”: prof. Bralczyk, prof. Tede,

prof. Peja. Mnożyły się ezoteryczne interpretacje: że Talmud, że Zohar, że Coelho, że koan, że I Ching, że runy. Jądrzem występu Andrzeja D. jest tekst, ale co to za tekst? Jacy szatani byli czynni przy jego powstawaniu? Przecież Andrzej D. nie jest autorem, to jasne, tekst jest zbyt gęsty. Wszyscy zadają sobie pytanie, zapędzeni w kozi róg... zaraz, zaraz... Dionizos? Jakie są pierwsze słowa po wykonaniu pieśni, do kogo skierowane? Duda mówi wyraźnie: „Dziękuję Zeusowi!”. Z całym szacunkiem dla dotychczasowych interpretatorów (czyli wszystkich rodaków), nie o mgłę tu idzie, bładzicie, ostro koncentrując się na mgłę, wróżba raczej tępa, niczym kłępa, nie wie wadera, na co spoziera. Kozioł, kozioł jest kluczem. Pieśń koza. Tragedia!

Streszczę dramatyczne kulisy mego śledztwa w kuliarach strasznych dworu prawicowej władzy: jakiś czas temu pion śledczy IPN odkrył niepublikowaną dotąd tragedię wyklętego Dionizjadesa z Taros. IPN nie wiedział, co z nią zrobić, bo nie zna starogreckiego, więc oddał zaufanemu Antoniemu Liberze. Antoni Libera też nie zna starogreckiego, ale mu to kompletnie nie przeszkadza, więc Dionizjadesa spolszczył i wykonał przed Dudą, wykorzystując swe doświadczenia oraz bakchiczne predylekcje prezydenta. A dzieło performował, używając swego niekwestionowanego kunsztu aktorskiego, do czego – przynajmniej – miał prawo. Duda aż klasnął w prawicę i tak się zachwycił, że na gorąco zaczął imitować przed palacem, a Libera nagrał to na komórkę. Ot, i cała tajemnica. Nie trzyma się kupy? Trzyma się. ©

Lektor:

Podróż w kosmos



■ Tomasz Różycki
KAPITAN X
Biblioteka Poetycka
Wydawnictwa a5, t. 108,
Kraków 2020, ss. 88.

OBIECYWAŁEM SOBIE, ŻE czas pandemicznego odosobnienia wykorzystam wracając do klasyki albo tytułów niesłusznie zapomnianych. Trudno to jednak zrobić; nowych książek wprowadzić mniej, ale wciąż pojawiają się naprawdę znakomite. Jak kolejny po „Literach” (2016) tom wierszy Tomasza Różyckiego.

Kapitan X krąży w kosmosie w swej kapsule „zamkniętej na kluczyk gramatyki”. Podróż jego jest realna w takim sensie, jak wyprawy bohaterów Lema, ale też metaforyczna, a metafora to wieloznaczna, także polityczna, jak w wierszu otwierającym tom („Ta mina / sąsiada, gdy przyjdą. Nawet nie zdążyś / powiedzieć dzieciom,

że to podróż w kosmos”). Perspektywa kosmiczna pozwala dostrzec dryfującą na Pacyfiku wyspę plastikowych odpadów i wyobrazić sobie przyszłość, gdy „śmieci pokryją obszar wód i wszystkie / lądy, a także niebieskie sklepienie, / wiele jest bowiem wciąż do wyrzucenia”, ale też dzięki niej wyrazistsza się staje uroda zagrożonego świata. Katastroficzna ironia powraca w aluzji do słów Chóru z „Antygony” („Ze wszystkich istot żyjących na ziemi / wyjątkowy jest człowiek. On jedynie / jest w mocy sprawić, że z planety zniknie / życie”) czy w prośbie do kapitana, by zstąpił do przemienionej ojczyzny, w której „kościół są na oścież otwierane, / aby przyjąć uchodźców i zwierzęta”. Wszechświat

i mikrokosmos naszych emocji czy naszej cielesności spotykają się tutaj na prawach paradoksu – jak w „O rozlanym mleku”, bardzo niezwykłym wierszu miłosnym, albo jak we „Wcieleniu” („W ciało, leżące na wznak w prześcieradłach / usiłuje się z jękiem wcielić gwiazda”). „Kapitan X” to książka, którą czyta się wielokrotnie – by odkryć jej wewnętrzną strukturę i rytm, by rozszyfrować rozmaite odniesienia, ale też by po prostu wracać do poszczególnych utworów. Takich na przykład, jak „Sąsiedzi”, „Przeznaczenie”, „W sieci”, „Nasze powietrze”, „Odyseja”, „Popołudnie rośliny”, „W nocy”. Sami zresztą wybierajcie. ©®

PAWEŁ

Bravo:

Głód usług



TRZYDZIEŚCI SIEDEM MILIARDÓW. TYLKO ZŁO- tych był wart polski rynek usług gastro- nomicznych w zeszłym roku. To jedna z tych liczb, które poznajemy teraz, w ko- lejnych odcinkach narracji postpande- micznej, pod hasłem „dobrze już było”.

Jak zawsze w przypadku takich danych, trudno zwykłemu człowiekowi, bez znajomości kontekstu, szczegółów i tren- dów, ocenić, czy to dużo, czy mało, czy było się z czego cieszyć i czy oznacza to, że świat, a konkretnie polskie miasta, stawał się lepszym miejscem do życia.

Ale te dane, świadczące, że przeciętny Polak wychodzi zjeść i wypić na miasto cztery razy częściej niż 30 lat temu, to wie- domość z gatunku pozytywnych. O ile wierzymy, że jako istoty społeczne jesteśmy stworzeni do wychodzenia z domu na agorę, plac, ulicę – wszędzie tam, gdzie wystawiamy nasze istnienie, skłonności i zwyczaje na wzrok bliźnich. Wszak ogień (czy choćby płomyk) wiary nie jest w naszej kulturze sprawą li tylko obcowania jednostki z absolutem w porannej medytacji wśród świergotu ptaków, lecz potrzebuje religii – a więc ludu zgromadzonego w miejscach świętych. Podob- nie jedzenie, nasza politeistyczna prawie religia, ma swój aspekt międzyludzki, publiczny.

Inna sprawa, że gdy się przyjrzeć, jak się te miliardy rozkła- dają, to zrozumiałe się staje, dlaczego mowa tu o „usługach”, a nie po prostu restauracjach, barach i kafejkach. 20 proc. tej liczby (i największa dynamika przyrostu) przypada na fast foody – które, owszem, świadczą usługę, choć z posiłkiem jako doświadczeniem nie ma to wiele wspólnego. Pod słowem „doświad- czenie” rozumiemy bowiem prze- żywanie bodźców rzucone na tło jednostkowej pamięci i przepuszczone przez filtr kulturowych skojarzeń nabytych przez ową jednostkę na jej życiowej drodze.

O wszystkim tym miałem oka- zję sobie na świeżo przy- pomnieć, odwiedzwszy dawnego współnika w re- stauracyjce, którąśmy kie- dyś prowadzili. Zapytany, czy daje sobie radę, nie epato- wał smutkiem – wszak pochodzą- c z Wenecji, ma we krwi hardość przebiegłych kupców i nie- ustraszonych w zdradzie dyplomatów. Ale tłumaczył, jak nędzny jest jego obrót w przypadku posiłków na wynos: nie dość, że trzeba się dzielić wysoką prowizją z sieciami dostaw- czymi, beneficjentami całej tej sytuacji, to i z ceny trzeba było spuścić: gość przecież płacił nie za samą miskę klusek, ale

za owo doświadczenie: miejsce, wystrój, zapach, atmosferę, dowcip obsługi. A w tamtym lokalu jest to warte sporej do- płaty – uwierzcie, jeśli czytaliście „Kuchnię Dantego”. Przez dwa miesiące wszystko to diabli wzięli i jeśli knajpa goto- wała z dowozem, to raczej była to autoterapia kucharza niż poważny biznes.

Ciekaw jestem, jak się teraz będzie odbudowywać ta deli- katna sieć impulsów i wrażeń. Czy pomimo dezynfekcyjnych procedur (pamiętacie tę scenę w „Rzymie” Felliniego, kiedy burdelmama po wyjściu klientów rozpyła w dusznym salo- nie jakiś chemiczny proszek?), rozsuwania stołów i przegród z pleksi nasza chęć, żeby podoświadczać posiłku, okaże się ży- wotna jak tkanka zarastająca bliznę? Jak będzie smakowało U Stasi, kiedy zniknie gęsty tłok na wspólnej ławce przy sto- łach pod ścianą (dla mnie najważniejsza przyprawa do tam- tejszego rosółu)?

Na drzwiach tej sławnej na całą Galicję jadalni wywie- szono wierszyk: „Kiedy knajpki się odwieszą, to kucharki się ucieszą”. Nie tylko one. Także kelnerzy i barmani. Ostatnie dwa miesiące, kiedy 99 proc. (bo „większość” to byłby eufe- mizm) z nich po prostu wpadło w czarną dziurę – uświado- miły nam, że co prawda w liczbie stolików na tysiąc mieszk- ańców „gonimy Zachód”, ale w ogóle nie zaczęliśmy dowar- tościowywać tego zawodu, traktowanego jak śmieciówka dla studentów i bocznica dla przegranych. Tę robotę można zaś lubić, uważać za godną. Bądźcie hojni, jak przedtem, i dodaj- cie do napiwku więcej jeszcze uśmiechu. To w ich garści są klucze do tego, za czym tęskniliście, wyciągając z torby ko- lejny *take away*. ©P

Nie tylko w polityce, o czym pisze zajmującą w pierwszej części numeru Jarosław Flis, mamy trudny mentalnie okres przejściowy, pełne napięcia zawieszenie. Otóż na targach za- równo zaboru austriackiego, jak i rosyjskiego (wybaczcie, w pruskim jeszcze nie mieszkam) widuję piękną rękę spod folii, grubszą od tej paczkowanej z importu, ale za to jakże charakterną. Lecz pomidory ciągle nie wyszły z zimy, jeszcze im sporo brakuje, żeby jeść je bez obróbki termicznej. Dla-

tego robię sobie teraz często taki wiosenny maka- ron – wydaje mi się tak intuicyjny, że mocno się zdziwiłem, gdy się okazało, że wcale go nie wymyśliłem. Było to ponoć ulubione danie Gianniego Agnellego, ostat- niego szefa Fiata, gdy była to jeszcze włoska firma. Gotu- jemy we wrzątku spaghetti dla 4 osób. Na dużej pa- telni podgrzewamy na 6 łyż- kach oliwy rozgnieciony ząbek czosnku, wrzucamy 250 g prze- połowionych pomidorków koktajlo- wych, zwiększamy nieco ogień, podsmażamy

kilka minut tak, żeby puściły sok i aromat, ale nie cał- kiem się rozpadły. Przerzucamy na patelnię spaghetti prosto z wrzątku, intensywnie mieszamy, gasimy ogień, dosypujemy drobnutko posiekaną lodygę selera naciowego i po talerzy porządnej garści rukoli na osobę. Lekko mieszamy. Na talerzach jeszcze posypujemy rukolą i szczodłą garścią grubych wiórów parmezanu.





ZMYSŁY

WONNOŚCI ŚWIATA CAŁEGO

Róża była różą była różą była różą, gnój był gnojem był gnojem był gnojem.
Każdy odór i wonne kadzidło rozkwitały w powietrzu
jak gwiazdozbiory na ciemnym niebie.

DOROTA KOZIŃSKA

AGNIESZKA OSIECKA WSPOMINAŁA W „SZPETNYCH CZTERDZIESTOLETNIACH” fetor „starej, piwnicznej marchwi, przedwojennego podwórza, fabrycznego komina, dworca i taniego piwa”. Zapach kobiecego potu przypominał Sylvii Plath woń „takiej jednej paproci”, której liść trzeba wpierw zwinąć w kulkę i rozgnieść w dłoniach. Tita z „Przepiórek w płatkach róży” Laury Esquivel zalała się rzewnymi łzami, kiedy poczuła zapamiętany z dzieciństwa aromat zupy, do której przyrządzenia należało zeszklić na oliwie cebulę wraz z czosnkiem, dodać pokrojone ziemniaki, fasolkę i pomidory, udusić do miękkości, rozcieńczyć wodą, a potem gotować w tym wywarze na wolnym ogniu dwa okazałe ogony wołowe.

Węch ożywia pamięć, wywołuje najprzeziwniejsze skojarzenia, wzbudza silne emocje, rządzi się własnymi prawami – jest bowiem najstarszym ze zmysłów, opartym na odbiorze wciąż nie do końca zbadanych sygnałów chemicznych z otoczenia.

Przed miliardami lat węszyły już proste bakterie, reagując na woń innych mikroorganizmów, z którymi konkurowały o pożywienie. Pasożytnicza kaniańka – pnącze pozbawione chlorofilu, liści i korzeni, a przez to zmuszone do czerpania składników pokarmowych z organizmu ofiary – kieruje się bodźcami zapachowymi w poszukiwaniu żywiciela,



THE AGE / GETTY IMAGES

unikając roślin zawierających substancje, które mogłyby jej zaszkodzić. W toku ewolucji zwierząt – wraz ze stopniowym rozwojem układu nerwowego – w proces rozpoznawania otoczenia angażowały się także „młodsze” zmysły. Węch jednak nigdy nie stracił na znaczeniu. Tak zwane substancje semiochemiczne, czyli związki służące organizmom żywym do przekazywania i wymiany informacji – żeby ustrzec się przed niebezpieczeństwem, oznaczyć własne terytorium bądź znaleźć partnera gotowego do rozrodu – podtrzymują działanie całych ekosystemów.

U większości owadów komórki węchowe są zlokalizowane w rozgałęzieniach czułków: to dzięki nim samce nocnych motyli potrafią wyczuć partnerkę z odległości kilkunastu kilometrów. W przypadku ryb rozpuszczone w wodzie substancje zapachowe dostają się do błony śluzowej nozdrzy i podrażniają zakończenia nerwów, które przekazują sygnały wprost do mózgu. Węgorze i łososie zapamiętują w ten sposób zapach miejsca, gdzie wykluły się z ikry – kierując się węchem, powracają do tych samych wód na tarło. W grzyby wali się mīt, jakoby ptaki były przede wszystkim wzrokowcami: najnowsze badania uczonych z Instytutu Ornitologii

im. Maxa Plancka w Radolfzell wskazują, że niemal u wszystkich gatunków, od albatrosów aż po sikory, zmysł powonienia odgrywa istotną rolę w nawigacji, zdobywaniu pożywienia i rozpoznawaniu poszczególnych osobników.

W porównaniu z wężącymi przy ziemi czworonogami człowiek zawsze uchodził za kalekę. Już w szkole wkładano nam do głów, że ludzie patrzą, co się wokół nich dzieje, a psy w tym celu niuchają. Objaśniano, że ośrodek węchu w mózgu psa jest czterdzieści razy większy niż w mózgu człowieka. Podkreślano, że tzw. pole węchowe – czyli błona śluzowa pokryta nabłonkiem z komórkami receptorowymi – ma u człowieka zaledwie pięć centymetrów kwadratowych powierzchni, podczas gdy u owczarka niemieckiego przeszło sto pięćdziesiąt. Tłumaczono, że gdy pies zwietrzy coś ciekawego, potrafi węszyć z częstotliwością do dwustu razy na sekundę; że wiecznie mokry nos ułatwia mu wychwytywanie i rozpuszczanie molekuł zapachowych, a wilgotna błona śluzowa działa jak filtr, dzięki czemu cząsteczki trafiają w głąb nosa w odpowiedniej kolejności.

Wyszło jednak na jaw, że zmysł powonienia to nie tylko liczba komórek węchowych i genów kodujących białka odpowiednich receptorów, ale złożony system interpretacji wzorów pobudzenia nabłonka węchowego w mózgu.

Pewna afrykańska żaba z rodziny grzbietorodowatych ma tyle samo genów receptorów węchowych, co pies, a mimo to nikt z nią nie biega po lotnisku, by udaremnić przemyt kokainy ukrytej w kartonach z bananami. Konie, krowy i słonie teoretycznie mogą pochwalić się znacznie czulszym węchem niż psy, używają go jednak w innym celu i w całkiem inny sposób.

Człowiek dał sobie wmówić, że ma nos do niczego, a przecież umie rozróżnić dziesiątki tysięcy razy więcej zapachów niż smaków, choć nie zawsze potrafi je nazwać. Na naszą percepcję węchową wpływa szereg najrozmaitszych czynników: uwarunkowania genetyczne, płeć, wiek, stan psychofizyczny, nastawienie wobec przedmiotu, kultura, w jakiej się wychowaliśmy.

Polaka odrzuci od kaczycy jaj konserwowanych w wapieniu i solonej herbacie, Chińczyk dostanie mdłości, kiedy wsadzi nos w garniec z żętycą. O dziwo, pierwotne ludy myśliwskie są znacznie bardziej precyzyjne w definiowaniu woni i potrafią zakomunikować różnice w doznaniach węchowych z taką samą łatwością, z jaką nam przychodzi rozpoznawanie barw. Mimo że zmysł powonienia jest ściśle powiązany ze zmysłem smaku, standardowy język kantonński zupełnie sobie nie radzi z opisem aromatów, za to celuje w opisach wyszukanych potraw.

Próby przyporządkowania woni do określonych kategorii podejmowano już w starożytności, przeważnie łącząc je z doznaniem smakowymi. Kucharze i producenci żywności stosują ten system do dziś, dzieląc zapachy na słodkie, słone i kwaśne. Winiarze uciekają się do oceny wrażeń węchowych pod kątem emocji – stąd biorą się dziwnie brzmiące w uszach laików sformułowania o trunkach ciężkich, młodych, szorstkich lub cienkich w aromacie.

Pół wieku temu biochemik John Amoore zaproponował teorię siedmiu receptorów zapachów podstawowych: ➔

→ kamforowego, piżmowego, kwiatowego, miętowego, eterycznego, ostrego i gnilnego. Teoria upadła, kiedy wyszło na jaw, że w nabłonku węchowym człowieka znajduje się ponad trzysta białek receptorowych, a ich reakcje na obecność konkretnej substancji zapachowej są znacznie bardziej skomplikowane.

Wydawać by się mogło, że nie ma większego nieszczęścia niż utrata słuchu albo wzroku. Tymczasem zaburzenia węchu wiążą się z równie dokuczliwymi utrudnieniami w życiu codziennym. Człowiek, który przestaje odczuwać zapachy, traci przyjemność z jedzenia, a tym samym apetyt. Gubi się w otoczeniu, miewa kłopoty ze znalezieniem partnera, nie może znaleźć pociechy we wspomnieniach z przeszłości, które wcześniej kojarzył z wonią babcinych perfum, aromatem stogu siana, gdzie obściskował się z pierwszą miłością, rozkosznym smrodkiem utylanego w błocie psa – towarzysza dziecięcych zabaw.

Nieszczęśnicy cierpiący na hiperosmię, czyli nadwrażliwość węchową (która czasem dotyka kobiety w ciąży), potrafią wyczuć swąd przypalonego mięsa z odległości kilometra i dostać torsji na samą myśl o tym smrodzie.

Jeszcze dziwniejszą przypadłością jest parosmia, która polega na nieprawidłowym postrzeganiu zapachów – ujmując rzecz najprościej, fekalia pachną wtedy różami albo na odwrót. Nie należy jej mylić z halucynacjami węchowymi, które mogą być objawem poważnych schorzeń somatycznych albo psychicznych. Odczuwanie nieistniejących woni zdarza się m.in. w przebiegu depresji, ciężkich zatruc i choroby Parkinsona.

Wyjątkowo czuły węch dostał mi się w niepowtarzalnym zestawie cech odziedziczonych po przodkach. Na tyle silnie sprzężony z pamięcią, że moje najwcześniejsze wspomnienia wiążą się właśnie z doznaniem zapachowymi. Słodkawy aromat matczynej skóry miesza się w nich z odurzającą wonią pszczelego wosku i ostrym fetorem terpentyny – dwóch najważniejszych składników przyrządzanej domowym sposobem mikstury, której rodzice używali do pielęgnacji sosnowych desek na podłodze mieszkania.

Później do tego zestawu dołączyły alchemiczne zapachy urządzonej w dużym pokoju pracowni ojca – grafika i artysty książki, który w przeciwieństwie do większości kolegów z Akademii wołał pracować w domu. Przedziwny był to konglomerat: ni to mleczny, ni to migdałowy aromat kleju do kaserowania, czyli oklejania grubej tektury papierem (ojciec przyrządzał go sam i trzymał w zakręcaniej beczulce z półprzezroczystego plastiku); tłusta, maślana woń chińskiego tuszu do kaligrafii; ciepły zapach tempery i odstręczający, chemiczny odór barwników anilinowych; ziemisty swąd grafitu oprawnego w zalatujące olejkami eterycznymi drewno cedrowe; zwierzęco-mydłany smród pędzli, wierzący w nozdrzach odór werniksu, benzyny lakowej i innych rozpuszczalników.

Parafrazując żargon enologów, pełnia i złożoność bukietu pracowni rozwijała się długo. Uzupełniały go dwie charakterystyczne nuty: farby drukarskiej, której zapachem ojcowskie ubranie przesiąkało podczas wizyt w doświadczalnej oficynie na Saskiej Kępie, oraz suszonych na kołpaku lampy

kreślarskiej papierosów – ojciec palił je później w pośpiechu i zawsze dogaszał w połowie.

Myślę, że aura zapachowa mojej rodzinnej kamienicy na Mokotowie mogła przypominać mieszaną woni przepelniających domy w przedwojennych dzielnicach robotniczych Berlina i Paryża. U sąsiadki za ścianą, która zarabiała na życie robieniem swetrów na maszynie dziewiarskiej, pachniało szarym mydłem i lanoliną. U szewca z naszego piętra – rozgrzaną skórą i klejem kostnym. U bezdzietnego małżeństwa krawców z poddasza – mokrym suknem, zaprasowywanym na desce obciążonej przypalonym tu i ówdzie lnianym płótnem.

We wszystkich mieszkaniach zapach domowych warsztatów mieszał się z intensywnym aromatem kapusty, smażonych na smalcu kotletów i drożdżowego ciasta. Wewnątrz panował charakterystyczny zaduch rzadko wietrzonych pomieszczeń, szaf wypełnionych naftalinowymi kulkami na mole, wypastowanych podłóg i zlewów szorowanych żrącym ługiem sodowym. Na klatce schodowej pachniało wilgocią i butwiejącym drewnem.

Strych przenikała woń kurzu i zeschniętych gołębic odchodów – ten osobliwy odór kojarzył mi się z pierwszym lądowaniem na Księżycu, bo podeszwy butów zostawiały podobne ślady w mięciuteńkim pyłe. W piwnicach na co dzień cuchnęło kocim moczem, od święta – mydlano-krochmalnym aromatem pościeli, gotowanej w wielkich kotłach i namaczanej w wannach z wodą podbarwioną na niebiesko farbą do tkanin.

Od podwórza woń róż uprawianych przez dozorczynię w fundamentach po jakimś zburzonym budynku mieszała się z fetorem dobiegającym z wiecznie przepelnionego wychodka. Od frontu zalatywało mnóstwem zapachów z najróżniejszych sklepów i zakładów rzemieślniczych: u fryzjera nieznosnym, kojarzącym się z garbarnią smrodem płynu do trwałej ondulacji, z magła cudownym, tropikalnym aromatem rozgrzanej pary wodnej, ze sklepu spożywczego wonią trocin ochlapanych solanką ze śledzi i sokiem spod kiszonych ogórków.

Każdy wypad z tej miejskiej enklawy w zieloność dostarczał wyjątkowo silnych doznań węchowych. W pobliskich Łazienkach co rok czekałam na wysyp pierwszych fiołków, latem sprawdzałam, czy koło Nowej Pomarańczarni zakwitł już krzew tych niepozornych, lecz cudownie pachnących róż, o których dowiedziałam się dopiero po latach, że to prawdziwe róże damasceńskie. Z ich wonnych płatków destyluje się najprzedniejszą wodę różaną.

Jesienią wciągałam w nozdrza kwaśny aromat butwiejących liści, w zimie uczyłam się oceniać temperaturę po zapachu śniegu: świeżym, metalicznym i kłującym w nozdrza, kiedy park ścinało mrozem, błotnym, podszytym ledwie wyczuwalną nutą rozkładu, gdy nadchodziła odwilż. Coroczny powrót do szkoły pachniał mączystą miazgą rozdeptanych na chodniku owoców jarzębu szwedzkiego i ceglanym pyłem z ruin przy Sieleckiej. Podmiejskie osiedla, dokąd jeździło się w odwiedziny do krewnych albo latem na piknik, przesiąkły smolistą wonią podkładów kolejowych i gorzkim zapachem rumianku.

Był to czas, kiedy ludzie pachnieli sobą – mydłaną czystością, zastarzałym brudem, potem zaschniętym po wysiłku, starością albo chorobą. Mało kto mógł sobie pozwolić na „francuskie” perfumy, a tandetnych, cukierkowo-mdłych pachnidel rodzimej produkcji używano na szczęście od wielkiego dzwonu. Inaczej też pachniały zwierzęta. Z dzieciństwa na długo został mi wstręt do woni psiej sierści i skóry – nie zdawałam sobie sprawy, że psy karmiono byle czym i prowadzano do weterynarza w ostateczności. Uwielbiałam za to mleczno-ziolowy aromat krowiego oddechu i zapach koni, zmieszany z oleistą wonią natłuszczonej uprzęży. Róża była różą była różą była różą, gnój był gnojem był gnojem był gnojem. Każdy odór i wonne kadzidło rozkwitały w powietrzu jak gwiazdozbiory na ciemnym niebie. Kolekcjonowałam wrażenia węchowe z równym zapalem, z jakim zbierałam wiedzę o przyrodzie i doświadczenia kulinarne.

Za bogactwo tych ostatnich odpowiadał po części ojciec, który z artystycznych podróży przywoził też egzotyczne specjały i przyprawy, po części starszy brat, który kupił na pchlim targu „Uniwersalną książkę kucharską” Marii Ochorowicz-Monatowej i natychmiast zaczął eksperymentować. Matka gotowała tradycyjnie. Nasi mężczyźni szaleli w kuchni jak Konrad i stryj Rabarbar z „35 maja” Ericha Kästnera. To ojciec mi uświadomił, że rozplwające się w ustach frykasy potrafią śmierdzieć gorzej niż przepocone onuce weterana spod Stalingradu.

Komu przeszkadza pleśniowy zapaszek roqueforta, ten padnie jak długi w starciu z belgijskim limburgerem, podpuszczkowym serem maziowym, który zawdzięcza swój straszliwy odór gram-dodatniemu pałeczkom *Brevibacterium linens* – tym samym, które odpowiada za fetor niemytych nóg.

To z bratem ugotowaliśmy kiedyś najprawdziwszy *plum pudding*, którego smaku i aromatu nie odnalazłam po latach nawet w bożonarodzeniowych słodczych od Harrodsa: być może dlatego, że londyńscy cukiernicy nie zaopatrywali się w cielęcy łój nerkowy na Bazarze Różyckiego.

Zawsze chciałam skonfrontować znane zapachy z aromatem dalekiego świata, o którym czytałam w książkach Verne’a, Szklarskiego i Fiedlera. Spodziewałam się, że świat pachnie całkiem inaczej, stąd moje gorzkie rozczarowanie, kiedy po raz pierwszy wyjechałam za granicę – z *tournée* chóru dziecięcego po Francji – i wysiadłam z samolotu na rozpaloną słońcem płytę lotniska Orly w Paryżu. Pachniało zupełnie tak samo, jak rozpalona słońcem Marszałkowska w środku lata.

Na szczęście już wkrótce doświadczyłam nieznanych aromatów francuskiej przyrody i gastronomii – na czele z pieczonymi karczochami w sosie remuladowym. I uświadomiłam sobie po raz pierwszy, że zapach zakodowany w umyśle dziecka pobudza najgłębsze pokłady emocji. Z wentylatorni przy stacjach paryskiego metra roznosiła się woń zetlałej ce-

lulozy – zapamiętana z ojcowskich eksperymentów, podczas których „postarzał” arkusze papieru, nurzając je w rozmaitych roztworach, tłukąc drucianą szczotką i susząc potem nad ogniem. Podobnego wzruszenia doznałam później już tylko raz – w pewnym drewnianym domu w Filadelfii, który pachniał dokładnie tą samą miksturą, jakiej używało się do pielęgnacji podłóg w moim rodzinnym domu.

Z kolejnych podróży przywoziłam wspomnienia zapachów, które mój mózg instynktownie próbował łączyć z wcześniejszymi doznaniem węchowymi. Wysokogórskie piętra roślinności w Himalajach odorowały aromatem oriental-

nych mieszanek przyprawowych. Targi w Azji Południowo-Wschodniej pachniały rybnią zgnilizną, przejrzalymi owocami i ludzkim moczem. Amerykańskie lasy deszczowe dosłownie oblepiały upajającą wonią nektaru kwiatowego, rozkładających się liści i soków z ciętych maczetami gałęzi. Ledwie wyczuwalny zapach Pustyni Syryjskiej kojarzył się z kurzem ze strychu. Z północnego Afganistanu zapamiętałam przede wszystkim aromat podpłomyków *nan*, wyrabianych z mąki i wody z dodatkiem tłuszczu, pieczonych w glinianych tandyrach. Dziwnie przypominał zapach kazimierskich kogutów

z piekarni Sarzyńskich przy Nadrzeczej – według dawnej receptury, którą zarzucono co najmniej czterdzieści lat temu.

Nigdy nie byłam w Australii, której woń próbuję sobie wyobrazić z cudownych zdjęć mojego facebookowego przyjaciela z Melbourne. O zapachach Antarktyki rozmawiałam ze znajomym przyrodnikiem i polarnikiem Mikołajem Golańskim. Rozmarzył się i od razu wspomniął woń odchodów słoni morskich i guana pingwinów – po latach doświadczeń kojarzący się nieomylnie z powrotem do domu. Kiedy go pytałam, jak pachnie tamtejszy lód, odparł, że nie pachnie. Będę musiała tam kiedyś pojechać i sprawdzić, bo wciąż noszę w głowie wspomnienia zapachów śniegu i lodu z najróżniejszych stron świata.

Trzy lata temu w Paryżu otwarto Muzeum Parfum przy rue du Faubourg-Saint-Honoré. W Gdańsku działa Przenośne Muzeum Zapachu. Japońskie Ministerstwo Środowiska sporządziło listę stu najpiękniej pachnących miejsc w kraju – od źródeł siarkowych, poprzez uprawy lawendy, aż po restauracje serwujące węgorka z rusztu.

Do mnie najmocniej przemawia inicjatywa Cecilii Bem-bibre z Institute for Sustainable Heritage przy Kolegium Uniwersyteckim w Londynie – badaczka chce za wszelką cenę ocalić wonie odchodzące w przeszłość, nawet te, które młodym nie kojarzą się z niczym przyjemnym. Żeby oddać klimat minionej epoki, trzeba wiedzieć, jak cuchnęły łódzkie pijalnie taniego piwa i angielskie puby. Trzeba ocalić polimery zapachowe irchowych rękawiczek, wyziewów z rur wydechowych dwusuwów i pokrytych pleśnią książek. Można uciec przed własną przeszłością. Przed jej zapachem uciec się nie da.

© DOROTA KOZIŃSKA

STANISŁAW

Mancewicz:

Cud jako przedrostek



GDYŚMY Z NIEJAKĄ PRZYJEMNOŚCIĄ BAWILI się w zeszłym tygodniu słowem „kacyk”, przyszło nam do głowy i inne, niebędące nigdy w politycznym obiegu. Ale zanim je tu wypiszemy wielkimi kulfonami, podzielimy się myślą nową, czystą i złotą.

Otóż znakomicie widać wszędzie, jak niesłychanie zmienił się kanon piękna. Zmienił to mało powiedziane, on po prostu odpadł – jak byśmy to powiedzieli po murarsku – od pionu. Klasyka, można rzec, nie istnieje. Ani w modzie, ani w makijażu, ani w żadnej estetyce. Z przyjemnością, a czasem z solidnym zdumieniem obserwujemy wibrujące trendy we wszelkich fasonach, dajmy na to, ludzko-cieleśnych. Nudno nie jest. Ponieważ nie podjęliśmy jeszcze decyzji, by zajmować się zawodowo i zarobkowo urodą, projektować makijaże, czy też by zostać po prostu internetowym influencerem modowym, chcemy nadmienić, że był to tylko efektowny wstęp. Wstęp do stwierdzenia, że takóŜ martwy jest już kanon wykształcenia, mądrości, obycia, dobrego wychowania i zrozumienia, jak być – dajmy na to – premierem czy prezydentem kraju.

Otóż nie da się ukryć, i od lewa do prawa bądzmy w tej sprawie zgodni, że państwo polskie od swego zarania – a za początek uznajmy wspólną tragedię Popiela jedzonego przez myszy – przenigdy od dat tamtejszych do dzisiejszości nie osiągnęło tak znakomitego poziomu cudactwa i nigdy takóŜ podobni dzisiejszym cudacy krajem tym nie rządzili. Jest to zdroworozsądkowa ocena, bez niegrzeczności i lekceważenia, bez przesady, ale i bez ambicji akademickiego roztrząsania, niepotrzebnego nikomu doktoryzowania się czy też habilitowania się na oczach rozbawionego ogółu, bądź to pisania magisterki z nauk politycznych, za forszę, na poziomie któregoś

tutejszego uniwersytetu. Jest to głos gromki, ale zwykły, pocziwy i nieelitarny. Kształt polskiego państwa, jego ustroju i struktury władzy, forma polskiego wymiaru sprawiedliwości stały się niebywale cudaczne. Nic takiego nie występuje na planecie Ziemia. Nic i nigdzie nie wygląda nawet podobnie. Zgódźmy się z tym, choć trzeba rzec, że uświadomienie sobie bezmiaru cudactwa obecnej Polski może być i trudne, i traumatyzujące, zwłaszcza dla tych, którzy mieli jakieś złudzenia na temat jej europejskiej standaryzacji.

Weźmy zjawisko pierwsze z brzegu. Naprawdę, bez cienia aroganckich zamiarów, powiedzieć trzeba, że głowa naszego państwa jest jednak ogromnie cudaczna. Czy widzieliśmy gdziekolwiek indziej tak solidnie i cudacznie dobrany zespół doradców owej głowy? Od kultury, od wojny, od spraw zagranicznych po gospodarcze, od prawa do lewa? O, mamusi. Zaiste cudak na cudaku cudakiem pogania. Cudaczność jako maska niekompetencji i amatorszczyzny? Możliwe. Co z tego wynika? Ano tyle, że kanon władzy, kompetencji rządzenia i zarządzania, dyplomacji i czego jeszcze chcecie, jest kompletnie martwy. Nie ma już nic takiego. Tak to jest nowe i nowoczesne, że człowiek w naszym wieku, spozierając na siebie rankiem w lustrze, próbuje sobie przypomnieć nazwy er geologicznych. Zaiste wydaje się, że bliżej nam dziś, i urodowo, i głowowo, do kambry niżli do epoki obecnej.

Patrzymy szerzej jednak, ucieknijmy może od myślenia kanonem. Oto możliwość jest i taka, że nie kanon czełogół jest ważny, ale – co bywało częste na dworach – wszędzie obecna i wszystko omotująca szara wata nudy.

Głowa państwa naszego być może cierpi z powodu nudy. Nie rządzi przecież, więc się cholernie nudzi, no i cuduje. Stąd jej przedziwne wycudowane mowy, cudaczne refleksje i miny, jej twórczość słowno-muzyczna. Myśl o nudzie wydaje się nam kapitalna. Gdy bowiem próbujemy zebrać na temat nudy wszystko, cośmy o niej przeczytali i sami wykombinowali, dochodzimy do takiej oto syntezy: nie ma nic gorszego w życiu niż nuda, nuda była i bywa przyczyną bezpłodnych mniemań, okrucieństw, prowadzi do gnuśności i szokującej perwersji. Zarówno w traktowaniu ludzi, prawa, państwa, i oczywiście też sztuki. Syntetyczna ocena takiej sytuacji brzmi zaiste krótko: fuj.

© P

BARTOSZ MINKIEWICZ



WIELKIE PYTANIA NA NOWO

9
A
N
D
E
M
I
A

TYGODNIK
POWSZECHNY

2/2020



SPOŁECZEŃSTWO I KOMUNIKACJA





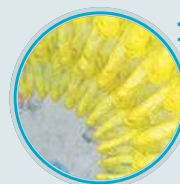
95 Planeta wirusów SZYMON DROBNIAK

To one kontrolują najważniejsze procesy biosfery



99 Testy, testy, testy! BARTOSZ KABAŁA

O czym mówią parametry czułości i swoistości



102 SARS-CoV-2 i COVID-19 ŁUKASZ ŁAMŻA

LECH MAZURCZYK
Budowa wirusa i przebieg choroby – infografika



104 Lekcja historii klasycznej KAMIL KOPIJ

Plagi, które trapiły Imperium Rzymskie



107 Co mówią liczby WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Daniel Bernoulli i matematyka ratująca życie



110 Między prawdą a fikcją GRZEGORZ JANKOWICZ

Ponadczasowy „Dziennik roku zarazy” Daniela Defoe



114 Nie ma drogi na skróty ŁUKASZ ŁAMŻA

Jak wyglądają prace nad szczepionką



116 Te wstrętne wydzieliny MICHAŁ MISIAK

Objawy choroby wywołują mieszanie strachu i obrzydzenia



119 Zmieniń, ale nie zmęczyc RADOSŁAW ZYZIK

Długotrwała zmiana zachowań to na dziś jedyny lek

122 Copernicus Festival: Czas zarazy | O przeżywaniu czasu WOJCIECH BONOWICZ



Projekt „Wielkie Pytania dla Polski na nowo” realizujemy dzięki wsparciu z grantu Templeton Religion Trust. Menedżerem projektu jest Grzegorz Jankowicz, Łukasz Lamża zaś jest redaktorem serii wydawnictw.

Redakcja: Łukasz Kwiatek, Łukasz Lamża
Projekt graficzny: Marek Zalejski
Fotoredakcja: Grażyna Makara
Infografika: Lech Mazurczyk
Skład: Andrzej Leśniak / TP Typografia
Okładka: Marek Zalejski
// ANDREW OSTROVSKY // STOCK.ADOBE.COM



ŁUKASZ ŁAMŻA



ZROZUMIEĆ WSZECHŚWIAT

REWOLUCJA NEURONAUKOWA

WARTOŚCI DZIŚ

SPOŁECZEŃSTWO I KOMUNIKACJA

Czas pandemii” – jakże dramatycznie brzmią te słowa! A jednak w ostatnich miesiącach zdążyliśmy się już przyzwyczaić do wielkich słów. Czyżby przyszło nam żyć w ciekawych czasach?

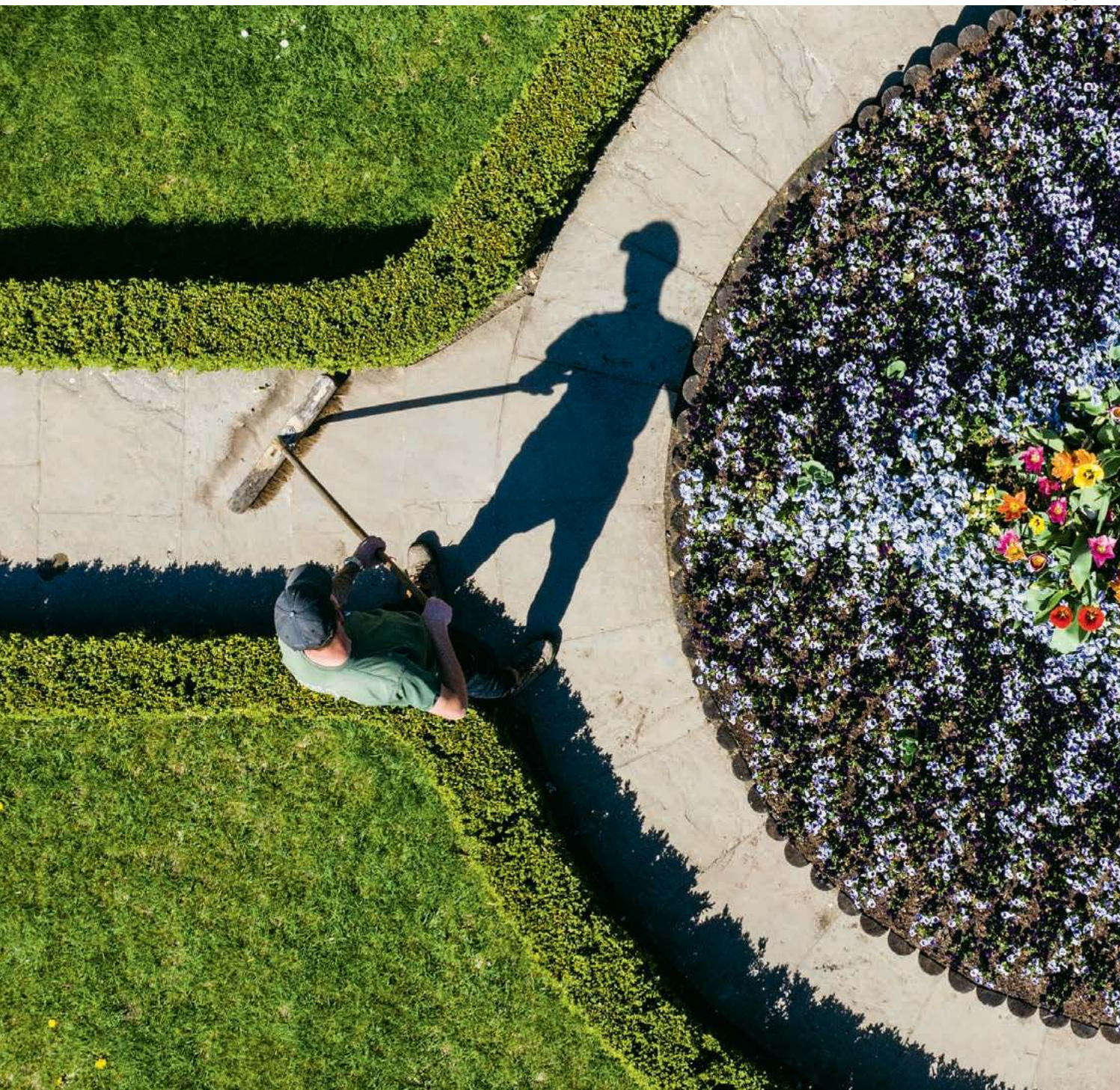
Nowa sytuacja, wobec której zostaliśmy wbrew swej woli i chęci postawieni, pobudza nas do zadawania wielkich pytań: kolejny dodatek z serii „Wielkie Pytania” postanowiliśmy więc – zgodnie z duchem tego cyklu – poświęcić temu, co w owej sytuacji fundamentalne i ponadczasowe. Dodatek otwieramy tekstem Szymona Drobniaka, z którego dowiadujemy się, że od zawsze żyjemy i żyć będziemy na planecie wirusów, sami będąc jedynie drobnym przypisem do

mikroskopijnych władców Ziemi. Pozostali nasi autorzy opowiadają nam między innymi o ewolucyjnych korzeniach obrzydzenia, o literackich obrazach zarazy, o historii i idei szczepienia, o starożytnych epidemiach i o tym, co właściwie w praktyce oznacza zawołanie „Testy, testy, testy!”.

Na końcu dodatku znajdziecie też program specjalnej edycji Copernicus Festival, który odbywa się – jakże inaczej! – w przestrzeni wirtualnej, pod hasłem „Czas zarazy”. Zerknijcie – być może zechcecie w dniach 19-24 maja dołączyć, na ekranach komputerów i urządzeń mobilnych, do któregoś z wywiadów, wykładów i warsztatów festiwalowych?

Czytajcie, oglądajcie, słuchajcie; byle ze zdrowym dystansem. ©&

Opinie wyrażone na łamach niniejszej publikacji należą wyłącznie do ich autorów i nie muszą odzwierciedlać stanowiska Templeton Religion Trust.



Ogrody tulipanów. Hever, Anglia, 16 kwietnia 2020 r.

Planeta wirusów

SZYMON DROBNIAK

Dopiero niedawno zaczęliśmy odkrywać, jak fundamentalną rolę w przyrodzie i ewolucji życia na Ziemi odgrywają wirusy. Czym właściwie są i skąd się wzięły?





CHRIS GORMAN / GETTY IMAGES

→ Kiedy w XVII w. holenderscy ogrodnicy pompowali bańkę spekulacyjną, windującą ceny tulipanów na wcześniej niewyobrażalne poziomy, nie wiedzieli, że cała ta misterna konstrukcja ekonomiczna zależała tak mocno od mikroskopijnych cząstek zakaźnych.

Dziesięć tysięcy guldenów – takie ceny potrafiły osiągać tulipanowe cebulki na aukcjach. Za tę sumę można było kupić

czterysta świń albo sto ton pszenicy. Najcenniejsze były odmiany tulipanów określane jako *variegata* – o intensywnie zabarwionych płatkach przetykanych nieregularnymi, białymi smugami. Zawrotność ich cen podbijał fakt, że taka smugowatość najwyraźniej wymykała się umiejętnościom najzdolniejszych ogrodników: nikt nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego ta właśnie cecha była tak kapryśna i pojawiała się z pozoru przypadkowo

w całych partiach tulipanów. Co więcej – próby rozmnożenia smużystych tulipanów z nasion kończyły się niepowodzeniem. Wyrastały z nich zawsze typowe, barwne i pozbawione pasów rośliny. Cebulki tulipanów odmiany *variegata* były jednocześnie słabsze, jakby schorowane, bardziej wrażliwe na niekorzystne warunki uprawy.

Dopiero w pierwszej połowie XX w. udało się zidentyfikować prawdziwą przyczynę wyjątkowości bezcennych tulipanów. Odpowiadał za nią wirus mozaiki tulipanowej, reprezentant sporej grupy wirusów wywołujących u zainfekowanych roślin charakterystyczne niedobory chlorofilu, dające efekt smużenia lub bladej mozaiki na liściach czy kwiatach. Mozaika tulipanowa przenosi się między roślinami za pośrednictwem mszyc pasożytujących na sokach roślin, co wyjaśnia niemożność uzyskania pasistych kwiatach z nasion (wirus nie przenika do rosnącego, ukrytego w nasieniu, zarodka). Wirus odpowiadał również za mniejszy wigor tulipanowych cebulek.

Holenderska „gorączka tulipanowa” to zaskakujący przykład powiązań między ewolucją biologiczną i kulturą człowieka. Wirusy mają jednak znacznie bardziej fundamentalny wpływ na życie na Ziemi, niż sądziliśmy w przeszłości. Dopiero zaczynamy odkrywać niesamowitą różnorodność wirusów, ich miejsce w sieci powiązań łączących poszczególne elementy biosfery oraz wpływ na wielkoskalowe procesy zachodzące na Ziemi. Czas również zapomnieć o dominującej „epidemiologicznej” reputacji wirusów. Choć kojarzymy je przede wszystkim z całą gamą mniej lub bardziej poważnych chorób ludzkich, wirusy są, jak się okazuje, najliczniejszymi, a przy tym kluczowymi czynnikami biologicznymi na Ziemi. Wszystko wskazuje na to, że fundamentalne procesy kształtujące funkcjonowanie biosfery kontrolują byty nieprzynależące nawet do świata ożywionego.

Pasożyt doskonały

Niełatwo jest objąć wirusy jednym, ogólniejszym rzeczownikiem – tak, by mogły znaleźć się w towarzystwie bakterii, grzybów, zwierząt i innych mieszkańców naszej planety. Nasuwa się słowo „organizm”, które stosujemy powszechnie do opisywania bytów ożywionych. Problem w tym, że wirusy nie wykazują niektórych fundamentalnych cech, które przy-

pisujemy wszystkiemu temu, co zwyczajowo określamy mianem „organizmu”.

Owszem – potrafią się „rozmnażać”: produkować swoje kopie, kluczowe dla pasożytniczego trybu życia wirusów. Podlegają również ewolucji drogą doboru naturalnego – co dla wielu biologów jest najbardziej fundamentalnym wyznacznikiem bycia organizmem żywym. Zdolność wirusów do mutowania (spontanicznego nabywania losowych zmian w swoim materiale genetycznym) i przekazywania tych mutacji poprzez tworzenie swoich kopii jest jednym z głównych problemów, jakie przed producentami szczepionek stawiają np. wirus grypy czy rinowirusy odpowiedzialne za jesienny katar. Zdolność do spontanicznego zmieniania swojej struktury oraz rozprzestrzeniania nowych wariantów sprawia, że wiele wirusów to „ruchome cele” szczepionkowe – zaprojektowanie skutecznej szczepionki przeciwko nim jest trudne, bo nieustannie zmieniają one swoje właściwości.

Rozmnażanie i ewolucja to jednak nie wszystko. Po odsunięciu na bok replikacyjnej natury wirusów nie pozostaje nam praktycznie nic, co pozwoliłoby zaklasyfikować je jako organizmy żywe. Wirusy nie posiadają własnego metabolizmu: ich cząstki nie prowadzą samodzielnie żadnych procesów biochemicznych. Nie są one również zorganizowane jak komórki żywe – wirusy są tworamipozbawionymi struktury komórkowej i bardziej przypominają misterne nanoroboty, przygotowane do infekowania swoich ofiar i replikacji, ale już nie do odżywiania się, przemieszczania czy reagowania na bodźce. Produkcja cząstek wirusowych w procesie replikacji bardziej przypomina składanie miniaturowej maszyny niż rozmnażanie, jakie znamy ze świata roślin czy zwierząt – stąd też biolodzy preferują w odniesieniu do wirusów termin „namnażanie”.

I wreszcie cecha najbardziej fundamentalna: cząstki wirusowe bez swoich gospodarzy są jedynie biernymi grudkami białka i kwasów nukleinowych. Są nieaktywne, statyczne – martwe. Ich dynamika ujawnia się dopiero, kiedy dostaną się do wnętrza komórek swoich gospodarzy – gdzie uaktywniają się i „nakręcają” produkcję swoich kopii. Wirusy są więc pasożytami tak doskonałymi, że w swojej pasożytniczej specjalizacji w gruncie rzeczy przestały żyć. Takie postawienie sprawy mogłoby jednak mieć rację bytu

W 2018 roku hiszpańscy badacze odkryli, że **z nieba nad Sierra Nevada pada wirusowy deszcz.**

tylko wtedy, jeśli założymy „wtórne” pochodzenie wirusów, oparte na postępującej degeneracji i specjalizacji ich żywych przodków. Czy takie pochodzenie wirusów jest w ogóle możliwe?

Wirusowe wykopaliska

Odtwarzanie historii ewolucyjnej wirusów poważnie utrudnione jest przez ich ulotność. Wirusy mają z reguły rozmiary wielokrotnie mniejsze niż komórki bakteryjne i złożone są z cząsteczek nieulegających fosylizacji (skamienieniu): białkowa kapsuła wirusa oraz jego materiał genetyczny ulegają po dezaktywacji wirusa niemalże natychmiastowemu rozpadowi. Jedynym sposobem, w jaki możemy próbować odtworzyć ewolucyjną historię wirusów, jest więc porównywanie struktur wirusowych z najbliższymi im, jak się zdaje, formami bakteryjnymi oraz analizy genetyczne poszukujące w materiale genetycznym wirusów, bakterii i pozostałych organizmów tropów świadczących o wspólnej historii. Paleowirologi (badacze wymarłych przodków wirusów) swoje wykopaliska prowadzą więc głównie „molekularnie” – przesiewając współczesne genomy w poszukiwaniu wirusowych pozostałości, oraz *in silico* – prowadząc symulacje ewolucji prawirusów w wirtualnych ekosystemach.

Pewne wskazówki co do pochodzenia wirusów wynikają z istnienia prostszych niż wirusy cząstek zakaźnych. Choć wydaje się to niemożliwe – biologia naprawdę zna patogeny o jeszcze prostszej budowie. Jednymi z nich są wiroidy – „gołe” kawałki RNA (kwasu rybonukleinowego), czyli niczym nieosłonięte fragmenty materiału genetycznego. W pewnym sensie są to wirusy pozbawione „płaszczu”. Potrafią one infekować rośliny i replikować się we wnętrzu ich komórek. Wiele wiroidów nie tylko wykorzystuje roślinne komórki jako fabryki swoich kopii, lecz także potrafi samodzielnie prowadzić proste reakcje biochemiczne.

Takie „biochemicznie uzdolnione” cząsteczki RNA nazywamy rybozymami.

To, że niektóre wiroidy mają własności enzymatyczne, jest obserwacją potwierdzającą jedną z hipotez pochodzenia życia na Ziemi. Według tzw. hipotezy świata RNA pierwszymi replikatorami (cząstkami zdolnymi do tworzenia własnych kopii) na naszej planecie, jeszcze pozbawionymi budowy komórkowej, były właśnie autonomiczne cząsteczki RNA. Wiroidy mogą być pozostałościami tego świata RNA – pasożytami, które ewoluowały równoległe do bardziej złożonych protokomórek, a potem komórek. Z czasem niektóre z takich samodzielnnych cząsteczek RNA „kradły” swoim gospodarzom białka, produkując osłaniające delikatny materiał genetyczny kapsydy – i dając początek prawirusom.

Trzy hipotezy

Za takim „koewolucyjnym” scenariuszem pochodzenia wirusów przemawia również odkrycie tzw. wirusów satelitarnych, w tym wirofagów. Wirusy satelitarne to szczególna grupa, której przedstawiciele do prawidłowej replikacji potrzebują współudziału innego, często blisko spokrewnionego wirusa. Na przykład wirus zapalenia wątroby typu D (lub delta) to osłonięty białkową otoczką kawałek RNA, przypominający wiroidy. Potrafi on zainfekować komórki wątroby, ale by przenieść się dalej, potrzebuje pomocy wirusa zapalenia wątroby typu B: to ten drugi wirus dostarcza wirusowi typu D białka do budowy kapsydu. Wirus typu D jest więc wirusem satelitarnym wirusa zapalenia wątroby typu B.

Znacznie ciekawsza zależność łączy wirofagi z ich wirusowymi gospodarzami. Wirofagi (nazwa oznaczająca dosłownie „pożeracze wirusów”) to wirusy pasożytnicze, uszkadzające inne wirusy! Wykorzystują one maszynierię replikacyjną tzw. wirusów gigantycznych (grupy wirusów szczególnie dużych, o rozmiarach zbliżonych do rozmiarów komórek bakteryjnych) i spowalniając ich replikację, same produkują swoje kopie.

Istnienie wirusów satelitarnych oraz wiroidów stanowi mocny dowód na wcześniejsze pochodzenie przodków współczesnych wirusów w stosunku do prekursorów organizmów komórkowych. Będąc pozostałością bardzo prostego „świata RNA”, wczesne wirusy →

→ najzwyczajniej nie potrzebowały bardziej zaawansowanych struktur i funkcji: ich pasożytniczy tryb życia oraz dostępność potencjalnych gospodarzy w postaci wczesnych prakomórek zapewniały im potrzebne do replikacji zasoby.

Największym problemem „hipotezy koewolucyjnej” jest wyjaśnienie mechanizmu, który doprowadził do „opłaszczania” wczesnych wolnych cząsteczek prawirusowych białkami. Powstały więc konkurencyjne teorie, działające niejako wstecz i wywodzące wirusy z bardziej zaawansowanych i ewolucyjnie młodszych form życia. „Hipoteza ucieczki” zakłada, że wirusy powstały z tzw. skaczących elementów genetycznych (transpozonów), które obecne są we wszystkich niemalże komórkach żywych i mają zdolność spontanicznego wycinania się i wbudowywania w materiał genetyczny komórki. „Skaczące geny” najczęściej trzymają się swoich komórek, powodując problemy jedynie wtedy, jeśli po wycięciu się i wstawieniu w inne miejsce niszczą one jakiś ważny gen. Zdarza się jednak, że uciekają one poza swoją macierzystą komórkę – tacy uciekinierzy mogliby potencjalnie stać się wirusami. Nie jest jednak jasne, jak skaczące geny mogłyby zdobyć swój białkowy płaszcz.

Trzecią hipotezą starającą się wyjaśnić pochodzenie wirusów jest „hipoteza regresyjna”. Zakłada ona, że wirusy mogły powstać poprzez postępujące upraszczanie się wyspecjalizowanych wewnątrzkomórkowych pasożytów bakteryjnych, takich jak mikoplazmy czy riketsje. Są to bardzo proste, pozbawione wielu organelli komórkowych, bakterie rozmnażające się jedynie wewnątrz innych komórek żywych. Wirusy mogłyby więc powstać jako pochodne takich specjalistów – nie wiemy jednak, dlaczego żadne z obecnie znanych wirusów nie przypominają współczesnych bakteryjnych pasożytów wewnątrzkomórkowych.

Padają wirusami

W 2018 r. hiszpańscy badacze dokonali niezwykłego odkrycia. Zbierając próbki powietrza w hiszpańskich górach Sierra Nevada wykazali, że z nieba nad Hiszpanią – i, jak się okazuje, wszędzie na świecie – dosłownie pada wirusowy deszcz. Każdego dnia na każdy metr kwadratowy naszej planety spada około 800 mln wi-

Wirusy, dosłownie:

„pożeracze wirusów”,
to wirusy pasożytnicze,
uszkadzające inne wirusy.

rusowych cząsteczek. Tworzą one „wirosferę” – warstwę ziemskiej atmosfery wzbogaconą o cząstki wirusowe, położoną niewiele poniżej pułapu rejsowego samolotów pasażerskich. Wirusy, które tam krążą, pochodzą przede wszystkim z rozpylanej nad oceanami wody morskiej. Będąc niewiarygodnie lekkimi, wirusy atmosferyczne przemieszczają się z łatwością między odległymi regionami naszej planety, transportując informację genetyczną na gigantyczne odległości i z prędkościami niedostępnymi organizmom żywym.

Ktoś mógłby spytać – skąd tak olbrzymie ilości wirusów biorą się w wodzie morskiej, by potem zasilać atmosferyczną „wirosferę”? Odkrycie pochodzenia tych wirusów stanowi z pewnością jedną z najważniejszych obserwacji w historii badania bioróżnorodności naszej planety. W połowie lat 90. ubiegłego wieku oceaniczni mikrobiolodzy, stosując wyrafinowane techniki mikroskopowe, odkryli nową gigantyczną w swojej liczebności grupę należącą w gruncie rzeczy do najdrobniejszego morskiego planktonu: bakteriofagi. Jeden mililitr oceanicznej wody zawiera około stu miliardów bakteriofagów, o rząd wielkości więcej, niż mamy w wodzie morskiej komórek bakteryjnych, i o dwa rzędy wielkości więcej, niż wynosi liczba pływających w mililitrze oceanu komórek planktonu eukariotycznego (glonów i pierwotniaków). Bakteriofagi to – mówiąc najprościej – pożeracze bakterii. Pasożytnicze wirusy atakujące komórki bakteryjne i sinice, replikujące się w ich wnętrzu i doprowadzające do rozpadu ich komórek.

Planetarni inżynierzy

Najpewniej wciąż bardzo niewiele wiemy o bakteriofagowym świecie i o wpływie tych najliczniejszych na Ziemi wirusów na funkcjonowanie planety – ale te fragmenty układanki,

które mamy, dają obraz imponującego, wirusowego systemu kontroli ekologii planetarnej. Odpowiadając za śmierć 80 proc. wszystkich komórek bakteryjnych umierających w oceanach, bakteriofagi dosłownie sterują cyklami obiegu pierwiastków naszej planety. Poprzez zabijanie i wysyłanie w głębinę oceanu komórek bakterii pośredniczą w procesie wiązania węgla atmosferycznego – a więc kontrolują stężenie dwutlenku węgla w atmosferze.

Sterują również obiegiem azotu – w końcu niemalże wszystkie organizmy zdolne do wiązania azotu atmosferycznego i „wprowadzania go” do ekosystemów oceanicznych to bakterie i sinice! Wreszcie, przekierowują ogromne ilości materii organicznej zawarte w miliardach obumierających komórek bakteryjnych na dno oceanu, zapobiegając nadmiernemu użyźnianiu powierzchniowych wód oceanicznych. Najślabiej zdefiniowane z biologicznego punktu widzenia, wciąż stojące „w rozkroku” między światem życia i nie-życia wirusy wyrastają więc na planetarnych inżynierów.

To wszystko to tylko czubek wirusowej góry lodowej! Dzięki swojej infekcyjnej uniwersalności – oraz pewnej nieśmiałości w replikowaniu swoich genów – wirusy bardzo często „podkradają” materiał genetyczny swoich gospodarzy i przenoszą go dalej. Takie wirusowe transfery genów mogły odpowiadać za jedną z największych innowacji w historii ewolucji (np. powstanie czworonożności u kręgowców). Do dziś widzimy jaskrawe ślady wirusowych ingerencji w naszych własnych ciałach. Na przykład centralne z punktu widzenia naszego układu nerwowego geny ARC (ważne m.in. w procesach konsolidacji wspomnień czy w modelowaniu nowych połączeń nerwowych w naszych mózgach) mogą przenosić swoje RNA między komórkami nerwowymi poprzez przypominające wirusy białkowe pęcherzyki. Nasz mózg, a być może również i inne zaawansowane ewolucyjnie cechy, możemy więc zawdzięczać nanoskopowym, nieuchwytnym replikatorom krążącym wokół nas.

Warto o tym pomyśleć, wciągając nosem wirusowy koktajl ziemskiej atmosfery czy sadząc w ogrodzie kolejną smugowatą odmianę tulipana.

© SZYMON DROBIAK



SHAUKAT AHMED / PACIFIC PRESS / LIGHTROCKET / GETTY IMAGES

Pobieranie wymazu z gardła od kobiety podejrzanej o zakażenie wirusem SARS-CoV-2. Ajmer, Indie, 7 maja 2020 r.

Testy, testy, testy!

BARTOSZ KABAŁA

Stosowany najczęściej test genetyczny na koronawirusa jest swoisty, ale niekoniecznie bardzo czuły. Wynik dodatni daje dużą pewność zakażenia, jednak ujemny może być zafałszowany.

Tedros Ghebreyesus, dyrektor Światowej Organizacji Zdrowia (WHO), apelował niedawno do krajów dotkniętych koronawirusem SARS-CoV-2 o „testy, testy, testy!”. Według wielu ekspertów kluczowe dla pokonania pandemii COVID-19 jest szybko wykrywanie chorych i zakażonych, by odizolować ich od zdrowej populacji i w miarę możliwości leczyć.

Jak wykryć niezauważalnego wroga, wielkości 90 nanometrów? Wirus zbudowany jest z otoczki białkowej i materiału genetycznego – w przypadku koronawirusów (zob. infografika) występuje on w postaci kwasu rybonukleinowego (RNA). Kiedy wirus łączy się z ludzką ko-

mórką, jego materiał genetyczny przedostaje się do jej wnętrza i manipuluje jej funkcjami. Wirusowe RNA zostaje odczytane przez specjalne komórkowe białka i w środku naszej własnej komórki powstają nowe cząstki wirusa. Po jakimś czasie doprowadzają one do śmierci komórki, a gdy ta się rozpada – są gotowe infekować kolejne. SARS-CoV-2 atakuje przede wszystkim nabłonki dróg oddechowych, wywołując chorobę o nazwie COVID-19, ale cząstki wirusa znajdują się również w krwi i kale.

Dwa z trzech genów

Jedną z najpewniejszych metod wykrycia zakażenia koronawirusem SARS-CoV-2 jest znalezienie jego materiału genetycz-

nego. Powszechnie stosuje się tzw. reakcję łańcuchową polimerazy z odwrotną transkrypcją (*reverse transcription polymerase chain reaction*, RT-PCR). Takie testy zgodnie z obowiązującymi w Polsce wytycznymi należy wykonać u osób, które wykazują typowe dla infekcji koronawirusem objawy, oraz wobec których zachodzi epidemiologiczne prawdopodobieństwo kontaktu z osobą zarażoną. Najpierw jednak konieczne jest uzyskanie odpowiedniego materiału do badania. Ponieważ wirus atakuje drogi oddechowe, optymalnymi materiałami diagnostycznymi według WHO są wymaz z nosogardła, płwocina lub aspirat pobierany w trakcie bronchoskopii, czyli wprowadzenia specjalnego urządzenia do oskrzeli.



→ Najprostszy do uzyskania jest materiał z górnych dróg oddechowych. Za pomocą wsadzonego głęboko do nosa plastikowego patyczka z wiskozową końcówką pobiera się śluz i komórki nabłonka, licząc na to, że wśród nich znajdą się również cząstki wirusa. Pobraną próbkę należy w dalszej kolejności oczyścić i wyizolować wirusowy materiał genetyczny, którego w badanym materiale może być bardzo niewiele. Dlatego za pomocą odpowiednich metod biochemicznych trzeba go pomnożyć (amplifikować). W pierwszym kroku trzeba „przepisać” znalezione w próbce łańcuchy wirusowego RNA na odpowiadające im łańcuchy DNA – wykorzystując enzym zwany odwrotną transkryptazą. Dopiero tak zsyntetyzowane cząsteczki DNA można – w drugim kroku – namnażać za pomocą innego enzymu, nazywanego polimerazą.

Każdy etap reakcji przebiega w innej temperaturze, dlatego całość odbywa się w zautomatyzowanych termocyklach, które na przemian podwyższają i obniżają temperaturę. W PCR często używana jest odporna na wysoką temperaturę polimeraza Taq, która pochodzi z ciepłolubnych bakterii, żyjących w gorących źródłach. Z jednej cząsteczki wirusowego RNA w ciągu kilkudziesięciu cykli PCR może powstać kilka miliardów kopii. Dzięki temu nawet niewielka ilość wirusa w pobranej próbce teoretycznie może dać wynik dodatni.

Metoda pozwala wykryć konkretne geny wirusa, np. fragmenty ORF_a, ORF_b i gen N. Dwa pierwsze odpowiadają za replikację wirusa w organizmie gospodarza, a gen N koduje białko budujące otoczkę wirusa. Badane geny mogą różnić się w zależności od producenta testu. W niektórych pracach opisywane jest także wykrywanie genu E, który koduje tzw. białko płaszcz. Do próbek dodaje się substancję, która emituje światło, jeśli gen zostanie wykryty: laboranci dowiadują się o wyniku dodatnim po prostu dzięki temu, że dana próbka świeci. Według WHO obecność dwóch z trzech poszukiwanych genów pozwala na potwierdzenie zakażenia nowym koronawirusem.

Czułość i swoistość

Gdy mowa o skuteczności testów diagnostycznych, kluczowe są dwa parametry: czułość i swoistość. Od nich za-

Wirus w czasie infekcji zmienia swoje położenie.

Na różnych etapach może znajdować się

w górnych lub dolnych drogach oddechowych.

leży sens stosowania danego badania w praktyce.

W teście możemy uzyskać dwa wyniki: dodatni (np. potwierdzający obecność wirusa) i ujemny (brak wirusa). Każdy z tych wyników może być prawdziwy lub fałszywy. Mamy więc cztery możliwości. Wynik prawdziwie dodatni – osoba naprawdę chora jest uznana za chorą; fałszywie dodatni – osoba jest w rzeczywistości zdrowa, ale test mówi: „chora”. Wynik prawdziwie ujemny: osoba jest zdrowa i tak też mówi test; wynik fałszywie ujemny – test mówi: „zdrowa”, ale badany jest chory.

Czułość to stosunek wyników prawdziwie dodatnich do sumy wszystkich chorych. Parametr ten informuje nas więc, ilu chorych spośród wszystkich chorych rozpoznamy za pomocą danego testu. Wysoka czułość to jednak nie wszystko: wyobraźmy sobie test, który zawsze mówi: „chory”. Taki test miałby stuprocentową czułość, bo przecież każdy chory zostanie rzeczywiście uznany za chorego! Problem w tym, że każdy zdrowy otrzyma taką samą diagnozę. Tu wkracza swoistość: stosunek wyników prawdziwie ujemnych do wszystkich zdrowych. Jeśli przebadamy grupę zdrowych osób, to test o doskonałej swoistości powinien wszystkich określić jako zdrowi. Również i swoistość sama w sobie nie decyduje o jakości testu (łatwo sobie wyobrazić test, który zawsze mówi: „zdrowy” – test taki miałby stuprocentową swoistość) – podstawą przy ocenie konkretnego testu jest więc para czułość-swoistość.

Co to oznacza w praktyce? Jeśli otrzymamy dodatni wynik w badaniu o wysokiej swoistości, możemy być prawie pewni, że jesteśmy zakażeni. Jeśli zaś otrzymamy ujemny wynik w teście o du-

żej czułości, oznacza to, że najprawdopodobniej jesteś zdrowi.

RT-PCR można uznać za test swoisty, jednak nie musi on być aż tak bardzo czuły. Wiele zależy bowiem od samego pobrania próbki. Materiał nie może być niczym zanieczyszczony. Dodatkowo istotne jest miejsce pobrania. Kilka badań sugeruje, że lepiej wymazać pobrać z nosogardła niż z gardła środkowego (części ustnej gardła). Wytyczne mówią również, że jeśli to możliwe, najlepszy materiał do badań pochodzi z dolnych dróg oddechowych. Z danych wynika, że wirus w czasie infekcji zmienia swoje położenie. W zależności od etapu zakażenia i choroby wirus może znajdować się w górnych lub dolnych drogach oddechowych.

Dodatni wynik w badaniu RT-PCR (które ma wysoką swoistość) pozwala z bardzo dużym prawdopodobieństwem stwierdzić, że pacjent w momencie pobrania materiału z jego nosogardła był zainfekowany wirusem SARS-CoV-2. Ujemny wynik daje jedynie informację, że wirusa nie wykryto w wysłanej do badania próbce – mogło być choćby tak, że tego akurat dnia w tej akurat porcji śluzu nie znalazły się cząstki wirusa.

Badania krwi

Drugim elementem badania populacji pod kątem koronawirusa są testy wykrywające przeciwciała. Kiedy ludzki organizm spotyka na swojej drodze nieznaną mu wcześniej patogen, komórki układu odpornościowego zwane limfocytami B produkują specjalne białka – przeciwciała – których zadaniem jest wiązanie się z powierzchnią chorobotwórczych patogenów. Przeciwciała są częścią tzw. adaptacyjnego układu odpornościowego, który przez całe życie „uczy się” rozpoznawania nowych patogenów. Białka te mogą być czasem obecne we krwi nawet wiele lat po infekcji, w czasie której zostały wytworzone. Badanie krwi może więc powiedzieć nam, z jakimi patogenami mieliśmy w przeszłości do czynienia.

Od niedawna na rynku dostępne są tzw. kasetkowe testy, przypominające zwykłe testy ciążowe. Wymagają jedynie kilku kropli krwi naniesionych na bibułę testu. Jeśli przeciwciała są w niej obecne, zostają wyłapane i tworzą widoczne gołym okiem kolorowe prążki. Oznacza to, że badany albo przeszedł, albo właśnie



ARNOLD WIEGMANN / REUTERS / FORUM

Badania nad szczepionką przeciwko chorobie koronawirusowej COVID-19 w szpitalu uniwersyteckim w Bernie. Szwajcaria, 22 kwietnia 2020 r.

przechodzi (z objawami lub bez) koronawirusową infekcję.

Największą wadą tego typu testów jest brak możliwości rozróżnienia między aktywnym zakażeniem a przejściem infekcji w przeszłości. Obecnie nie wiadomo, jak przebiega odpowiedź układu immunologicznego w przypadku zachorowania na COVID-19, jak długo utrzymuje się odporność ani jak rozpoznać za pomocą przeciwciał trwające zakażenie. Wykrywając przeciwciała, znajdujemy jedynie ślad obecności patogenu w organizmie, a nie samego wirusa. Nie można też wykluczyć, że testy kasetkowe powodują reakcje krzyżowe z przeciwciałami przeciwko innym niż SARS-CoV-2 koronawirusom, na które jesteśmy stale narażeni.

Te wady szybkich testów badających przeciwciała stają się dla niektórych państw sporym problemem. Na początku kwietnia w brytyjskiej prasie pojawiła się informacja, że 3,5 mln testów zamówionych z Chin do niczego się nie nadaje. Institute of Biomedical Science podał, że jeden na dziesięciu przebadanych otrzyma wynik fałszywie dodatni. Po sprawdzeniu chińskich szybkich testów w Hiszpanii okazało się, że ich czułość wynosi jedynie 30 proc. W podobnej sytuacji znalazła się Słowacja.

Warto zaznaczyć jednak, że nie wszystkie testy wykrywające przeciwciała (testy serologiczne) są tak niefunkcjonalne. Wszystko zależy od producenta, trans-

portu, odpowiedniego przechowywania i użytkowania. Dlatego poszukiwanie przeciwciał nie jest całkowicie pozbawione sensu. Takie testy, jeśli będą skuteczne i dobrze zinterpretowane, mogą dać epidemiologom rzeczywisty obraz pandemii.

Już teraz publikowane są wyniki badań prowadzonych wśród zdrowej populacji. W Nowym Jorku 3 tys. losowo wybranych osób przebadano za pomocą szybkich testów kasetkowych. U 13,9 proc. wykryto obecność przeciwciał. Podobne badanie przeprowadzono w Kalifornii. Tam wśród 3330 osób zrekrutowanych za pomocą reklam umieszczonych na Facebooku kontakt z SARS-CoV-2 miało zaledwie 1,5 proc. przebadanych, co po odpowiednim przeliczeniu dało 2,5-4,2 proc. zakażonej populacji w hrabstwie Santa Clara, gdzie przeprowadzono badanie. To pokazuje, że na obecnym etapie ekstrapolacja wyników tego typu regionalnych badań na całe społeczeństwo ma wątpliwą wartość. W dodatku takie prace obciążone są wieloma błędami.

Kalifornijskiemu badaniu zarzucano przykładowo, że zrekrutowane osoby mogły mieć objawy podobne do COVID-19 i chciały się przebadac, co miało szansę zwiększyć liczbę wyników dodatnich. W Nowym Jorku zaś badano osoby spotkane na ulicy, nie biorąc pod uwagę tych, którzy całkowicie ograniczyli wychodzenie z domu.

Odporność stadna

Dobrze skonstruowane badanie mogłoby dać rządzącym i ekspertom od zdrowia publicznego bardzo dużo informacji. Po pierwsze, jakie jest rzeczywiste zagrożenie związane z wirusem. Jeśli okazałoby się, że łączna liczba osób, które zetknęły się z SARS-CoV-2, jest dużo większa, niż wykrywamy to w testach RT-PCR, znacząco spadłaby nasza ocena śmiertelności COVID-19.

Drugą kwestią jest tzw. odporność stadna. Jeśli znaczny procent społeczeństwa przechoruje COVID-19 i zyska na bytą w wyniku kontaktu z wirusem odporność, ryzyko dalszego rozprzestrzeniania się SARS-CoV-2 będzie niewielkie. A to umożliwi powrót do normalnego życia. Jeśli odpowiednia większość jest odporna na wirusa, również osoby, które nie miały z nim kontaktu, będą bezpieczne. Badania serologiczne pozwolą ocenić, jaki poziom odporności stadnej osiągnęliśmy. Eksperci twierdzą, że minimalny odsetek osób z obecnymi we krwi przeciwciałami do zapewnienia stadnej odporności to około 70 proc. Jednak wciąż nie wiadomo, jak długo przeciwciała utrzymują się w organizmie. W określeniu tego testy serologiczne również są przydatne.

Prywatne laboratoria i niektóre firmy zaczynają oferować wykonanie testów serologicznych na zasadach komercyjnych. Każdy człowiek może zamówić domowy test lub wykonać go w laboratorium, nawet jeśli nie ma żadnych objawów. Ministerstwo Zdrowia podchodzi do takich działań sceptycznie. Również prof. Katarzyna Dzierżanowska-Fangrat, krajowa konsultant ds. mikrobiologii lekarskiej, uważa, że jedynym pewnym badaniem potwierdzającym zakażenie jest metoda genetyczna. Część polskich laboratoriów zrezygnowała z wykonywania testów serologicznych ze względu na duże ryzyko fałszywych wyników. Niektóre firmy oferują także komercyjnie metodę RT-PCR. W związku z tym Ministerstwo Zdrowia poinformowało, że każde laboratorium chcące oferować takie badania musi uzyskać walidację w Państwowym Zakładzie Higieny.

Prace nad kolejnymi testami i udoskonaleniem tych już stosowanych wciąż trwają. Badanie chorych i podejrzanych jest istotą skutecznej walki z chorobą, na którą nie ma specyficznego leku ani szczepionki.

© BARTOSZ KABAŁA

SARS-CoV-2 i COVID-19

TEKST ŁUKASZ LAMŻA

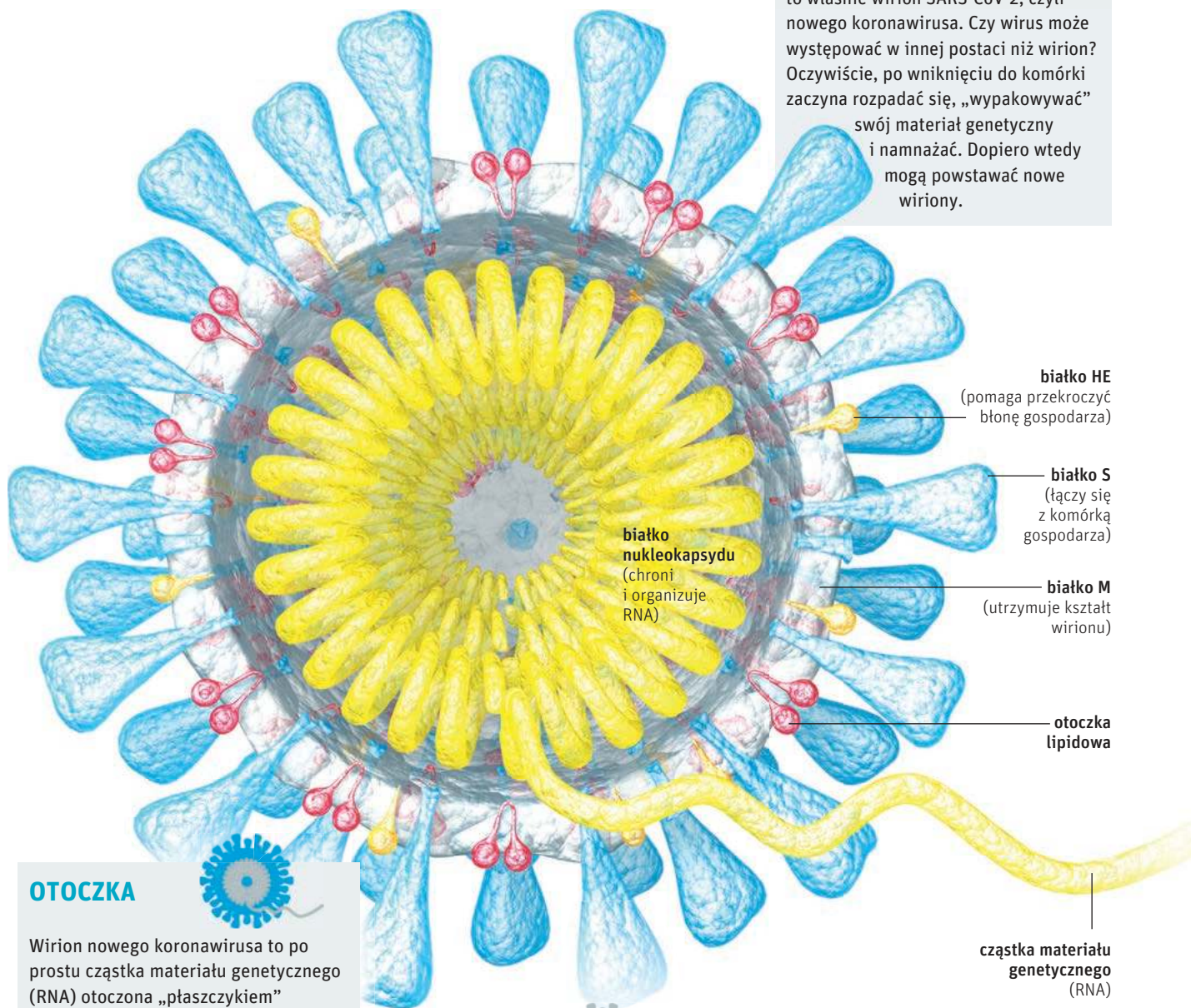
INFOGRAFIKA LECH MAZURCZYK

W ciągu ostatnich miesięcy wszyscy przeszliśmy przez błyskawiczny kurs wirusologii i immunologii. Warto utrwalić sobie kilka najważniejszych pojęć naukowych z czasów pandemii.

WIRION



Słowem „wirion” określa się pojedynczą cząstkę wirusa w takiej formie, w jakiej występuje w środowisku – w pełni „zmontowaną”, zdolną do namnażania się, czekającą na kontakt z komórką gospodarza. To, co widzicie poniżej, to właśnie wirion SARS-CoV-2, czyli nowego koronawirusa. Czy wirus może występować w innej postaci niż wirion? Oczywiście, po wnikięciu do komórki zaczyna rozpadać się, „wypakowywać” swój materiał genetyczny i namnażać. Dopiero wtedy mogą powstawać nowe wiriony.



białko HE
(pomaga przekroczyć
błonę gospodarza)

białko S
(łączy się
z komórką
gospodarza)

białko M
(utrzymuje kształt
wirionu)

**otoczka
lipidowa**

**cząstka materiału
genetycznego
(RNA)**

OTOCZKA



Wirion nowego koronawirusa to po prostu cząstka materiału genetycznego (RNA) otoczona „płaszczkiem” zbudowanym głównie z białek. Pełnią one wiele funkcji: chronią RNA, utrzymują kształt wirionu, a także pozwalają mu przyczepić się do komórki gospodarza. Kluczową rolę odgrywa tzw. białko S – to ono przyczepia się do powierzchni komórek ciała ludzkiego, co rozpoczyna infekcję.

GENOM



Genom wirusa SARS-CoV-2 składa się z ok. 30 tysięcy nukleotydów, czyli „liter” alfabetu genetycznego. Zapisanych jest w nim około 10 genów, czyli „przepisów na białka”. Od kiedy

wyizolowano nowego koronawirusa, trwają intensywne badania naukowe dotyczące ich funkcji oraz sposobów na oszukanie lub dezaktywację. Znajomość genomu wirusa jest też ważna przy projektowaniu szczepionek.

OBCIĄŻONE ORGANY

Skutki infekcji danego rodzaju wirusa zależą w pierwszej kolejności od tego, w komórkach jakiej tkanki potrafi się on namnażać. Nowy koronawirus łączy się z cząsteczkami o nazwie ACE2, które występują naturalnie w różnych tkankach ludzkiego organizmu. Szczególnie dużo jest ich w pęcherzykach płucnych – jednym z najpoważniejszych objawów choroby wywołanej przez SARS-CoV-2, noszącej nazwę COVID-19 (Coronavirus Disease 2019, czyli choroba koronawirusowa z 2019 r.), jest więc właśnie zapalenie płuc. Stąd zresztą pochodzi nazwa wirusa: SARS to *severe acute respiratory syndrome*, czyli „ciężki ostry zespół oddechowy”. ACE2 występuje też jednak choćby w komórkach nerek, jelit, serca oraz w nabłonku niektórych naczyń krwionośnych, tak więc choroby tych organów i tkanek występujące już w momencie pojawienia się infekcji poważnie komplikują przebieg COVID-19.

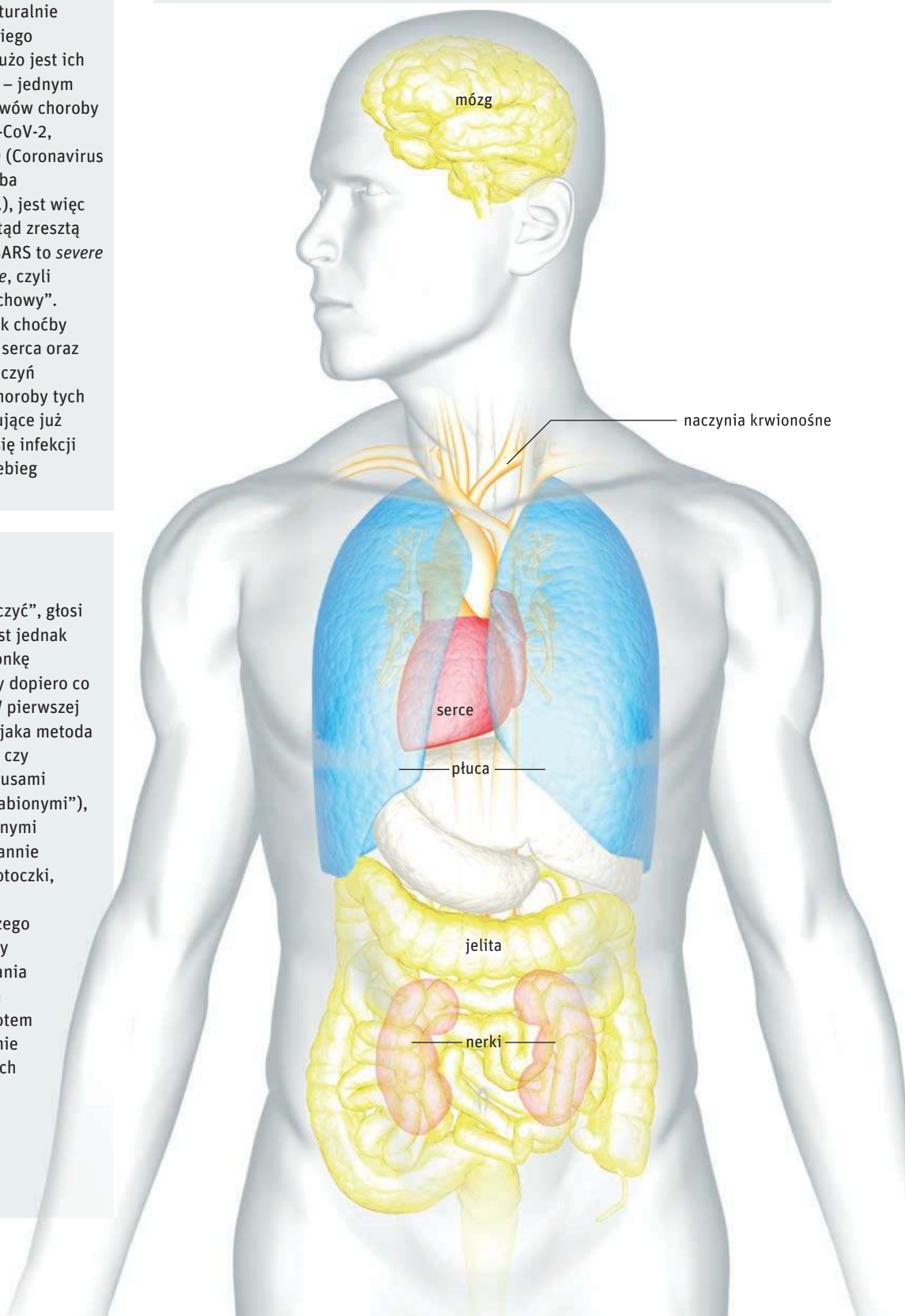
SZCZEPIONKA

„Lepiej zapobiegać niż leczyć”, głosi stare powiedzenie. Nie jest jednak łatwo opracować szczepionkę przeciwko wirusowi, który dopiero co został zidentyfikowany. W pierwszej kolejności trzeba ustalić, jaka metoda będzie najskuteczniejsza: czy zaszczepianie żywymi wirusami atenuowanymi (czyli „osłabionymi”), czy wirusami inaktywowanymi („zabitymi”), a może starannie wybranymi fragmentami otoczki, które jednak wywołują odpowiednią reakcję naszego organizmu? Dopiero wtedy można przystąpić do badania skuteczności, najpierw na modelach zwierzęcych, potem na ochotnikach, a następnie na coraz większych grupach pacjentów. Szczepionka musi przecież nie tylko działać, ale i przynosić korzyść zdrowotną dla milionów ludzi.

TESTY

Istnieje kilka podstawowych typów testów stosowanych przez wirusologów. Testy genetyczne (tzw. RT-PCR) badają obecność materiału genetycznego wirusa w organizmie chorego

i dają wynik pozytywny w czasie trwającej infekcji. Testy immunologiczne są natomiast w stanie wykryć ślady po infekcji przebytej nawet wiele miesięcy wcześniej, także jeśli przeszła ona bezobjawowo.



Lekcja historii klasycznej

KAMIL KOPIJ

Nigdy wcześniej w świecie śródziemnomorskim nie dochodziło do tak swobodnej wymiany idei, towarów – i patogenów – jak w czasach Imperium Rzymskiego.

Starożytny Rzym postrzegamy często przez pryzmat wspaniałych dzieł sztuki, monumentalnej architektury czy rozwiniętego handlu. Zapominamy przy tym, że należał do świata preindustrialnego, który nie mógł się cieszyć z dobrodziejstw opartej na nauce medycyny. Dlatego Rzymianie raczej żyli na łez padole niż w okresie złotego wieku.

Na podstawie danych z rzymskiego Egiptu Roger S. Bagnall i Bruce W. Frier oszacowali, że średnia długość życia wynosiła zaledwie 27,3 lat dla kobiet i 26,2 dla mężczyzn. Ogromny wpływ na to miała oczywiście wysoka, sięgająca 30 proc. śmiertelność noworodków. Poród był niebezpieczny również dla matek, czego najlepszym przykładem jest śmierć córki Cezara, Julii, żony Pompejusza Wielkiego. Ciekawe, czy gdyby przeżyła poród, a co więcej – gdyby przeżyło urodzone przez nią dziecko – doszłoby w ogóle do wojny domowej? I czy Oktawian August zostałby pierwszym cesarzem?

Śmierć w lecie

Nawet przeżycie niemowlęstwa nie dawało gwarancji długiego życia. Szacuje się, że kolejne 30 proc. Rzymian nie dożywało okresu dojrzałości. Dotyczyło to wszystkich grup społecznych. Cesarz Antoninus Pius (panował w latach 138-161) miał czwórkę dzieci, ale tylko jedno przeżyło ojca – jego córka Faustyna Młodsza. Poślubiona Markowi Aureliuszowi urodziła przynajmniej trzynaścioro dzieci, jednak tylko piątka przeżyła rodziców, w tym znani z „Gladiatora” Kommodus i Lucilla. Lucjusz Werus, współrządca Marka Aureliusza, który sam odszedł w wieku led-

wie 38 lat, miał trójkę dzieci. Wszystkie zmarły młodo. Jak widać, nawet przynależność do rodziny cesarskiej nie chroniła przed śmiercią, a czasem mogła wręcz ją przybliżyć – o czym najlepiej przekonał się wspominany już Kommodus, zamordowany, gdy miał 31 lat.

Ile mógł żyć przeciętny Rzymianin? Wyniki badań inskrypcji nagrobnych pokazują, że mieszkańiec Imperium, który nie zmarł w dzieciństwie, mógł dożyć mniej więcej do pięćdziesiątki. Nie był to żywot usłany różami. Względnie wysoki współczynnik urbanizacji – tj. stosunek ludności miejskiej do wiejskiej – oraz intensywny handel sprawiały, że Imperium Rzymskie było rajem dla chorób zakaźnych.

Dane pozyskane z ponad 5 tys. inskrypcji chrześcijańskich wystawionych w latach 250-550 pokazują, że w mieście Rzym okresem największej śmiertelności były sierpień i wrzesień. Uważa się, że związane to było z zatruciami pokarmowymi, m.in. dudem brzuszny. W przypadku osób powyżej 50. roku życia zauważono również drugi szczyt śmiertelności związany z miesiącami zimowymi, co można łączyć z chorobami zakaźnymi układu oddechowego.

Co jakiś czas wybuchały też mniejsze bądź większe epidemie. Jak wylicza Kyle Harper z University of Oklahoma na podstawie analizy dzieł antycznych historyków, tylko w okresie 200 lat między połową I w. p.n.e. a połową II w. n.e. tereny Imperium – szczególnie samo miasto Rzym – nawiedziło dziewięć różnych epidemii. Zapewne wydarzeń tego typu było znacznie więcej, ale nie zostały one odnotowane przez skupionych głównie na stolicy pisarzy.



Z pewnego niedostępnego miejsca...

Wszystko to nie mogło się jednak równać z trzema wielkimi epidemiami, które prawdopodobnie ogarnęły tereny całego Cesarstwa, a czasem wykraczały nawet daleko poza jego granice. Pierwsza z nich, którą najsłynniejszy rzymski lekarz Galen nazwał „wielką plagą”, trawiła Imperium w latach 165-180. Sami Rzymianie uważali, że zesłana została przez bogów za świętokradztwo, jakiego dopuścili się żołnierze rabując świątynię Apolla w Seleucji.

Jak czytamy u żyjącego w IV w. Ammiana Marcellina: „Powiadają, że po zabranie tego posagu [Apolla] i po spaleniu miasta żołnierze, którzy przeszukiwali świątynię, znaleźli wąski otwór. Kiedy



YARA NARDI / REUTERS / FORUM

Koloszeum w Rzymie, Włochy, 26 marca 2020 r.

go rozdarli, aby znaleźć jakieś koszty, z pewnego niedostępnego dla ludzi miejsca, które było zamknięte dzięki tajemnej sztuce kapłanów chaldejskich, wydostała się jakaś zaraza z pierwotnych czasów. Miała w sobie siłę nieuleczalnych chorób i w epoce owego Werusa i Marka Antonina od samych granic perskich aż po Ren i Galię wszystko skaziła śmiertelną infekcją” (tłum. Ignacego Lewandowskiego).

W rzeczywistości zaraza dotarła do Rzymu z Chin bądź środkowej Azji i choć żołnierze mogli przyczynić się do jej rozprzestrzenienia, nie byli za nią odpowiedzialni. Jednak do tej pory nie udało się zidentyfikować patogenu, który ją wywołał. Wśród winnych najczęściej wskazuje się na odrę lub ospę właściwą. Liczba wzmia-

nek o epidemii w ówczesnych źródłach pisanych z całego Imperium, które do tej pory udało się odnaleźć, sięga trzydziestu, choć nie możemy być pewni, że wszystkie dotyczą tej samej choroby. Co ciekawe, może na to wskazywać interesująca zbieżność: otóż w tym samym okresie odnotowuje się znaczny wzrost znalezisk amuletów apotropaicznych – czyli takich, które mają odstraszać zło – oraz dedykacji poświęconych Apollinowi.

Szacuje się, że plaga Antoninów zredukowała populację Imperium nawet o jedną trzecią, a jedną z ofiar mógł być sam cesarz Lucjusz Werus. Jeśli odpowiedzialna była ospa prawdziwa, śmiertelność mogła sięgnąć 20-25 proc. w najgęściej zaludnionych regionach i ok. 10 proc. w pozostałych. Bez względu

na to, ile dokładnie osób zmarło wskutek zarazy Antoninów, wiemy, że jej skutki musiały być poważne. Znalaziona w Puteoli nieopodal Neapolu inskrypcja mówi np. o tym, że działające w Italii stowarzyszenie kupców z Tyru (w dzisiejszym Libanie) zostało tak przetrzebione, że nie jest w stanie wypełnić zobowiązań wobec miasta, w którym rezydowało, dlatego prosi o pomoc swoją metropolię.

Tak skuteczne szerzenie się choroby można przypisać dwóm czynnikom. Dużemu współczynnikowi urbanizacji i sporej gęstości zaludnienia oraz intensywnemu ruchowi towarów, a co za tym idzie: ludzi, dzięki sieci dróg oraz morskich i rzecznych szlaków handlowych. Nigdy wcześniej w świecie śródziemnomorskim nie dochodziło do tak swobodnej

→ wymiany idei, towarów – i patogenów – jak w czasach Imperium Rzymskiego.

Choć skutki plagi mogły być poważne, były raczej krótkotrwałe. Wygląda na to, że już w epoce Sewerów (dynastia ta panowała w latach 193-235) nastąpił boom demograficzny i znaczne odrodzenie Imperium. Dane z egipskich papirusów zebrane przez Richarda Alstona wskazują, że choć w okresie tym nie udało się przywrócić populacji do poziomu sprzed epidemii, niewiele brakowało. Przykładowo, w Oksyrynchos w środkowym Egipcie – jednym z najlepiej udokumentowanych miast leżących w obrębie Cesarstwa – w roku 199 mieszkało blisko 12 tys. osób, a w 235 – już ok. 21 tys.

Świadek biskupa

O kolejnej poważnej epidemii, pladze Cypriana, nazwanej tak od imienia biskupa Kartaginy, wiemy niewiele. Szalała ona w latach 250-270 i zabiła m.in. cesarza Klaudiusza II Gockiego. Niestety, w związku z tym, że nastąpiła w czasach politycznego chaosu (do którego być może po części się przyczyniła), gdy legioniści zmieniali cesarzy częściej niż skarpety na własnych stopach, nie zachowało się na jej temat zbyt wiele przekazów.

Wiemy, że w tym okresie epidemie nawiązywały m.in. największe rzymskie miasta, takie jak Aleksandria, Antiochia, Kartagina czy sam Rzym. Znow jednak nie możemy mieć pewności, że w każdym przypadku chodzi o tę samą chorobę, ani jaki właściwie patogen wywołał epidemię. Część badaczy twierdzi, że była to ospa, inni stawiają na nieznaną wcześniej chorobę należącą do grupy gorączek krwotocznych (czyli krewniaków eboli).

Z przekazanego nam przez Euzebiusza z Cezarei świadectwa biskupa Aleksandrii Dionizego Wielkiego wynika, że śmiertelność w tym mieście mogła sięgnąć nawet 60 proc.! Najbardziej jednak uderzającym śladem plagi może być znalezisko z Teb, gdzie w 1997 r. archeolodzy odkryli masowy grób pokryty 15-centymetrową warstwą wapna. Dwadzieścia lat później w tym samym kompleksie odkopano pozostałości pieców do wypału wapna, a w ich otoczeniu ludzkie kości. Badacze z Włoskiej Misji Archeologicznej w Luksorze doszli do wniosku, że mają do czynienia z ofiarami plagi Cypriana. Najpierw ciała próbowano palić, a gdy metoda okazała się niewydolna, zmarłych zakopano w masowym grobie.

Z czasów plagi Antoninów odnotowuje się znaczny wzrost znalezisk amuletów, **które mają odstraszać zło.**

Rok 476 to symboliczna data upadku Cesarstwa Zachodniorzymskiego. Wschodnia część Imperium nadal jednak istniała, a gdy w 527 r. na tron w Konstantynopolu wstąpił Justynian, rozpoczął energicznie wcielać w czyn marzenia o ponownym scaleniu Cesarstwa w jego dawnych granicach. W kolejnych kampaniach wodzowie cesarza odzyskali znaczną część Italii, Afrykę, Sycylię, Korsykę oraz południowo-wschodnią część Hiszpanii. Do ostatecznego celu było jeszcze daleko, ale wydawało się, że wszystko idzie dobrze (choć lokalne elity nie były zachwycone zwierzchnością wschodniego cesarza, szczególnie że w parze z nią szedł bizantyński fiskus). I wtedy, gdy Bizantyńczycy równocześnie walczyli w Italii oraz na wschodniej granicy Imperium z Persami, uderzyła zaraza. Po raz kolejny śmierć nadszła z Wschodu.

Pierwsze odnotowane przypadki pochodzą z egipskiego portu Peluzjum, a stamtąd wraz z załogami handlowych statków choroba rozlała się w kierunku Aleksandrii, wybrzeża lewantyńskiego i syryjskiego oraz Konstantynopola. Szacunki oparte na świadectwie Jana z Efezu mówią, że w zamieszkałej wówczas przez ok. 500 tys. ludzi stolicy Cesarstwa śmierć zabrała 250-300 tys. dusz. Co mogło zabrać tak przerażające zniwo? Tym razem nie musimy spekulować. Wiemy, że była to pałeczka dżumy, ta sama, która 800 lat później siała spustoszenie w Europie i nazywana została Czarną Śmiercią.

Dowodów dostarczyły nam najpierw badania Ingrid Wiechmann i Giseli Grupe, które w 2005 r. potwierdziły występowanie DNA pałeczki dżumy w próbkach z VI-wiecznego cmentarza w Aschheim w Bawarii. Od tego czasu materiał genetyczny bakterii znaleziono na kilku innych stanowiskach. Biorąc pod uwagę fakt, że większość ludzi nadal żyła poza miastami, wysoka śmiertelność odnotowana w Konstanty-

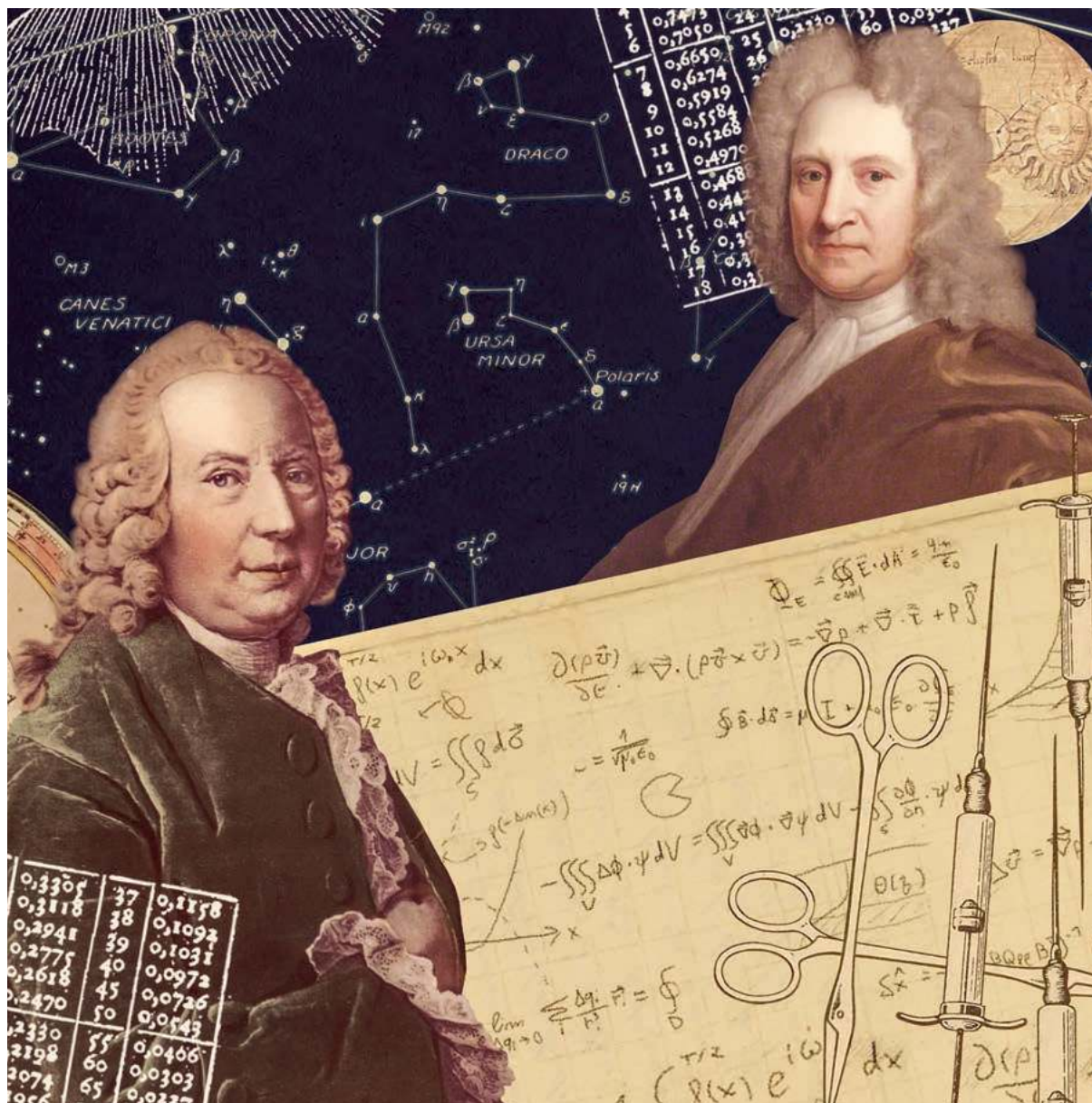
nopolu nie była charakterystyczna dla całego Cesarstwa. Zapewne jednak populacja znacznie się zmniejszyła. Nancy Benovitz z Muzeum Izraela w Jerozolimie wskazuje na wzrost liczby inskrypcji nagrobnych w Palestynie i bizantyńskiej Arabii po wybuchu plagi, co świadczyłoby o zwiększonej śmiertelności. W efekcie marzenia o scaleniu dawnego Imperium Rzymskiego pod władzą cesarza legły w gruzach.

Dżuma Justyniana poważnie dotknęła jednak nie tylko Bizancjum, ale również sasanidzką Persję. Według części historyków to ona otworzyła drogę Arabom, którzy wykorzystując słabość najważniejszych graczy na Bliskim Wschodzie – Bizancjum i Persji – rozpoczęli swoją ekspansję, a tym samym to właśnie dżuma Justyniana, a nie złożenie władzy przez ostatniego cesarza zachodniorzymskiego, wyznacza koniec starożytności i rozpoczyna wieki średnie.

Dynamiczna równowaga

Nie wszyscy zgadzają się jednak co do skali i znaczenia tej epidemii. W obszernym artykule opublikowanym w 2019 r. Lee Mordechai i Merle Eisenberg krytycznym okiem przyjrzeni się wszystkim zgromadzonym do tej pory świadectwom plagi. Ich zdaniem nie ma dowodów na to, by twierdzić, że zdzieliła ona populację śródziemnomorską i miała na nią znaczny wpływ, a nawet jeśli, to był on krótkotrwały. Urok – a może przekleństwo – nauk historycznych polega na tym, że na podstawie tych samych skąpych danych wyciągać można różne wnioski. Pozostaje nam czekać na kolejne odkrycia.

Ale zamiast zastanawiać się, czy to straszliwe epidemie doprowadziły do upadku Cesarstwa Rzymskiego, lepiej za wielkim XVIII-wiecznym historykiem Edwardem Gibbonem zapytać, jak to się stało, że przetrwało tak długo. Wspomniany już Kyle Harper wskazuje, że każde społeczeństwo to złożony system utrzymywany w stanie ciągłej dynamicznej równowagi, a zmiana ustawień jednego pokręteła rzadko kiedy doprowadza do zniszczenia całego systemu – co powyżej jego rozchwiania. Dobrze funkcjonujące systemy, jakim przez wieki było Imperium Rzymskie, mają bowiem to do siebie, że w reakcji na przeciwności – czy są nimi słabości wewnętrzne, inwazje militarne czy epidemie – dostosowują się i przekształcają.



Natalia Polasik, Nowafryzura daniela: Daniel Bernoulli i Edmund Halley, kolaż, 2020 r.

Co mówią liczby

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Wszyscy widzieliśmy już przemęczonych lekarzy i wolontariuszy oraz polityków z podkrążonymi oczami. Ale epidemia to również czas nieprzespanych nocy dla matematyków.

Byla postrachem całego świata. Co roku tylko w Europie pochłaniała 400 tys. istnień, co trzeciego zarażonego. Oszpecała niemal wszystkich chorych i oślepiła prawie połowę tych, którzy przeżyli. W równym

stopniu bali się jej biedacy, co królowie: jej ofiarami padli Ludwik XV, car Piotr II, austriacki cesarz Józef I i angielska królowa Maria II.

Czarna ospa, zwana dziś formalnie ospą prawdziwą (*variola vera*), stała się

też pierwszą zarazą, w walce z którą wykorzystano w połączeniu ze sobą – skutecznie – dwa naukowe narzędzia, stojące od tej pory u podstaw zmagania ludzkości ze wszystkimi epidemiami. Szczepienia i modelowanie matematyczne.



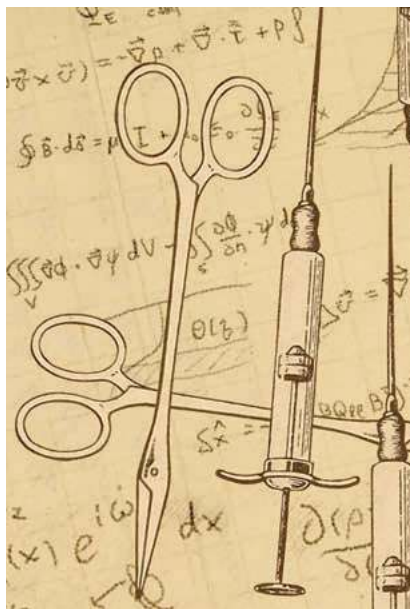
Igły i równania

→ Za jednego z twórców epidemiologii matematycznej uchodzi ten sam człowiek, który w pewnym sensie nauczył ludzkość latać. Daniel Bernoulli. Ów XVIII-wieczny szwajcarski matematyk i fizyk sformułował równania opisujące przepływ cieczy, sto lat po jego śmierci wykorzystane do opisania siły nośnej generowanej przez skrzydło. Szerokie zainteresowania Bernoullego obejmowały jednak także medycynę i biologię. A nie było za jego życia bardziej palącego medycznego problemu niż epidemie dziesiątkujące świat. Matematyk oszacował, że trzy czwarte wszystkich żyjących w jego stuleciu ludzi zostało w którymś momencie zarażonych ospą.

Na czarną ospę nie było leku, była jednak znana jedna, zapożyczona ze Wschodu technika inokulacji, pomagająca chronić się przed zarazą: wcieranie w ranę ropy z pęcherzy chorych na mniej zjadliwy szczep ospy, *variola minor*. Zabieg ten dawał często odporność na „prawdziwą” czarną ospę, ale był sam w sobie niebezpieczny: śmiertelność wśród stosujących go dochodziła do dwóch procent.

Bernoulli postanowił sprawdzić, czy technika ta mogłaby umożliwić całkowite wyeliminowanie choroby. Wyniki swojej analizy ogłosił w 1760 r. na posiedzeniu Królewskiej Akademii Nauk w Paryżu. Zadał wówczas następujące, niełatwe pytanie: „Jak wyglądałby stan rasy ludzkiej, gdybyśmy, za cenę pewnej liczby ofiar, mogli dać jej wolność od naturalnej ospy?”.

Aby na nie odpowiedzieć, stworzył pierwszy matematyczny opis epidemii. Opierał się przy tym na tabelach urodzin i śmiertelności mieszkańców Wrocławia z lat 1687-1691 opracowanych przez astronoma Edmunda Halleya. Biorąc pod uwagę liczbę osób zakażonych, podatnych, odpornych, wielkość populacji, na którą przypada jedno zakażenie w każdym roku, i liczbę zachorowań, na które przypada zgon, Bernoulli starał się za pomocą rachunku różniczkowego odtworzyć rozprzestrzenianie się choroby wśród mieszkańców. Z jego wyliczeń wynikało, że wyeliminowanie ospy pozwoliłoby przedłużyć średnią długość życia wrocławian z 26 lat i 7 miesięcy do 29 lat i 9 miesięcy. Z hipotetycznej grupy 1300 niemowląt urodzonych w każdym roku 79 więcej dożyłoby dwudziestych piątych urodzin.



Z perspektywy matematyka
niemal żaden kraj
nie robi dość testów,
by **mieć pełen obraz
rozwijania się
epidemii.**

Obliczenia Bernoullego były przełomowe. Nie tylko przekonały władze o wartości inokulacji (30 lat później angielski lekarz Edward Jenner zademonstrował o wiele bezpieczniejszy i skuteczniejszy sposób sztucznego wytwarzania odporności – pierwszą nowoczesną szczepionkę na ospę), lecz przede wszystkim wprowadziły do medycyny i epidemiologii język matematyki, którym w walce z epidemiami posługujemy się do dziś. „Chciałbym, żeby w kwestiach, które są tak istotne dla dobrostanu ludzkości, nie podejmowano żadnych decyzji bez wiedzy płynącej z analizy i obliczeń” – pisał Szwajcar w podsumowaniu pracy.

Ile osób dzisiaj spotkasz?

Oczywiście, dzisiejsze modele mogą być o wiele bardziej złożone. Analizę danych epidemiologicznych przeprowadza się obecnie często z wykorzystaniem centrów obliczeniowych, a nie kawałka papieru i pióra. Ale ogólna zasada pozostaje podobna. Zamiast przyglądać się pojedynczym przypadkom, analizujemy cały system i próbujemy przewidzieć, jak przy

różnych scenariuszach rozwoju wypadków rozprzestrzeniać się będzie choroba. To z kolei pozwala sterować polityką zdrowotną tak, by zmaksymalizować efektywność systemu opieki zdrowotnej przy ograniczonych zasobach.

Niemal każda prowadząca modelowanie epidemiologiczne grupa badawcza posługuje się własnym modelem statystycznym, często opracowywanym od lat. Ich podstawy są jednak bardzo podobne. Najprostszym schematem jest tzw. model SIR. Podobnie jak pierwotny model Bernoullego pozwala on na śledzenie liczebności trzech grup ludzkich: S (*Susceptible* – podatni), czyli osoby, które mogą zostać zainfekowane, ale jeszcze nie są; I (*Infected*), czyli zarażeni; oraz R (*Removed*), czyli osoby usunięte z obu poprzednich grup – albo na skutek przechorowania i nabycia odporności, albo, niestety, zgonu. Do tej samej grupy zaliczani są ludzie, którzy mają wrodzoną odporność i nie mogąapaść na daną chorobę.

Modelujący przyjmują następnie założenia wyjściowe. Badacze mogą dzielić społeczeństwo na mniejsze podgrupy – ze względu na wiek, płeć, zawód, sposób spędzania wolnego czasu itd. – każdej przypisując inne parametry, takie jak podatność na zachorowanie czy ilość kontaktów wewnątrz i na zewnątrz grupy. Chodzi o ustalenie, kto spotyka się z kim i jak często oraz jak prawdopodobne przy okazji takiego kontaktu jest zarażenie. Co więcej, zachorowanie może wiązać się z różnym ryzykiem dla członków poszczególnych grup (kohort): inaczej chorobę przechodzą starsze kobiety, inaczej młodzi mężczyźni. Im więcej grup, tym model powinien stawać się precyzyjniejszy. Równolegle gwałtownie jednak wzrasta poziom skomplikowania obliczeń. Zwłaszcza że chcąc wziąć poprawkę na błędne założenia i nieprzewidywalność rzeczywistego świata – tzw. „znane nieznanne” i „nieznane nieznanne” – badacze każdą symulację powtarzają dziesiątki czy setki razy, wprowadzając drobne korekty w danych wejściowych.

Inne podejście, do niedawna nieosiągalne z czysto technicznych względów, to tzw. podejście agentowe, symulujące, na podstawie podobnych danych, zachowania jednostek w społeczeństwie. Ponieważ każdy człowiek modelowany jest z osobna, metoda ta wymaga wyko-

rzystania ogromnej mocy obliczeniowej i gigantycznych baz danych, obejmujących codzienne zwyczaje, nawyki czy rutynowe działania członków danej grupy. Brytyjscy badacze z London School of Hygiene and Tropical Medicine (LSHTM), University College London i Cambridge oparli swój model agentowy na danych pochodzących z mediów społecznościowych 36 tys. ochotników.

O ile jednak możemy założyć, że ludzkie zachowania będą wyglądać podobnie, niezależnie od tego, jaką konkretnie chorobę modelujemy, o tyle naukowcy muszą też przyjąć założenia odnośnie biologii samego patogenu i tego, jak reaguje na niego nasz organizm. I tu zaczyna się poważny problem. Bo kiedy o atakującej nas chorobie nie wiemy nic lub niewiele, badacze muszą posługiwać się szacunkami. Muszą więc założyć, ile osób przeciętnie zarazi jeden chory (nieślawna podstawowa liczba odtwarzania, R_0), jaka jest śmiertelność czy podatność choroby na leczenie, a także jak wirus będzie wpływał na różne populacje – przykładowo, w Unii Europejskiej poszczególne kraje mają odmienne rygory szczepień obowiązkowych. Oczywiście, z biegiem czasu nasza wiedza się pogłębia, ale nawet niewielkie zmiany tych parametrów mogą mieć ogromne znaczenie dla prognozowanego przebiegu epidemii.

Zmiana kursu

Ciągła zmiana danych to powód, dla którego prognozy przebiegu epidemii bezustannie się zmieniają. Są jak prognoza pogody. Podczas epidemii wirusa ebola w Sierra Leone uczeni z LSHTM ustalili, że modele dają precyzyjne prognozy powyżej na tydzień lub dwa. Muszą być aktualizowane na bieżąco, żeby oddawać zmiany sytuacji w rzeczywistym świecie oraz nową wiedzę.

Nie można na przykład z góry założyć, że nowa metoda leczenia zmniejszy śmiertelność albo przyczyni się do tego, że mniej ludzi będzie musiało korzystać z respiratorów. Nie da się też przewidzieć gdzie, kiedy i w jaki sposób czynnik chorobotwórczy zmutuje, wywracając całe równanie do góry nogami. W czasie epidemii matematycy epidemiologiczni są na permanentnym ostrym dyżurze. „Od stycznia nie miałem nawet jednego dnia wolnego – mówił magazynowi „Nature” Neil Ferguson, autor wpływowego, bry-

tyjskiego modelu opublikowanego przez Imperial College London. – To niezwykle wyczerpujący okres”.

Ten sam Ferguson jest jednak żywym dowodem na to, że modele, przy wszystkich ograniczeniach, odgrywają kluczową rolę w epidemiologicznej polityce. Stosowany przez niego model, oparty na algorytmach wykorzystanych w 2005 r. podczas epidemii ptasiej grypy (H5N1), jeszcze w lutym zakładał, że 15 proc. chorych na COVID-19 będzie wymagało mechanicznej respiracji. Szacunki te pozwalały przypuszczać, że brytyjska służba zdrowia nie zostanie przeciążona i będzie w stanie pomóc wszystkim, którzy będą musieli trafić na OIOM.

Założenie to przyjęto na podstawie chińskich danych: co prawda podczas epidemii w Wuhan na intensywną terapię trafiło 30 proc. chorych, ale wielu z nich podano jedynie tlen i nie korzystali z respiratora. Lekarze uznali więc, że wystarczy im standardowa opieka szpitalna. Te dane wkrótce jednak zweryfikowała epidemia we Włoszech, gdzie sam tlen w wielu przypadkach okazał się niewystarczający. Gdy wartość podniesiono do 30 proc., model wskazał, że przeładowanie służby zdrowia na Wyspach może doprowadzić do śmierci pół miliona Brytyjczyków. Rząd, początkowo niechętny zamrożeniu życia gospodarczego i społecznego, w obliczu takiej wizji szybko zmienił kurs.

Strumienie danych

Największym problemem epidemiologów pozostaje jednak wciąż brak danych, przede wszystkim brak testów. Z perspektywy matematyka niemal żaden kraj nie robi ich dość, by mieć pełen obraz rozwijania się epidemii. Oksfordzki zespół epidemiologów prowadzony przez Sunetrę Gupta opublikował analizę, gorąco dyskutowaną i krytykowaną, z której wynikało, że obecne dane dotyczące liczby hospitalizacji i zgonów w równym stopniu mogą pasować do dwóch skrajnie różnych modeli przebiegu epidemii. Według pierwszego epidemia powoli przebiega się przez brytyjskie społeczeństwo i do początku maja zaraziła ok. 200 tys. ludzi przy śmiertelności przekraczającej 15 proc. Według drugiego – wirus już dawno, niezauważony, przetestował się przez cały kraj, zarażając ponad połowę mieszkańców i w przytłaczającej większości przypad-

ków nie przyprowadzając ich nawet o najłagodniejsze objawy. Problem w tym, że nikt nie ma dziś dość środków, by przetestować tak wielu bezobjawowych pacjentów. A bez badań i płynących z nich danych modele zawsze będą obciążone ogromną niepewnością.

Z pomocą idą już narzędzia Big Data, które w przyszłości będą odgrywały w całym procesie coraz większą rolę. Napędzające je algorytmy uczenia maszynowego mogą analizować na bieżąco dziesiątki strumieni danych: od zgłoszeń do szpitali, przez ruch na przejściach granicznych, lotniskach i stacjach metra, po obrazy z kamer czy dane genetyczne. Potrafią też czytać wpisy w mediach społecznościowych i śledzić, kto pisze, że „źle się czuję”, a także analizować przemieszczanie się i kontakty społeczne potencjalnych nosicieli. Ostatecznie, co doskonale ilustruje chiński przykład, mogą więc także obdzierać ludzi z prywatności pod płaszczykiem walki z epidemią. Stosowanie ich będzie wymagało ogromnej roztropności. Choroba może zakończyć nasze życie, ale niekontrolowany nadzór na usługach walki z epidemią może je zupełnie zmienić.

„Wszystkie modele się mylą, ale niektóre mogą być użyteczne”, miał mawiać legendarny brytyjski statystyk George Box. Użyteczne pozostają wtedy, jeśli dzięki nim jesteśmy w stanie zawęzić spektrum możliwych rozwojów wypadków i racjonalnie dysponować środkami. Aby jednak tak było, epidemiolodzy muszą wiedzieć jak najwięcej: z jednej strony na temat samego wirusa i wywoływanej przez niego choroby, z drugiej – na temat liczby zakażonych w populacji. Bez tego modele mogą okazać się mylące, zwłaszcza jeśli za bardzo chcemy uwierzyć w te najbardziej optymistyczne.

Oczywiście, politycy najchętniej pokazywaliby na konferencjach te modele, które sugerują, że jest już niemal po wszystkim, że epidemia została opanowana i możemy wracać do „nowej normalności”. Harvardzki epidemiolog William Hanage przestrzega jednak w rozmowie z „Science” przed nadmierną wiarą w modele, które pokazują, że wirus jest pod kontrolą. Zławsza taki wirus, o którym wciąż niewiele wiemy: „To tak, jakbyś postanowił ujeżdżać tygrysa. Ale nie wiesz, gdzie jest tygrys, jak duży jest ani właściwie z iloma tygrysami masz do czynienia”. © WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Między prawdą a fikcją

GRZEGORZ JANKOWICZ

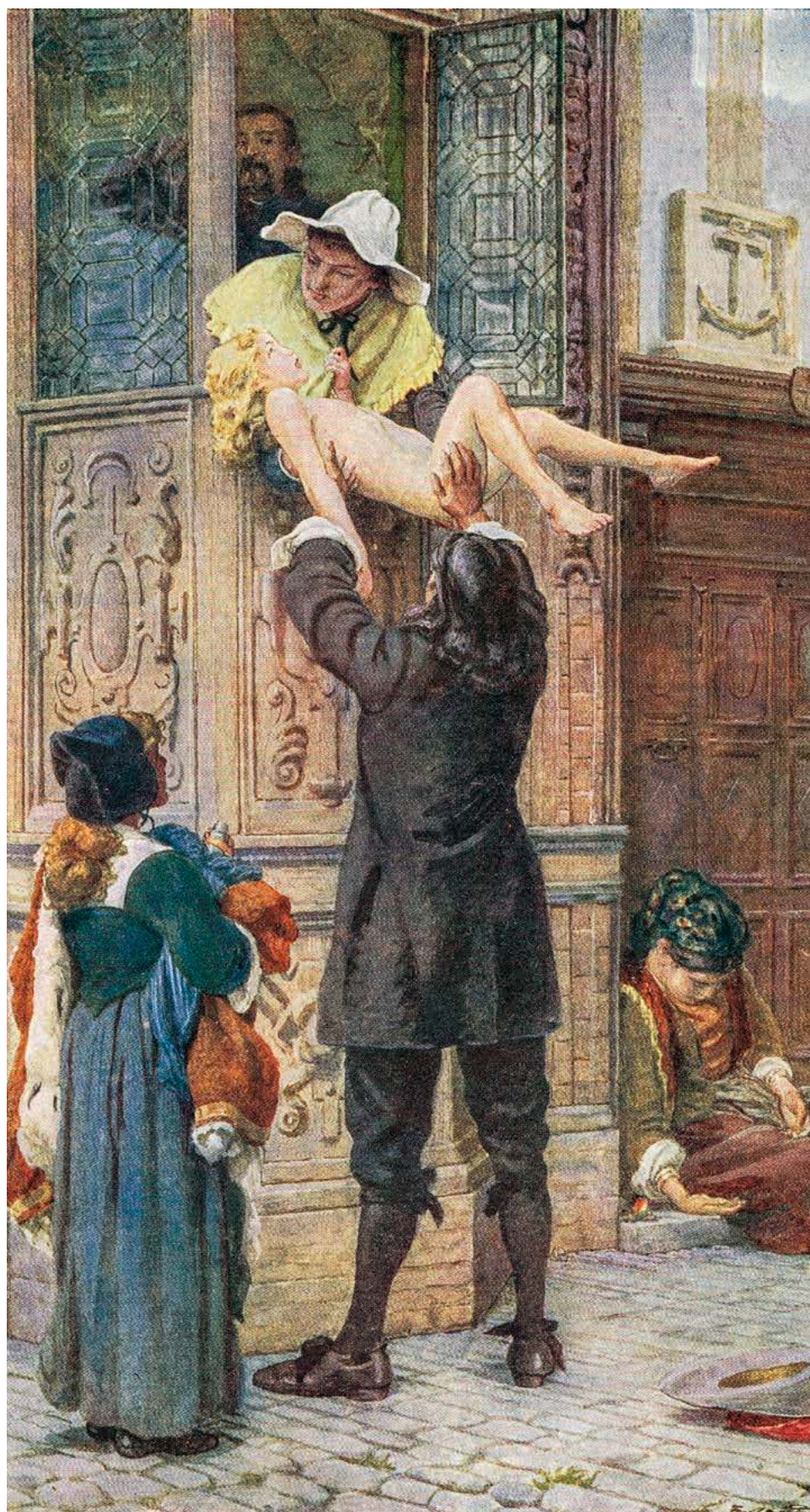
Najważniejsza książka na temat epidemii powstała najprawdopodobniej na zlecenie władz. Jej autor był szpiegiem, nie doświadczył zarazy na własnej skórze, część wydarzeń zmyślił, a dzieło wydał anonimowo.

Co łączy następujące utwory: „Dżumę” Alberta Camusa, „Mur zarazy” André Brinka, „Mszę za miasto Arras” Andrzeja Szczypiorskiego, „Zarazę” Jerzego Ambroziewicza, „Dżumę w Neapolu” Gustawa Herlinga-Grudzińskiego oraz „Miasto ślepców” José Saramago? Wszystkie powstały w XX w. i opowiadają o różnych epidemiach, to oczywiste. Ale posiadają jeszcze jedną – mniej lub bardziej jawną – cechę wspólną. Przedstawione w nich zdarzenia nawiązują do wydanego w 1722 r. „Dziennika roku zarazy” Daniela Defoe. W zasadzie każde nowoczesne dzieło poświęcone epidemii – nawet nieoczywista w tym zestawieniu „Wojna światów” Herberta George’a Wellsa – zawiera jakiś element, który przez jego autora został zaczerpnięty z „Dziennika...”.

Dlaczego akurat ta książka z taką mocą oddziaływała na literaturę i zaważnęła wyobraźnię zachodnich społeczeństw? Nie jest przecież „tekstem zero” (na wzór „pacjenta zero”), od którego wszystko się zaczęło. Wcześniej był choćby Giovanni Boccaccio

Zaraza w Londynie, 1665 r.

Autor i data powstania ilustracji nieznana, reprodukcja z początku XX w.





z „Dekameronem” czy Ben Jonson z „Alchemikiem”, były liczne traktaty poświęcone dżumie i kroniki świadków epidemii. Defoe nigdy nie zetknął się z zarazą bezpośrednio, na dodatek część przedstawionych wypadków sfabrykował, a jednak to właśnie do jego opowieści wciąż warto powracać. Nie tylko z literackich powodów.

Szpieg

Defoe urodził się około 1660 r. w rodzinie londyńskiego rzemieślnika Jamesa Foe (pisarz zmienił później nazwisko, by nie brzmiało pospolicie). Odebrał przyzwoitą edukację, choć początkowo nie wyróżniał się ani talentem, ani pracowitością. Nie brakowało mu jednak zacięcia polemicznego, które dość wcześnie zaczął wykorzystywać w celu zjednania sobie wpływowych ludzi, w tym przedstawicieli dworu, na czele z samym królem. Publikował pamflety i teksty propagandowe, stronnictwa zaś zmieniał w zależności od politycznej koniunktury.

Na początku walczył po stronie wigów, zajął atakując torysów, zwłaszcza ich frakcję kościelną, za co został skazany na pręgierz. Gdy doszło do zmiany na szczytach władzy, Defoe zaoferował swe usługi dawnym wrogom. Wigowie nie mogli mu tej zniewagi wybaczyć, ale po kolejnym politycznym przetasowaniu postanowili jeszcze raz skorzystać z jego perswazyjnych umiejętności. Jawna współpraca nie wchodziła w grę, gdyż w wyniku kolejnych wolt Defoe miał doszczętnie zszarganą reputację. Powierzono mu zatem rolę szpiega. Miał działać pod przykrywką, dyskretnie realizując propagandowe zamówienia.

Czynił to m.in. na łamach wydawanej przez siebie gazety „Review”. Komentował aktualne wydarzenia polityczne, pisał też o zjawiskach naturalnych i cywilizacyjnych, m.in. plagach nawiedzających Europę. Dżuma rzadko atakowała zniechęca, a jednak w czasach, o których mowa, trudno było zatrzymać jej ekspansję. Gdy Defoe był dzieckiem, epidemia wybuchła w samym Londynie (bakcył przybył z Holandii na statkach kupieckich). Ojciec Daniela postanowił wówczas schronić się z rodziną na wsi. Przyszły pisarz nie miał więc okazji zobaczyć skutków epidemii na własne oczy. Ale zaraza miała przemożny wpływ na mieszkańców Europy – temat powracał więc w rozmowach dorosłych.

W 1704 r. epidemia zaczęła rozprzestrzeniać się na Bałkanach. Przesuwała się najpierw na wschód, a potem w stronę portów bałtyckich. Co roku o mniej więcej 150 km. Defoe pisał o niej, streszczając doniesienia kupców oraz posłańców, którzy przekazywali wieści za pośrednictwem listów. Przez jego teksty przebiega strach – o własne życie, losy miasta i kraju – oraz bezsilność. Epidemii wyobrażał sobie na podobieństwo diabelskiego wojska dokonującego inwazji na kolejne terytoria. 6 września 1712 r. napisał, że przygotowuje się na sądny dzień, który wedle jego obserwacji zbliża się wielkimi krokami. Przed plagą, konkludował, nie ma ucieczki.

Jednak temat zarazy pojawiał się w jego pismach również z innego powodu. Jako tajny współpracownik władz Defoe miał za zadanie wpływać na opinię publiczną. Gdy w 1720 r. dżuma pojawiła się w Marsylii, londyński rząd postanowił wprowadzić zapobiegawcze obostrzenia. Prowa-

dzenie działań prewencyjnych było uzasadnione, ale – jak zawsze w takich przypadkach – spotkało się z oporem ze strony części społeczeństwa, przede wszystkim kupców oraz tych przedsiębiorców, których interesy były uzależnione od rozwoju międzynarodowego handlu. W lipcu 1721 r. Defoe opublikował materiał, w którym krytykował kupców sprzeciwiających się ustawie o obowiązkowej kwarantannie. W lutym 1722 r. ukazała się jego książka zatytułowana „O przygotowaniach na zarazę, tak duchowych, jak i cielesnych”, w której dzielił się przemyśleniami na temat niezbędnych środków zapobiegawczych.

Fikcyjna autobiografia

Nieco ponad miesiąc później wyszedł „Dziennik roku zarazy” z długim podtytułem: „Oparty na obserwacjach lub zapiskach najważniejszych wydarzeń zarówno publicznych, jak prywatnych, które zaszły w Londynie podczas wielkiego nawiedzenia w 1665 r.”. Dopisek informował, że autorstwo tekstu należy przypisać obywatelowi, który w czasie epidemii przebywał w mieście. Na końcu książki widniały inicjały „H. F.”.

Przez kilkadziesiąt lat czytelnicy „Dziennika...” byli przekonani, że jest to relacja świadka tamtych wydarzeń. Dopiero w 1780 r. w „British Topography” Richarda Gougha pojawiła się oficjalna wzmianka, że prawdziwym autorem jest Daniel Defoe.

Dlaczego pisarz postanowił wydać w tym samym niemal czasie dwie książki poświęcone zarazie? Być może chciał zrealizować zamówienie, które przyszło ze strony władz. Najpierw przedłożył czytelnikom publikację zawierającą instrukcje postępowania na wypadek wybuchu epidemii, później zaś wystylizowaną na autentyk opowieść o jej katastrofalnych skutkach, która miała poruszyć mieszkańców Londynu i skłonić ich do zaakceptowania obostrzeń narzuconych przez rząd. Może kierował się też pobudkami merkantylnymi. Wydarzenia marsylskie, o których obficie informowały gazety, wykreowały popyt na książki o dżumie.

Pseudoautentyk był jego ulubioną formą literacką. Pracując przez lata jako propagandzista, nauczył się przedstawiać cudze poglądy w sugestywny sposób. Wcielał się w różne postaci, zmieniał styl i argumenty. Granicę oddzielającą prawdę od fikcji postrzegał jako umowną. Nieustannie ją przekraczał, dbając jednak o to, by końcowy efekt był przekonujący dla odbiorcy. Do mistrzostwa opanował sztukę posługiwania się źródłami stworzonymi przez innych. Żonglował nimi z wielką wprawą, nigdy nie pozwalając sobie na całkowitą dezynwolturę. Jeden z krytyków nazwał ten rodzaj pisania „literacką aeronautyką”.

Pierwsze wydanie jego doskonale znanej powieści „Przypadki Robinsona Crusoe” (ukazała się trzy lata przed „Dziennikiem...”) również zostało zaprezentowane jako autentyczna relacja marynarza, który trafił na bezludną wyspę. Fikcyjna autobiografia – takim mianem można by określić gatunek uprawiany często przez Defoe.

Pod tę kategorię podpada również „Dziennik roku zarazy”. Jego narratorem jest bezdzielny rymarz. Gdy pojawiają się pierwsze informacje na temat epidemii, brat namawia go



→ na wspólny wyjazd. H. F. waha się, ale ostatecznie odrzuca propozycję, tłumacząc, że musi pozostać na miejscu, by za dbać o swoje sprawy, poza tym zdaje się na wolę Boga. Przede wszystkim jednak kieruje nim ciekawość. Za wszelką cenę, często wbrew zdrowemu rozsądkowi, z narażeniem życia spaceruje po mieście, by gromadzić obserwacje. Przyjmuje rolę świadka, zakładając, że ktoś musi spisać historię nawiedzenia. Wierzy, a wiarą tą dzieli się z czytelnikiem, że tylko w ten sposób możliwa będzie w przyszłości skuteczna walka z epidemią.

Historycy uważają, że H. F. to najprawdopodobniej Henry Foe, wuj Daniela, który cały okres zarazy z 1665 r. spędził w Londynie. Na początku XIX w. pojawiły się w Anglii głosy, że Henry był autorem zapisków na temat plagi, które Daniel przejął, a następnie zredagował, uzupełnił i podał do druku. Nie ma na to żadnych dowodów, ale narratora kroniki rzeczywiście możemy utożsamić z wujem pisarza. Autentyczna postać, być może wciąż pamiętana przez starszych londyńczyków, była wygodną maską literacką.

Metoda pisarska autora „Dziennika...” polegała na analizie pisanych i mówionych źródeł, które następnie czynił podstawą swej opowieści. Zadbał o wszystko. Narracja jest prowadzona konsekwentnie, choć ma chaotyczny charakter, tak jak przystało na zapiski dziennikowe. Obserwacje przeplatane są komentarzami, które nie przesłaniają warstwy „faktograficznej”. Posługuję się tym słowem ostrożnie, gdyż niektóre wypadki przedstawione w kronice zostały sfabrykowane.

Nie znaczy to, że są czystym wymysłem. Przeciwnie, najczęściej mają źródło w rzeczywistości, tak jak ona została zaprezentowana przez świadków, ale na kartach „Dziennika...” pojawiają się – by tak rzec – w modelowej formie. Pisarzowi zależało na tym, by uchwycić „logikę” zarazy, czyli powtarzające się zdarzenia i najczęstsze reakcje ludzi. W taki sposób rozumiał prawdę wydarzenia. Właśnie dlatego jego dzieło cieszy się niesłabnącym zainteresowaniem pisarzy i czytelników. Ci pierwsi szukają w nim inspiracji, gdyż jest gotową matrycą fabularną. Ci drudzy zaś mogą na jego stronach spotkać samych siebie, znaleźć własne lęki, uprzedzenia i odruchy.

Lekcje zarazy

Czego zatem uczy nas Daniel Defoe w tym osobliwym dziele? Wybrałem kilka zagadnień, które wydają mi się najważniejsze.

Przede wszystkim zaraza zmienia sposób, w jaki zazwyczaj wyobrażamy sobie upływ czasu. Nagle dalekosieczne plany zostają unieważnione, co sprawia, że horyzont czasowy, w którym funkcjonujemy, zostaje maksymalnie zawężony. Epidemia ustanawia swój własny czas, w którym wszystko dzieje się z chwili na chwilę, z dnia na dzień. Nawet jeśli spodziewamy się pewnych wydarzeń, nawet jeśli zmiany nie są całkowicie nieprzewidywalne, to jednak zachodzą gwałtownie, a to sprawia, że podstawową miarą czasu staje się chwila.

Pierwszą reakcją społeczności na doniesienia o nadciągającym niebezpieczeństwie jest obojętność. Londyńczycy, którzy już w grudniu 1664 r. wiedzieli, że na obrzeżach mia-

sta wystąpiły pierwsze przypadki dżumy, reagują opieszale, jakby ich to nie dotyczyło. Zakładają, że zagrożenie nie jest aż tak wielkie, i zamiast przygotować się na konfrontację z chorobą, wiodą beztroskie życie. Postawa ta jest według autora konsekwencją dwóch czynników: ignorancji oraz dezinformacji. Pierwsze przypadki, mimo że rozpoznane przez lekarzy, są ukrywane zarówno przez dotkniętych chorobą mieszkańców, którzy obawiają się ostracyzmu ze strony sąsiadów, jak i przez niektórych przedstawicieli władz, którzy – z różnych powodów – nie chcą niepokoić społeczności.

Na początku pojawia się zatem zaniechanie, które bardzo szybko – gdy epidemia się rozwija i nie da się jej już ukryć – przechodzi w panikę i chaos. Władze wkraczają wówczas do gry, wydając rozporządzenia. Próbuje opanować sytuację. Właśnie w tym momencie ujawnia się pewien mechanizm, który determinuje los ludzi dotkniętych zarazą. Epidemia ujawnia wszystkie podziały społeczne. Owszem, w pewnym sensie podziały te zostają wywrócone do góry nogami, gdyż chorują i umierają zarówno bogaci, jak i biedni, jednak ostatecznie zamożni zawsze są w uprzywilejowanej pozycji. Dzięki posiadanym środkom finansowym mogą np. błyskawicznie zorganizować wyjazd z miasta. Tak podczas epidemii z 1665 r. postąpił m.in. dwór królewski, który – jak pisze Defoe – nie był w wydarzenia związane z zarazą w żaden sposób zaangażowany. Usunął się w cień i zaszył w bezpiecznym Oksfordzie.

Większość ciężkich prac związanych z epidemią wykonują ludzie najbiedniejsi. Oni pielęgnują chorych (niezwykła postawa pielęgniarek, które zajmowały się zarazonymi nawet wtedy, gdy nie chciała tego robić – w obawie przed zarażeniem – najbliższa rodzina), grzebią zmarłych, dostarczają do miasta niezbędne towary. Chwytają się każdej pracy, gdyż przetrwać mogą tylko wtedy, gdy zdobędą pieniądze. Gdyby postanowili się przed zarazą skryć, rezygnując z interakcji społecznych, i tak groziłaby im śmierć. Zajmując się chorymi, narażają się jednak na niebezpieczeństwo. Jeden z najbardziej porażających fragmentów „Dziennika...” to ten, w którym Defoe ubolewa nad sytuacją najbiedniejszych, a zarazem zauważa, że gdyby nie pomarli w trakcie nawiedzenia, ich późniejszy los okazałby się jeszcze gorszy, gdyż władze, mimo że łożyły spore kwoty na przeciwdziałanie skutkom epidemii, nie byłyby w stanie się nimi zaopiekować.

Ludzie dotknięci zarazą próbują skanalizować swoje skrajne emocje, próbują sobie z tymi emocjami poradzić, wybierając kozła ofiarnego, wskazując jednostkę lub grupę, która jest odpowiedzialna za rozprzestrzenianie się choroby. Napętnowani zazwyczaj są niewinni. Defoe pisze, że nikt tak naprawdę nie wiedział, skąd przyszła zaraza, ale wszyscy chcieli to wiedzieć, wszyscy chcieli poznać winowajców, choć do walki z epidemią nie mogło im się to przydać.

Walec zarazy zagarnia nie tylko ludzi, ale też zwierzęta. Władze wydają dekret, na mocy którego wszystkie koty i psy oraz inne zwierzęta domowe mają zostać zabite, by nie roznosić dżumy. Ale nawet bez tego rozporządzenia ludność Londynu natychmiast zaczyna pozbywać się swoich pupili.

Defoe nie ma najmniejszych wątpliwości, że konsekwencją epidemii jest przynajmniej czasowy rozpad więzi społecznych. Władze zarządzają kwarantannę chorych i ich rodzin, których członkowie mogą być nosicielami śmiercio-

nośnego bakcyła. Przed każdym z zamkniętych domów zostaje postawiony strażnik, który ma pilnować przebywających w nim osób, uniemożliwiając im ucieczkę, ale też pomagając im w codziennych działaniach, np. dostarczając prowiant. Skuteczność tego systemu jest ograniczona, ale z założenia ma on funkcjonować przez cały okres trwania zarazy.

Ci, którzy mogą się swobodnie poruszać po mieście, też ograniczają kontakty z innymi. Pojawia się nieufność i potężne napięcie. Defoe prezentuje całą gamę ludzkich reakcji: od poświęcenia i pełnego zaangażowania, przez wyrastające ze strachu niepewność i szaleństwo, aż po lekkomyślność, egoizm i nikczemność. Wszystkie one występują w postaciach skrajnych, dlatego rujnują relacje międzyludzkie.

Zaraza jest czasem walki, którą prowadzi się na wielu polach. Zdrowy rozsądek walczy z zabobonami i nieprawdziwymi informacjami, które – mimo zaniku relacji – błyskawicznie roznoszą się wśród mieszkańców. Pojawiają się fałszywe doniesienia o rozwoju epidemii, o środkach (także medycznych), za pomocą których można zneutralizować chorobę, o dodatkowych zagrożeniach etc. Przerażeni i zdesperowani ludzie zaczynają robić zapasy, by móc się na dłuższy czas odizolować. I choć izolacja rzeczywiście jest potrzebna, to jednak nadmierne gromadzenie różnych produktów, mimo że zdaje się racjonalne, ma na celu przede wszystkim przeciwdziałanie poczuciu bezsilności.

Defoe był człowiekiem wierzącym i uważał, że choć choroba roznosi się poprzez bezpośredni kontakt z zarażonymi, to jednak wyłącznie wola Boga może zahamować jej rozwój, podobnie jak wola Boga zesłała ją na ludność Londynu w postaci kary za grzechy. A jednak udaje mu się pokazać zjawiska, które świadczą o jego krytycznym dystansie. Przede wszystkim ma świadomość, że wierni, gromadzący się w kościołach i szukający tam pociechy, zarażają się nawzajem. Podkreśla, że zaufanie do władz, które nie jest powszechne, to klucz do walki z epidemią, zwłaszcza w obliczu bezradności medycyny.

Z czasem dana społeczność zaczyna się przyzwyczajać do sytuacji zagrożenia, nawet jeśli zaraza przyjmuje



AUTOR NIEZNANY / NATIONAL MARITIME MUSEUM LONDON / DOMENA PUBLICZNA

Od publikacji „Dziennika roku zarazy” upłynęło bez mała trzysta lat, a jednak czytając go, mamy wrażenie, że **Daniel Defoe wie coś na temat naszych przeżyć.**

najstraszniejszą postać. Skutkuje to przede wszystkim zanikiem instynktów, które mogą nas ochronić przed chorobą. Pojawiają się ryzykowne zachowania. Przedwcześnie uznaje się, że niebezpieczeństwo minęło, wywołując w ten sposób drugą falę epidemii. Ale – przekonuje Defoe – jest to nieuchronne, gdyż ludzie są w stanie ośwoić każde, nawet największe niebezpieczeństwo, a robią to dlatego, że chcą jak najszybciej powrócić do naturalnej dla nich społecznej formy życia.

Historia naturalna plagi

Od publikacji „Dziennika roku zarazy” upłynęło bez mała trzysta lat, a jednak czytając go, mamy wrażenie, że autor wie coś na temat naszych przeżyć. Defoe kilka razy wspomina, że jego celem jest spisanie kroniki, a nie zwykłej opowieści, dlatego musi trzymać się faktów, być blisko zdarzeń, nie może odsunąć się od rzeczywistości, bo jeśli to zrobi, umknie mu coś ważnego, a jego przyszli odbiorcy nie pojmą istoty tego doświadczenia.

Relacjonując reakcje na wygasanie epidemii, pisze tak oto: „Gdybym powiedział, że był to widomy znak wzywający nas do głębokiej wdzięczności,

nas zwłaszcza, którzy przeżyliśmy grozę wzrastającego niebezpieczeństwa, mogłoby to być uważane przez niektórych, kiedy już najgorsze minęło, za moralizatorskie gładzenie świętoszka, za wygłaszanie kazań zamiast pisania historii, robienie z siebie mentora zamiast dzielenia się obserwacjami, i to hamuje moje wywody, od których bym się w przeciwnym razie nie powstrzymał” (tłum. Jadwiga Dmochowska).

W.G. Sebald, który Danielowi Defoe zawdzięcza bardzo wiele, choć o tym długu nie zawsze się pamięta, powiedziałby, że „Dziennik roku zarazy” to fragment historii naturalnej zniszczenia. Fragment poświęcony pladze, a napisany beznamiętnie i rzeczowo nie dlatego, że jego autor pozostaje obojętny wobec ludzkiej krzywdy, lecz właśnie dlatego, iż owa krzywdą jest tak przytłaczająca i domaga się przedstawienia w najprecyzyjniejszy z możliwych sposobów, w czym – jak się okazuje – istotną rolę odgrywa również fikcja.

© P GRZEGORZ JANKOWICZ

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

GRZEGORZ JANKOWICZ w Podkaście Powszechnym prowadzi cykl „LEktura”.

Opowiada w nim o dziełach literackich, które pomagają zrozumieć zjawiska i procesy zachodzące dziś, także w czasie pandemii.

Śluchaj w Spotify, Apple Podcasts, Google Podcasts i w aplikacji Lector oraz w serwisie „Tygodnika”

weź, słuchaj!

powszech.net/podcast



Nie ma drogi na skróty

ŁUKASZ ŁAMŻA

Już teraz ponad 80 zespołów badawczych pracuje nad szczepionkami przeciw COVID-19. Ale bezpieczne dopuszczenie pierwszej z nich do użytku może potrwać lata.

Ogólna zasada działania szczepionki jest bardzo prosta. Dajemy naszemu organizmowi „posmakować” patogenu: w dawce tak małej, aby nie wywołał choroby z pełną siłą, ale jednocześnie tak dużej, aby nasz układ odpornościowy nauczył się go rozpoznawać na wypadek przyszłego kontaktu – i szybciej wówczas na niego reagował. Tyle.

Najprostszym wyobraźalnym sposobem „zaszczepienia” przeciwko jakiejś chorobie jest jej... wywołanie. Jest to tradycyjna, ludowa metoda, którą znamy choćby jako „ospa party”. Idea jest taka, aby daną chorobę przechorować w samodzielnym wybranym momencie, w warunkach kontrolowanych. Z medycznego punktu widzenia jest to jednak postępowanie co najmniej wątpliwe: straty zdrowotne wynikające z masowego celowego zarażania się chorobami zakaźnymi przewyższają korzyści. Zwłaszcza że mamy do dyspozycji prawdziwe szczepionki. Czym one są?

Traktat o inokulacji

Szczepienie zaczyna się tak naprawdę wtedy, gdy decydujemy się na posłuszenie się patogenem w jakimś sensie osłabionym. Z 1549 r. pochodzi pierwsza chińska wzmianka o procedurze, którą nazywamy dziś wariolizacją. Polegała ona na podawaniu osobom zdrowym strupów lub wydzielin chorych na łagodną odmianę ospy (*variola minor*) po to, aby nie zachorowali na ostrą ospę prawdziwą (*variola major*) – lub przechodzili ją łagodniej. Metoda ta znana jest również z Indii i Kaukazu, a ogólnym terminem obejmującym analogiczne postępowanie w przypadku innych chorób jest inokulacja. W 1741 r. chiński lekarz Zhang Yan napisał cały traktat medyczny zatytułowany „Nowa księga o inokulacji ospy”, w którym szczegółowo opisał procedurę wyboru osoby chorej, pobierania mate-

riału biologicznego i jego przechowywania (zaleca, przykładowo, aby fiolki opisane były datą pobrania próbki, co pozwala kontrolować jej potencję).

„Prawdziwe szczepienie” – czyli wakcy-nacja – to już efekt systematycznych badań naukowych, których pionierem był Edward Jenner. W 1796 r. dokonał pierwszego szczepienia przeciwko ospie, posługując się szczepem tej choroby atakującym krowy. Dziś rozumiemy już molekularne przyczyny powodzenia jego projektu: gdy wirus namnaża się w innym gatunku niż człowiek, w toku ewolucji nabiera cech, dzięki którym skutecznie reprodukuje się właśnie w organizmie zwierzęcym. Równolegle więc, niejako z automatu, maleje jego skuteczność w infekowaniu ludzi. Jeżeli wkroczy się w odpowiednim momencie, uzyskany zostanie wirus wywołujący reakcję odpornościową człowieka, ale nieprowadzący do rozwinięcia się choroby w pełnej krasie.

„Przeniesienie” wirusa na jakiś czas do innego gatunku, aby uległ osłabieniu (technicznie: atenuacji), to strategia stosowana do dziś. W latach 20. XX w. w ten właśnie sposób osłabiono wirusa żółtej fe-bry, przeprowadzając jego kontrolowane namnażanie się w tkankach kurzego embrionu. Jest to żmudna praca wymagająca ciągłego testowania materiału, aby sprawdzić, w którym momencie jego powinowactwo do tkanek ludzkich stało się już wystarczająco słabe, aby nie powodowało niebezpiecznej infekcji, jednak wciąż wystarczająco silne, aby wywoływało reakcję układu odpornościowego. W tym przypadku pożądana „moc” uzyskano po dokładnie 227 cyklach namnażania wirusa. Szczepionka ta stosowana jest do dziś, podobnie jak i sama metoda tworzenia szczepionek atenuowanych. Spośród 86 projektów badawczych mających doprowadzić do powstania szczepionki przeciwko COVID-19, które wymieniono w niedawnym raporcie tygo-



dnika „Nature”, dwie polegają właśnie na atenuacji wirusa SARS-CoV-2.

Śmierć w formaldehydzie

Jak łatwo sobie wyobrazić, procedury tego typu wymagają wielkiej precyzji i ostrożności. Najmniejszy błąd może mieć katastrofalne skutki, co dobrze ilustruje choćby historia nieudanej partii szczepionki przeciwko polio z Cutter Laboratories. W tym przypadku posłużono się jeszcze inną metodą, polegającą na inaktywacji – czyli „zabiciu” – wirusa.

Inaktywację przeprowadza się najczęściej na sposób termiczny (przegrzanie wirusa) lub chemiczny (zatrucie go). To sprytna strategia – do organizmu osoby szczepionej trafiają po prostu całe wiriony, czyli dokładnie to samo, co w przypadku rzeczywistej infekcji: układ odpornościowy nauczył się więc dokładnie tego, czego powinien. Aby tak się jednak stało, wirus nie powinien ulec mechanicznemu zniszczeniu albo deformacji – nie można więc przesadzić z temperaturą



HULTON ARCHIVE / GETTY IMAGES

Mieszkańcy Doliny Rhondda w kolejce do szczepienia przeciwko ospie po tym, jak Światowa Organizacja Zdrowia ogłosiła Dolinę obszarem zainfekowanym chorobą. Walia, styczeń 1962 r.

ciwko którym dziś istnieją szczepionki, zabijały niegdyś lub okaleczały znaczącą część populacji. W samym tylko XX w. na ospę prawdziwą zmarło 300-500 mln osób. W 1979 r., po globalnej kampanii szczepień, choroba ta została oficjalnie eradykowana – co oznacza, że nie występuje naturalnie w populacji ludzkiej. Takich historii sukcesu jest wiele i nie ulega dziś wątpliwości, że w przypadku szczepień, nawet po wliczeniu wszystkich niepowodzeń, wpadek i skutków ubocznych, bilans zysków i strat jest daleko po stronie korzyści. Co jednak dobre, zawsze może stać się jeszcze lepsze.

Współczesne metody tworzenia szczepionek nie kończą się na atenuowaniu i inaktywacji całych wirusów. Po co ryzykować, że wirus „nauczony” namnażania się w tkankach kurzych w pewnym momencie „przypomni” sobie, jak to jest replikować się w organizmie ludzkim; albo że pośród miliarda wirusów utopionych w formaldehydzie znajdzie się kilka ocalałych?

Spśród wspomnianych 86 projektów szczepionki przeciwko COVID-19 większość opiera się na wprowadzeniu do organizmu tylko drobnego fragmentu cząstki wirusa. W 26 przypadkach wykorzystywany jest tzw. wektor wirusowy: wybrany gen z „naszego” wirusa – w tym przypadku mowa o SARS-CoV-2 – wprowadzany jest do osłabionego wirusa-pośrednika. Niedawno opracowana szczepionka przeciw gorączce krwotocznej ebola oparta była właśnie na takim projekcie, a pośrednikiem był osłabiony wirus odry.

W dalszych 20 przypadkach planowana szczepionka ma zawierać po prostu niewielki fragment materiału genetycznego koronawirusa, a w aż 33 przypadkach testowana jest możliwość zastosowania któregoś z białek nowego wirusa. Oczywiście – i popularnym – kandydatem jest tzw. białko S, za pomocą którego SARS-CoV-2 łączy się z komórkami ludzkimi, inicjując infekcję. Jeśli nauczymy układ odpornościowy rozpoznawać choćby samo to białko, jesteśmy na dobrej drodze do tego, aby w przyszłości stłamsić chorobę w zarodku. ©

lub stężeniem „trucizny”. Z drugiej strony kluczowe jest, aby inaktywacji uległy naprawdę wszystkie cząstki wirusa znajdujące się w preparacie.

Jedną z najpiękniejszych historii sukcesu programu szczepień powszechnych jest szczepionka przeciwko polio, dzięki której ta fatalna w skutkach choroba została niemal całkowicie zmieciona z powierzchni Ziemi w ciągu zaledwie półwiecza. Pierwszą wersję szczepionki przedstawił Polak, wirolog Hilary Koprowski, a później dopracował ją Amerykanin polsko-żydowskiego pochodzenia Albert Sabin. Była to szczepionka atenuowana. Od 1950 r. podano ją wielu dzieciom na całym świecie, m.in. 7 milionom młodych Polaków w czasie gigantycznej kampanii w latach 1959-1960.

Konkurencyjną szczepionkę inaktywowaną opracował Jonas Salk, uśmiercając wirusa polio formaldehydem. Na jej reputacji cieniem położył się właśnie wspomniany incydent z Cutter Laboratories. W zakładzie tym w 1955 r. wypro-

dukowano jedną partię szczepionki zawierającej mikroskopijne stężenie wirusów, które przetrwały chemiczne tortury. Choć partię tę szybko wycofano, a częściowa inaktywacja znacznie osłabiła oddziaływanie wirusa, wskutek tego niedopatrzenia 40 tys. dzieci zachorowało, z czego u 56 rozwinęło się *poliomyelitis*, czyli choroba Heinego-Medina. Pięcioro zmarło. Sama metoda inaktywacji była jednak i wciąż jest pomyślnie stosowana, a „Nature” odnotowuje w swoim przeglądzie pięć projektów związanych z nowym koronawirusem.

Bilans dodatni

Nie ma rozwiązań idealnych. Każdy rzeczywisty lub wyobraźalny lek i każda procedura terapeutyczna może zawieść lub przynieść skutki uboczne. Medycyna oparta na nauce od zawsze opierała się więc na bilansie zysków i strat. W przypadku szczepień po stronie korzyści można dopisać człon prawdziwie gigantyczny, ponieważ choroby zakaźne, prze-

Te wstrętne wydzieliny

MICHAŁ MISIAK

Poza okresami pandemii widok osoby chorej rzadko wywołuje u nas strach. Podstawową reakcją na krew, ślinę czy wymiociny jest obrzydzenie. Ale logika obu tych emocji jest podobna.

W całej naszej historii nie zmagaliśmy się z większym zagrożeniem niż choroby zakaźne. Żaden inny czynnik, nawet wojny i katastrofy naturalne, nie stanowił tak dużego zagrożenia dla ludzkiego zdrowia i życia jak wirusy, bakterie i inne patogeny. Od milionów lat prowadzimy z nimi ewolucyjny wyścig zbrojeń.

Naszą ostateczną i najbardziej zaawansowaną bronią jest fizjologiczny układ odpornościowy. Patogeny pochodzenia biologicznego wywołują reakcję obronną organizmu, której celem jest zneutralizowanie i pozbycie się intruza. Działanie tego układu jest na ogół skuteczne, jednak wiąże się z dużymi kosztami metabolicznymi. Samo podniesienie temperatury ciała o jeden stopień Celsjusza wymaga zwiększenia wydatku energetycznego o 13 proc.

Jesteśmy również wyposażeni w wyspecjalizowany zestaw psychologicznych mechanizmów obronnych, tzw. behawioralny układ odpornościowy. Ostrzega nas on przed patogenami i motywuje do ich unikania. Głównym zadaniem behawioralnego układu odpornościowego jest więc niedopuszczenie do tego, aby uruchomienie tego fizjologicznego było konieczne.

Układ ten działa głównie na poziomie percepcji zmysłowej. Zapachy ekskrementów lub rozkładającego się ciała, widok wymiocin lub zgniłego mięsa, dotknięcie zaropiałej rany lub wijących się robaków – odczucia te interpretowane są jako wyjątkowo nieprzyjemne i pobudzające. Z pewnością część z czytelników odczuła przed chwilą delikatny ścisk gardła. To uczucie to obrzydzenie. Jest ono głównym mechanizmem, który pobudza nasz organizm do unikania wymienionych bodźców. Jego znaczenie dla ludzkiego zdrowia i życia jest tak fundamentalne, że niektórzy na-

ukowcy uznają obrzydzenie nie za emocję, ale za instynkt równorzędny z głodem.

Czujnik dymu

Wyjątkowo silnymi bodźcami wywołującymi reakcję obrzydzenia są ludzkie płyny ustrojowe, takie jak krew, ślina, ropa i wymiociny. Według badań psychologicznych tym najbardziej odrzucającym są ludzkie odchody. Inną ważną kategorią bodźców jest zepsute jedzenie – odżywianie się jest właściwie najbardziej niebezpieczną czynnością, jaką codziennie wykonujemy. Wystarczy jeden nieuwważny kęs, aby pozbawić się zdrowia. Sama ekspresja mimiczna obrzydzenia sprawia wrażenie, że obrzydzona osoba chce się pozbyć czegoś z ust. Zarówno płyny ustrojowe, jak i zepsute jedzenie są nośnikami patogenów. Nic dziwnego, że obrzydzenie jest wyzwalane przez takie bodźce.

Może je również jednak wywoływać wygląd czy zapach innego człowieka, które niekoniecznie są powodowane przez patogeny. Tłuste włosy, nieświeży oddech, podrażnienia skóry czy koszulka ubrudzona keczupem niekoniecznie świadczą o tym, że ktoś choruje. A i tak za nimi nie przepadamy.

Behawioralny układ odpornościowy nie jest mechanizmem racjonalnym. Nie wnika w to, czy ktoś ma tłuste włosy, bo nie mył ich dwa tygodnie, czy dlatego że obficie się poci w wyniku walki z chorobą zakaźną. Jego działanie porównywane jest do czujnika dymu, który uruchamia się również w odpowiedzi na błahę sygnały, na przykład przypalonego naleśnika. Nadwrażliwość może powodować frustrację użytkownika, ale czujniki są celowo skalibrowane w taki sposób, aby reagować na najmniejszy sygnał zagrożenia pożarowego. Lepšie to niż gdyby miały przegapić kiedyś prawdziwą katastrofę.

Podobnie działa behawioralny układ odpornościowy.



Wystarczy, że jakiś obiekt przypomina coś, co wywołuje obrzydzenie, aby i on spowodował naszą reakcję. Z tego powodu zielone barwniki spożywcze są niepopularne wśród piekarzy, projektanci odzieży zaś stronią od umieszczania wzorów w brązowe plamy na białych koszulkach. A osoby, które nie dbają o higienę, mają problemy w nawiązywaniu kontaktów.

Ogórek i hiena

Zagrożenie patogenami występuje na całym świecie, jednak bodźce, które wywołują reakcje unikania patogenów, mogą być kulturowo zróżnicowane. Sam wykręcam twarz na myśl o zjedzeniu czegoś takiego jak balut – kaczego jajka z rozwiniętym zarodkiem, którym zajądają się miliony osób ze wschodniej Azji. Uśmiecham się natomiast pod nosem, kiedy przypominam sobie reakcję mojego znajomego z Irlandii, nieomal wymiotującego po spróbowaniu ogórka kiszzonego. Behawioralny układ odpornościowy dostosowuje się więc do środowiska, w którym żyjemy.

Jedną z przebadanych pod tym kątem populacji są Hadza, plemię zbieracko-łowieckie zamieszkujące północną Tanza-



Mężczyźni z plemienia Hadza odpoczywają po polowaniu. Tanzania, 2017 r.

MICHAŁ WISIAK

nię. Hadza prowadzą styl życia prawdopodobnie zbliżony do tego, który cechował naszych odległych przodków. Mieszkają w małych obozach, które są przenoszone, gdy tylko w okolicy zabraknie pożywienia. Odżywiają się głównie bulwami, owocami i nasionami. Jeśli polującym mężczyznom dopisze szczęście, spożywają mięso pawianów, małych antylop i guźców. Prowadzone wśród nich wywiady sugerują, że niewiele obiektów jest w stanie wzbudzić ich obrzydzenie. Wzdrygają się jednak na myśl o zjedzeniu mięsa hieny.

Ciekawym odkryciem ostatnich lat jest to, że Hadza intuicyjnie rozumieją zasady działania zaraźliwości. Wystarczy, że mięso hieny ma kontakt z innym rodzajem pożywienia, by Hadza uznali to jedzenie za nieczyste. Kiedy są pytani o to, dlaczego brzydzą się jedzenia potraw, które były dotknięte mięsem hieny, nie potrafią odpowiedzieć – po prostu czują, że nie powinno się tego jeść. Do niedawna uważano, że przekonania o zaraźliwości dotyczą jedynie populacji, w których za pośrednictwem formalnej edukacji przekazywana została wiedza o tym, jak działają zarażki. Okazuje się jednak, że nie jest ona

potrzebna, by intuicyjnie to rozumieć. Chcąc przekonać się o iluzorycznej logice, którą kierują się wykształcone osoby, wystarczy zapytać, czy byłoby chętni zjeść obiad z wysterylizowanej wcześniej psiej miski lub czy ubraliby wypraną we wrzątku koszulę noszoną wcześniej przez osobę chorą na trąd.

Rezerwuary zarazków

Psycholog Mark Schaller, twórca koncepcji behawioralnego układu odpornościowego, twierdzi, że te same mechanizmy, które operują na poziomie jednostki, występują na poziomie populacji. Grupy ludzi, które sprawniej opracowują i wdrażają rozwiązania kulturowe umożliwiające ograniczenie rozprzestrzeniania się patogenów, zmniejszają ryzyko wybuchu epidemii i tym samym lepiej chronią się przed jej konsekwencjami.

Jakie adaptacje kulturowe wykształcili Hadza? Wykorzystują rośliny jako antybiotyki, aby radzić sobie z zakażeniami, chorobami i przyspieszyć gojenie ran. Wydaje się jednak, że poza termiczną obróbką jedzenia nie korzystają z wysublimowanych kulturowych metod unikania patogenów. To dlatego, że są na nie stosunkowo mniej narażeni niż inne po-

pulacje. Nie przechowują jedzenia, tylko od razu je spożywają – nie ma więc okazji, aby zostało zasiedlone przez szkodliwe bakterie i grzyby. Prowadzą koczowniczy tryb życia, więc nie mają problemów z utylizacją gromadzących się ekskrementów.

Wydaje się, że inne afrykańskie grupy zbieracko-łowieckie również nie miały potrzeby wykształcania na poziomie kulturowym metod prewencji chorób infekcyjnych. Ich rozkwit można obserwować w populacjach prowadzących osiadły tryb życia, który naraża ludzi na kontakt z fekaliami i rozkładającymi się resztkami jedzenia. Adaptacje kulturowe wykształcone w odpowiedzi na to wyzwanie wydają się stosunkowo proste – odpadkami karmimy zwierzęta, zakopujemy je lub palimy. Największym zagrożeniem związanym z prowadzeniem osiadłego trybu życia nie są jednak odpadki, a znaczne zagęszczenie zwierząt i ludzi w jednym miejscu. Są to tak zwane rezerwuary zarazków.

Najgroźniejsze choroby infekcyjne, z jakimi zmagamy się współcześnie, mają stosunkowo krótką historię. Wiele z nich pojawiło się w ciągu ostatnich jedenastu tysięcy lat, wraz z powstaniem rolnictwa i początkami hodowli zwierząt. Ludzie i zwierzęta hodowlane tworzą rezerwuary dla wirusów i bakterii, w których mogą się one gwałtownie namnażać i mutować. Stwarza to więcej okazji dla patogenów do zaadaptowania się do organizmu człowieka – około 60 proc. ludzkich chorób wywoływanych przez patogeny pochodzi od innych zwierząt. Kiedy zwierzęcy patogen zaadaptuje się już do nowego rezerwuaru, może bez problemu rozprzestrzenić się w całej ludzkiej populacji. Zilustrował nam to niedawno pewien nietoperz, a wcześniej również takie zwierzęta jak kury, świny, wielbłądy i szympany. Gdyby nie rezerwuary zarazków, nie znalazłbyśmy takich chorób jak ptasia i świńska grypa.

Pocałunki i przywitania

Behawioralny układ odpornościowy radzi sobie do pewnego stopnia z problemem zagęszczenia populacji. Badania pokazują, że występowanie patogenów →



→ wpływa na nasze zachowania społeczne, ograniczając ich rozprzestrzenianie się. W populacjach, w których historycznie występowało więcej chorób infekcyjnych, ludzie są przeciętnie mniej ekstrawertyczni, mniej otwarci na nowe doświadczenia i mniej skłonni do kontaktowania się z osobami spoza własnej grupy. Takie cechy osobowości ograniczają kontakt między ludźmi, a tym samym rozprzestrzenianie się patogenów. Analizy dokumentów antropologicznych z całego świata, które opisywały zachowania takich populacji jak rdzenne społeczeństwa zamieszkujące Amerykę Północną, wskazują na to, że w populacjach bardziej dotkniętych przez choroby infekcyjne ludzie wykształcili sposoby witania się, które rzadziej wymagają fizycznego kontaktu. Dodatkowo, znacznie rzadziej obdarzają swoich ukochanych pocałunkami. W kontekście grożącej epidemii stronięcie od pocałunków mogło być wyrazem największej troski.

Działanie behawioralnego układu odpornościowego jest jednak niewystarczające, by zagwarantować bezpieczeństwo bardziej złożonym społecznie populacjom. Wraz z zagęszczeniem ludności zaczynają pojawiać się nowe rozwiązania kulturowe. W społeczeństwach zbieracko-łowieckich, które cechują się niskim poziomem zagęszczenia i wysoką mobilnością, osobami chorymi zajmują się członkowie rodziny. Zdarza się jednak, że kiedy kończą się źródła jedzenia w okolicy i konieczna jest długa wyprawa w celu założenia nowego obozu, ciężko chore osoby zostają porzucone.

Osiadły tryb życia umożliwia stałą opiekę nad chorą osobą, ale naraża również większą grupę ludzi na kontakt z patogenami. W przypadku tradycyjnych społeczeństw skupionych wokół jednej wioski pojawiają się osoby pełniące funkcję uzdrowiciela – często nazywane szamanami. Czasem odgrywają one ponadto rolę przywódcze i koordynują działania całej grupy. To od tej koordynacji może zależeć, czy grupa zacznie handlować, wojować lub współpracować z inną grupą. Jeżeli przedstawiciele innej grupy rozprzestrzeniają zarazki, to decyzja lidera może stanowić o byciu lub niebyciu całej społeczności.

Kiedy grupy ludzi zaczynają tworzyć formacje składające się z wielu wiosek (zwane wodzostwami, protopaństwami



DEVANATH / PIXABAY

Mnie brzydzi wschodnio-azjatycki balut – kacze jajko z rozwiniętym zarodkiem. Uśmiecham się natomiast pod nosem, kiedy przypominam sobie **obrzydzenie mojego znajomego z Irlandii po spróbowaniu ogórka kiszzonego.**

i państwami), można zaobserwować kolejne trendy. Ludzie odpowiedzialni za uzdrawianie zaczynają się specjalizować w węższych dziedzinach, przyjmując rolę zielarzy, nastawiaczy kości czy kapłanów. Taka specjalizacja jest szczególnie widoczna w populacjach, które zaczęły korzystać z pisma. Jest ono adaptacją kulturową, która umożliwiła usystematyzowanie wiedzy o zarażkach i ich leczeniu. Przykładami takich systemów są ajurweda, która została opracowana przez cywilizację doliny Indusu, i akupunktura, wymyślona przez cywilizację chińską. Nawet zaawansowane adaptacje kulturowe nie mogą jednak całkowicie wyeliminować zagrożeń, jakie stwarzają ciągle mutujące patogeny, o czym poucza nas m.in. smutny los wspaniałej cywilizacji Azteków, zdruzgotanej przywleczonymi przez Europejczyków wirusami.

W dobie pandemii

Sytuacja, w której się dzisiaj znaleźliśmy, jest wyjątkowa. Nigdy do tej pory żaden patogen nie rozniósł się w tak szybkim tempie na tak dużą skalę. Nasz fizjologiczny układ odpornościowy może być postawiony przed poważnym wyzwaniem. W tej sytuacji, rzecz jasna, dochodzi do głosu także układ behawioralny.

Z obrzydzeniem przemieszanym ze strachem reagujemy na ludzi, którzy kaszlą w miejscach publicznych. Zdarza się nawet, że osoby rozprzestrzeniające swoje płyny ustrojowe zostają brutalnie pobite. W niektórych państwach oplucie kogoś uznawane jest za akt biologicznego terroryzmu. Wydaje się też, że świat po pandemii będzie dużo bardziej nieufny i mniej otwarty – sugerują to wyniki badań publikowane przez psychologów. Stajemy się bardziej konserwatywni i mniej przychylni członkom innych kultur. Reakcje te do pewnego stopnia mogą ograniczyć rozprzestrzenianie się wirusa, ale to nie behawioralny układ odpornościowy ma decydujące znaczenie w obliczu globalnej pandemii. Decydujące znaczenie ma kultura.

Największe wsparcie w wojnie z wirusem przynosi pewna kulturowa adaptacja, która powstała stosunkowo niedawno. Jest znacznie skuteczniejsza niż kulturowe adaptacje stosowane przez społeczeństwa wodzowskie, protopaństwa i zamierchłe cywilizacje. Tą adaptacją jest nauka. Dzięki niej jesteśmy w stanie zidentyfikować najsukuteczniejsze metody zapobiegania chorobom zakaźnym. Gwałtowne ograniczenie kontaktu z bliskimi, noszenie niewygodnych maseczek i częste mycie rąk nie należą do zachowań, które są wspierane przez behawioralny układ odpornościowy, ale to właśnie one należą do najsukuteczniejszych metod spowolnienia pandemii. Wiemy o tym dzięki nauce, nie dzięki internetowym szamanom, których twarze zerkają na nas od czasu do czasu z ekranów komputera.

Pandemia przyspieszyła ewolucję kulturową, a my jesteśmy jej świadkami. Te społeczeństwa, które do walki z wirusem wykorzystają metody wspierane przez dowody naukowe, będą miały większą szansę w trwającej wojnie. Lepiej też przygotować się na kolejne epidemie, a te – zgodnie z przewidywaniami epidemiologów – nadejdą szybciej, niż moglibyśmy się tego spodziewać.



Natalia Polasik, Bez tytułu, kolaż, 2020 r.

Zmienić, ale nie zmęczyć

RADOSŁAW ZYZIK

**Izolowanie się nie idzie w parze
z naszą głęboko społeczną naturą.
Dlatego wszystkie państwa stają przed tym samym
wyzwaniem: jak sprawić, by ludzie zostali w domach?**



→ **N**a wirusa SARS-CoV-2 nie ma szczepionki ani leku. Na razie jedyną obroną przed epidemią jest długoterminowa zmiana zachowań. Jeśli ludzie będą często myć ręce, zasłaniać twarz, kichać w zgięcie łokcia i unikać zatłoczonych miejsc, to powinno udać się uniknąć przeciążenia systemu opieki zdrowotnej i dużej liczby ofiar. Jeśli to takie proste, to dlaczego tak trudno?

Żeby odpowiedzieć na pytanie, czy społeczeństwa są w stanie ocalić same siebie i ograniczyć zasięg pandemii, musimy przyjrzeć się ludzkim zachowaniom i motywacjom. Co nami kieruje, gdy decydujemy się zostać w domu i ograniczyć kontakty ze znajomymi i rodziną? Co się stanie z naszą motywacją wraz z upływem czasu? I jakie działania władzy publicznej mogą pomóc nam w długoterminowej zmianie zachowań, a jakie w niej przeszkadzają?

Strachy i uprzedzenia

Wydawałoby się, że wystarczy podać liczbę nowych zarażeń i liczbę zgonów, by ludzie zostali w domach. Zarządzanie przez strach jest kuszące. Jednak z badań przeprowadzonych przez Kim Witte i Michaela Allena z Uniwersytetu w Michigan wynika, że strach może być skutecznym narzędziem w czasie pandemii tylko wtedy, gdy ludzie czują się zdolni do poradzenia sobie z zagrożeniem. Jeżeli strachowi towarzyszy uczucie bezradności, przyjmujemy postawy defensywne, a nawet wprost zaprzeczające konieczności poddania się nowemu reżimowi.

Poza tym długotrwałe straszenie społeczeństwa jest kontrowersyjne i może mieć poważne skutki uboczne, do których zalicza się pojawienie wrogości, uprzedzeń i dyskryminacji. Państwo, planując strategię komunikacyjną, musi o tym pamiętać.

W badaniach prowadzonych przez zespół Josepha T.F. Laua z Chińskiego Uniwersytetu w Hongkongu prawie co trzeci respondent uważał, że osoby, które przechorowały SARS (podczas epidemii z lat 2002-04), nie powinny pracować jako nauczyciele, lekarze i pielęgniarki ani serwować jedzenia. Inni respondenci byli przekonani, że ludzie, którzy przechorowali świąską grypę, mogą zarażać przez kolejne osiemnaście miesięcy (choć wyzdrowienie oznacza w istocie usunięcie wirusa z organizmu). Jeśli da się przyzwolenie na rozsiewanie strachu i wrogości w czasie pandemii, to dyskryminacja i stygmatyzacja nie skończą się wraz z ostatnim chorym na COVID-19.

Zarządzanie oczekiwaniami

W ostatnim czasie ustalenia nauk o zachowaniu człowieka coraz częściej wykorzystywane są przez państwa i instytucje publiczne. Badacze pracujący w tym obszarze w wielu eksperymentach udowodnili, że czasem niewielka i niezbyt kosztowna zmiana w podejściu do zagadnienia czy kontakcie z odbiorcą skutkuje znacznymi – i pożądanymi – zmianami zachowań społecznych. Niektóre instytucje, w tym Bank Światowy i Światowa Organizacja Zdrowia (WHO), wprost odwołują się do ustaleń tych nauk, by przygotować stosowne zalecenia dla władz państwowych lub dostarczyć im narzędzi do analizowania zachowań społecznych i wdrażania rozwiązań kluczowych w walce z wirusem.

Chodzi m.in. o instruowanie, jak tworzyć skuteczne kampanie informacyjne, jak i dlaczego należy wykorzystywać sieci społeczne do wspierania i podtrzymywania zachowań zgod-

nych z zaleceniami w czasie kwarantanny, jakie transfery pieniężne mogą umacniać dyscyplinę oraz po jakie mechanizmy budowania zaufania można sięgnąć.

Jeszcze w lutym naukowcy z brytyjskiego Behavioural Insights Team opracowali podstawy efektywnej komunikacji w czasie pandemii. Ich zdaniem zarządzanie przekazem może zwiększyć zaufanie do władzy publicznej, zmniejszyć skalę dezinformacji, a także zmniejszyć zagrożenie związane z pojawieniem się paniki. Na podstawie badań przeprowadzonych w trakcie pandemii świąskiej grypy i epidemii choroby powodowanej przez wirusa zika ustalono, że największym zaufaniem cieszą się nie politycy, a przedstawiciele systemu opieki zdrowotnej, otwarta zaś walka z dezinformacją – co zaskakujące – zmniejsza zaufanie do oficjalnych komunikatów władzy publicznej. Zważywszy na fakt, że w czasie rozprzestrzeniania się wirusa ludzie mają trudności z przetwarzaniem informacji – można to było zaobserwować m.in. w trakcie epidemii choroby powodowanej przez wirusa Zachodniego Nilu – komunikaty muszą być jak najprostsze i jak najkrótsze. Równie istotna jest transparentność działania. Jeśli społeczeństwo ma szanse zobaczyć, jak pracują ludzie, na których spoczywa odpowiedzialność za opracowanie i wdrożenie strategii walki z chorobą, to zwiększa się – kluczowe przecież – zaufanie społeczeństwa do władzy publicznej.

Wpływ na dyscyplinę obywateli ma także skuteczne zarządzanie oczekiwaniami, kiedy restrykcje zostaną zniesione lub przynajmniej złagodzone. Taki wniosek płynie z ustaleń włoskich naukowców. Jeśli nawet obywatele zakładają, że w pierwszej kolejności *lockdown* zostanie przedłużony, to informacja o tym, na jak długo, ma duże znaczenie dla stopnia przestrzegania nowych wymogów. Jeśli obywatele są pozytywnie zaskoczeni okresem przedłużenia restrykcji, to są gotowi do ich przestrzegania. Jeśli jednak przedłużenie terminu ich zniesienia jest bardziej oddalone w czasie w stosunku do tego, co obywatele zakładali, to ich motywacja do kierowania się zaleceniami spada.

Jednym z państw, w których nauki społeczne i behawioralne były wykorzystywane od początku pandemii, jest Wielka Brytania. Ekspert z Scientific Advisory Group for Emergencies (SAGE) działającym przy rządzie od początku wspominali o możliwości wystąpienia tzw. zmęczenia kwarantanną. Podkreślano, że nikt nigdy nie zamknął całych społeczeństw na wiele miesięcy w domach i nie wiadomo, jak długo ludzie mogą przestrzegać zakazów. Nie wszyscy komentatorzy zgadzali się z tymi przestrożami, choć wnioski badaczy SAGE były spójne m.in. z tym, co na mniejszą skalę obserwowano podczas poprzednich niedawnych epidemii.

Maseczki rozdawane za darmo

Dziś wygląda na to, że zmęczenie kwarantanną jest faktem, ale pomocne w motywowaniu ludzi do stosowania się do najważniejszych zaleceń mogą okazać się inne interwencje behawioralne.

Ciekawym przykładem takiej interwencji są opracowane przez Abdul Latif Jameel Poverty Action Lab (J-PAL), we współpracy ze specjalistami Banku Światowego, warunkowe lub bezwarunkowe transfery pieniężne i obniżenie ceny do zera za środki ochrony przed wirusem. Małe sumy pieniężne mogą posłużyć jako bodźce zachęcające do przestrzegania nowych reguł postępowania w czasie pandemii. Z kolei obniżenie do

zera ceny za maseczki czy środki dezynfekujące podniesie prawdopodobieństwo częstego mycia rąk i korzystania z maseczek. Zero w dowolnej walucie nie jest ceną, ale – jak pisze jeden z wiodących ekonomistów behawioralnych Dan Ariely – emocjonalnym wyzwaczem irracjonalności. Jeśli rządy chcą, by ludzie nosili maseczki, to rozdawanie ich za darmo będzie znacznie lepszym bodźcem do ich zakładania niż dowolna, nawet bardzo niska cena. Naukowcy z J-PAL przetestowali to rozwiązanie w Afryce. Osoby, które dostały za darmo środek dezynfekujący, używały go częściej niż ci, którzy za niego zapłacili.

Z kolei celem badania Jillian Jordan z Kellogg School of Management było sprawdzenie, który z komunikatów zachęcających do społecznej izolacji jest bardziej skuteczny. Zaprojektowano trzy wersje. Pierwsza bazowała na egoizmie i podkreślała konieczność izolacji w ochronie własnego zdrowia. Druga akcentowała społeczny wymiar pandemii – podkreślano możliwość zarażenia innych członków społeczności, a w efekcie spowodowania na nich śmierci. Trzecia wersja stanowiła połączenie dwóch pierwszych. Najbardziej przekonującym komunikatem okazał się ten odwołujący się do negatywnych konsekwencji społecznych, a najmniej przekonującym ten odwołujący się do wąsko rozumianego interesu własnego.

Na zjawisko to rzuca nieco światła inne badanie. Stefan Pfattheicher i współpracownicy zaprojektowali serię pytań, na które odpowiedziało ponad 2000 respondentów z USA, Wielkiej Brytanii i Niemiec. Na podstawie ich odpowiedzi stwierdzono, że empatia w stosunku do osób z grup ryzyka jest skuteczną motywacją do utrzymywania fizycznego dystansu i to właśnie wykorzystywanie naszej wrodzonej skłonności do dbania o innych powinno zostać uwzględnione przez służby walczące z nowym koronawirusem. Nie chodzi więc o ochronę siebie – bo zgodnie ze znanym zjawiskiem nadmiernego optymizmu zakładamy, że akurat my nie zachorujemy – ale o ochronę najbardziej narażonych na niebezpieczeństwo członków lokalnej społeczności.

Paradoks prewencji

Z przeprowadzonych podczas poprzednich epidemii i pandemii wywiadów, eksperymentów i metaanaliz wynika, że nie jest łatwo zmienić własne zachowania na wiele tygodni. W trakcie epidemii gorączki chikungunya w Gujanie Francuskiej w 2015 r. naukowcy badali zmiany zachowań i postrzegania ryzyka. W początkowych fazach epidemii ludzie przeszacowują ryzyko zagrożenia i reagują zbyt radykalnie, potem jednak, gdy obiektywne ryzyko rośnie, zaniżają je.

Wiele danych udało się zebrać podczas trwającej od czerwca 2009 r. do sierpnia 2010 r. pandemii świńskiej grypy. Rozprzestrzeniła się ona tak szybko, że WHO zwolniła kraje z obowiązku ewidencjonowania każdego przypadku. Dziś szacuje się, że wirus zabił na świecie 150-600 tys. ludzi, a zarazić się nim mogło aż 1,6 mld osób.

W większości analiz z tego okresu ustalano, że im dłużej trwają ograniczenia, tym słabiej są przestrzegane. Jednym z ciekawszych rozważań była analiza zespołu Michaela Springborna z Uniwersytetu Kalifornii, który badał zmiany społecznej izolacji na podstawie zachowań widzów telewizji domowej w Meksyku. Wyższa oglądalność

oznaczała, że więcej osób pozostawało w domach. Niższa oglądalność była sygnałem zmniejszonej społecznej izolacji. W początkowych fazach pandemii oglądalność telewizji wzrosła, ale po pewnym czasie zaczęła spadać. Na podstawie zmian oglądalności można było przewidzieć liczbę zakażeń.

Z kolei Lei Zhang, dyrektor Instytutu Transportu na Uniwersytecie w Maryland, kierujący w czasie obecnej pandemii zespołem ekspertów mierzących aktywność stu milionów mieszkańców USA na podstawie danych ze smartfonów, ustalił, że po pięciu tygodniach pozostawania w domach Amerykanie zaczęli częściej wychodzić na zewnątrz i podróżować. Naukowcy stawiają hipotezę, że zmiana ta związana jest ze zmęczeniem kwarantanną, brakiem perspektyw na szybkie pokonanie wirusa, a tym samym zdjęcie restrykcji, a także z niejasnymi i niespójnymi komunikatami administracji Donalda Trumpa.

Całą sytuację związaną ze stosowaniem się do zaleceń może utrudniać tzw. paradoks prewencji. Jeśli środki zapobiegawcze są skuteczne, to ludzie uznają, że są niepotrzebne, bo epidemia się wygasza, a liczba zarażeń i zgonów maleje z dnia na dzień.

Nauka na błędach

Liczba publikacji naukowych poświęconych trwającej pandemii sięgnęła już kilkudziesięciu tysięcy. Jeden z artykułów dotyczący wykorzystania nauk społecznych i behawioralnych w walce z pandemią został napisany przez ponad czterdziestu naukowców. W jego zakończeniu przywołany jest tekst opublikowany w czasopiśmie „Science” w 1919 r., na temat pandemii grypy hiszpanki, która zabiła na świecie ponad 50 mln ludzi. Za główną przyczynę tak wysokiej liczby zgonów i aż trzech fal zarażeń na pierwszym miejscu w artykule podaje się błędne szacowanie ryzyka. Ludzie nie doceniali zagrożenia najbardziej śmiertelnej epidemii od 700 lat.

Po stu latach historia może się powtórzyć. Do połowy maja nowy koronawirus pochłonął na całym świecie ponad 300 tys. ofiar. I właśnie teraz zmęczenie kwarantanną i społecznym dystansowaniem daje o sobie znać najbardziej. Dlatego najważniejszym wyzwaniem stojącym dziś przed osobami odpowiedzialnymi za opracowywanie i wdrażanie strategii walki z wirusem jest pomoc społeczeństwu w prawidłowym szacowaniu ryzyka możliwego zarażenia się.

Pandemia COVID-19 nie skończy się w maju. Walka z nią to nie jest sprint, a dobry start to za mało, by odtrąbić sukces.

© RADOŚLAW ZYLIK



Zgodnie ze znanym zjawiskiem nadmiernego optymizmu wszyscy zakładają, że **akurat oni nie zachorują.**

Copernicus Festival 2020

■ Jak ogłosiliśmy na zakończenie poprzedniej edycji, tegoroczny Copernicus Festival zostanie poświęcony fenomenowi czasu. W związku z pandemią COVID-19 odbędzie się on wyłącznie w internecie. Będzie miał także wyjątkowo dwie odsłony: w dniach 19-24 maja odbędzie się specjalna edycja zatytułowana „Czas zarazy” – jej program prezentujemy obok. Główna, pełnowymiarowa edycja będzie mieć miejsce jesienią.

■ Wszystkie wydarzenia festiwalowe oglądać można na kanale youtube.com/CopernicusCenter. Wiele z nich transmitowanych będzie na żywo z naszego studia, a z naszymi gośćmi łączyć będziemy się online. Widzowie będą mogli uczestniczyć w dyskusjach: zadawać pytania w komentarzach w czasie transmisji, które prześlemy naszym gościom. Wszystkie wyemitowane materiały będą stale dostępne, także po zakończeniu transmisji.

■ Szczegółowe informacje na temat wydarzeń festiwalowych i najbardziej aktualną wersję programu znaleźć można na stronie copernicusfestival.com. Tam też znajdują się katalogi i materiały wideo dotyczące wszystkich poprzednich edycji.

Zespół

COPERNICUS FESTIVAL

O przeżywaniu czasu



GRAŻYNA MAKARA

WOJCIECH BONOWICZ

O to mój dzień: obudziłem się za kwadrans ósma, o ósmej wstałem, poszedłem do kuchni. Zapewne o 8.15 jadłbym już śniadanie, ale przyszedł mi do głowy pomysł na ten artykuł, więc o 8.07 włączyłem komputer i zacząłem pisać. Zresztą artykuł mam oddać dziś, więc najwyższy czas, by do niego usiąść. Dzięki zegarowi i kalendarzowi wszystko jest dokładnie uporządkowane. Nie gubię się w rzeczywistości, a nawet jeśli, to łatwo odnaleźć powrotną drogę: jest wtorek, środa, czwartek, jest rano, południe i wieczór, jest 8, 8.30, 8.50...

Podobnie z całym moim życiem. Urodziłem się 53 lata, 4 miesiące i 2 dni temu. To może niedokładny pomiar, ale wystarczający. Wiem mniej więcej, w jakim momencie mojego życia jestem – to już na pewno „z górki”, nie „pod górkę”. Na tych, co mają lat osiemdziesiąt, patrzę z podziwem, na tych, co mają dwadzieścia – z zazdrością. Nie wiem naturalnie, co mnie czeka, ale wiem dość sporo o tym, co przeżyłem. Kiedy przyjaciółka spytała mnie niedawno, co robiłem w 2005 r., powoli zacząłem wyluskiwać z pamięci zdarzenie po zdarzeniu. Mój umysł potrafi przyporządkować wydarzenia określonym datom; nawet jeśli robi to w przybliżeniu i czasem się pomyli, nie gubię się w przeszłości.

Były w tej przeszłości okresy, kiedy czas wydawał się płynąć szybciej, i takie, gdy niemal się zatrzymywał. W pięknym opowiadaniu

Kornela Filipowicza „Spotkanie i rozstanie” zakochany czeka na małej kolejowej stacji na przyjazd ukochanej. Co chwilę sprawdza na zegarku godzinę, ma wrażenie, że pociąg się spóźnia, denerwuje go, że na stacji nic nie zapowiada jego wjazdu. „Jan miał głupie uczucie, że powstała przerwa w czasie spowodowana jakąś awarią w kosmosie, że w całym wszechświecie nastąpiło zatrzymanie ruchu i działania się. Wytworzyła się pustka, której to, co minęło, wypełnić już nie mogło – a to, co miało nadejść, zostało gdzieś daleko stąd nagle zahamowane, nie może więc się zbliżyć”. Każdy, kto był zakochany – ba, każdy kto czekał na coś niecierpliwie – dobrze zna to uczucie: minuty upływają, ale tak, jakby wcale nie płynęły, a w każdym razie nie przybliżały nas do tego, co oczekiwane. Z kolei w innych chwilach zdają się biec zbyt szybko; wtedy miałyby się ochotę, żeby czas na chwilę stanął, żeby można było jakoś „wymknąć się” z jego objęć.

To skądinąd bardzo piękna metafora: znaleźć się w objęciach czasu. Czas można przeżywać rozmaicie. Można go traktować jak w więzieniu, z którego nie sposób uciec, ale też jako dom, w którym mogę mieszkać. Jako żelazny uścisk lub jako przyjazne objęcia. Na rozmaitych kursach i szkoleniach uczy się dziś zarządzania czasem, choć tak naprawdę chodzi o to, jak ten czas – dany czas naszego życia – najlepiej wykorzystać. Niektórzy próbują z czasu i życia „wycisnąć, ile się da”; są zorganizowani, wszystko zawczasu planują, rzucają się w kolejne doświadczenia, żeby nie mieć poczucia, że stracili choćby jeden dzień, a nawet godzinę. Czas jawi im się trochę jak ktoś, kogo trzeba przechytrzyć, jak stale zastawiona pułapka, w którą nie wolno dać się złapać. Mnie podoba się bardziej ta druga koncepcja. Owszem, świadomość upływającego czasu niekiedy napęla mnie smutkiem. Jednak częściej myślę o tym, że czas jest wielką, ciągle otwartą możliwością. Dopóki jestem, mam swój czas. Nie muszę się z nim „ścigać”, czasem mogę się mu „poddąć”, przyjąć to, co przynosi. Owszem, ja także planuję i organizuję, ale częściej to raczej czas „organizuje” mnie.

Pytanie o czas – o jego naturę, ale i jego przeżywanie – jest pytaniem wielkim. Być może w ludzkim życiu nie ma ważniejszego pytania. I być może teraz właśnie jest najlepszy czas, by do niego wrócić. ©

Autor jest członkiem Rady Programowej Copernicus Festival.

Program Copernicus Festival: CZAS ZARAZY

WTOREK 19 MAJA

- 14.00 Czas rozpaczy czy nadziei?**
WOJCIECH BONOWICZ,
MICHAŁ HELLER
- 16.00 ABC EPIDEMII (I): Wirus**
ŁUKASZ ŁAMŻA
- 18.00 ROZMOWY W CZASACH PANDEMII (I): Lekcja historii**
DOMINIKA DUDEK, RYSZARD GRYGLEWSKI

ŚRODA 20 MAJA

- 12.00 PRAWO W PANDEMII. PANDEMIA BEZPRAWIA (I):**
Prawo wobec końców świata
MIKOŁAJ MAŁECKI, KAMIL MAMAK
- 16.00 ABC EPIDEMII (II):**
Pandemia
ŁUKASZ ŁAMŻA
- 18.00 ROZMOWY W CZASACH PANDEMII (II): Służba zdrowia**
DOMINIKA DUDEK,
ANDRZEJ MATYJA

CZWARTEK 21 MAJA

- 12.00 PRAWO W PANDEMII. PANDEMIA BEZPRAWIA (II):**
Sport i zdrowie
MIKOŁAJ MAŁECKI,
SZYMON TARAPATA
- 16.00 ABC EPIDEMII (III):**
Szczepionka
ŁUKASZ ŁAMŻA
- 18.00 ROZMOWY W CZASACH PANDEMII (III):**
Na pierwszej linii ognia
DOMINIKA DUDEK, MONIKA BOCIĄGA-JASIK, KONSTANTY SUŁDRZYŃSKI, JĘDRZEJ MAJKA

PIĄTEK 22 MAJA

- 12.00 PRAWO W PANDEMII. PANDEMIA BEZPRAWIA (III):**
Dylematy moralne
MIKOŁAJ MAŁECKI,
WOJCIECH CISZEWSKI
- 16.00 ABC EPIDEMII (IV):**
Przeciwniało
ŁUKASZ ŁAMŻA
- 17.00 Gala Konkursu**
Mądra Książka Roku 2019
- 18.00 ROZMOWY W CZASACH PANDEMII (IV): O miłości**
w kwarantannie
DOMINIKA DUDEK,
BOGDAN DE BARBARO
- 20.00 Matematyczne modele**
epidemii
MATEUSZ HOHOL,
FRANCISZEK RAKOWSKI

SOBOTA 23 MAJA

- 12.00 COPERNICUS DLA DZIECI (I):**
Chemiczne eksperymenty dla każdego
MAŁGORZATA KRZECZKOWSKA
- 14.00 Między wolnością a bezpieczeństwem**
PAWEŁ LAIDLER, PAWEŁ ŚCIGAŁ
- 16.00 ABC EPIDEMII (V):**
COVID-19
ŁUKASZ ŁAMŻA
- 18.00 ROZMOWY W CZASACH PANDEMII (V): Czy można powstrzymać kryzys?**
DOMINIKA DUDEK,
JERZY HAUSNER
- 20.00 Wirus pseudonauki**
MATEUSZ HOHOL, ŁUKASZ JACH

NIEDZIELA 24 MAJA

- 12.00 COPERNICUS DLA DZIECI (II):** Ludwik Jerzy Kern i zabawy z powietrzem
MAŁGORZATA KRZECZKOWSKA
- 14.00 Godzina czytania**
MICHAŁ HELLER
- 16.00 ABC EPIDEMII (VI):**
Replikacja
ŁUKASZ ŁAMŻA
- 18.00 ROZMOWY W CZASACH PANDEMII (VI):**
Kościół, duchowość, religia
DOMINIKA DUDEK, JACEK PRUSAK
- 20.00 Ziemia: planeta wirusów**
SZYMON DROBNIAK

ABC EPIDEMII to seria miniwykładów (ok. 5-10 minut) Łukasza Lamży.

ROZMOWY W CZASACH PANDEMII

to seria dyskusji prowadzonych przez Dominikę Dudek, której gośćmi będą historycy medycyny, prezes Naczelnej Izby Lekarskiej, specjalistka chorób zakaźnych, anestezjolog, podróżnik i ozdrowieniec z COVID-19, psychiatra oraz duchowny i publicysta.

PRAWO W PANDEMII. PANDEMIA

BEZPRAWIA to seria wywiadów Mikołaja Małeckiego z prawnikami, popularyzatorami nauki i filozofami.

COPERNICUS DLA DZIECI to seria, w której Małgorzata Krzeczowska prezentuje pouczające eksperymenty chemiczne.



COPERNICUS
FESTIVAL

Wszystkie wydarzenia na www.youtube.com/copernicuscenter



REKLAMA

Fot. Maciej Moskwa/TESTIGO

POMOC NIE MOŻE POMIJAĆ NIKOGO

Aby pokonać koronawirusa,
musimy działać globalnie i solidarnie.

WPŁAĆ:

www.pah.org.pl/koronawirus

02 2490 0005 0000 4600 8316 8772



Polska Akcja Humanitarna